

ZESZYT SIEDEMDZIESIĄTY SZÓSTY

ZESZYTY
HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYZ



LITERACKI
1986

ZESZYT SIEDEMDZIESIĄTY SZÓSTY

ZESZYTY
HISTORYCZNE

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1986

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 417

ISBN 2-7168-0082-0

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

Marszałek Józef PIŁSUDSKI

STRZEŻCIE SIĘ AGENTUR*

... Gdy tematu dla dzisiejszego przemówienia szukałem, doszedłem do wniosku, że niedostatecznie w moich przemówieniach legionowych podkreśliłem jedną wielką prawdę naszego istnienia, naszej pracy, jedną prawdę naszego życia.

Nie ma już chyba teraz żadnych wątpliwości co do faktu historycznego, który starałem się w poprzednich odczytach nieraz wyjaśnić, że wtedy w 1914 roku, kiedy wojna wybuchła na świecie i kiedy ludzie szli przelewać strumieniami i potokami swą krew dla takich czy innych celów, to między tymi celami nie było celu Polski. Nikt dla Polski krwi przelewać nie chciał i nikt celów politycznych związanych z Polską w początkach wojny nie stawiał i stawiać nie chciał.

Myśmy, legionieści, zrobili ten wstęp do możliwości przelewania krwi za Polskę. Poszliśmy niewielką garstką ludzi, tym różniąc się od wszystkich innych, że swój niewielki strumień krwi, którąśmy mogli dać ze siebie, dać chcieliśmy dla Polski, nie dla czego innego.

To jest nasza palma pierwszeństwa w pracy dla ojczyzny.

Mieliśmy tę palmę pierwszeństwa. Staraliśmy się przekonać naszych rodaków, że jest rzeczą rozumną i rozsądną przelewać krew dla siebie, nie dla kogo innego...

W pracy tej, która daje nam palmę pierwszeństwa, spotkaliśmy jednak natychmiast zjawisko, które spokojnie nazwę agenturami obcymi.

Z natury rzeczy, ja, jako były Naczelnny Wódz, który prowa-

* Z przemówienia na Zjeździe Legionistów w Kaliszu 7 sierpnia 1927 r.

dził wojnę, wiem, co znaczy agentura i znam jej mechanizm pracy. Musiałem zetknąć się z taką pracą czy wtedy, gdy występuje ona jako obserwacja, czy też jako próba skłonienia do takich czy innych zmian, które byłyby potrzebne dla interesów armii i celów politycznych tego czy innego państwa.

Nie dziwię się więc wcale, że do nas agentury się przyczepiły i że, obserwując nas, szły krok w krok za nami agentury obcych państw, agentury płatne, bo innej agentury świat nie posiada.

Mieliśmy, naturalnie, agenturę obcą jednego z państw zaborczych, a wobec tego, że praca nasza, gdyśmy szli przelewać krew za Polskę, nie mogła nie przeczyć w różnym stopniu interesom państw zaborczych, które chciały, aby przelewano krew tylko za nie, a nie za co innego, agentura musiała stanąć w sprzeczności z naszymi dążeniami, musiała w interesach zaborcy nam szkodzić, aby nas w dążeniu do wielkości zatrzymać, aby nas usunąć od wielkości, aby krew przelana za Polskę nie była za wielką dla interesów zaborców. Stąd płynie to ciągłe szukanie ze strony zaborcy, ze strony jego agentur sposobu odebrania nam w miarę możliwości tych cech, które by nas charakteryzowały jako przelewających krew jedynie za Polskę, a nie za co innego.

Wobec tego, że liczba nas, jako przełamujących nowe drogi, była względnie mała, że zatem ogół naszych rodaków z nami nie szedł, praca tej agentury była znacznie ułatwiona...

W parze z tą agenturą austriacką szła agentura inna, agentura rosyjska, to jest tego państwa, z którym Austria i myśmy walczyli. Szła akurat w tym samym kierunku, także płatna, także czyniąca to, co obcy zaborca od niej wymagał, pracująca nad obniżeniem naszej pracy, brukająca nas słowami, określeniami, abyśmy pociągającymi dla swoich rodaków nie byli.

Jeżeli wezmę okres dowodzenia wami, okres, gdy byłem waszym reprezentantem, tak, jak mi on wygląda w moich przeżyciach, to śmiało i spokojnie stwierdzam, że bok w bok z nami szła zawsze jedna i druga agentura, służąc obcym, służąc zaborcy, który starał się obniżyć naszą wartość, zmienić nasze chęci, narzucić myśli inne, dla niego pożądane...

Mogę panom z zupełną pewnością stwierdzić, że najsympatyczniej odnosili się do nas i najbardziej rozumieli naszą sytuację ci, którzy nigdy polskiego słowa nie umieli wymówić... Najwięcej znalazłem obrońców nie wśród kogo innego, jak wśród najbardziej nam obcych ludzi, którzy starali się jedynie o siłę i potęgę swego państwa, biorącego udział w wojnie.

Proszę panów, agentury obce, to jest zjawisko stałe i codzienne, towarzyszące nam rok za rokiem, dzień za dniem, jest to część naszego życia tak wielka i tak starannie w stosunku do nas

ułożona, iż nasza praca — że tak powiem — jest współbieżna z pracą agentur obcych.

Obok palmy pierwszeństwa, którą my w stosunku do prawa Polaka przelewania krwi tylko za Polskę, a nie za co innego mamy, znajduję i inne zjawisko, które bardzo nieśmiało i bardzo powoli zaczyna nam sekundować... Jeżeli przypomnę sobie swoje wrażenia w tych ciągłych marszach i przemarszach przez najrozmaitsze części Polski, w tych stale zmienianych kwaterach, jeżeli zestawię sobie wszystkie wrażenia od 1914 do 1916 roku, w którym nasze marsze się skończyły, to znajduję tę narastającą prawdę, że coraz mniej byliśmy obcy dla swoich, coraz więcej zyskiwaliśmy sympatii i coraz więcej mocy. Szło to jednak okropnie powoli, szło tak powoli, że ręczę, iż niejeden z was w nocie ciche i łyzy przelewał swoje, i gorzkniał i gniewał się, i scyniczał zbyt szybko z powodu tego braku odczucia ojczyzny.

Nazwałem was ongiś żołnierzami bez ojczyzny, trawestując w ten sposób wyrażenie Zeromskiego o dawnych legionistach, których nazwał żołnierzami-tułaczami.

W okresie naszych marszów po Polsce narastały w stosunku do nas uczucia, szeptane nam do uszu. Szeptano je, bo ludzie bali się wówczas wszystkiego. Gdy sobie ten czas przypomnę, znajduję zawsze jakąś skromność Polski, bojącej się wszystkiego i wszystkich, bojącej się wyrzec jakiegokolwiek słowa, którą stać było tylko niekiedy na ciche łyzy rozczulenia. Na łyzy takie same, z jakimi patrzyło się ongiś na zakazane obrazki, na malowanki rycerskie z czasów Napoleona, z czasów powstania listopadowego, na mundury z czerwonymi rabatami, przypominającymi ludowe stroje krakowskie, na wysokie czaka. Oglądano te malowanki z rozczuleniem, równocześnie zakrywając je szybko w strachu, że ktoś inny na nie spojrzy. Na widok ich brało jakieś rozczulenie, jakaś tęsknota zobaczenia malowanek na jawie, zobaczenia żywymi oczywiście tego, o czym się śniło, o czym się szeptało. Sentymentalne serce mieliśmy zawsze, lecz sentymentalne w bezsilności.

Gdy sobie przypomnę te lata, które przewojowaliśmy: koniec 1914 roku, rok 1915 i rok 1916, na który przypadają nasze ostatnie wielkie boje na Wołyniu, to znajduję bardzo powoli narastającą dla nas sympatię. Bardzo powoli poczęto otaczać nas nimbem bohaterstwa, niby nimbem szaleństwa, niby nimbem piękności jakiejś, nad którą łyzy ronić trzeba, że jeszcze ją widzieć można.

Mamy więc dwa zjawiska bardzo jaskrawe, z którymi idziemy w swojej pracy dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, rok po roku. Przez 24 miesiące idziemy, mając obok i dokoła siebie

agentury obce, starające się nas nieco obniżyć i zbrukać, starające się uczynić nas mniej pięknymi dla otoczenia, starające się zbrzydzić nas, ażebyśmy wzorem dla innych nie byli. Idziemy z palmą pierwszeństwa przelewania krwi za Polskę jako nieco odludki i nieco opstrzeni ludzie. A obok tego mamy drugie zjawisko: narasta w stosunku do nas sentyment do bohaterstwa, do bohaterstwa jakby nieco nierozumnego. Odnoszą się do nas, jakbyśmy byli nieco tym pierwiosnkiem, który za wcześnie spod śniegu wyrósł i główkę swoją niepotrzebnie na mróz naraża, jakbyśmy byli nieco jak te ptaki przelotne, które przez jakąś omyłkę swego instynktu przylecą zbyt wcześnie, aby paść martwe w rodzinnym kraju, jakbyśmy byli nieco jak jacy spóźnieni wędrowcy dawnych czasów, jak mary przeszłości, przypominające dawnych marzycieli, niezłomnych rycerzy.

Oto przeżycia moje z tych lat. Z jednej strony obce i płatne agentury, szukające obniżenia naszej wartości i naszej pracy, a z drugiej strony bardzo niejasne i bardzo nieliczne objawy współczucia dla naszej pracy.

Jeżeli panowie wezmą następne czasy, będzie to okres nagłego wyrastania sprawy polskiej, okres, w którym po raz pierwszy zaczynają się sprawą polską zajmować wszędzie, gdy dawniej mówić o niej nie chciano. Dzieje się to dlatego, że państwa, które rzuciły w grę miliony istnień, na szalę wypadków miliardy złota, zatrzymały się w jakiejś dziwnej równowadze sił, bez możliwości z niej wyjścia. Jest to koniec roku 1916 i 1917. Idą te lata, gdy wrażenia ogólne nie dają możliwości sądu o zwycięstwie szybkim jednej strony walczącej nad drugą. Zaczyna się wtedy poszukiwanie jakiegoś ciężarka, który by, rzucony na szalę, zaczął przechylać ją na tę czy inną stronę. Po dwóch latach dzikiej pracy wojennej, gdy wylano już olbrzymie morze krwi, gdy świat podzielono na to, co jest po jednej, i na to, co jest po drugiej stronie drutu kolczastego — gdyż już państw neutralnych brakło na świecie — gdy wciągnięto do boju świat cały, w gabinetach i dowództwach zaczynają szukać gwałtownie jakiegoś takiego ciężarka, który mógłby choć trochę zaważyć na szali, by ją nieco przechylić na stronę zwycięstwa.

W poszukiwaniach tych poszukiwano i Polski.

Moi panowie! Nie dziwię się, że państwa zaborcze tej kwestii nie chciały dotykać i długo się męczyły nad formułami, nad wymyśleniem jakiegoś takiego znaku na niebie i ziemi, ażeby Polska była i nie była, żeby jakoś można było za jak najmniejszą cenę wykpić się ze swej gwałtownej potrzeby poszukiwania choćby najmniejszego ciężarka.

Jak powiadam, między innymi ciężarkami, które wyciągano

czy to z lamusa przeszłości, czy to jako nowy zupełnie koncept, rzucono się i do sprawy polskiej. W ten sposób od końca 1916 roku zaczyna sprawa polska narastać, zaczyna być czymś, co ma cenę, o czym warto mówić. To, co stanowi Polskę, co stanowi polskie siły, zaczyna być jakąś wartością dla innych. Zarazem moi państwo zaczyna się nad nami zwycięstwo absolutne agentur. Nie dlatego innego, jak dlatego, żeśmy niedostatecznie przez te dwa lata zyskali poparcie i siły ze strony naszego otoczenia, tak że nad nami, jako nad konkurentami łatwo przejść można było do porządku dziennego. Gdy tylko wiatrak polski zawiął, agentury wszystkich trzech stron poczuły — że tak powiem — żer, poczuły możliwość chwycenia atutów polskich w swoje ręce tak, by każdy, kto im płacił, był z nich zadowolony...

Gdy tylko, powiadam, ważka polska zaczęła przechodzić z rąk do rąk, z papieru na papier, gdy pomiędzy komendami najrozmaitszych narodów kursować zaczęły papiery i projekty, związane z polską ważką, z polską wartością, gdy w tych papierach zaczęto mówić o możliwości zrobienia czegoś z Polski, od tej chwili zaczęliśmy spotykać już nie obserwację agentur, ale otwartą walkę z nami. Twierdzę, że druty kolczaste nie przeszkadzały wcale połączeniu agentur państw z sobą walczących. Mimo, że te mocarstwa walczyły między sobą, ich agentury były na tym odcinku zupełnie jednoznaczne w pracy¹. Pragnęły one nas obniżyć, przełamać by dać zwycięstwo swej agenturalnej prawdzie...

Do naszej palmy pierwszeństwa dołączyła się palma męczeństwa, gdyż nie ma wątpliwości, że nasza harda prawda, którąśmy przeciwstawili prawdzie agenturalnej, dała w rezultacie absolutne zwycięstwo agenturze. Zostaliśmy w tym starciu z agenturami pobici. Święcimy teraz dziesięciolecie Szczypiorna, dziesięciolecie Magdeburga, dziesięciolecie tych czy innych więzień, do których nas rozesłano...

Wytłumaczyłem państwu powody i przyczyny, dla których ta kombinacja zjawiła się na świecie. Powtarzam: świat dochodził do równowagi i szukał jakiejś ważki, ażeby dać szybkie zwycięstwo. Świat męczył i dręczył się w wojnie i szukając tej wagi, natrafił na polską ważkę, czy trzy czy cztery łuty wartą — nie chcę mówić, jak ją rachowano — ważkę, która mogłaby przyczynić się do przechylenia szali na tę czy inną stronę.

Spotykamy wówczas świat agentury, idący przeciwko nam całą siłą, całą parą, starający się nas zbrukać, pstrzący nas w ten

1. Mowa o aktach Naczelnej Komendy austriackiej i jej korespondencji z Naczelną Komendą niemiecką w sprawie polskiej. Dokumenty te zostaną wydane przez Instytut Józefa Piłsudskiego.

czy inny sposób, abyśmy kwiatami polnymi nie pachnieli, abyśmy mniej byli piękni i ładni.

Świat agentury odniósł zwycięstwo i to wtedy, gdy wyzyskanie sytuacji dla Polski stało się możliwe. I pod tym względem, powtarzam, nie ma różnicy pomiędzy światem agentur po tej stronie drutu czy po tamtej. Świat agentury szedł tą samą drogą, gdyż interesy zaborców w stosunku do Polski były jedne i te same czy po tej stronie drutu, czy po innej: jeżeli trzeba, żeby było coś z Polski, to niech to będzie jak najmniejsze, niech to będzie najmniej poważne i znaczne.

Panowie! W całym naszym legionowym przeżyciu mamy palnę pierwszeństwa przelewania krwi za Polskę, wziętą przez nas w okresie, gdy nikt o Polsce nie chciał myśleć, a palma męczeństwa przychodzi wtedy, gdy o Polsce zaczynają mówić na świecie, gdy Polska staje się wartością, gdy poczyna mieć swoją cenę. Ja, jako reprezentant ówczesny Legionów, powędrowałem do Niemiec, do więzienia, a wielu z was powędrowało do mniej wygodnych ubikacyj. Mnie, jako generałowi, nie chciano robić zbyt wielkich przykrości i dawano mi życie generalskie w więzieniu, podczas gdy was czekały gorsze rzeczy — bo Szczypiorno, Benjaminów² nie należały do przemiłych ubikacyj. Tak samo w innych miejscowościach sekowano was należycie. Mnie sekowano, izolując absolutnie od świata, tak, ażebym swego wpływu nie mógł wyrzucić na nikogo.

Sprawa polska tymczasem wyrastała coraz bardziej, wyrastała nie powiem ażeby przez nas, przez Polaków. Dlatego, że myśmy za mało usiłowań sami w to włożyli i przy tych powodziach krwi, które wylano w tym czasie na świecie, strumyczek polski, który płynął wylaną krwią dla Polski, był zanadto znikomy i zanadto nieznaczny.

Proszę panów! Nadchodzi koniec roku 1917 i cały rok 1918. Każdy z was żywo pamięta, jak sprawa polska szła już podskokami naprzód. Ile papieru zapisano wówczas o sprawie Polski we wszystkich gabinetach walczących państw. Ile projektów wydano, jak robić Polskę tak, aby jej nie było i ile najrozmaitszych dokonano usiłowań, aby to osiągnąć. To prawdopodobnie już przekracza rozmiar biblioteki wcale przyzwoitej. I pisano, i próbowano najrozmaitszych sposobów. Polska zaczyna być modna, zaczyna być kwestią, która jest dokuczliwa, gdyż trzeba wobec niej koniecznie zająć swoje stanowisko i trzeba koniecznie określić to stanowisko wszędzie na całym bożym świecie.

2. W Benjaminowie zostali uwięzieni ci oficerowie legionowi — Królewiaacy — którzy w 1917 roku odmówili złożenia „beselerowskiej” przysięgi.

Zaczyna się okres, gdy za Polskę z musu leją krew inni, nie tylko Polacy, lecz prawie każde z państw walczących. Polska narasta jako pewnik, jako coś, co przychodzi, jako coś, co nadejdzie w tej czy innej postaci i co do życia ma prawo.

Do pracy, związanej z wyzyskaniem tej wielkiej prawdy narastania sprawy polskiej idzie, moi panowie, tylko agentura. Polska jest mocno od tej pracy odsunięta. Agentury były wygodne. Agentura bowiem polega na tym, że jeżeli kto płaci, to służby za zapłatę wymaga i nie ma w czasie wojny, gdy panują dzikie prawa wojenne, prawa odmowy, gdy człowiek jest zapłacony. Gdy, proszę państwa, w roku 1918 po przyjeździe z Magdeburga stanąłem do pracy państwowej polskiej i gdy w tym samym mundurze, w którym tu przemawiam, reprezentowałem Polskę i formowałem wojsko już polskie, miałem wgląd w sprawy świata nieco głębszy, niż poprzednio, i mogę panów zapewnić, że agentury państwowe, które się o polską skórę targowały i które się o nią układały według własnej woli, miały głębsze znaczenie, silniejsze i pewniejsze niż wszystko, co agenturą nie było. Gdy przyszły historyk dostęp mieć będzie do tajnych archiwów poszczególnych państw — bo i te czasy zawsze nadchodzą — wtedy ujawnione będą być mogły *dossiers*, bo to tak technicznie się nazywa, każdego z płatnych agentów. Agentów określonych według ich ceny, według tego, ile kosztowali. Cena ich jak na giełdzie spada lub się podnosi. Gdyż to jest pewnik, że nikt nie chce płacić agentów za drogo. Agenci chcą podnieść i wyśrubować ceny za siebie i za swoją pracę, a odwrotnie państwa szukają zbiccia tej ceny, stawiając coraz silniejsze żądania. W tych *dossiers* znajdziecie nazwiska wielu waszych znajomych. Pracowano bowiem wtedy, rzucając sownie pieniędzmi, jako systemem najtańszym wykpienia się ze sprawy polskiej, systemem, który państwo mniej kosztował, który, cynicznie mówiąc, był po prostu interesem. Mówię jako człowiek, który wie, jaka jest cena, którą się za te rzeczy płaci.

Gdy więc legioniści zostali usunięci jako czynnik brutalnym nad nimi zwycięstwem za pomocą więzień, cała praca polska i cała sprawa polska trafiła do rąk agentur, złożonych z Polaków, którzy pracowali na rzecz państw różnych, nieraz na rzecz kilku państw, gdyż to w końcu wojny zaczęło być zupełnie w modzie. Ten agent był cenny, który potrafił pracować na rzecz kilku państw. Każde z nich trochę on zdradzi i w ten sposób dowie się nieco danych, sprzedając je innemu państwu...

Tymczasem wojna doprowadziła do tego, że w rozpędzie i poszukiwaniu sposobów osłabienia państw walczących płacono agentom szalone sumy, zaoszczędzając w ten sposób krwi ludzkiej.

Szukano sposobów szkodzenia państwu najrozmaitszymi, najzłośliwymi metodami, które opłacano pieniędzmi sowicie. Szukano bolączek państwa i rzucano agentury na to, aby znalazły sposób uderzenia w miejsce, gdzie boli, gdzie dostępu nie ma często bagnet, gdzie dostępu nie ma kula. Starano się zepsuć mechanikę państwa, z którym się walczyło, wprowadzając w nie coraz silniejszy rozkład. Przy ogólnym zmęczeniu wojennym szukano raczej rozkładu wewnętrznego przeciwnika i dlatego rzucano swych agentów w najbardziej bolesne dla państw walczących miejsca. Dlatego też żądano olbrzymich sum dla przekupienia ludzi, dla kupienia jakiegoś dziennikarza, dla kupienia jakichś panów, którzy by mogli szkodzić własnej ojczyźnie. Wyzyskiwano coraz to szybsze tempo męczenia się ludzi wojną, co otwierało drogi, które dawniej były zamknięte.

Proszę państwa, w 1918 roku — zgodnie z piosenką legionową — „ni z tego, ni z owego była Polska na pierwszego”. Żywo pamiętam ten czas. Od tego czasu liczę swoje przeżycia największe i najcięższe. Od tego bowiem czasu zacząłem pracować na Państwo Polskie, stojąc na jego czele. Proszę państwa, ten dziki chaos, w który wpadłem po powrocie z Magdeburga, dziki chaos sądów, zdań, myśli, dziki chaos ugrupowań, dziki chaos, niemożliwy do ułożenia w jakiegokolwiek łańcuchu. Te dzikie rozbieżności były tak wielkie, tak olbrzymie, że uważam to za jeden z cudów talentu, że mogłem z tego chaosu wyprowadzić państwo na jakąś ścieżkę, gdyż wydawało się to wprost niemożliwością.

Skarżymy się teraz na wielką ilość stronnictw. Cóż dopiero mówić o owych czasach, gdy stronnictwa składały się z czterech lub pięciu ludzi, zebranych w jakiejś knajpce. Mianowali oni siebie stronnictwem, odsądzała wszystkich innych nie tylko od wszelkiej cnoty i wartości, ale robili z nich ludzi potwornych zbrodni i zapowiadali, że za żadną cenę, za żaden skarb, za żadne pieniądze i za żadne rzeczy na świecie nie pójdą nigdy z nikim — prócz ze sobą, w pięciu — razem jedną ścieżką. Chaos słów był tak wielki, że gdyby nie moja mocna głowa, to bym doprawdy zwariował od wysłuchiwanie jednego dnia pięćdziesięciu ludzi. Wszyscy bezsilni, nie poczuwający się do żadnej siły, a żądający usłuchania ich recept zbawienia Polski, których sami nie byli pewni, ustępujący łatwo od każdego słowa, a za to tym zażarciej zwalczający obok mieszkającego sąsiada...

Powiadam, zaliczam to do cudów swej pracy, że w tak dzikim chaosie wybrnąć mogłem, zmuszając Polskę do postawienia pierwszych swych kroków jako państwo. Całe moje przeświadczenie, które z tamtych czasów wyniosłem, było nie inne, jak to, że

istnieje olbrzymia trudność doprowadzenia jakiejś narady z Polakami do końca. Męcząca to praca tak dalece, że wytworzyłem całe mnóstwo pięknych słówek i określeń, które po mojej śmierci zostaną, a które naród polski stawiają w rzędzie idiotów. Tak zniechęciły mnie rozmowy wspólne z dziesięcioma Polakami razem. Jakie cudackie argumenty wytaczano, ażeby zapomnieć o o tych argumentach nazajutrz, aby mówić nazajutrz co innego w porównaniu z tym, co mówiono wczoraj. Jakie cudackie prawa myślenia wynajdywano, ażeby udowodnić, że ktoś jest tak winny, że trzeba go powiesić, zamiast z nim rozmawiać. Jak ciężko było dojść do jakiegoś rozstrzygnięcia w tej sytuacji, gdy się chciało pracować z innymi...

Gdy kończyła się wojna, a Polska rodziła się wraz ze skończeniem wojny, kiedy cały świat pokój wyzyskiwał dla siebie, a myśmy o dwa lata dłużej w porównaniu ze światem wojować musieli, przyglądałem się bacznie, szukając ustawicznie stwierdzenia lub osłabienia prawdy, którą dotychczas, to znaczy do 1918 spotykałem. Prawdy, że naród polski jest słaby wewnętrznie, że z trudem zdobywa się na prawdy mocne, silne, samodzielne i dlatego łatwo służy obcym, dlatego nie widzi wstępu do służby obcemu — a nie dla siebie jedynie — że zatem jest mniej wartościowy w porównaniu z innymi narodami, u których tego nie znajduję...

Nigdy nie zapomnę wrażeń moich, jako Naczelnika Państwa, gdy nasz hymn narodowy, nasz sztandar narodowy był nieco śmieciuchem, rzuconym w kąć dla sztandarów obcych i dla hymnów obcych, tak, jakby Polacy pokazać chcieli, że to są mniejsze wartości, aniżeli wszystko, co nie jest polskie. Widziałem starania ustawiczne i stale idące bez ustanku w jednym i tym samym kierunku, aby agentury obce, płatne, były możliwie na górze państwa. Szły one krok w krok obok mnie jako Naczelnika Państwa, szukając wytworzenia kilku rządów w Polsce — obok rządów, stojących przy mnie — rządów agentur, stojących poza mną. Widziałem uśmiechy reprezentantów obcych państw, gdy śmiało w oczy mi patrząc, mogli powiedzieć, że moje zamiary mogą być zniszczone zupełnie nie przez kogo innego, jak przez polskich agentów. Widziałem to, proszę państwa, i nieraz uciekałem ze swymi zamiarami do odległego pokoju, aby sekretów państwa nie wydać na rozszarpanie obcym. Uciekałem nieraz od moich najbliższych pomocników, dlatego, aby moje prawdy i moje zamiary nie były wydane na łup kogokolwiek bądź, byle był cudzoziemcem. Nigdy nie byłem pewien, że gdy piszę rozkaz, nie będzie on czytany prędzej w biurach wszystkich obcych państw, niż przez moich podwładnych. Nie byłem nigdy pewny, czy taki

lub inny mój zamiar polityczny nie będzie natychmiast skontrolowany przez agentury państw obcych z taką siłą i pewnością, że musiałbym się go wyrzec.

Jeżeli więc, panowie, pod względem tej szarej pracy, która niegdyś szła koło nas, koło legionistów, jako sentymentalna prawda niemocy i łezki ronionej, poprawiliśmy się znacznie, to nie poprawiliśmy się, moi panowie, pod względem agentur obcych, idących krok w krok za naszym państwem. Mówię to śmiało, gdyż jest to moja prawda, jako Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza podczas wojny, prawda, którą śmiało zostawiam historii, jako prawdę przeze mnie zbadaną aż do dna, a odczuta bardziej boleśnie, niż wszystkie inne prawdy.

Mogę panom powiedzieć, że system moich kalkulacji zawsze rozbijał się nie o co innego, jak o tę siłę agentur obcych, płatnych przez obcych dla szkodzenia Polsce, aby nie była ona zbyt silna, aby nie miała tej siły, jaką mogłaby mieć w tej czy innej chwili. Nieraz myślałem sobie, moi panowie, że tak wstrętnej prawdy żadne państwo nigdy w swoim życiu nie miało i gdy szukałem porównań historycznych, znajdowałem zawsze momenty upadku Polski, gdy, proszę panów, ludzie dzielili się pomiędzy sobą tylko tym, od kogo pensję brali, czy od protektorki Polski — imperatorowej Katarzyny II, czy od przyjaciela Polski — Fryderyka Wielkiego, czy od trzeciej konkurentki — Marii Teresy.

Przypomnę tu jeden fakt, który żywo stanął mi w oczach, gdy oglądałem olbrzymi pałac³ zbudowany przez księcia Sułkowskiego⁴, jednego z najbardziej wykształconych magnatów polskich. Mógł on, z własnego skarbcza łożąc, wybudować sobie olbrzymi pałac z 250 pokojami, a zatem sięgający do wielkości Watykanu. Mógł sobie pozwolić na taki zbytek w owych czasach, aby dla swoich koni kryte olbrzymie maneże budować. Magnat ten majątek swój chciał zostawić Komisji Edukacyjnej, a zatem dążył do kultury w Polsce, do jej podwyższenia, do jej ustalenia. I ten sam książę Sułkowski wymieniony jest w liście pensjonariuszy Katarzyny II, jako pobierający rocznie 150 dukatów. On, człowiek, który taką sumę mógł przegrać codziennie w karty. Znaczy

3. Mowa o pałacu w Rydzynie.

4. Ks. August Sułkowski (1729-1786) wychowany na sposób cudzoziemski, służył najpierw dworowi wiedeńskiemu. Mianowany przez Stanisława Augusta pisarzem wielkim koronnym i drugim komendantem korpusu kadetów, oddał się na usługi Repnina i za jego protekcją został w 1768 roku wojewodą gnieźnieńskim. W 1776 roku został wojewodą kaliskim, w 1782 roku — wojewodą poznańskim. Był członkiem Komisji Edukacyjnej Narodowej. Własnym kosztem założył w Rydzynie kolegium pijarów i szkołę kadecką dla ubogiej szlachty.

to, że czuł się on w obowiązku brania pensji od imperatorowej, jako jej sługa i jej pokorny wielbiciel. Powiem państwu, że ten obrazek z historii, który mi stanął w oczach, przypominał mi się ciągle, gdy byłem Naczelnikiem Państwa i Naczelnym Woźdзем. Zdawało się niekiedy, że służba obcemu jest najbardziej honorowa, jest najbardziej zaszczytna, jest najbardziej narodowa...

Gdy Polska się zaczyna, zaczyna się polepszenie stosunków. My, legioniści, nie jesteśmy wtedy wcale jedynymi Polakami, którzy za Polskę krew otwarcie przelewali. Idzie za nami całe mnóstwo ludzi, tak, że w tej masie płyniemy i nie możemy brać na siebie przedstawicielstwa tej krwi, którą Polacy na polach bitew i w szalonych wysiłkach przelali.

Lecz zwycięstwa nad agenturami nie odnieśliśmy wcale. Agentury, jak jakieś przekleństwo idą dalej bok w bok i krok w krok.

Moi panowie, gdym wziął za temat tę prawdę, wybrałem ją rozmyślnie i nie dla czego innego, jak dlatego, aby kropkę nad „i” postawić, aby nie było powiedziane, że my musimy menażować prawdy agentury. Polskę, być może, czekają i ciężkie przeżycia. Podczas kryzysów — powtarzam — strzeżcie się agentur. Idźcie swoją drogą, służąc jedynie Polsce, miłując tylko Polskę i nienawidząc tych, co służą obcym.

Marszałek Józef PIŁSUDSKI

Eugeniusz KWIATKOWSKI

JÓZEF BECK*

Autora poniższego szkicu nie trzeba chyba przedstawiać. Zmarły w Krakowie jedenaście lat temu Eugeniusz Kwiatkowski był bez żadnej wątpliwości najwybitniejszym — jak dotąd — polskim politykiem gospodarczym XX wieku, twórcą — przypomnijmy przykładowo — portu gdynińskiego, floty handlowej, COP-u. W latach 1926-1930 był ministrem Przemysłu i Handlu, a następnie — ministrem Skarbu i wicepremierem do spraw gospodarczych (1935-1939), i właśnie w tym ostatnim czteroleciu Niepodległości spotykał się wielokrotnie z płk. Józefem Beckiem, który od 1932 był ministrem Spraw Zagranicznych.

Jak wiadomo, wkrótce po śmierci Piłsudskiego ukształtowały się w obozie rządzącym dwa ośrodki polityczne: jeden stosunkowo liberalny, zwany „grupą Zamkową”, z Ignacym Mościckim na czele, drugi — bardziej autorytarny, sterowany przez generała (wkrótce marszałka) Edwarda Smigłego-Rydzę. Początkowo przewagę miała „grupa Zamkowa”, w wyniku czego 13 października 1935 powstał gabinet kierowany przez dwóch „ludzi Prezydenta”: premiera Mariana Zyndrama-Kościątkowskiego i wicepremiera Eugeniusza Kwiatkowskiego. Później grupa Rydzy uległa wzmocnieniu, lecz między obu ośrodkami doszło niebawem do kompromisu i w rezultacie w skład ostatniego rządu przedwrześniowego (1936-1939) wchodzili zarówno „ministrowie Marszałka” (na czele z premierem — generałem Felicjanem Stawojem-Składkowskim), jak i „ministrowie Prezydenta” (na czele z wicepremierem Kwiatkowskim). W obozie rządzącym istniała też trze-

* *Arka* nr 12/1985, Kraków.

cia grupa (jeśli określenia tego można użyć w odniesieniu do dwóch osób): jej przywódcą był Józef Beck, a z pełnoprawnych członków rządu wchodził tu jedyny Antoni Roman — ówczesny minister Przemysłu i Handlu, współpracujący na niwie gospodarczej z Kwiatkowskim. Przywódcy wszystkich tych ugrupowań kształtowali przed wrześniem 1939 politykę państwa. W roku 1938 ukonstytuował się nawet nieformalny, 4-osobowy zespół w składzie: prezydent Mościcki, Marszałek Smigły-Rydz, premier Śławoj-Składkowski oraz minister Beck; zespół powiększany był często o piątą osobę, którą był wicepremier Kwiatkowski. Także więc i w tym gronie, gdzie zapadały wszystkie najważniejsze decyzje, spotykał się Kwiatkowski z Beckiem.

Pozostawali ze sobą w stosunkach poprawnych, choć bynajmniej nie przyjacielskich. W swoim szkicu Kwiatkowski jest obiektywny i dyskretny, toteż nie opisuje tego, co byłoby może najbardziej fascynujące: kontaktów osobistych, rozmów, dyskusji, nieuchronnych, choć pewnie przemijających animozji. Potraktował swą rzecz bardziej jako historyk-eseista, niż jako świadek minionego czasu; dystans czasowy pozwolił na formułowanie ocen wyważonych i spokojnych. Ale nie pominął przecież własnego, odrębnego punktu widzenia, wystarczająco dobitnie, choć z ujmującym taktem zaakcentował różnicę zdań. Nie zrezygnował też z barwnej anegdoty, dobrze oddającej klimat polityki europejskiej lat trzydziestych.

Szkic napisany został w Krakowie w latach 60-tych, podczas długiej, przymusowej emerytury sanacyjnego wicepremiera. Nigdy dotąd nie był publikowany. Kopie maszynopisu udostępniał w swoim czasie Kwiatkowski szerokiemu gronu przyjaciół i znajomych. Jedna z takich kopii, po skrupulatnym sprawdzeniu jej autentyczności, została przekazana naszej redakcji.



W latach trzydziestych na europejskiej arenie politycznej jedną z najbardziej charakterystycznych i znanych a zarazem najbardziej kontrowersyjnych i trudnych do rozszyfrowania postaci był polski minister Spraw Zagranicznych, Józef Beck. Dla licznych przeciwników politycznych — polskich i obcych — miał w sobie coś z tajemniczego Cagliostro, inni doszukiwali się w nim znamion machiawelskich Talleyranda, oponenti bardziej neutralni oceniali jego taktyczne uzdolnienia na miarę Metternicha, a przyjaciele i zwolennicy Becka uważali po prostu jego politykę za mądrą i przewidującą, a taktikę za odważną i odpowiadającą tendencjom mocarstwowym Polski. Te sumaryczne oceny przedsta-

wiają jednak dla historii znikomą wartość. Trzeba więc w osobowości i psychice Becka, a także w obiektywnych warunkach politycznych tego okresu szukać odpowiedzi na pytanie dotyczące syntetycznej oceny długoletniej działalności, osiągnięć lub błędów ministra Spraw Zagranicznych Polski.

Chociaż rodzina Becków osiedliła się w małej zachodniogalijskiej miejscowości Limanowej, to jednak Józef Beck był rodowitym warszawiakiem i odznaczał się dobrymi manierami, właściwymi elicie kulturalnej tego miasta. W 1913 roku Józef Beck rozpoczął studia wyższe na Politechnice Lwowskiej. Szybko jednak doszedł do przekonania, że znajduje się na niewłaściwej drodze życia. Politechnika wymagała od studentów odznaczania się dwoma przymiotami: prawdziwymi zdolnościami i upartą, mrówczą pracowitością. J. Beck dysponował w tym czasie tylko jednym z tych przymiotów: talentem. Na początku 1914 roku przeniósł się więc do Wiednia i zapisał się na studia w słynnej wówczas Akademii Eksportowej. Ale już w sierpniu tego roku rozpoczęła się wielka wojna europejska, która niebawem przekształciła się w generalną wojnę światową. Józef Beck — mając lat dwadzieścia — wstąpił do tworzących się w Galicji Legionów Polskich i w ten sposób zakończył faktycznie swoje wyższe studia cywilne. W szeregach wojskowych spisywał się doskonale; rozkazy wykonywał ściśle, był zewnętrznie opanowany i odważny, miał poczucie honoru, a ponadto odznaczał się błyskotliwą inteligencją, umiał narzucić swoją wolę podwładnym a równocześnie był dobrym i sympatycznym kolegą. Szybko więc uzyskał stopień oficerski w artylerii drugiej brygady Legionów Polskich i zdobył cenne odznaczenie bojowe, krzyż *Virtuti Militari*. Po kryzysie przysięgowym w Legionach podjął współpracę ze stworzoną przez Piłsudskiego Polską Organizacją Wojskową; niebawem jednak — jako obywatel austriacki — został pozbawiony szarży oficerskiej i wcielony do c. k. armii. Gdy zakończyła się wielka wojna, Beck powrócił do szeregów wojska polskiego z opinią bystrego, odważnego i zasługującego na zaufanie oficera. W 1919 roku Beck dowodził chlubnie baterią artylerii konnej na Wołyniu, następnie został przydzielony do oddziału drugiego sztabu generalnego, gdzie oceniono wysoko jego talenty organizacyjne i dyplomatyczne. Odtąd pozycja J. Becka nie tylko umacnia się szybko, ale również ustala się kierunkowo. Kolejno pełni on funkcje dyplomatyczno-wojskowe w Bukareszcie, Budapeszcie i Brukseli, by z początkiem stycznia 1922 roku — mając lat zaledwie 28 — otrzymać nominację na zupełnie pierwszorzędne w tej dziedzinie stanowisko *attaché* wojskowego w Paryżu. Tu rozwinął — odpowiadającą jego temperamentowi — wielką i wielostronną

aktywność, nie zawsze miłą naczelnym władzom wojskowym i politycznym Francji. Po takich, w istocie drugorzędnych kolizjach rygorystyczne władze francuskie zażądały w połowie 1923 roku odwołania Becka z paryskiej placówki dyplomatycznej, określając go jako *persona non grata*¹. Fakt ten spowodował następstwa wprawdzie niegroźne dla stosunków francusko-polskich, ale w każdym razie niekorzystne i co najgorsze trwałe. Beck zachował na długie lata głęboki uraz, a paryski Quai d'Orsay nieufność i niechęć do późniejszego wpływowego polskiego męża stanu. W roku następnym J. Beck, jako jeden z najzdolniejszych oficerów, został odkomenderowany na dalsze studia w Akademii Wojskowej w Warszawie. W ten sposób przetrwał aż do momentu przewrotu majowego. Wówczas zaszedł decydujący przełom w jego życiu i w jego karierze: został powołany na stanowisko szefa gabinetu ministra Spraw Wojskowych. Wobec zupełnie wyjątkowej pozycji J. Piłsudskiego jako ministra tego resortu Beck znalazł teraz szerokie pole do wykazania swoich wrodzonych talentów, swojej dokładności i inteligencji w wykonywaniu poleceń; pełniąc te funkcje zdobywał równocześnie wgląd w najważniejsze sprawy państwowe, głównie tych resortów, którymi Piłsudski interesował się szczególnie, to jest Ministerstwa Spraw Wojskowych i Spraw Zagranicznych. Dalszym ważnym etapem w rozwoju osobowości Becka był rok 1930. Uzyskał wówczas trzy ważne nominacje: w hierarchii wojskowej podniesiony został do rangi pułkownika, następnie w sierpniu w gabinecie tworzonym przez Piłsudskiego mianowany został formalnie podsekretarzem stanu w Prezydium Rady Ministrów, a faktycznie prawą ręką premiera, wreszcie na początku tegoż roku podsekretarzem stanu w resorcie Spraw Zagranicznych. Piłsudski już wówczas planował powierzenie Beckowi funkcji kierowniczej w tym ministerstwie, uważając, że dookoła państwa zbierają się groźne i złowieszcze chmury, a w tych warunkach taktyka szefa polskiej polityki zagranicznej musi być zsynchronizowana i uzgodniona w całej rozciągłości z jego własnymi koncepcjami obronnymi. W danym układzie sił i prawa do decydowania o linii politycznej państwa, Beck był prawdopodobnie najwłaściwszym kandydatem na stanowisko szefa resortu Spraw Zagranicznych.

Stan niepokoju w świecie, szczególnie zaś w Europie, potęgował się w tych latach wyraźnie i ciągle. Francja — skazana po pierwszej wojnie światowej na odgrywanie roli sterowniczej na przesyconym konfliktami kontynencie europejskim — miała

1. O tym fakcie wspomina również H. Roos, *Polen und Europa*, Tübingen 1957.

wówczas rządy chwiejne, poszukujące za wszelką cenę kompromisu i doktrynalnie pacyfistyczne. W Niemczech przejawiał się stan głębokiego, chronicznego niepokoju na tle źle maskowanej tendencji wyzwolenia się z krępujących je klauzul traktatowych oraz wynikających z uporczywej walki nazistów o władzę. W 1931 roku podjęta została pierwsza, fragmentaryczna i nieudana próba *Anschluss*-u, tj. zjednoczenia Austrii z Niemcami; w 1932 roku Niemcy domagają się ostro prawa do równości zbrojeń, a po uznaniu tego postulatu przez państwa zachodnie wycofały się nagle z Komisji Rozbrojeniowej. Rosja Sowiecka w tym czasie zwiększa intensywność swoich zbrojeń i demonstrowuje rosnące zainteresowanie w zakresie polityki międzynarodowej. Na Dalekim Wschodzie toczy się wielka wojna, w Hiszpanii panuje stan permanentnej rewolucji, a utworzona tak niedawno Liga Narodów choruje już na uwiad starczy. Liga Narodów i mocarstwa demokratyczne ustępują pod naciskiem siły na każdym kroku. Bezpieczeństwo zbiorowe z upływem każdego roku staje się coraz bardziej oczywistą fikcją. We wszystkich działach życia gospodarczego potęguje się potworny kryzys: kurczą się gwałtownie obroty w handlu wewnętrznym i międzynarodowym, topnieją zapasy złota monetarnego w bankach emisyjnych, zanika kredyt i wszelki ruch inwestycyjny, mierniki wartości stają się ruchome, a bezrobocie wzrasta lawinowo. Wszystko to wywiera przemożny wpływ na elementy polityki międzynarodowej, przesycając całą atmosferę beznadziejnością. W tych warunkach dochodzi do zmiany na stanowisku ministra Spraw Zagranicznych w Warszawie; miejsce bardziej samodzielnego, ostrożnego i wytrawnego A. Zaleskiego zajmuje w dniu 2 listopada 1932 pułkownik Józef Beck. Dotychczasowa 14-letnia praktyka życiowa nie zdołała jednak wykrystalizować w nim jednorodnej, zdefiniowanej psychicznie indywidualności. Równorzędnie egzystowały tu dwie odmienne, często sprzeczne i przeciwstawiające się sobie osobowości: z jednej strony wybitnego, zrównoważonego i nieprzeciętnie utalentowanego męża stanu, a z drugiej strony zadzierzystego, czasem ryzykanciego a naiwnego politycznie i zarozumiałego pułkownika, pragnącego dowodzić współpracownikami cywilnymi. Gdy już pełnił funkcję samodzielnego, a później nawet niekontrolowanego szefa polskiej polityki zagranicznej, zawsze rodziła się obawa, by nie wystąpił na scenie drugi zamiast pierwszego, pułkownik zamiast przezornego i wytrawnego ministra. Jeden tylko — stosunkowo krótki — okres działalności Becka był całkowicie wolny od ulegania iluzjom politycznym, od wytwarzania niepotrzebnych zadrażeń, od zgubnych snów o mocarstwowej Polsce; były to dwa lata, w ciągu których zasadniczymi sprawami zewnątrz-poli-

tycznymi odrodzonej Polski sterował w rzeczywistości Józef Piłsudski za pośrednictwem pułkownika Józefa Becka. Po śmierci wielkiego marszałka to rozdwojenie osobowości Becka stawało się z każdym rokiem coraz bardziej wyraźne i bardziej niepokojące.

Syntetyzując jednak bilans prawie siedmioletniej działalności J. Becka jako ministra Spraw Zagranicznych Polski, nikt z obiektywnych krytyków nie może odmówić mu ani wielkich uzdolnień i inteligencji, ani też wielkich zasług czy historycznych osiągnięć tylko dlatego, że przejawiał się w nim czasem zwykły, mały człowiek, niecierpliwy, egocentryczny i pełen próżności. Przecież w ciągu tych siedmiu bardzo trudnych lat, kiedy ugięły się a nawet łamały największe autorytety polityczne świata, minister Beck bronił wytrwale i sumiennie idei pokoju i porozumienia w stosunkach międzynarodowych aż po nieprzekraczalną dla męża stanu granicę utraty niezależności własnego państwa i honoru własnego narodu. Z obu wielkimi, bardzo trudnymi i niebezpiecznymi sąsiadami Polski doprowadził do podpisania długoterminowych paktów nieagresji, wyraźnych i jasnych w treści, uczciwie dotrzymywanych przez stronę polską. Z dużą gorliwością i spokojem likwidował i rozbrajał niezliczone, drobne a zatruwające atmosferę incydenty na wschodniej granicy Polski, zatargi narodowościowe i spory prawne z Gdańskiem i walczył wytrwale o należne traktowanie mniejszości polskiej w Niemczech. Z reguły potrafił się wzniesć ponad osobiste sympatie i antypatie oraz oceniał prawidłowo aktualną sytuację polityczną i jej doraźne komplikacje. Należy tu podkreślić — w imię prawdy — z całym naciskiem, że Beck alarmował dość wcześnie o niebezpieczeństwie niemieckim, że osobiście nalegał na przyspieszenie gotowości bojowej państwa, apelując do marszałka Rydza-Smigłego o nieuleganie ciągłym naciskom czynników dyplomatycznych co do odroczenia pełnej mobilizacji wojsk polskich. Domagał się słusznie z całą stanowczością, by interwencje obce były skierowane do niego, gdyż obowiązkiem wytrzymania i odparcia tych nacisków spoczywa na nim. Gdy Hitler — przygotowując rozprawę zbrojną — zainicjował z początkiem 1939 roku wojnę nerwów przeciwko Polsce, Beck nie tylko umiał wytrzymać spokojnie napiętą do ostateczności sytuację przez wiele miesięcy, ale ponadto doprowadził do tego, że — w myśl tendencji J. Piłsudskiego — wojna przeciwko Polsce przybrała od początku charakter wielkiego konfliktu ogólnoeuropejskiego. Trzeba uświadomić sobie w całej rozciągłości, że to, co wbrew licznym traktatom i wielokrotnym deklaracjom publicznym czołowych mężów stanu Europy nie wywołało — poza czczymi protestami słownymi — żadnej solidarnej i czynnej reakcji, ani po jawnym i brutalnym podeptaniu traktatów wersalskiego i lo-

carneńskiego przez Hitlera i jego rząd, ani po dokonaniu siłą *Anschluss*'u Austrii, ani po wydarciu Sudetów, ani po doszczętnym zniszczeniu państwa czechosłowackiego, teraz po napaści na Polskę stało się rzeczywistością i faktem historycznym niezmierniej doniosłości, który przecież zadecydował ostatecznie o katastrofalnej klęsce Hitlera i ustrojów faszystowskich. Wystąpienie zbrojne Wielkiej Brytanii i Francji w obronie zaatakowanej Polski nie było ani przypadkowe, ani samorzutne, dokonało się ono wbrew niez mordowanym wysiłkom dyplomacji hitlerowskiej politycznego izolowania i okrażenia Polski, a równocześnie było poważnie utrudnione przez postawę Związku Sowieckiego; było ono rezultatem sytuacji, którą pieczołowicie i konsekwentnie przygotował Beck i jego aparat resortowy. W istocie rzeczy J. Beck uczynił wszystko, co praktycznie leżało w granicach możliwości polskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Dość często zachodzi jednak zjawisko, szczególnie w odniesieniu do ludzi formatu historycznego a obojętnych na własną popularność, że podrzędne i uboczne cechy ich osobowości wysuwają się na plan pierwszy, polaryzując silnie ich wielkie i trwałe wartości i osiągnięcia. Wydaje mi się, że taki przypadek zachodzi właśnie w stosunku do politycznej sylwetki J. Becka, jaka utrzymała się szeroko w naszej opinii publicznej. Jest to tym bardziej zrozumiałe i naturalne, że przywary jego charakteru — trzymane w ostrej dyscyplinie wojskowej w obliczu J. Piłsudskiego — były istotnie dość liczne i rzucające ostre refleksy na jego wystąpienia publiczne. Tak więc fakt, że minister Beck — z reguły realista w polityce — ulegał w ważnych nawet sprawach szkodliwym złudzeniom czy iluzjom, zwłaszcza gdy harmonizowały one z jego własnymi teoriami i postulatami politycznymi, jest niezaprzeczalny. Tym niemniej nie może on obciążać zbytnio jego osobistego rachunku. Wybitny historyk francuski P. Renouvin² konstatuje wprawdzie, że Beck ulegał naiwnym iluzjom nie raz, lecz wielokrotnie i organicznie, ale jakby na jego usprawiedliwienie dodaje, że współcześni politycy tej miary co Chamberlain, Churchill, Eden, Daladier, Bonnet i wielu innych ulegali notorycznie iluzjom w stosunku do zamiarów i posunięć Hitlera czy Stalina. W przypadku polskim złożyło się tak fatalnie, że Beck, który oceniał realistycznie tendencje i możliwości polityczne Francji, Anglii czy Ligi Narodów albo też przewidywał prawidłowo praktyczne znaczenie projektowanych paktów zbiorowego bezpieczeństwa i wiele innych jawnych i zakamuflowanych chwytów politycznych, ulegał

2. P. Renouvin, *Les crises du XX^e siècle*, vol. II, str. 70 i in. Paryż 1958.

długo iluzjom co do dobrej woli i uczciwości w działaniu właśnie Hitlera i jego „dwunastu zbrojczyków”, Mussoliniego albo Stalina i Mołotowa. Gdy Piłsudski poczytywał pakt niemiecko-polski z 26 stycznia 1934 roku za niepewny, posiadający wartość raczej taktyczną niż merytoryczną, za układ dający najwyżej parę lat odprężenia i spokoju znękaney kryzysem gospodarczym Polsce, to Beck ufał w trwałość nowego stosunku Niemiec do Polski, a zapewnienia Hitlera, Göringa, Goebbelsa i szefa Reichswehry generała Blomberga, włączane mu w czasie berlińskiej wizyty w lipcu 1935 roku o definitywnej zmianie niemieckiego nastawienia do naszego kraju brał za dobrą i szlachetną monetę. Rozmowy prowadzone w Berlinie w 1935 roku jak i wiele późniejszych określone były przez Becka jako *tout à fait satisfaisantes*, całkowicie zadowalające. W tych czasach próbuje on nawet sformułować rozumowe argumenty dla pozytywnej oceny i trwałości znormalizowanych — po podpisaniu paktu z 1934 roku — stosunków niemiecko-polskich. Głosi mianowicie, że Hitler jest organicznym i typowym produktem austriackim, że obca jest mu psychika pruska, przesiąknięta tradycyjną nienawiścią w stosunku do Polski i Polaków. Również wśród głównych współpracowników Hitlera nie ma ani jednego rodowitego Prusaka i dlatego pokojowa koegzystencja narodu niemieckiego z polskim stała się od kilku lat możliwa. Te tendencje podtrzymywała wiara Becka w zasadniczy i nienaruszalny antagonizm nazistowsko-komunistyczny. Takich niebezpiecznych złudzeń w umysłowości szefa polskiej polityki zagranicznej było jednak znacznie więcej. Jeszcze na początku 1938 roku Beck był przeświadczony, że Hitler ograniczy swoje pretensje terytorialne do Austrii i Sudetów. Podobnym złudzeniem ulegał w sprawie Gdańska, sądząc, że za ustępstwa wewnętrzno-polityczne dla nazistów scementuje silnie port gdański z Polską. Wbrew złej woli sterujących polityką gdańską nazistów, oczekujących tylko sygnału z Berlina do *Anschluss*’u Wolnego Miasta z Reichem, Beck bronił interesów gdańskich, sporadycznie nawet wbrew Gdyni, której jeszcze w ostatniej, już wojennej publikacji książkowej³ poświęcił kilka krytycznych i niesłusznych słów. Polskiemu ministrowi Spraw Zagranicznych nie dał do myślenia tak jaskrawy fakt, że w czasie gdy on z trybuny Ligi Narodów brał w obronę gdańskich nazistów, H. Schacht 28 stycznia 1936 roku wygłosił w Bytomiu⁴ gwałtowną mowę antypolską i rewizjonistyczną. Całkowite cofnięcie się z tej pajęczyny niemieckich złudzeń nastąpiło u Becka dość

3. Colonel Joseph Beck, *Dernier rapport*, Neuchâtel - Paris, str. 15.

4. *Diariusz i teki J. Szembeka*, tom II, str. 388-389, Londyn 1965.

późno, bo na przełomie 1938-1939 roku, i było dla niego wstrząsające.

Choć nieufność Becka do polityki sowieckiej była od początku zaostrzona, to jednak i w tych relacjach zachodziły i to aż do drugiej połowy 1939 roku wypadki zdumiewającej łatwowierności. Jeszcze w maju tego roku Beck przypuszczał, że stosunki nasze ze Związkiem Sowieckim mają nowe szanse wyrównania, szczególnie — jak zapisuje⁵ — wobec tego, że M. Litwinow, komisarz ludowy dla spraw zagranicznych, „notoryczny wróg naszego państwa”, zwolniony został ze swego stanowiska. Cały ówczesny świat polityczny poczytywał ten fakt za wyraźny gest pojednawczy Stalina wobec Hitlera. Odmienne jak jego następca Mołotow, Litwinow miał zdecydowanie antyhitlerowskie nastawienie, reprezentował tendencje pokojowe i — przynajmniej w pewnych granicach — popierał ugodową politykę Ligi Narodów. Tylko Beck wyraża nie niepokój, ale zadowolenie z tej zmiany personalnej. W tym czasie byłem też obecny w Spale, gdy minister Beck informował prezydenta Rzeczypospolitej o swojej rozmowie w dniu 10 maja 1939 roku z przejeżdżającym przez Warszawę zastępcą komisarza do spraw zagranicznych, Potemkinem, tym samym, który pod koniec 1938 roku rozgłaszał w kołach dyplomatycznych Berlina prorocstwo, że zbliża się dzień czwartego rozbioru Polski. Potemkin zapewniał teraz Becka, w imieniu i z upoważnienia rządu sowieckiego, że w razie konfliktu zbrojnego z hitlerowskimi Niemcami rząd sowiecki zajmie w stosunku do Polski „jak najbardziej życzliwą postawę”⁶. W ten sposób zachęcał on Polskę i jej rząd do usztywnienia swego odpornego stanowiska wobec pretensji niemieckich.

Jest to może nieuniknione zjawisko, że z upływem lat kierowania ważnym i możliwym resortem państwowym gromadzą się w osobowości szefa — obok kapitału rutyny i doświadczenia — pewne spaczenia czy dewiacje psychiczne, spowodowane zarówno chwałstwem otoczenia, jak i stopniowym zanikiem zmysłu samokrytyki. Podobne objawy można też skonstatować w wystąpieniach publicznych i w działalności ministra J. Becka, szczególnie od połowy 1935 roku. W jego pośmiertnie wydanej książce *Dernier Rapport*, wykazującej tak głęboką i przenikliwą znajomość międzynarodowego mechanizmu politycznego, można zna-

5. J. Beck, *op. cit.*, str. 175; porównaj też A. Bregmana *Najlepszy sojusznik Hitlera*, str. 15-17, Londyn 1961.

6. Wyd.: *Documents on Polish-Soviet Relations*, vol. I, str. 28, Londyn 1961.

leżć surową, czasem zjadliwą i niesprawiedliwą krytykę obcych mężów stanu, a również jego poprzednika na stanowisku szefa Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Polsce, A. Zaleskiego, przy rosnącym stale samouznaniu dla własnych wystąpień czy osiągnięć. Te posunięcia — przygotowywane początkowo precyzyjnie i pieczołowicie przez wytrawny i fachowy aparat ministerstwa — z biegiem lat coraz częściej mają charakter nieprzemyślanej do końca improwizacji. Toteż nie przynoszą one oczekiwanych rezultatów. Pierwsze takie większe potknięcie miało miejsce w połowie września 1934 roku na terenie Ligi Narodów. Wówczas minister Beck wypowiedział jednostronnie obowiązujący Polskę układ z dnia 28 czerwca 1919 roku o ochronie praw mniejszości narodowych. Z polskiego punktu widzenia krok ten miał swoje uzasadnienie. Głównie szło o zabezpieczenie przed wtrącaniem się do spraw polskich przez — wstępujący właśnie do Ligi Narodów — Związek Sowiecki. Formalnie też wniosek polski domagał się usunięcia wszelkiej dyskryminacji, czyli uogólnienia zobowiązań co do ochrony mniejszości narodowych, wedle identycznej procedury. Nie można było jednak przejść do porządku nad tym, że zobowiązanie polskie było formalnie związane z uznaniem granic naszych przez czynniki międzynarodowe a także, że w naszym państwowym interesie leżało jak najsumienniejsze przestrzeganie istniejących — złych czy dobrych — zobowiązań traktatowych. W rezultacie obok ostrej krytyki kroku polskiego przez ministrów: brytyjskiego Simona i francuskiego Barthou, przedstawiciele Niemiec i Włoch podkreślili dobitnie — oczywiście na różnych drogach — istniejący związek między układem o ochronie mniejszości a sprawą granic Polski. Toteż reprezentant Polski uznał za chwilowo najkorzystniejsze wycofanie wniosku ministra Becka spod głosowania.

Oczywiście, iż pomyłki a nawet ciężkie błędy są w dziedzinie polityki zagranicznej często nie do uniknięcia, nawet przez najwytrawniejszego dyplomatę. Z reguły stoi się tu przed koniecznością rozwiązywania jednego równania, wypełnionego całym szeregiem niewiadomych. Hipotezy są tu częste, pewniki wielką rzadkością. Ale zadaniem rozbudowanego i wyposażonego obficie w środki materialne resortu jest takie przygotowanie i naświetlenie ministrowi każdej ważnej sprawy, by pomyłki i niepowodzenia zredukować do granic możliwie najmniejszych. Trzeba przyznać, że resort Becka był na wysokości swojego zadania. Jednakże Beck — z upływem lat — ulegał coraz wyraźniej złudzeniu, że sam wie wszystko lepiej, niż cały zespół jego fachowych współpracowników. Nie bez pewnej słuszności twierdzi sumien-

ny znawca tego resortu Kajetan Morawski⁷, że „Beck z błędnego założenia wyciągał inteligentnie niezyciowe wnioski, a w Ministerstwie Spraw Zagranicznych ludzie myślący inaczej lub w ogóle myślący samodzielnie usuwani byli z urzędu”. W tych warunkach potknięcia musiały się mnożyć. Ten niekorzystny stan rzeczy podsycała coraz bardziej dwoista natura Becka, o obliczu i postawie cywilnej i wojskowej.

Aktualną i ważką sprawą stała się w 1934 roku próba przerwania koncepcji zbiorowego bezpieczeństwa we wschodniej i centralnej części Europy, tzw. Paktu Wschodniego. Głównymi propagatorami tej koncepcji były rządy francuski i sowiecki, a najważniejszymi uczestnikami paktu miały być Niemcy, Rosja i Polska. Ale Niemcy i Polska — z nieco odmiennych powodów — były przeciwne temu projektowi. W szerokiej opinii publicznej, nieświadomej kulisów tej sprawy, Polska naraziła się jednak na zarzut współdziałania z Niemcami hitlerowskimi. W tych warunkach Beck — znając pozytywne nastawienie Małej Ententy do Paktu Wschodniego — usiłował skłonić do zajęcia negatywnego stanowiska w tej sprawie przynajmniej niektóre z państw bałtyckich. Toteż w połowie 1934 roku udał się on m.in. z wizytą do Łotwy, w złudnej nadziei skłonienia jej rządu do przyłączenia się do tezy polskiej. To się nie powiodło. W czasie wizyty Becka w Rydze jego kolega łotewski oświadczył publicznie, że jego kraj i rząd „nie uchyli się od współpracy w ramach Paktu Wschodniego”. Pod koniec lipca tego roku wszystkie państwa bałtyckie zadeklarowały solidarnie w Moskwie, że popierają w całej rozciągłości koncepcję Paktu Wschodniego.

Podobne siły motoryczne sprawiły — jak się wydaje — że polityka gdańska Becka nie zawsze była szczęśliwa. Wysoki Komisarz Ligi Narodów w Gdańsku, profesor historii i historiozofii w Bazylei, człowiek cieszący się dużym autorytetem i wpływami w sferach międzynarodowych, żali się 7 listopada 1937 roku⁸, że „polityka polska dopomogła w ostatnich latach do osłabienia pozycji Ligi Narodów w Gdańsku, a równocześnie zdewaluowała polskie uprawnienia w Wolnym Mieście”. Przypuszczenie Becka, że w sprawie gdańskiej można się porozumieć bezpośrednio z Niemcami, eliminując Ligę Narodów i swoich zachodnich przyjaciół, okazało się błędne. Skutek tych zabiegów był taki, że 18 października 1937 roku minister Neurath oświadczył ambasadorowi Lipskiemu z naciskiem, że „wisząca pomiędzy Niemcami i Polską sprawa Gdańska wymagać będzie zasadniczego roz-

7. K. Morawski, *Wspólna droga*, str. 66, Paryż 1962.

8. H. Roos, *Polen und Europa*, str. 296, Tübingen 1957.

wiązania”, przy czym nie pozostawił wątpliwości, że rozumie przez to przyłączenie Gdańska do Reichu. W tym czasie ożywia Becka nowa idea. W obliczu dwóch wrogich bloków — faszystowskiego i demokratycznego — pragnie on zorganizować „trzecią siłę”, blok państw neutralnych, znajdujących się pod wpływami Polski. Dla dwóch powodów koncepcja ta nie może mieć powodzenia. Po pierwsze dlatego, że — oczywiście niesłusznie — opinia międzynarodowa poczytuje politykę polską za niewyraźną, nieszczerą i budzącą zadrażnienia. Prasa francuska pod koniec okresu międzywojennego pisze i propaguje otwarcie: *La Pologne reste notre alliée en droit, elle ne l'est plus de fait*. Po drugie nie ma oddanych współpracowników dla tej idei. Ani państwa skandynawskie, ani bałtyckie, ani tym bardziej Mała Ententa, ani Węgry, ani państwa bałkańskie nie dostrzegły wyraźnych korzyści dla siebie z takiej demonstracji, drażniącej tylko groźnych rekinów. Ten stan rzeczy charakteryzował dość wymownie fakt, że szef najbardziej Polsce przyjaznego państwa, tj. Węgier, admirał Horthy, apelował na początku 1938 roku do Polski, aby w imię wielkich i wspólnych celów zwróciła Niemcom Gdańsk i Korytarz.

Stopniowo coraz częściej na arenie międzynarodowej pojawiać się poczyna jako reprezentant Polski minister-pułkownik Józef Beck. Jestem jak najdalszy od uwłaczania wysokiej i odpowiedzialnej szarży pułkownikowskiej w wojsku, sądzę tylko, że to co jest rozumne, dobre i właściwe w ramach organizacyjnych wojska, może być czasem złe lub pożałowania godne w działalności cywilnego ministra Spraw Zagranicznych. Beck był szczególnie silnie przywiązany do swojej szarży pułkownikowskiej i do wojskowych form działania; lubował się w mundurze i etykiecie wojskowej. Obcy znali te słabe strony polskiego ministra i często nie szczędzili mu tych bezwartościowych uprzejmości. W lipcu 1935 roku Niemcy przyjmowali go w Berlinie „z wielkimi honorami wojskowymi”, a ceremoniał powitania go w Rzymie, w marcu 1938 roku, „był prawie królewski”. Beck nie omieszkął podkreślić tego wyraźnie w swoim wspomnianym już pamiętniku, zatytułowanym manierą wojskową *Dernier rapport*⁹. Przyjaźnie usposobiony do Becka, były ambasador i minister Edward Raczyński przytacza w swoich wspomnieniach¹⁰ incydent, który normalnie nie mógł zdarzyć się ani szefowi Spraw Zagranicznych, ani nawet pułkownikowi za życia Piłsudskiego; zdarzył się jednak ministrowi Beckowi. Oto w listopadzie 1936 roku, w czasie ofi-

9. Colonel Joseph Beck, *op. cit.*, str. 97 i 145.

10. E. Raczyński, *W sojuszniczym Londynie*, str. 16, 18, Londyn 1960.

cialnego pobytu polskiego ministra w Londynie, brytyjski Foreign Office wydał bankiet na cześć polskiego gościa, zapraszając najbardziej wpływowe osobistości stolicy. Edward Raczyński pisze: wymęczony wizytą minister „wypił na tym obiedzie kieliszek lub dwa, co wystarczyło, by usposobić go egocentrycznie i zaczepliwie. Toteż rozmowa jego z Montagu Normanem, papieżem londyńskiej City wypadła niedobrze, przy wyraźnej obustronnej irytacji”. A był to człowiek miarodajny w dziedzinie wszelkich międzynarodowych operacji finansowych Anglii w tym czasie. W maju 1937 roku Polska — podobnie jak wiele innych krajów — wysłała na uroczystości koronacyjne Jerzego VI w Londynie delegację rządową pod przewodnictwem ministra Spraw Zagranicznych J. Becka. Na uroczystościach tych minister Beck — może dla większego splendoru — wystąpił w mundurze pułkownika, co oczywiście było różnie komentowane. To „pułkownikowskie hobby” Becka powiązane było z przesadnym przeświadczeniem o przemożnej roli polskiego ministra Spraw Zagranicznych na europejskiej arenie politycznej. Tak np. w chwili gdy wszystkie struny gry międzynarodowej były napięte na całym kontynencie do granic wytrzymałości, Beck dla podkreślenia swojego stoickiego spokoju udaje się pod koniec maja 1938 roku z rewizytą do Sztokholmu. Z zadowoleniem notuje w swoim pamiętniku, że na samą wiadomość o jego podróży międzynarodowa giełda niezwłocznie uspokoiła się¹¹.

Jednakże wszystko to nie posiada większego i trwalszego znaczenia wobec dwóch rozgrywek i akcji politycznej, podjętych przez ministra Becka pod koniec 1938 roku. Idzie tu o sprawę Zaolzia i wystąpienie wiążących się bezpośrednio i pośrednio z zagadnieniem wspólnej granicy polsko-węgierskiej.

W sprawie Zaolzia cała naważona przeszłość historyczna, a nawet argumenty taktyczne przemawiały na korzyść stanowiska Polski i postulatu ministra Becka skierowania do Czechosłowacji 12-godzinne ultimatum z żądaniem cesji Zaolzia. Po załamaniu się państw centralnych w 1918 roku obie dzielnicowe Rady Narodowe, czeska i polska, zgodnie i sprawiedliwie podzieliły Cieszyński Śląsk według granicy etnograficznej. Jednak w obliczu powikłań zbrojnych na wszystkich prawie pograniczach Polski Czesi wykorzystali te nasze trudności i zajęli siłą polskie Zaolzie. Wytworzyło to nieprzyjemne napięcia pomiędzy obu bratnimi narodami. Marszałek Piłsudski — nie zgłaszając doraźnie postulatu odzyskania Zaolzia — próbował kilkakrotnie na różnych płaszczyznach doprowadzić do odprężenia z naszym południowo-za-

11. J. Beck, *op. cit.*, str. 153.

chodnim sąsiadem. W lecie 1930 roku w pewnym fragmencie gospodarczym tego planu polecił i mnie wykonać określone zadanie. Byłem wówczas przez kilka dni w Czechosłowacji i przez parę godzin rozmawiałem z prezydentem Masarykiem na zamku w Topolcankach. Z wielu powodów nie udało się wówczas stępić ostrza niechęci czesko-polskiej. Nie było to winą rządów pomajowych. Wielki przyjaciel narodu czeskiego i słowackiego, Wincenty Witos, w czasie swojego azylu politycznego w Czechosłowacji napisał na ten temat: w stosunku do Polski „rząd czechosłowacki posługiwał się nie tylko przemocą, ale także zdradą, połamawszy wszystkie, dobrowolnie zawarte umowy”¹². Inny czołowy polityk ludowiec, Maciej Rataj, były marszałek Sejmu, powiedział na wiosnę 1938 roku do wybitnego czeskiego historyka, polityka i publicysty, wysłannika rządu praskiego dla nawiązania kontaktów z opozycją polską, Fiali, że „gdybym został dzisiaj ministrem Spraw Zagranicznych, nie mógłbym właściwie robić nic innego jak to, co czyni obecnie Beck”¹³. Na konferencji w dniu 13 września 1938 roku na Zamku w obecności prezydenta Rzeczypospolitej, marszałka Śmigłego-Rydza, premiera, ministrów Spraw Zagranicznych i Skarbu, minister Beck wysunął również argumenty taktyczno-polityczne, mające wesprzeć jego wniosek wysłania niezwłocznie ultimatum do Pragi. Twierdził — nie bez słuszności — że to co wydarzyło się w Monachium i co było reminiscencją projektowanego przed paru laty „paktu czterech” może się stać bardzo niebezpiecznym precedensem na przyszłość, również w odniesieniu do żywotnych spraw Polski. Należy — jego zdaniem — szybko i możliwie drastycznie przeciwstawić się takim metodom załatwiania konfliktów terytorialnych, wywołując widmo niezbyt prawdopodobnej w tym wypadku wojny. Tylko takie zdecydowane i odważne wystąpienie Polski może uchronić ją przed powtórzeniem się nowego Monachium. Również bliskie sąsiedztwo Niemiec w tym rejonie zmusza Polskę do niezwłocznego działania. Jeżeli będziemy wahać się i zwlekać, to powstać może niebezpieczeństwo zagarnięcia tego cennego, wysoko uprzemysłowionego skrawka ziemi przez Niemcy. Wówczas sprawa polskich pretensji do Zaolzia byłaby przekreślona na długo. W końcu — mówił Beck — domagamy się od dłuższego czasu i mamy zasadniczą zgodę rządu czechosłowackiego na równorzędne traktowanie postulatów polskich z prawami przyznanymi przez Czechosłowację mniejszości niemieckiej. Dziś, gdy rząd praski

12. W. Witos, *Moje wspomnienia*, tom II, str. 250, Paryż 1964.

13. S. Stanisławska, *Wielka i mała polityka J. Becka*, str. 112-113, Warszawa 1962.

odstępuje Reichowi ziemie zamieszkałe przez Niemców i to za aprobatą mocarstw zachodnich, musimy upomnieć się stanowczo o analogiczne uregulowanie małego, ale rzeczowo uzasadnionego postulatu Polski. Z tymi wywodami Becka zgadzali się w zasadzie wszyscy uczestnicy konferencji na Zamku w dniu 30 września 1938 roku. Ostre spięcie powstało dopiero wówczas, gdy jeden z uczestników — minister Skarbu — sprzeciwił się ультymatywnej formie polskiego wystąpienia, w chwili wyjątkowo nieodpowiedniej, dając pozory merytorycznego i taktycznego współdziałania z agresorem hitlerowskim — przeciwko Czechosłowacji. Apelował on, by zastosować w tym przypadku normalną procedurę dyplomatyczną i wytworzyć możliwie spokojną i rzeczową atmosferę. Szło po pierwsze o to, aby w opinii publicznej nie identyfikować postępowania polskiego z niemieckim, po wtóre, aby nie działać zbyt pośpiesznie i ponadto w warunkach dysharmonii z naszymi przyjaciółmi na zachodzie, wreszcie po trzecie, aby nie stwarzać niebezpiecznego pretekstu dla interwencji Związku Sowieckiego, związanego przecież układem o warunkowej pomocy dla Czechosłowacji. Marszałek Śmigły-Rydz gwałtownie przeciwstawił się tym wywodom, a minister Beck zlekceważył dwa pierwsze motywy, a na trzeci nie odpowiedział, choć był już w posiadaniu cierpkiej i nieco dwuznacznej noty sowieckiej z dnia 22 września tego roku, której jednak nie podał do wiadomości uczestników konferencji. Jeszcze tego samego dnia ultimatum polskie zostało skierowane do Pragi; w wymaganym terminie 1. października 1938 przyjęto wymagania polskie. Marszałek Śmigły-Rydz i minister Beck triumfowali. Chwilowo naraziliśmy się tylko na słowne potępienie naszej akcji przez wielu wpływowych polityków zachodu i wschodu. Ale sprawa nie została w ten sposób zamknięta ostatecznie.

Organicznie z tą sprawą wiązał się drugi kompleks zagadnień, wynikających z postępującego rozkładu państwa czechosłowackiego pod brutalnymi ciosami zadawanymi mu przez Hitlera w latach 1938-1939. Wówczas Beck postawił sobie — poza rewindykacją Zaolzia — trzy dodatkowe cele polityczne: przejście w tej czy innej formie opieki nad samodzielną Słowacją przez Polskę albo łącznie przez Polskę i Węgry; wzmocnienie prestiżu politycznego przez uczestnictwo Polski w ustalaniu nowej granicy, rozdzielającej Słowację od Węgier, a wreszcie zrealizowanie postulatu wspólnej i bezpośredniej granicy polsko-węgierskiej. Należało jednak przy tym brać pod uwagę fakt, że Niemcy hitlerowskie nie zgodzą się ani na pokrzyżowanie ich własnych planów co do strategicznego okrążenia Polski, w czym wysunięty na wschód obszar Słowacji miał odgrywać poważną rolę, ani też na

żadne, nawet najmniejsze wzmocnienie politycznej pozycji naszego państwa, chyba tylko za cenę jawnego i integralnego włączenia Polski w orbitę interesów i coraz bardziej ryzykanckich posunięć politycznych i prestiżowych Niemiec. W efekcie końcowym prowadziłyby to jednak do przekreślenia naszej niepodległości. Na co więc mogliśmy liczyć, podejmując tak szeroko zakreśloną akcję międzynarodową? Otóż nie na własną, dostatecznie dużą potęgę państwową i nie na możnych a niezawodnych sojuszników. Własne siły militarne poczynaliśmy wówczas dopiero wzmacniać i z trudem doprowadzać do wymaganego poziomu jakościowego, osiągniętego nieco wcześniej przez główne państwa europejskie, w żadnym przypadku zaś nie mogliśmy wyrównać wojskowego potencjału ilościowego z naszymi prawdopodobnymi przeciwnikami. Do tej gry nie mieliśmy też możnych sprzymierzeńców. Nie tylko przywódcy Związku Sowieckiego i Małej Ententy spoglądali wrogo na aktualne tendencje polityczne Polski, ale również i odpowiedzialni politycy demokracji zachodnich odnosili się do nich z wyraźną niechęcią, spotęgowaną po rewindykacji Zaolzia. Toteż rezultat naszej inicjatywy podjętej pod koniec 1938 roku nie mógł być dla nas pomyślny.

Czechosłowacka Ruś Przykarpacka była praktycznie jedynym okręgiem, który mógł być zajęty siłą przez wojska węgierskie, by następnie doprowadzić do utworzenia upragnionej wspólnej granicy węgiersko-polskiej. Ale Węgrzy obawiali się reakcji Małej Ententy, a w szczególności Rumunii, a także nie chcieli narażać się na niezadowolenie Niemiec. Sprawa skomplikowała się, gdy rząd praski 8 października 1938 roku nadał Rusi Przykarpackiej szeroką autonomię. Już dnia następnego powstał na tej podstawie w Użhorodzie rząd „Ukrainy Zakarpackiej” pod przewodnictwem mgr Wołoszyna. Fakt ten zelektryzował ludność ukraińską w Galicji Wschodniej, a liczne zastępy „Strzelców Siczowych” przedostały się z Polski na teren Ukrainy Zakarpackiej, uważanej wówczas za rodzaj Piemontu przyszlęj, zjednoczonej i niepodległej Ukrainy. Rząd Wołoszyna — jako antypolski i antysowiecki — cieszył się wyraźną protekcją Niemiec. W tych warunkach Węgrzy obawiali się wkroczyć na drogę faktów dokonanych. Wówczas minister Beck postanowił przyspieszyć bieg pożądanых wypadków i rozstrzygnięć. Przede wszystkim pragnął zjednać sprzymierzoną Rumunię dla idei uzyskania przez Polskę wspólnej granicy z Węgrami, rozbijając jej negatywny stosunek do częściowej choćby — a tak niebezpiecznej perspektywiecznie dla Rumunii — rewindykacji węgierskich granic historycznych. Beck sądził, że ten cel osiągnie proponując Rumunii — w porozumieniu z Węgrami — nieznaczny zresztą udział w parcelacji teryto-

rium Rusi Przykarpackiej. Gdy rząd rumuński, związany paktem sojuszniczym w ramach Małej Ententy, odniósł się negatywnie do tej myśli, J. Beck postanowił przedłożyć osobiście swoje sugestie królowi Karolowi II, licząc na zasadniczą przynajmniej ich aprobatę. Istotnie dnia 19 października 1938 roku doszła do skutku wizyta ministra Becka w towarzystwie ambasadora Rogera Raczynskiego u króla Rumunii w Galacu, na jachcie królewskim. W naradzie wziął udział ponadto rumuński minister Spraw Zagranicznych Petresco Comnène, ten sam — jeśli mnie pamięć nie myli — który w 1944 roku dokonał ważnego i historycznego dzieła, doprowadzając do zerwania stosunków sojuszniczych Rumunii z Niemcami i nawiązania wojskowej i politycznej współpracy z blokiem antyhitlerowskim. Beck zgodnie z własną, późniejszą relacją przedstawił przebieg tej narady następująco: celem jego wizyty jest chęć porozumienia się co do losów Rusi Przykarpackiej na wypadek całkowitego rozkładu państwa czechosłowackiego. Logika — mówił minister Beck — wymaga, aby los tej prowincji był rozstrzygnięty przez porozumienie się Rumunii, Polski i Węgier. Rząd węgierski prosił ministra Becka o podjęcie inicjatywy w tej sprawie, więc on przedkłada królowi zasady swojej koncepcji terytorialnego podziału Rusi pomiędzy Węgry i Rumunię; oczywiście, iż Polska sama nie zgłasza tu żadnych pretensji terytorialnych. Trzeba jednak zrozumieć, że rząd rumuński, który był złączony silniejszymi więzami interesów z Czechosłowacją niż z Polską, mógł się poczuć dotknięty forsowaniem sugestii Becka. Czechosłowacja jako żywy twór państwowy wciąż jeszcze istniała. Toteż minister Comnène, *un parfait imbécile* — jak pisze Beck¹⁴ — wylał na niego istny potop słów „pozbawionych wszelkiego sensu, z których on nic nie rozumiał”. Negatywne nastawienie Rumunii do zamiarów Becka potwierdził w sposób wyraźny i spokojny król Karol II. Swoją relację z tej konferencji uzupełnia minister Beck informacją, że ów *imbécile* postarał się o rozgłoszenie w całej Europie przebiegu tej poufnej narady z dodatkiem własnych, wysoce krytycznych komentarzy. Nieco później wydał on jeszcze najsurowszą opinię o charakterze polskiego ministra, dorzucając złośliwą uwagę, że dyplomacją nie można komenderować jak szwadronem ułanów. Na tym prestiżowo przykrym incydencie sprawa granicy węgiersko-polskiej nie została jednak wyczerpana i zamknięta.

Pod koniec października 1938 roku Węgrzy wyrazili zgodę na arbitraż państw „osi Berlin - Rzym” w sprawie ustalenia ich

14. Colonel J. Beck, *op. cit.*, str. 173.

nowej granicy ze Słowacją i rozstrzygnięcia kompleksu zagadnień związanych z Rusią Przykarpacką. Wówczas minister Beck zaproponował udział Polski w tym sądzie rozjemczym. Prawie odwrotnie, bo 30 października, rząd niemiecki polecił zawiadomić Becka, że uważa udział Polski w sądzie arbitrażowym za zbędny. Już 2 listopada sąd ten wydał orzeczenie, w którym poza drobnymi poprawkami granicy słowacko-węgierskiej potwierdził samodzielność Rusi Przykarpackiej w związku federacyjnym z Czechosłowacją. Dopiero w połowie marca 1939 roku, gdy Hitler łamiąc własne, świeże i uroczyste zapewnienia i ryzykując wielki konflikt międzynarodowy zajmuje zbrojnie Czechy i Morawy i rozciąga opieką wojskową na Słowację, wojska węgierskie — wykorzystując moment — przystępują do akcji i okupują Ruś Przykarpacką.

Jednakże w ciągu ostatnich kilku miesięcy cała sytuacja polityczna w Europie centralnej uległa radykalnej zmianie. Wobec zbrojnej a bezkarnej agresji hitlerowskiej, jawnego i systematycznego gwałcenia prawa do samostanowienia narodów, wobec zupełnego okrażenia militarnego Polski i preparowania jej do czwartego rozbioru, taka sprawa jak wspólna i przyjazna, ale peryferyjna granica węgiersko-polska straciła swoje dawne znaczenie polityczne, strategiczne i gospodarcze.

Za wytworzony ogólny stan rzeczy 1938-1939 nie można oczywiście obarczać odpowiedzialnością, nawet z węższego, polskiego punktu widzenia, ministra Becka. Nie miał on i nie mógł mieć jakiegokolwiek wpływu na agresywne instynkty Niemców hitlerowskich. Do równowagi politycznej nie mogła ich przywołać ani Anglia czy Francja, ani ostrzegawczy głos prezydenta Stanów Zjednoczonych. J. Beck nie był zwolennikiem metod monarchijskich, nie był stronnikiem tendencji ograniczenia odpowiedzialności głównych mocarstw świata do słownych, bezwartościowych protestów i nie popartych siłą deklaracji. Atmosfera polityczna była przesycona bezprawiem i wiarołomstwem, a najuroczystsze, dobrowolne zobowiązania praktycznie nie miały żadnej wartości. Ale gdy wielu mężów stanu traciło już wiarę w zachowanie pokoju, J. Beck odtrącał napór tego fatalizmu, wierzył jeszcze i walczył o pokojowe metody rozstrzygania konfliktów międzynarodowych. Może najlapidarniej, ale całkowicie słusznie ocenił ten zasadniczy rozdział polityki J. Becka socjalista i przeciwnik rządów sanacyjnych, Adam Ciołkosz, mówiąc: „Pragnął on istotnie ocalić pokój i prowadził pokojową politykę. Zasadniczym błędem jego działalności było to, że wierzył, iż regulując stosunki z Niem-

cami, ubezpiecza pokój na trwałe”¹⁵. Również wybitny rumuński minister Spraw Zagranicznych, następca Comnéne’a, Gafencu, który odbył z ministrem polskim kilka poufnych rozmów, odpie-
rając lansowane za granicą zarzuty, stwierdził w swoich pamiętni-
kach, że „patriotyzm Becka nie był skalany germanofilstwem”.
Pragnął on z najlepszą wolą i wiarą wzmocnić prestiż państwa
polskiego, wykorzystać metody dyskryminacyjne narzucone Polsce
w chwilach jej odradzania się, a więc i słabości, zmusić do szano-
wania jej dobrze nabytych praw historycznych i rzeczowych, za-
pomnianych w ciągu prawie półtora wieku niewoli i poddańców,
oraz zachować spokój i równowagę pomiędzy dwoma trudnymi
a potężnymi sąsiadami.

Trzeba wreszcie — w imię obiektywizmu — powiedzieć, że
krytyka działalności Becka jest łatwa, gdyż jak każda aktywna
indywidualność popełniał on wiele pomyłek i błędów. Ale zna-
alezienie innej, zasadniczo odmiennej alternatywy polityki polskiej
jest — nawet dziś, po rozegraniu wielkiego dramatu wojennego
— niezmiernie trudne. Dwie takie różne koncepcje kryły się
wówczas w zakamarkach politycznych Polski. Jedna z nich głó-
siła chęć pełnej kapitulacji wobec Sowietów, celem rzekomej
obrony Polski przed spodziewaną agresją hitlerowską; druga su-
gerowała zbratanie się z Hitlerem przeciwko zachłannej ekspansji
komunizmu stalinowskiego. Obie te deprawacje polityczne Beck
odrzucał zdecydowanie i kategorycznie. Wybrał drogę kamie-
nistą, trudną, pełną jawnych i ukrytych niebezpieczeństw, ale
prostą i polską.

Eugeniusz KWIATKOWSKI

15. A. Ciołkosz, „Polityka Becka”, Tygodnik *Na Antenie*, 22-29 grudnia 1963.

Doman ROGOYSKI

PIĘĆ INICJATYW WYDOBYCIA JÓZEFA BECKA Z PUŁAPKI RUMUŃSKIEJ

Poniższy opis wysiłków dla uwolnienia ministra Józefa Becka z bezprawnego internowania w Rumunii podczas drugiej wojny światowej nie rości sobie pretensji do wyczerpania tematu i nie zawiera informacji o samym pobycie i złych warunkach, w jakich żył minister w ciągu około czterech i pół lat niewoli. Opis ten opracowany jest na podstawie moich notatek, tego co jeszcze pamiętam oraz dokumentów znalezionych w archiwach. Wykorzystałem zwłaszcza fotokopie dokumentów archiwalnych — głównie rządowych — polskich, brytyjskich, amerykańskich i niemieckich, które znajdują się w Instytucie Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku. Cytaty w moim opracowaniu, jeżeli nie podaję innego źródła, pochodzą ze zbiorów tego Instytutu.

Prezydent Ignacy Mościcki będąc bezprawnie internowany w Rumunii wykorzystał odpowiedni artykuł Konstytucji z 1935 roku i przekazał swoją godność Władysławowi Raczkiewiczowi, który już był w Paryżu, ratując tym sposobem legalność władz R.P. na emigracji. 30 września 1939 gabinet generała Sławoja-Składkowskiego podał się do dymisji. Minister Beck wraz z żoną został przewieziony do Brasov, gdzie byli pilnowani przez policję rumuńską oraz agentów wywiadu niemieckiego i francuskiego, by udaremnić jakiegokolwiek próby wyjazdu z Rumunii. Największe poruszenie międzynarodowe wywołało bezprawne internowanie wśród naczelnych władz polskich ministra Becka, pierwszego męża stanu, który powiedział Hitlerowi „nie”. Wszystkie wysiłki zmie-

rzające do uwolnienia go z pułapki rumuńskiej kończyły się albo zaniechaniem akcji, albo niepowodzeniem. Główne naciski, aby pozostał w uwięzieniu szły oczywiście ze strony niemieckiej. Podobne naciski wywierali niestety również niektórzy członkowie polskiego rządu na obczyźnie.

Stanowisko Becka było natomiast jasne: po dymisji rządu generała Sławoja-Składkowskiego wyraził nadzieję, że generał Sikorski będzie mógł skupić koło siebie cały naród i oświadczył, że oczekuje przejścia polskiej polityki zagranicznej przez Augusta Zaleskiego. A gdy pewna osoba z jego otoczenia wyraziła satysfakcję ze śmierci generała Sikorskiego w Gibraltarze, skarcił ją surowo w mojej obecności, mówiąc dobitnie, że nie wolno w żadnym wypadku przenosić niechęci politycznej na nieszczęście osobiste¹. Niech o tym świadczą też moje poniższe *pro memoria*: przybywszy dnia 7 lipca 1943 roku kilka minut przed godziną 10-tą przed kościół włoski w Bukareszcie, w którym o godzinie 10-tej miała się rozpocząć msza za spokój duszy śp. Generała Władysława Sikorskiego, przywitałem się z p. dyrektorem Kazimierzem Świderskim i p. mecenasem Browińskim i zwracając się do p. Świderskiego powiedziałem:

„Reprezentuję dziś mojego szefa, ministra Becka, na mszy żałobnej za polskiego premiera i Wodza Naczelnego. Szef mój nie mógł przybyć, będąc internowany przez władze rumuńskie na żądanie władz niemieckich”.

Od pierwszej chwili internowania Beck postanowił nie podejmować żadnych kroków, ażeby wydostać się z Rumunii, zanim prezydent Mościcki nie będzie mógł wyjechać, co nastąpiło 24 grudnia 1939 roku. Konkretnych inicjatyw wydostania Becka było pięć. Śmiertelna jego choroba (gruźlica), robiąca bardzo szybkie postępy, ograniczyła możliwości wydobycia go z Rumunii wbrew władzom tego kraju, a starania podjęte przez rząd rumuński w 1942 roku, aby przenieść go do Włoch na leczenie w lepszych warunkach psychicznych — nie uzyskały zgody rządu włoskiego wskutek ciągłego sprzeciwu hitlerowskiego *Auswärtiges Amt*. Beck zaś nigdy nie przestał traktować swojego internowania jako bezprawia, tak że gdy władze rumuńskie ofiarowały mu swobodę ruchów pod warunkiem, że zgodzi się formalnie na nieopuszczenie kraju, zgody takiej stanowczo odmówił.

1. Vide: Doman Rogoyski w *Zeszytach Historycznych* nr 18, str. 88.

Inicjatywa turecka

Najwcześniejsze, konkretne ofiarowanie Beckowi pomocy żeby opuścić Rumunię i odzyskał wolność nastąpiło ze strony tureckiej. Mam tylko w pamięci — również w formie krótkiej notatki — że ambasador Taray odwiedził Becka w Brasov. Mogę jednak tu polegać na Ludwiku Łubieńskim, moim koledze z sekretariatu ministerstwa, który wyraża przypuszczenie, że polski ambasador w Turcji, prof. Michał Sokolnicki, starał się o pomoc Turcji dla Becka. Pewnie w związku z tym Taray udał się do Brasov 2 listopada 1939 i pozostał tam do 4 listopada. Proponował wtedy Beckowi pomoc w zorganizowaniu przez władze tureckie ucieczki do Turcji na jachcie tureckim. Beck był przejęty propozycją, ale oświadczył, że to należy przygotować za wiedzą władz polskich w Angers. Taray wyjechał zatem do Bukaresztu, aby przedsięwziąć następne kroki. Dnia 8 listopada zatelefonował z Bukaresztu, że powstały duże trudności, bo władze polskie we Francji orzekły, iż nie życzą sobie, ażeby Turcy pomagali Beckowi opuścić Rumunię. Ludwik Łubieński z kolei wyjechał 9 listopada z Brasov do Bukaresztu, gdzie widział się z Tarayem, który mu powtórzył co powiedział przez telefon, to jest że władze polskie we Francji sprzeciwiają się ucieczce Becka z Rumunii.

Taray próbował przez ambasadora Sokolnickiego przekonać rząd polski w Angers, ale niestety potwierdzili oni, że nie życzą sobie, by Beck wyjechał z Rumunii, a bardzo chcą, żeby był tam nadal internowany. Piękny gest turecki idzie po linii oświadczenia, jakie Taray złożył Beckowi w Kutach, że mianowicie w zgodzie z wiekową tradycją Turcji pozostanie on przy ministrze do ostatniej chwili i że ma polecenie zapewnić go w imieniu szefa państwa tureckiego i jego rządu, iż uczynią wszystko co możliwe, ażeby udzielić mu pomocy².

Inicjatywa amerykańska

Zabiegi amerykańskie, zwłaszcza w pierwszym okresie, charakteryzowały się dużą dozą stanowczości, bez oglądania się na możliwe sprzeciwy niemieckie lub identyczne w efekcie objęcie rządu polskiego w Angers. Tak więc Stany Zjednoczone zagroziły Ru-

2. *Vide*: Józef Beck, *Dernier rapport*, Editions de la Baconnière, Neuchâtel 1951, str. 242.

munom zerwaniem stosunków dyplomatycznych, jeżeli nie wypuszczą prezydenta Mościckiego i Becka. Wynika to z memorandum z 5 kwietnia 1940 roku, przygotowanego przez amerykańskiego podsekretarza Stanu Sumner Wellesa na podstawie jego rozmowy z rumuńskim posłem Radu Irimescu w Waszyngtonie. W rozmowie tej Irimescu potwierdza ścisłość informacji rumuńskiego ambasadora w Paryżu o swojej konwersacji z amerykańskim ambasadorem Bullittem, który zagroził zerwaniem stosunków dyplomatycznych, o ile Mościcki i Beck nie będą mogli opuścić Rumunii. Tego rodzaju rozmowa musiała mieć miejsce przed 24 grudnia 1939, to jest przed opuszczeniem Rumunii przez Mościckiego.

Przed marcem 1940 prezydent Roosevelt oświadczył Rumunom za pośrednictwem Sekretariatu Stanu, że pragnie widzieć Becka w Waszyngtonie, by przeprowadzić z nim rozmowę i że w tym celu Beck otrzyma amerykańską wizę dyplomatyczną. Welles, w którego rękach spoczywało głównie prowadzenie tej sprawy, doradzał Rooseveltowi poczekać na bardziej sprzyjające okoliczności, bez podawania jednak, sądząc z dostępnych mi dokumentów, konkretnych przyczyn. Zachodzi podejrzenie, iż Welles traktował sprawę w sposób „komercyjny”, chcąc uniknąć kłopotów w kwestii, nie mającej widać jego zdaniem znaczenia dla interesów Ameryki. Na tym sprawa utknęła.

Posel amerykański w Bukareszcie, Franklin Mott Gunther, otrzymał od prezydenta Roosevelta kilkakrotnie instrukcje dotyczące Becka. Wynika to ze znanych mi dokumentów amerykańskiego Sekretariatu Stanu. Niestety są to tylko raporty Gunthera o wykonaniu instrukcji, bez podania na czym polegały, a samych instrukcji nie odnalazłem.

Gunther nie uchodził w oczach otoczenia Becka za zycziwego mu lub skłonnego mu pomagać, niemniej zawsze utrzymywał z nami bezpośredni kontakt, głównie przeze mnie, i w ogóle dowiadywał się o los Becka, co wskazuje, że wykonywał odpowiednie rozkazy. Posłał też dwóch swoich współpracowników, Hustona i Edsona, do Brasov dnia 31 marca 1940 i przyrzekł podjąć kroki, ażeby odnaleźć w Polsce ciężko chorą matkę Becka, znajdującą się pod okupacją bolszewicką.

Wysiłki by pomóc Beckowi podejmował w Stanach Zjednoczonych Rudolf Rathaus, urzędnik MSZ i przyjaciel państwa Becków, a działali także intensywnie ambasadorowie amerykańscy Anthony Drexel-Biddle i William C. Bullitt. Biddle miał zawsze łatwy dostęp do Becka w Warszawie, a swe z nim rozmowy komunikował, z wiedzą ministra, swemu przyjacielowi Bullittowi do Moskwy i później do Paryża. Te fakty są ważne z tego względu

du, że obaj ambasadorowie nie mieli złudzeń co do prawdziwych intencji Hitlera i Stalina, a ich bliski kontakt z Beckiem zadaje kłam twierdzeniom jego przedwojennych polskich i obcych przeciwników, jakoby istniały jakieś polsko-niemieckie konszachty polityczne, niezgodne czy to z zasadniczymi interesami Polski, czy też ze zobowiązaniami Polski wobec francuskiego alianta. Dnia 16 marca 1940 rumuński minister Spraw Zagranicznych, Grigore Gafencu, oświadczył zresztą posłowi Guntherowi, że Hitler osobiście nalegał na utrzymanie uwięzienia Becka w Rumunii. Zabiegi amerykańskie nigdy nie posunęły się do przygotowywania ucieczki Becka i nie wykroczyły poza ramy starań dyplomatycznych.

Gunther rozmawiał ze mną przeszło godzinę, gdy na jego zaproszenie przyjechałem z Brasov do Bukaresztu. Przyjął mnie wieczorem 4 kwietnia 1940 w swej siedzibie, w obecności Hustona, który potem przygotował memorandum z naszej rozmowy, będące głównie wypytywaniem Gunthera na różne tematy polskie. Nie pamiętam, by kiedykolwiek ofiarował nam konkretną pomoc, poza mało znaczącym ustnym oświadczeniem do mnie, żeby do niego się zwrócić, gdyby mógł czymś służyć. Oświadczenie to miało bodajże miejsce owego 4 kwietnia, ale nie zostało zanotowane przez Hustona w jego memorandum.

Dnia 7 października 1940 roku Gunther rozmawiał też o Becku z dyktatorem Ionem Antonescu, który zapewniał, że Beck nigdy nie będzie wydany Niemcom i że otrzymał od niego pozwolenie wiosłowania na jeziorze Snagov i spacerowania w lesie. Wiosłowanie odbyło się zaledwie kilka razy bez prawa opuszczenia łódki, a spacerowania nie mogły się odbywać, bo tam gdzie byliśmy, we wsi Dobroresti, nie było lasów. Co dotyczy natomiast bezpieczeństwa Becka, to właśnie w Snagov-Dobroresti nastąpiła druga próba Sigurancy (Siguranta) uprowadzenia Becka do miasteczka Cureta de Arges, położonego w górach Transylwanii, w znacznym oddaleniu od większych ośrodków miejskich. Zamiaru tego zaniechano, gdyż groził zbyt duża awanturą.

Jakie by nie były przyczyny bezskuteczności wysiłków amerykańskich, ażeby pomóc Beckowi, warto przytoczyć memorandum prezydenta Roosevelta do Wellesa, noszącego datę 19 września 1940 roku: „Wobec trwającej 'rezydencji', to jest uwięzienia polskiego ministra Spraw Zagranicznych Józefa Becka, czy nie sądzi Pan, że można byłoby i że powinniśmy spróbować wydostać tego drogiego pana (*the dear man*) zanim Niemcy (albo Rosjanie) postąpią z nim tak, jak to uczynili z tym nieszczęsnym Żydem, który zastrzelił Niemca w ambasadzie niemieckiej w Paryżu, a któ-

ry następnie, kilka tygodni temu, został wydany przez rząd francuski niemieckiej Gestapo?"³.

Dalekowzroczność i ludzkie podejście głowy najpotężniejszego państwa na świecie góruje tu nad pozbawionym imaginacji sztywnym rozumowaniem Wellesa i ujawnia zarazem, że Roosevelt potępiał nikczemną akcję rządu Vichy, wydającego człowieka na śmierć w ręce okupantów.

Pierwsza inicjatywa brytyjska

Rząd brytyjski brał czynny udział w staraniach o uwolnienie Becka przez swe poselstwo w Bukareszcie, gdzie mieliśmy przyjaciół w osobach posła Sir Reginald Hoare'a i sekretarza (późniejszego posła w Egipcie) Robin Hankeya. Pierwsza i później druga inicjatywa brytyjska odbyły się z wiedzą lub z inicjatywy premiera Churchilla, o czym wiem z rozmów z Brytyjczykami w Bukareszcie. W archiwach nie ma jednak o Churchillu żadnej wzmianki; z osobistości wymienionych imiennie w dokumentach brytyjskich figurują Strang i — raz czy dwa — Eden.

Rząd brytyjski był stale pod naciskiem rządu polskiego na obczyźnie, żeby nie wpuścić Becka do Londynu, co było wielkim ambarasem dla Brytyjczyków, którzy jednak nie przestali operować formułką, że nie mogą odmówić Beckowi pobytu na terytoriach brytyjskich. Naciski polskie nigdy nie ustały, o czym świadczą również następujące przykłady:

Howard Kennard, ambasador brytyjski przy rządzie polskim, w liście z 16 marca 1940 roku pisał do Williama Stranga: „... Gdy Savery (dawniej brytyjski konsul generalny w Warszawie) był wczoraj w polskim ministerstwie Spraw Zagranicznych (w Angers), Ciechanowski (Jan) zapytał go, jaki jest stosunek Brytyjczyków do Becka. Savery odpowiedział, że podpisaliśmy traktat z Beckiem i stwierdziliśmy następnie, że jest aliantem o doskonałej lojalności, choć przedtem mieliśmy pewne wątpliwości co do rozsądku (*wisdom*) niektórych jego pociągnięć politycznych. Nie jest naszą metodą kopać leżącego, toteż nie byliśmy skorzy czynić życie Becka jeszcze bardziej utrudnionym niż musi ono już być. To nie znaczy skądinąd, byśmy mieli mu pomagać w konspirowaniu przeciw obecnemu rządowi polskiemu. Ciechanowski zapytał następnie, czy rząd brytyjski pozwoliłby Beckowi żyć w

3. Według *Neue Zürcher Zeitung* z 28 października 1940, był to Herszel Grynszpan, a Niemiec nazywał się von Rath.

Anglii, gdyby tego pragnął. Savery odrzekł, że nie może udzielić na to pytanie ścisłej odpowiedzi, lecz w danej sytuacji byłoby równie łatwo mieć Becka pod obserwacją w Anglii niż gdziekolwiek indziej...”.

Strang odpowiedział Kennardowi 11 kwietnia 1940 roku, pisząc m.in.: „... Zeszłego października Hoare telegrafował, że zrozumiał z oświadczeń prywatnego sekretarza Becka (Rogoyskiego), iż Beck bardzo pragnie przybyć do Zjednoczonego Królestwa jako osoba prywatna. Wyraziliśmy zgodę na propozycję Hoare’a, by udzielić Beckowi wizy dyplomatycznej, gdyby o to zabiegał. Przemysleliśmy sprawę na skutek Pańskiego listu i myślimy, ogólnie biorąc, nie odstępować od naszego poprzedniego postanowienia. Jest naszą tradycyjną polityką nie odmawiać azylu politycznego wygnańcom (*exiles*) i nie widzimy powodów, dla których mielibyśmy przyczyniać się do mściwych uczuć obecnego rządu polskiego i trzymać Becka z dala od Zjednoczonego Królestwa”.

Dnia 15 maja 1940 roku Hankey z poselstwa brytyjskiego w Bukareszcie zanotował po rozmowie z Beckiem, który go odwiedził, dla swojego szefa: „... Ostatecznie pan Beck jest ministrem Spraw Zagranicznych, z którym podpisaliśmy nasz głośny alians i sądzę, że gdybyśmy pozwolili, żeby został zagarnięty przez Niemców, to splamiłoby to jeszcze bardziej naszą reputację jako alianta. Mamy upoważnienie z Londynu, by panu Beckowi udzielić wizy i już mu ją przyrzekłem. Trzeba dodać, że jest to sprawa delikatna. Rumuni twierdzą, a pan Beck widocznie sądzi, że główny nacisk dotyczący jego swobody ruchów pochodzi od Niemców. Istnieje jednakże również nacisk rządu polskiego, który dla przyczyny, której nie mogę dociec jest nastawiony na zatrzymanie go tutaj. Ogromnie są podejrzliwi z powodu jego obecności w Bukareszcie, a Poniński (Alfred), z którym niedawno omawiałem sprawę, w ostrej raczej formie powiedział, iż ‘oczywiście, gdyby miał wyjechać, stworzyłoby to wiele komplikacji’. Myślę, że powinniśmy utrzymać nasz kurs i czynić jedynie to, co jest przyzwoite...”.

Po ustąpieniu dnia 1 czerwca 1940 ministra Spraw Zagranicznych Grigore Gafencu i przeniesieniu Becka przez władze rumuńskie na kraniec wsi Dobroresti, nad jeziorem Snagov, około 40 km od Bukaresztu, rozmowy z Hankeyem odbywały się za moim pośrednictwem. Beck nie miał żadnych szans, by mu pozwolono udać się do Bukaresztu. Dnia 18 czerwca wystosował apel, złożony przeze mnie w poselstwie brytyjskim w Bukareszcie i przekazany przez posła Hoare rządowi brytyjskiemu, w którym Beck wypowiedział się, w obliczu kłeski francuskiej, w imieniu

swoim i swych przyjaciół politycznych, za dalszą walką przeciw Niemcom⁴.

Posiadam kopię pisma z 24 czerwca 1940 roku R. Hankeya, wówczas członka poselstwa brytyjskiego w Bukareszcie. Data pisma zbiega się z chaotyczną ewakuacją rządu polskiego z upadającej Francji do Wielkiej Brytanii⁵. Hankey w swym piśmie wyraził opinię „iż wobec szokującego poddania się rządu francuskiego Beck przemysła chyba o powrocie do życia publicznego i że należy stwierdzić, iż jest on jedną z najsilniejszych osobistości spośród żyjących polskich mężów stanu...”.

Pismo Hankeya skierowane było do F. Savery i zaadresowane do „brytyjskiej ambasady przy rządzie polskim”. Treść dotyczy mojej wizyty w jego biurze w dniu 24 czerwca i rozmowy z nim, przede wszystkim na temat Becka. Z listu tego wynika, że bardzo mi zależało, żeby apel Becka do rządu brytyjskiego (depesza poselstwa nr 527 z 18 czerwca) nie był wzięty za apel podyktowany polityką wewnętrzną, jak to sugerowały niektóre polskie ośrodki rządowe w Rumunii. Beck od chwili internowania nie brał żadnego udziału w polskiej polityce wewnętrznej i zależało mu ogromnie, by wszyscy Polacy byli zjednoczeni, a jeżeli powstały jakieś podziały wśród nich — nie on je stwarzał. On to przekonał ustępujący rząd polski, by przekazał wszystkie sprawy nowemu rządowi i w ten sposób ułatwił kontynuację władz konstytucyjnych. Dyskryminacja jego osoby przez rząd Sikorskiego polegała m.in. na tym, że wystawiono fałszywe paszporty dla wszystkich członków byłego rządu z wyjątkiem Becka.

Moja rozmowa z Hankeyem jest dalszym ciągiem akcji, którą odtwarzam z pamięci, gdyż brak na ten temat dokumentacji. Przed rozmową z 24 czerwca Hankey wezwał mnie do swego biura i poinformował, iż Churchill ma zamiar sprowadzić Becka do Wielkiej Brytanii, ofiarowując mu funkcję doradcy rządu brytyjskiego. Zanim to nastąpi, musiałby się zobowiązać do powstrzymania się od krytyki rządu polskiego. W następnej rozmowie z Hankeyem poinformowałem go, stosownie do otrzymanych od Becka instrukcji, że nasz minister nie może się zgodzić na taki warunek, ograniczający jego swobodę w wyrażaniu opinii, ale że nigdy nie będzie wyrażał się krytycznie o osobie prezydenta państwa. Musiałem się trzymać tej instrukcji, nie mając swobody negocjacji, tak że w pewnej chwili Hankey chwycił za telefon i,

4. Cf. Henryk Batowski, *Z dziejów dyplomacji polskiej na obczyźnie (wrzesień 1939 - lipiec 1941)*, Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1984, str. 314.

5. Cf. Władysław Pobóg-Malinowski, *Najnowsza historia polityczna Polski*, Londyn 1960, tom III, str. 146 i 147.

dzwoniąc widocznie do zwierzchnika, wyraził się, że ja jestem jak „zatrzaśnięta skrzynia” (*like a box*); w polskiej wersji użyto by wyrażenia „zakuty łeb”. Kompromis okazał się niemożliwy. Sprawa upadła.

Nikomuz z nas nie przyszło wówczas na myśl, że doradca polityczny rządu brytyjskiego byłby siłą rzeczy zobowiązany wstrzymać się od jakichkolwiek deklaracji, a szczególnie od publicznej krytyki rządu brytyjskiego, podobnie jak i innych rządów. W tych warunkach rząd polski byłby dla Becka *sui generis* rządem obcym.

Niedawno spotkałem się z opinią polską, że ofiarowane Beckowi przez Churchilla stanowisko mogło być podyktowane chęcią ściągnięcia go do Londynu, by zapobiec przejściu na stronę niemiecką wobec klęski francusko-angielskiej. Ta opinia jest całkowicie bezpodstawna i była także odrzucona kategorycznie przez dyplomatów brytyjskich⁶. Poza tym jest też niewiarygodna dlatego, że Beck nigdy nie wątpił, iż Hitler wojnę z aliantami musi przegrać („Ameryka przystąpi do wojny”), a więc nie warto się z nim wiązać⁷. Wiadomo również, że Ribbentrop usiłował podczas wizyty w Warszawie 24 stycznia 1939 roku wciągnąć Polskę do polityki antyrosyjskiej, a więc do przyszłego wspólnego uderzenia w Związek Sowiecki, i że spotkał się ze zdecydowaną odmową.

W końcu muszę wyjaśnić, że twierdzenie Becka, iż nie otrzymał fałszywego paszportu nie może być podane w wątpliwość, jeżeli przyjmiemy, że wówczas widocznie nie wiedział, iż istniał (lub był mu później doreczony) paszport na nazwisko inżyniera Karola Jordana, z fotografią Becka w okularach (których nie nosił stale), wystawiony 30 listopada 1939 i ważny do 30 listopada 1940 roku. Mam jego kopię. O ile mi wiadomo, nie został nigdy użyty.

Inicjatywa polska

Inicjatywa ta zakończyła się całkowitym niepowodzeniem. Brałem w niej udział fizycznie, na najbardziej krytycznym odcinku, ale bez najmniejszego udziału w planowaniu i bez otrzymania konkretnych informacji o trasie ucieczki, kraju przeznaczenia i uczestnikach w wykonaniu planu. Nikt nie zwrócił się do mnie o radę lub opinię. Konspiracja była dziwnie niekonsekwentna (jak

6. Cf. Henryk Batowski, *op. cit.*, str. 314.

7. Cf. Doman Rogoyski, *op. cit.*, str. 90.

później mogłem stwierdzić), włączając osoby o bardzo wątpliwej lojalności. W żadnym dostępnym materiale archiwalnym polskim nie zostałem wymieniony jako uczestnik ani z nazwiska, ani anonimowo.

Z wyjątkiem nazwiska głównego organizatora nie poznałem tożsamości żadnego innego uczestnika. Po niepowodzeniu sprawa nie była przez nikogo poruszana, nawet w otoczeniu Becka, chyba że pod moją nieobecność. Dlatego też tego tematu nigdy nie podejmowałem, nawet po opuszczeniu Rumunii. I tak np. mężczyzna, któremu towarzyszyłem w jego samochodzie (por. Piotr Wysocki), czekając na przybycie Becka z Dobroresti, był mi znany tylko jako „Piotruś” i nazwiska jego dowiedziałem się dopiero z pracy opublikowanej 12 stycznia 1985⁸. O udziale jego żony, Zofii Wysockiej, w wykonaniu planu ucieczki, dowiedziałem się też dopiero wtedy, gdy przeczytałem jej pismo z 21 marca 1968 roku do Jana Weinsteina. Głównego organizatora ucieczki, Stanisława Sadkowskiego, widziałem tylko raz, gdy zostałem mu przedstawiony i gdy podał mi swój telefon w Bukareszcie (2-59-84), abym mógł go znaleźć w razie jakiegось kłopotu.

Piszę to wszystko bez pretensji do kogokolwiek, gdyż jak by nie było, skoro mnie włączono do planowanej ucieczki, miano do mnie zaufanie i liczone na to, że jak wszyscy inni uczestnicy, byłem gotów ryzykować niepowodzenie i wrogie reakcje rumuńskiej Żelaznej Gwardii lub Gestapo. Tłumaczę sobie tę dziwną sytuację tym, że ucieczka była przygotowana według rutyny przetrwania wojskowych polskich przez granicę rumuńską i moja osoba w samochodzie żandarma niezbyt byłaby wytłumaczalna. Niemniej jednak uważam obecnie, iż zostawienie Becka samego z niepewnym oficerem żandarmerii było błędem. Na pierwszym, najbardziej niebezpiecznym etapie winien był mu towarzyszyć jego wierny, absolutnie pewny szofer Władysław Lisowski lub ja. Sądzę, że będąc bliski codziennego życia i potrzeb Becka i posiadając dobrą znajomość niemieckiego i francuskiego, niezłą rumuńskiego i znośną angielskiego, mogłem się bardzo przydać.

Moje poniższe sprawozdanie opiera się głównie na tym, co pisał organizator ucieczki Stanisław Sadkowski w swym ogólnym niepodpisanym raporcie, oraz co opowiada p. Zofia Wysocka, nie zawsze ściśle, w liście z 21 marca 1968 w odpowiedzi na zapytania Jana Weinsteina z 2 lutego 1967. Fragmenty własnych wspomnień na ten temat opublikowałem po raz pierwszy w *Zeszytach Historycznych* nr 47, str. 221-225. Zawierają one jedną tylko

8. Tadeusz Dubicki, „Wojenne losy Józefa Becka” w: *Polityka* nr 2, 12 stycznia 1985.

nieściskość: pasierbica Becka, panna Joanna Burhardt-Bukacka, była w okresie planowanej ucieczki w Turcji i wielkodusznie wróciła do nas do Rumunii w styczniu 1941.

Sadkowski w swoim raporcie identyfikuje niektóre osoby tylko przez pierwszą literę ich nazwiska, a ponieważ już nie żyje, tak jak nie żyją inni główni aktorzy dramatu, nie mogą dokonać uzupełnień. Nie mam też teraz dostępu do źródeł rumuńskich.

Zmierch Francji zmienił do pewnego stopnia nastawienie sikorszczyków do dawnego rządu. Pod naciskiem Churchilla⁹ Sikorski polecił jesienią 1940 roku ambasadzie polskiej w Bukareszcie ułatwić Beckowi zakonspirowany wyjazd z Rumunii. Plany wyciągnięcia członków b. rządu istniały już w maju 1940; myślano wówczas o wysłaniu ich do Algierii.

Konkretnym dowodem zmiany nastrojów jest skierowana do ambasadora Rogera Raczyńskiego depesza szyfrowa tej treści: „Uważając, że dalsze pozostawienie w Rumunii w pierwszej linii Marszałka Śmigłego i Ministra Becka oraz innych członków byłego rządu grozi nieobliczalnymi niebezpieczeństwami dla sprawy Polski zarówno w Kraju jak na terenie międzynarodowym, proszę Pana Ambasadora o zrobienie wszystkiego, aby wymienione osoby mogły jak najprędzej opuścić Rumunię. Gdyby uważał Pan, że nie można przewyciężyć oporu władz rumuńskich, proszę uskutecznić wyjazd drogą nielegalną. Upoważniam Pana do wydatkowania na ten cel sum, które uzna Pan Ambasador za konieczne i liczę na szybki pozytywny rezultat jego akcji”.

Kopia tego dokumentu zawiera następujące uwagi ministra Wacława Jędrzejewicza z dnia 5 sierpnia 1958 roku: „Treść jest napisana na maszynie na arkuszu papieru. Daty i podpisu brak. Adres i uwaga o odszyfrowaniu napisane ręcznie przez Henryka Floyar-Rajchmana... Rozmawialiśmy o treści tej depeszy z generałem Sosnkowskim w Londynie w owym czasie, który potwierdził istnienie uchwały Rady Ministrów i wysłanie depeszy”. Depesza była niewątpliwie wysłana długo przed 20 października 1940, dniem nieudanej ucieczki Becka, i przed 13 września tego roku, w którym to dniu Raczyński wezwał mnie do siebie jako sekretarza Becka, stosownie do tego co pisze Sadkowski w swoim raporcie.

Składną *Hoover Institution Archives* w Stanford (Stany Zjednoczone) posiada zbiór dokumentów z okresu od 14 sierpnia do 27 października 1940, pod polskim tytułem: „Były Rząd w Rumunii”, dotyczący wymiany korespondencji — głównie mię-

9. Cf. Władysław Pobóg-Malinowski, *op. cit.*, str. 102.

dzy Augustem Zaleskim i Rogerem Raczyńskim — w sprawie ewakuowania 600 osób na Cypr, w tym byłych członków rządu i b. Naczelnego Wodza — a więc również Becka. Raczyński uważa wypuszczenie kogokolwiek z b. członków rządu za zupełnie nieosiągalne i ma rację, oczywiście, w realnych warunkach tego okresu, czyli po objęciu władzy, w dniu 6 września 1940, przez Iona Antonescu i Żelazną Gwardię. Całe depeszowanie Zaleski-Raczyński robi na mnie wrażenie, że czyniono to dla opinii publicznej *ut aliquid fecisse videatur*, bez szans na ustępstwo rumuńskie. Toteż Raczyński w depezy nr 213 z 16 września 1940 wyraził gotowość ułatwienia b. członkom rządu i b. Naczelnemu Wodzowi ucieczki przy pomocy *attaché* wojskowego i zaznaczył, że: „Gestapo prawie oficjalnie współpracuje z policją rumuńską i strzeże przede wszystkim Becka, znajdującego się w warunkach prawie więziennych”.

Ta uwaga brzmi dziwnie odmiennie od oświadczenia Raczyńskiego dzień później, to jest 17 września, w rozmowie z posłem Guntherem, a mianowicie że Beck mieszkający w willi nad jeziorem Snagov „czuje się bardzo dobrze” (*is very well*). Czyżby ta dwulicowość miała na celu zniechęcenie Roosevelta do pomocy Beckowi i sprowadzenia go do Waszyngtonu, gdzie mógłby działać w głównym ośrodku wielkich decyzji wojennych i politycznych na miarę światową? To wynika również z depezy szyfrowej Aleksandrowicza i Kuśnierza, wysłanej z Bukaresztu do Londynu, rozszyfrowanej dopiero 30 października 1940, która zawiera *passus*: „... Wyjazd Becka przewidziany jest nie na Cypr, ale do Ameryki, skąd może przecież szkodzić rządowi”.

Zanim przejdę do opisu samej ucieczki, chciałbym poruszyć problem funduszów, dokumentów podróży i haniebnej działalności ludzi spod znaku Kota.

Wyżej wymieniona depeza Rady Ministrów do Raczyńskiego upoważniała go do ponoszenia wydatków na pomoc w oswobodzeniu głównej grupy internowanych. Raczyński otrzymał zdaje się na ten cel prawo dysponowania sumą 3.000 dolarów. Dnia 12 października 1940 Sadkowski rozmawiał z nim i z ówczesnym radcą finansowym ambasady¹⁰ o planowanej ucieczce Becka i dowiedział się, że radca dysponuje na ten cel kwotą 2 milionów lei, z której on może czerpać. Tegoż dnia radca poinformował Sadkowskiego, że otwiera mu kredyt, lecz nie posiada gotówki w lejach, wobec czego wręczył mu w zastaw 1.500 dolarów z zastrzeżeniem, że nie ma prawa ich wymieniać. Sadkowski pozostał więc

10. Z niezrozumiałych dla mnie powodów Sadkowski nie podał w swoim raporcie nazwiska radcy finansowego ambasady polskiej w Bukareszcie.

bez potrzebnych pieniędzy i pomimo nalegań nie otrzymał później obiecanych 2 milionów lei. Jedyne, co otrzymał, to prawo wydania z zastawu 300 dolarów. Resztę sumy, to jest 1.200 dolarów, Sadkowski zwrócił, po nieudanej ucieczce, ambasadorowi za pośrednictwem Zimnala.

Inne fundusze dotyczyły sumy 5.000 dolarów. Sekretarz Stanu Cordell Hull depešował posłowi Guntherowi 11 października 1940: „Przyjaciele Becka złożyli dla niego 5.000 dolarów w Departamencie Stanu”. Dnia 29 października Gunther potwierdził otrzymanie tej depešy oraz drugiej, z 13 października, i pisał w raporcie z 14 października: „Uczyliem tę propozycję [jaką?] sekretarzowi Becka [Rogoyskiemu]. Pod koniec tego tygodnia, nie mając żadnych wiadomości od sekretarza, starałem się ponownie nawiązać z nim kontakt, lecz z podejrzanych przyczyn nie można było go znaleźć. Dowiedziałem się później, że jego szef został pochwycony w czasie ucieczki. Otrzymane następnie dane zdają się wskazywać, że został zaopatrzony w fundusze z polskich i brytyjskich źródeł. Szczęśliwie się chyba złożyło dla niego i dla naszego poselstwa, że nie miałem możliwości dostarczenia mu niczego z wymienionych funduszy w Pańskiej depešy 332, gdyż agenci mieli się tutaj niewątpliwie na baczności i domyśliliby się, że tak duża suma mogła służyć tylko w celu podróży, albowiem Beck jest utrzymywany na koszt państwa [rumuńskiego]...”.

W Instytucie Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku znajduje się również kopia tekstu pani Jadwigi Beckowej pod tytułem: „Roger Raczyński”, bez daty i podpisu, ale pisanego zapewne w Londynie, długo po nieudanej ucieczce 20 października 1940. „... Pierwszą sprawą — pisze pani Beckowa — było: zawiadomienie mnie przez ambasadora amerykańskiego, abym zgłosiła się u niego. To było chyba w lecie i chyba w 1942 lub 1943 roku¹¹. Ambasador ów — zapomniałam nazwisko [poseł Gunther] od razu przystąpił 'do rzeczy' a mianowicie: Na co nam z mężem potrzebne są pieniądze? (Dodam, że pojęcia nie miałam, że Bullitt ma je przysłać). Ale żyłam oczekując jakiegoś 'cudu', więc powiedziałam, że to co mieliśmy w Polsce to albo przepadło, albo zostało zarekwirowane. Że trzeba nam na pewno, czy to na ubranie, czy na kurację, i coś w tym sensie. Wtedy on wyraził zdziwienie, że chyba nie tak wielkich sum, jakich żądałam od

11. Ponieważ Gunther dowiedział się o funduszu 11 października 1940 roku, a ucieczka była planowana na 20 października, 9 dni później, więc dialog Beckowa-Gunther mógł się odbyć tylko w którymś z dni pomiędzy tymi datami.

'przyjaciół'. (Nic i od nikogo NIE żądałam i NIC nie rozumiałam o co chodzi). Bojąc się wyspać, prosiłam, aby powiedział jasno, o co chodzi. On — z najzimniejszą krwią — odpowiedział, że przysły dla nas duże pieniądze z Ameryki, więc natychmiast zawiadomił o tym swego przyjaciela, ambasadora polskiego, który mu wyjaśnił, że pieniądze są pewnie na jakąś planowaną ucieczkę, do której on dopuścić nie może, nie mając instrukcji z Londynu... a jeżeli chodzi o codzienne życie, to rząd rumuński wypłaca nam wystarczającą sumę na utrzymanie... Ale jeśli chcę jakiejś pomocy, to... [Gunther] wyjął z portfela 20 (dwadzieścia) dolarów i mi wręczył. Byłam zaskoczona, a jeszcze nie dość odważna, aby mu dać w zęby! Wybuchnęłam jednak i zjechałam go, że jakim prawem o poleceniu dostarczenia NAM tych pieniędzy, ośmielił się mówić osobie trzeciej? Słodko — ledwie grzecznie — wyjaśnił, że skoro mąż mój jest internowany, to jego obowiązkiem było zawiadomić 'naszego' ambasadora i... zastosować się do jego rady, aby.. pieniędzy nam NIE DAĆ. Wysłałam bez słowa, trzaskając drzwiami. W domu zorientowałam się — opowiadając Jimowi (Beckowi), że miętoszę te dolary w rękę”.

„Dolary zostały odesłane ambasadorowi amerykańskiemu — kontynuuje p. Beckowa. — I tu, NIE pamiętam, czy za zgodą, zdaje się wbrew woli Jima, poszłam do Rogera Raczyńskiego. Natychmiast w gabinecie zjawił się Poniński. Nie przywitałam się z nim i powiedziałam Rogerowi, że go uprzedziłam, że mam prywatny interes i chcę mówić bez świadków. Poniński siedział. Roger powiedział, że jego radca jest *au courant* wszystkich spraw i że mogę śmiało przy nim mówić. Odpowiedziałam dosłownie: 'A ja nie chcę. I proszę by pan P. wyszedł'. A on siedział. Ja wstałam, mówiąc: 'No to nie mam co tu robić'. Roger był speszony i słowa Ponińskiemu NIE powiedział. No ale P. purpurowy i wściekły wyszedł. Ulżyłam sobie. Grzeczna nie byłam. Że jakim prawem Roger decyduje co robić z pieniędzmi przeznaczonymi NIE dla niego? Że co go obchodzi, CO ja chcę z nimi zrobić? A może JA chcę wyjechać z Rumunii urządzić się w innym kraju, itd. Słuchał. Potem — ledwie, ledwie grzecznie — dał mi do zrozumienia, że on wie co robi!...”. Tak postąpił dyplomata z wyboru Becka, bo zawodowym dyplomata nie był.

Po przymusowym opuszczeniu Rumunii, Seweryn Sokołowski donosił Rudolfowi Rathausowi o „nieotrzymaniu od Was 5.000 dolarów”. Fundusze potrzebne na przekupienie oficera żandarmierii rumuńskiej zostały dostarczone przez poselstwo brytyjskie. Wiem to, niepotrzebne są tu potwierdzenia archiwalne. Że został przekupiony, wynika jasno z tego, co podaje pani Wysocka w swym piśmie do Weinstein: „Piotrowi w więzieniu powiedzieli

komisarze Sigurancy, że porucznik gardy stchórzył i wysypał sprawę w obawie przed konsekwencjami dla siebie...”

Powyższe dowody braku własnych funduszy grzebią haniebną plotkę, jakoby Beckowie wywieźli z Polski poważne sumy pieniężne. Robert D. Murphy, *chargé d'affaires ad interim* Stanów Zjednoczonych w Paryżu, napisał dnia 21 marca 1940 memorandum, które zostało złożone prezydentowi Rooseveltowi, bez komentarzy, przez Sumner Wellesa i w którym Murphy informuje m.in., że spożył lunch z gen. Sikorskim, który powiedział mu, że pani Beckowa przekroczyła granicę rumuńską mając przy sobie 562.000 dolarów „kieszonkowego”.

W szczegółowym sprawozdaniu z choroby męża, pisany 10 września 1944 roku, pani Beckowa notuje: „Miałam doskonałe stosunki z wicepremierem Mihai Antonescu — ale „na dole” nic nie wykonywano i nie było na to sposobu, chyba duże łapówki, no ale nie mieliśmy na to”¹².

Wreszcie, gdzieś w 1947 roku, widziałem się z Hankeyem w Londynie, dziękując mu za interwencję w sprawie wpuszczenia mnie z Austrii do Wielkiej Brytanii, a ten wtedy wyraził żal, że tak późno dowiedział się, iż pani Beckowa żyje w bardzo skromnych warunkach; dlaczego nie zwróciła się do władz brytyjskich o pomoc, której na pewno nie odmówiłyby.



W związku z przygotowaniem do ucieczki Beck otrzymał pierwotnie fałszywy paszport polski (arkusz papieru długiego formatu) na nazwisko Jana Karpińskiego, opatrzone niezbędnymi wizami, ale całkowicie nieużyteczny, gdyż z fotografią mężczyzny o jasnych oczach, niepodobnego do ministra z jego charakterystycznym profilem. Paszport ten został przez nas odrzucony. Jak twierdził w piśmie do Stanisława Kota niejaki porucznik Klimkowski, paszport został przygotowany staraniem *attaché* wojskowego płk. dypl. Tadeusza Zakrzewskiego.

Sadkowski w swym ogólnym raporcie stwierdza, że: „jeśli chodzi o paszporty dla Józefa Becka i jego żony, to przygotowanie ich przeciągało się w najwyższym stopniu. Paszport polski dla J.B. nie został w ogóle przygotowany, dla jego żony był gotów dnia 19 października...”. Z rozmowy p. Beckowej z Raczyńskim wynika natomiast, że paszport ten miała otrzymać „do rąk” przed samym opuszczeniem Rumunii, w Konstancy, w drodze do Turcji. Tak jak pisałem dawniej w liście do Pobóg-Malinowskiego, nikt

12. Mihai Antonescu został stracony przez bolszewików po wojnie.

z nas fałszywego paszportu „do rąk” nie otrzymał. Sadkowski w swoim raporcie podaje: „Dnia 11 października (1940) ambasador zaprosił sekretarza poselstwa brytyjskiego i w obecności majora dypl. Mariana Zimnala i mojej prosił go o paszport angielski dla Józefa Becka. Paszport ten (dyplomatyczny) wraz z wizami otrzymałem dnia 16 października”. Potwierdza to Zofia Wysocka pisząc 21 marca 1968 roku: „Paszport angielski załatwił Oddział II — nazwiska na paszporcie nie pamiętam”. Poseł Kennard po nieudanej ucieczce złożył wizytę dyktatorowi Ion Antonescu, który mu oświadczył, że polecił zniszczyć paszport brytyjski Becka. Kennard przyjął to do wiadomości.

Major Stanisław Sadkowski, według jego oświadczenia, miał polski paszport dyplomatyczny, na który wyrabiano mu wizy, gdyż pierwotnie, to jest zanim powierzono mu organizowanie ucieczki, miał wyjechać do Palestyny.

Major Seweryn Sokołowski miał własny paszport dyplomatyczny. Porucznik Piotr Wysocki, według świadectwa żony, występował jako Georges Aubry z paszportem francuskim, „zrobionym w Paryżu dla celów służby wywiadowczej” i miał „doskonałe pokrycie w postaci firmy handlowej, której był prezesem (Mangassar)...”. Po aresztowaniu Wysocka i jej mąż — jak sama pisze — nie zostali początkowo rozpoznani jako małżeństwo przez policję rumuńską.

Jeśli o mój paszport chodzi, to miałem — i posiadam go jeszcze — polski przedwojenny paszport dyplomatyczny, wystawiony 9 września 1937 roku, ponawiany następnie, tak że był ważny w 1940 roku i później. Zawiera wizę brytyjską nr 59, wystawioną przez R. M. A. Hankeya 21 stycznia 1940 i ważną do 21 stycznia 1941, na kilkakrotne podróże do i ze Zjednoczonego Królestwa i Palestyny. Służył mi do opuszczenia Rumunii w październiku 1944. Jedynym szkopułem z tym paszportem w razie inteligentnej kontroli granicznej mogło być to, iż łatwo dałoby się stwierdzić, że podróżowałem do Monte Carlo i Niemiec dokładnie wtedy, gdy Beck odwiedzał Hitlera w styczniu w Obersalzbergu i że byłem w Londynie przed samą Wielkanocą 1939, kiedy Beck zawierał sojusz z Wielką Brytanią.



Odnosnie osób ze środowiska Stanisława Kota pani Zofia Wysocka tak pisze w swoim liście: „Dopiero później... okazało się, że jest tajemnicą poliszynela, że sprawa została wysypana do władz rumuńskich przez ludzi prof. Kota, który miał w Rumunii całą sieć swojego prywatnego wywiadu, nastawioną na szpiego-

wanie polskich władz wojskowych, do których rząd gen. Sikorskiego nie miał zaufania. W jaki sposób ludzie Kota dowiedzieli się o imprezie, nie jest mi wiadome... Wiem tylko że Oddział II starał się utrzymać ścisłą tajemnicę, przede wszystkim przed tymi ludźmi...”.

Najlepsze świadectwo zdrady dają sami „ludzie Kota”. Oto wyciągi z ich raportów.

W archiwum Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku znajduje się tekst, skombinowany z trzech listów adresowanych do Kota w pierwszych dniach września 1940 roku. Interesująca nas część tekstu brzmi: „Porucznik Klimkowski, podporucznicy Jan Romanowski i Krzysztof Grodzicki przebywali w Bukareszcie, w okresie gdy J. [Jim = Beck] był na wolności i rozporządzał samochodem [to jest przed uwięzieniem go po nieudanej ucieczce]. Klimkowskiemu nie podobało się postępowanie płk. Zakrzewskiego i wszyscy trzej zaczęli śledzić jego posunięcia. W tym czasie Zakrzewski, łącznie z mjr. Orłowskim [Ostaszewskim] wyrobili ministrowi Beckowi paszport na nazwisko Jana Karpińskiego... Zaproponował tym trzem panom, którzy mieli jakoby paszporty dyplomatyczne, żeby służyli jako szoferzy w dwóch samochodach mających wywieźć J. i jego rodzinę. Klimkowski jednak w przekonaniu, że trzeba kochać ojczyznę i słuchać generała Sikorskiego, ostrzegł znajomych sobie Rumunów o planie ucieczki...”.

Dnia 20 września 1940 Aleksandrowicz pisał do Kota: „... są dowody obciążające Zdzisława Miłoszewskiego (organizował ucieczkę Becka). Pozostawienie go na jakimkolwiek stanowisku jest skandalem. Pracował u płk. Zakrzewskiego, teraz w Ambasadzie. Trzeba go raz na zawsze zwolnić... Współpracuje ze mną dobrze Kuśnierz i szef Oddz. II Ostaszewski, czego nie mogę powiedzieć o Kańskim... Udaremniliśmy ucieczkę Becka — moim zdaniem chce się dostać do Anglii. Zajmuje się nim poselstwo amerykańskie. Pieniądze dla niego nadeszły z Ameryki (czy nie Ambasador Potocki działał?)...”.

Przysłowiowy groch z kapustą. Amerykanie nie brali najmniejszego udziału w próbach ucieczki, której Aleksandrowicz nie mógł „udaremnić” 20 września, względnie wcześniej, skoro datą ucieczki był 20 października. Pieniądze z Ameryki też nie mogły nadejść wcześniej, skoro Gunther dowiedział się o nich od Hulla 11 października 1940. Tenże Aleksandrowicz, podpisując się jako dr Karol Aleksandrowicz, przewodniczący Komisji Badawczej, napisał 20 września 1940 list do ministra Seydy, gdzie m.in. donosi: „... Miłoszewski, który pracował aż dotąd u płk. Zakrzewskiego, a teraz w ambasadzie, winien być raz na zawsze zwolniony.

Poza tym Miłoszewski montował tu ucieczkę Becka — wbrew rozkazom naszych władz...”.

Dnia 30 października 1940 przepisano w ministerstwie Spraw Wewnętrznych w Londynie dłuższą depeszę szyfrową z Bukaresztu, podpisaną przez Aleksandrowicza i Kuśnierza, zawierającą następujący tekst: „... Przygotowuje się ucieczka p. Becka. Maczają w tym palce Amerykanie. Wszystko przygotowane. Możemy to bardzo łatwo sparaliżować, prosimy tylko o instrukcje, bo sprawa jest bardzo ważna. Prosimy prosby nie pomijać milczeniem. Wyjazd Becka przewidziany jest nie na Cypr, ale do Ameryki, skąd może przecież szkodzić rządowi”.

W archiwum znajduje się też kartka z następującym tekstem pisanym atramentem: „30. IX. 1940 — Istnieje drugi plan ucieczki Becka tym razem przy pomocy Amerykanów. Można to łatwo uniemożliwić. Proszę o instrukcje, tylko tym razem szybko i wprost. Wtedy [kiedy?] banda Becka spowodowała moje aresztowanie. — Aleksandrowicz”.

Jakże mętne są te informacje „wywiadowcze”. Delegat ministra Kota w Bukareszcie twierdził, że „ucieczka była źle zorganizowana, mimo jego ostrzeżeń, nie uzgodniona w drodze dyskretnej z żadną z wyższych osobistości rządu rumuńskiego. Łąpówki nie były na czas wręczone, trasa ucieczki źle wyznaczona...”. Opinia ta jest powierzchowna i nierozsądna, choćby dlatego, że „wyższe osobistości” należały wtedy do Żelaznej Gwardii lub germańskich ludzi Iona Antonescu, a trasa była wypróbowana skutecznie w licznych wypadkach wywożenia wojskowych polskich. Donosy kotowców były poza tym zbędne dlatego, że zdradził nas oficer żandarmerii pilnujący Becka. Policja rumuńska capnęła zresztą też tylko osoby bezpośrednio zaangażowane w pierwszy etap ucieczki. Sadkowskiego chwycili dopiero trzy dni później, i to przed samym opuszczeniem Rumunii, w porcie dunajskim Giurgiu. Pozostawili na wolności panią Beckową, Schaetzla i Lisowskiego.

Z ironicznym uśmiechem można też skonstatować słaby wywiad hitlerowski, o czym świadczy meldunek posła niemieckiego dr. W. Fabriciusa, który w depeszy nr 1845 wysłanej dnia 21 października 1940 o godzinie 19.30 donosił „Wczoraj wieczorem b. polski minister Spraw Zagranicznych Beck usiłował opuścić swe miejsce pobytu w Snagov po kryjomu i samochodem w towarzystwie Anglika, którego nazwisko nie jest mi jeszcze znane. Wypożyczeni w angielski paszport wizowany Beck chciał wyjechać z Rumunii. Został aresztowany przez strzegących go członków policji legionowej (żelaznogwardyjskiej)...”.

Wzięto mnie tam za Anglika. Poza tym zostaliśmy schwytani

nie przez Żelazną Gwardię, a przez regularną policję bezpieczeństwa rumuńskiego (Siguranta), która zresztą potraktowała nas zyczliwie.



Zgodnie z tym, co pisze Sadkowski w swoim raporcie, miał on, po ukończeniu pracy w ekspozyturze Oddziału II w Bukareszcie, w końcu sierpnia 1940, udać się do Palestyny, lecz nastąpiła zmiana po jego rozmowie z Raczyńskim, który mu oświadczył, że otrzymał dyspozycje od rządu, by ułatwić wyjazd Becka, oraz że przed dwoma dniami (11 lub 12 września) mjr Zimnal przypomniał mu o tej sprawie, „wobec czego wezwał do siebie na 13 września sekretarza J.B. — Rogoyskiego” (ten passus jest dopisany atramentem na maszynopisie raportu).

Raczyński zaproponował Sadkowskiemu, żeby zgłosił się do Zimnala. W rozmowie z Zimnałem Sadkowski zwrócił uwagę, że przerzucenie Becka musi być dokonane szybko, samochodem przez „zieloną granicę”, tak by nie doszło do zetknięcia z władzami granicznymi. Do tego celu nadaje się punkt proponowany przez dr. W. (b. urzędnik policji, mieszkający w mieście Craiova, który dzięki osobistym stosunkom z tamtejszym szefem Sigurancy przerzucił już pewną ilość osób do Bułgarii — a więc trasą Craiova-Calafat. „Porwanie”, jak to nazywa Sadkowski, i przerzucenie Becka miałyby nastąpić w ciągu jednej nocy, a pani Beckowa miała wyjechać w tym samym czasie do Turcji przez port Konstancę.

O sprawie wyjazdu Becka ze Snagova rozmawiał następnie Sadkowski z konfidentem Papricą [pewnie Paprita], który nawiązał kontakt z porucznikiem, dowódcą straży przy Becku. Porucznik wręczył Papricy swój bilet wizytowy z tym, że jest gotów rozmawiać w tej sprawie tylko z samym Beckiem lub kimś z jego bezpośredniego otoczenia, kto doręczy mu jego bilet. Tłumaczył, że obawia się prowokacji. Sadkowski przekazał bilet Sewerynowi Sokołowskiemu, który porozumiał się z porucznikiem i za cenę jednego i pół miliona lei uzyskał zapewnienie współudziału. Rozmowy te miały miejsce między 3 a 8 października. Dnia 9 października Sadkowski dyskutował z mjr. Ostaszewskim i Zimnałem sprawę pomocnika w swej akcji i uzyskał zgodę Zimnala na powierzenie tej funkcji por. Wysockiemu, który tego samego dnia został odkomenderowany do pomocy Sadkowskiemu.

Nazajutrz, 10 października, przy spotkaniu z ambasadorem w obecności mjr. Zimnala Sadkowski dowiedział się, że ambasador wyznacza go na kierownika akcji, mającej na celu ewakuację nie tylko Becka, lecz również pozostałych członków rządu oraz marszałka Rydza-Śmigłego. Zimnal oświadczył, że polecenie ambasa-

dora ma traktować jako rozkaz wojskowy. Dnia 11 października przeprowadził z por. Wysockim parogodzinną rozmowę, w czasie której przepracowano szczegóły. Zorganizowanie przejazdu Becka przez Jugosławię powierzył M., który posiadał pewne stosunki w Bułgarii. Ambasador — na prośbę Sadkowskiego — zwrócił się do posta w Sofii (Adama Tarnowskiego), prosząc o pomoc dla M. Plany ewakuacji zostały zakończone 11 października. Miejscem przeznaczenia (jak podaje inne źródło) miał być Cypr.

Według raportu Sadkowskiego „Beck miał wyjechać wieczorem o godzinie 20-tej ze Snagova wraz z porucznikiem, dowódcą warty. Przed restauracją, w miejscu gdzie droga boczna ze Snagova łączy się z szosą do Bukaresztu, miał oczekiwać w samochodzie por. Wysocki. W Bukareszcie był przewidziany drugi samochód z komisarzem policji rumuńskiej W. [dowódcą ochrony rodziny królewskiej]. Obydwa samochody miały wyruszyć niezwłocznie do Craiovej. Pod Craiovą miał oczekiwać z samochodem, o godzinie 3-ciej, dr W. [wyżej wymieniony], który miał przeprowadzić Józefa Becka przez granicę i razem z nim wyjechać. Zmiany samochodów miały na celu zatarcie śladów tak, żeby ewentualnie można było wykorzystać tę samą drogę dla innych osób”.

Dalsza końcowa część raportu Sadkowskiego, odnośnie samej ucieczki, jest niedokładna, co można tłumaczyć tym że, jak już wspomniałem, został zatrzymany przez władze rumuńskie w porcie Giurgiu i trzy dni później wydalony do Bułgarii. Moje istnienie ignoruje. Wzmianka o udziale w akcji dowódcy ochrony rodziny królewskiej jest też jedyną, jaką znam. Nigdzie indziej w dostępnych mi źródłach nie został wymieniony. Domyślam się, że musiała nastąpić jakaś zmiana, o której Sadkowski nie wiedział.

Drugi samochód użyty na pierwszym odcinku trasy należał do Wysockiego, a jechała w nim jego żona ze swym szoferem Polakiem. Jak pisze w liście do Weinsteina, została również zatrzymana, lecz nie jednocześnie z mężem. Moim zdaniem dowódca straży królewskiej nie brał żadnego udziału w naszej akcji, czemu nie można się dziwić. Ion Antonescu usunął przecież króla Michała I, internując go w zameczku Sinaia w górach transylwańskich, tak że ludzie z jego dworu stracili całkowicie znaczenie. Kwestią jest tylko, czy ten dowódca był również przekupiony, czy też, *mirabile dictu*, zaangażował się „dla sportu”. Sadkowski identyfikuje go w swoim raporcie jako „komisarza policji rumuńskiej W”. Jeżeli komisarz miał nazwisko rumuńskie, to nie mogło ono zaczynać się na „W”, bo ta litera nie istnieje w słowach rumuńskich.

Z moich osobistych przygód w tej ucieczce chciałbym zanoto-

wać, że wieczorem 20 października 1940 przyjechał po mnie czarną limuzyną będący wtedy w Bukareszcie Piotruś — por. Piotr Wysocki — i pojechaliśmy do gospody „Trei Stejari” (Trzy Dęby), drewnianego budynku w ludowym stylu rumuńskim. Przed gospodą nie czekaliśmy zbyt długo. Od strony polnej drogi, od jeziora Snagov, nadjechał samochód. Za chwilę dostrzegłem w słabym świetle nocy sylwetkę wysokiego mężczyzny, idącego w kierunku szosy, w przeciwnym do nas kierunku. Wskoczyłem z naszego samochodu, by go doścignąć i skierować do nas, gdy nagle zabłyśły światła kilku samochodów. Wszystko przepadło. Będąc w tym momencie blisko szosy, zdążyłem jeszcze wrzucić swój rewolwer do stawu, zanim agenci w cywilu chwycili mnie i usadowili na tylnym siedzeniu ich samochodu. Zawieziono mnie do głównej kwatery Sigurancy w Bukareszcie i umieszczono w pokoju biurowym, gdzie miałem do spania bardzo niewygodne żelazne łóżko i byłem pilnowany przez żandarma z bagnetem nasadzonym na karabin. W tym pokoju spędziłem szereg dni, mało wypytywany. Bo i po co? Wiedzieli wszystko.

Po upływie co najmniej jednego tygodnia zostałem zaprowadzony do wyższego urzędnika, który powiedział mi, że Beck jest również zatrzymany, neguje swoją tożsamość, twierdząc że jest osobą z paszportu brytyjskiego. Proszono mnie o pomoc i zaprowadzono, jak się później dowiedziałem, do pomieszczenia, które było garsonierą poprzedniego dyrektora Sigurancy, Gabriela Marinescu, więzionego wówczas w Jilava. Beck był w złym stanie zdrowia. Zidentyfikowałem go, zdając sobie sprawę, że dalsze negowanie tożsamości nie prowadzi do niczego, a gdy zaprowadzono mnie następnie do Seweryna Sokołowskiego, również zatrzymanego, przekonałem go, by przerwał głodówkę. Wieczorem w dniu ucieczki jego rolą było gaszenie i zapalanie świec w willi, w której Beck mieszkał nad jeziorem, by w ten sposób symulować ministra. Tam go chwycili. Szofera Lisowskiego natomiast, który o niczym nie wiedział, żandarmi wozili po jeziorze w łódce, strasząc go strzałami nad uchem z karabinu. Hardy Mazur powiedział im, że to nie robi na nim żadnego wrażenia.

Kres całej aferze położył książę Alexandru Ghika, generalny dyrektor Sigurancy. W areszcie przebywaliśmy tylko 10 dni. Organizatorzy ucieczki mogli opuścić Rumunię. Ghika był człowiekiem honoru. Potraktował też Becka przyzwyczajenie i po dowiezieniu go do dyrekcji policji powiedział mu: „Żałuję, że się Panu nie udało”¹³. Ghika umieścił Becka z żoną w nowoczesnej,

13. Ghika znalazł się sam w więzieniu, gdy Ion Antonescu rozpedził Żelazną Gwardię — podobno w celi bez okna. Czytałem wiele lat później, że oślepl.

dużej willi w Bukareszcie, przy ulicy Toma Stelian nr 2. Do Becków dołączyli później minister Antoni Roman z żoną.

W obszernym piśmie z dnia 31 marca 1945 roku, wysłanym do Władysława Pobóg-Malinowskiego, podałem również trochę danych o próbach wydostania się z Rumunii, z których cytuję kilka fragmentów: „... Myśleliśmy zawsze o ucieczce. Gdy później przygotowana przez nas nie udała się, wrogowie Becka głosili, że w ogóle była to fikcja, że Beck wcale nie miał zamiaru uciekać, ponieważ współpracuje z Niemcami. Tylko kanalia mogła to oszczerstwo wymyślić... Faktem jest, że technika była przygotowana dobrze i rozsądnie... Zdradził niewątpliwie przekupiony porucznik żandarmerii rumuńskiej, chyba dobrze pamiętam, że dziennikarz w życiu cywilnym, Atanasiu, którego chęć zysku wzięła górę nad strachem przed Żelazną Gwardią. Feler całej imprezy tkwił moim zdaniem — i nie tylko moim — w tym, że termin parę razy odraczano, co dawało ludziom czas na refleksję, a naszym rodzimym wrogom sposobność do dowiadywania się i informowania o zamiarze ucieczki... W listopadzie 1940 roku władze nasze opuściły Rumunię i zostaliśmy 'sami', odczuwając to w pewnym sensie raczej jako ulgę...”.

Na zakończenie podaję treść części pisma Sadkowskiego do swego dawnego zwierzchnika i przyjaciela, z datą 8 stycznia 1950 roku: „... Chciałbym dodać trochę szczegółów o sobie, których — być może — nie znasz, z czasów gdyśmy się już rozstali. Jedną z przykrych bardzo stron mojego urzędowania w Rumunii był obowiązek komunikowania się z Mikicińskim, agentem Kota, który woził pieniądze do Kraju. Był to jednocześnie agent wywiadu niemieckiego — jak to zapewne wiesz¹⁴. Ja właśnie ostrzegałem przed nim kogo mogłem w Kraju, a jednocześnie zwróciłem na niego uwagę właściwych czynników wojskowych. Zrobił on jednak wiele szkód i zgubił wielu ludzi, zanim zapłacił za swoje. Drugą sprawą, która mnie zaabsorbowała było organizowanie wyjazdów z Rumunii, a w szczególności wywiezienie Becka, na którym ostatecznie wpadłem. Zrobiłem wszystko, co mogłem, ale Kuśnierz i Aleksandrowicz — przez dyplomację Raczyńskiego, który im zdradził moje plany — potrafili uprzedzić Rumunów. W rezultacie zostałem zatrzymany w czasie, gdy usiłowałem związać z Rumunii (siedziałem w Giurgiu) a potem, w nocy, systemem rumuńskim, przewieziony łódeczką przez Dunaj i wyrzucony na brzeg bułgarski. I tak mi się udało, bo łatwiej by było puścić

14. Na temat Mikicińskiego patrz: Kazimierz Iranek-Osmecki, „Afera Mikicińskiego” w *Zeszytach Historycznych* nr 32, str. 187 i nast. — Red.

mnie po prostu pod wodę. Ale przy sposobności wyciągnięto mi wszystko, co miało jakąkolwiek wartość z walizek. Z trudnością, i po skomplikowanej podróży, dobrnąłem wreszcie do Palestyny, gdzie miałem się stawić do służby w brygadzie karpackiej, ale tam powiedziano mi, że za organizowanie ucieczki Becka i Rydza zostałem wydalony z wojska. Nie było do kogo apelować. Siedziałem i głodowałem, czekając na to, co się stanie. Wreszcie ukąsił mnie jakiś gad i dostałem zakażenia ogólnego krwi. Nasze władze, które opiekowały się uchodźcami cywilnymi (Delegat Ministerstwa Opieki i Konsulat) odmówiły mi pomocy”.

Druga inicjatywa brytyjska

Nieomal zaraz po napaści Hitlera na Związek Sowiecki, dnia 22 czerwca 1941, *British Intelligence* przez swych agentów w Bukareszcie nawiązała z nami kontakt, a rozmówcą z nimi byłem wyłącznie ja. Rozmowy toczyły się z b. wicekonsulem brytyjskim w Gdyni, który — jak sam mi mówił — przebył tam około 20 lat. Mówił po polsku swobodnie i bez akcentu. Miał polecenie od premiera Churchilla, ażeby jego placówka pomogła Beckowi opuścić po kryjomu Rumunię. Podczas jednej z wizyt u niego podał mi swój kod osobisty, składający się z litery i cyfry; pamiętam tylko cyfrę, którą było 40. Poinformował mnie, że podając jego kod któremukolwiek urzędnikowi brytyjskiej służby zagranicznej, zajmującemu się kontrolą paszportową, to jest tzw. *passport control officer*, dowie się w ciągu 24 godzin, gdzie ja jestem.

Rozkaz by pomóc Beckowi pochodził bezpośrednio od Churchilla i miał na celu wywiezienie naszego ministra z Rumunii do Turcji, z przeznaczeniem do Londynu. Jasne jest, że taki rozkaz nie mógł mieć nic wspólnego z rządem polskim w Londynie, a w każdym razie nie zależał od jego aprobaty.

Podczas jednej z naszych pierwszych rozmów wicekonsul zapytał mnie, czy b. minister Antoni Roman miałby towarzyszyć Beckowi w ucieczce. Nie mogłem się wypowiadać sam w tak ważnej sprawie, byłem jednak dość o to niespokojny, gdyż im więcej osób byłoby zamieszanych w przedsięwzięcie ucieczki, tym bardziej byłoby ono narażone na odkrycie przez władze rumuńskie i to w okresie pełnego udziału dyktatora Iona Antonescu po stronie Hitlera w wojnie niemiecko-rosyjskiej. Wicekonsul nie nalegał, tak że sprawa udziału Romana w ucieczce ucichła, bez złych zresztą skutków dla niego, bowiem jego internowanie było czysto formalne, pozbawione złośliwych szykan i dające mu cał-

kowitą swobodę poruszania się po Bukareszcie. Pod koniec wojny, po przejściu Rumunów na stronę aliantów, wrócił z żoną do Polski.

Wicekonsul przedstawił plan ucieczki, która miała się odbyć samochodem z Bukaresztu do małego portu czarnomorskiego w południowej części wybrzeża rumuńskiego (a więc blisko Bułgarii) i stamtąd małym rybackim statkiem tureckim do Sztambułu. Wicekonsul zapoznał mnie z Anglikiem, który miał osobiście kierować ucieczką, a przedstawił mi się jako duchowny anglikański. Spotkania z nim miałem w willi, w której mieszkał — wejście przy drugiej latarni od początku ulicy (!). Rozmowy były nieskomplikowane, uprzejme, życzliwe.

Dnia 30 lipca 1941 został podpisany układ Sikorski - Majski, przywracający m.in. stosunki dyplomatyczne polsko-sowieckie. Dowiedziawszy się o układzie, Beck, nie znając jego treści, uznał jego zawarcie za słuszne, ale wyraził się, że „niepotrzebnie się pospieszyli”. To co pisze o tym Pobóg-Malinowski w tomie trzecim swego dzieła (od strony 175) odpowiada w pełni stanowisku Becka.

Wkrótce po zawarciu układu odwiedziłem znowu wicekonsula. Był nieoczekiwanie niegrzeczny i brutalny, mówiąc mi, że ma ważniejsze sprawy do załatwienia niż nasza i że nie ma czasu na nią się zajmować. Gdy powtórzyłem to Beckowi, stwierdził: „już mnie nie potrzebują”. Wcześniej jeszcze, zanim to nastąpiło, zostałem ostrzeżony przed próbami ucieczki. Rumuński komisarz policji, pamiętam że nazywał się Stefan Ionescu, zawsze nam życzliwy — i to do tego stopnia, że raz czy drugi zaprosił mnie do gospody rumuńskiej — dał mi bardzo ostrożnie do zrozumienia, by nie podejmować żadnych ryzykownych kroków, gdyż mogłoby to źle się skończyć.



W związku z propozycją pomocy dla około 80 Polaków, z jaką wystąpił sir O'Malley, ambasador brytyjski przy rządzie polskim w Londynie, F. Roberts z *Foreign Office* w notatce z 7 czerwca 1944 roku przyznał: „... ta nowina [o śmierci Becka] jeżeli jest prawdziwa, uwolni nas od niesmacznych i w moim rozumieniu raczej zawstydzających kroków, by upraszać Polaków o wycofanie ich prośby dotyczącej pułkownika Becka. Nie sądzę, by Beck, który — jakie by nie były jego inne słabości — był lojalnym aliantem i w samej rzeczy twórcą anglo-polskiego aliansu, miał nie otrzymać schronienia na terytorium brytyjskim...

Istotnie, brytyjska tradycja udzielania azylu uchodźcom politycznym wszelkich maści zdaje się być narażona (obecnie) na szwank”.



Historycznie ważny dla oceny oblicza Józefa Becka jako męża stanu jest wyrażony w prostych słowach fakt, że skorzy pomóc mu w odzyskaniu wolności byli: İsmet İnönü, ówczesny prezydent Republiki Tureckiej, Franklin D. Roosevelt i Sir Winston Churchill, a aktywnie przeciwni — Adolf Hitler no i niektórzy rodacy z polskiego rządu na obczyźnie, oraz nieliczna malizna z polskiej służby zagranicznej.

Doman ROGOYSKI

Waszyngton, w sierpniu 1985

Ludwik ŁUBIENSKI

EWAKUACJA WŁADZ POLSKICH WE WRZEŚNIU 1939 ROKU

Wobec zbliżania się pancernych wojsk niemieckich do Warszawy, 7 września 1939 roku rząd zdecydował przenieść swoją siedzibę na wschód Polski. Ministerstwo Spraw Zagranicznych i korpus dyplomatyczny miały być przeniesione do Nałęczowa i do Kazimierza. Ponieważ jednak wojska niemieckie podchodziły do Wisły, przeniesiono je do Krzemieńca. Prezydent RP Mościcki udał się do majątku księcia Janusza Radziwiłła (Ołyka na Polesiu), a rząd do Łucka i Równego. Naczelný wódz, marszałek Śmigły-Rydz, zostawiwszy szefa sztabu generała Stachewicza chwilowo w Warszawie, przeniósł się wraz ze sztabem do fortecy w Brześciu, dokąd przybył też minister Beck wraz z radiostacją, przez którą utrzymywał kontakt z naszymi ambasadami i poselstwami oraz ich najbliższym otoczeniem, polecając swojemu zastępcy, ministrowi Szembekowi, pieczę nad ministerstwem Spraw Zagranicznych i korpusem dyplomatycznym w Krzemieńcu.

Mając mały, nie zarekwirowany przez wojsko samochód zostałem przez pół dnia w Warszawie, by zabezpieczyć mojego ojca, matkę i siostrę matki, Marynię Czapską. Niestety w drodze do Brześcia, pod Grochowem, był nalot niemiecki i bomba uszkodziła mój samochód. Na szczęście zabrali mnie lotnicy i pozostawili w Ruchnie, gdzie była wówczas moja matka. Tam przenocewałem. Do Ruchny dojechał też ciężarówką Stanisław Czapski, ewakuując z fabryki Kranza maszyny do wyrabiania pocisków artyleryjskich i granatów. Ponieważ miałem kupony na benzynę państwową, wystarałem się o nią dla niego. Dowieźli mnie do Brześcia. W chwili wjazdu do Brześcia przeżyliśmy pierwsze duże bombardowanie niemieckie. Odszukałem jednak Becka, który właśnie był w drodze do fortecy, gdzie miał spotkać się z marszałkiem Śmigłym. Tam odbyła się wówczas dramatyczna rozmowa, o której opowiadał mi minister Beck bezpośrednio po niej, jak również w szczegółach potem w Rumunii, gdzie byliśmy razem internowani.

Beck powiedział mi, że w fortecy zastał generała Sosnkowskiego, który próbował namówić marszałka Śmigłego, by mu przekazał naczelną dowództwo, a sam zamknął się w fortecy w Modlinie lub powrócił do Warszawy i tam bronił się, jak długo będzie można. Generał Sosnkowski był zdania, że należy całe wojsko polskie, które cofało się, chcąc przekroczyć Wisłę, skon-

centrować naokoło Lwowa, dokąd powinny dołączyć bataliony marszowe oraz dywizje rezerwowe ze wschodniej Polski. Mając oparcie o Lwów, duże składy amunicji i benzyny oraz twarzą granicę polsko-węgierską i polsko-rumuńską, można byłoby doczekać się spodziewanej pomocy w sprzęcie wojennym od Francuzów i Anglików, na podstawie umów zawartych wiosną i latem 1939 roku.

Marszałek Śmigły uważał jednak, że jego obowiązkiem jest pełnienie w dalszym ciągu funkcji naczelnego wodza. W związku z tym prosił generała Sosnkowskiego — który był bez przydziału — aby objął dowództwo wszystkich polskich wojsk na południu Polski z siedzibą we Lwowie i wydał rozkazy, by wojska cofające się z Krakowa i z Karpat kierowały się w rejon Lwowa. Do tej koncentracji miała dołączyć armia rezerwowa generała Piskora i armia generała Kleberga, tworząca się wówczas blisko granicy rosyjskiej. Było już wówczas wiadomo, że Niemcom, którzy wydłużyli swoje linie komunikacyjne, zaczyna brakować benzyny, tak samo pogoda, w pierwszych dwóch tygodniach września całkowicie bezdeszczowa, zaczynała się psuć. Dziś wiemy, że pod Brzuchowicami generał Sosnkowski odniósł poważne zwycięstwo nad dwiema dywizjami niemieckimi (jedną z nich była tzw. dywizja Göringa) i wziął kilkanaście tysięcy jeńców. Było to dnia 16 września.

Marszałek Śmigły zdecydował jednocześnie przesunąć swoje miejsce postoju do Kołomyi, zaś Ministerstwo Spraw Zagranicznych, korpus dyplomatyczny i rząd do Kosowa i Kut. Prezydent przeniósł się z Ołyki do Śniatynia. Niestety wszystkie te plany utrzymania za wszelką cenę polskiego przyczółka naokoło Lwowa nie udały się, gdyż o 4-tej rano 17 września wojska sowieckie wzdłuż całej naszej wschodniej granicy weszły do Polski, twierdząc, że ponieważ rząd polski nie funkcjonuje, zawarty w 1933 roku traktat polsko-sowiecki o nieagresji stracił moc obowiązującą.

Prezydent RP i rząd, nie mogąc wobec inwazji sowieckiej utrzymać się na przyczółku lwowskim, zdecydowali się na przekroczenie granicy rumuńskiej, by dalej prowadzić walkę z najeźdźcami poza granicami Polski, stosując tzw. *cas belge* z pierwszej wojny światowej.

Wróćmy jednak na chwilę do Brześcia. W czasie rozmowy Sosnkowskiego i marszałka Śmigłego, której świadkiem był minister Beck, zgłosił się szef francuskiej misji wojskowej, generał Faury. Przyniósł on depeszę od generała Gamelin, głównodowodzącego wojsk francuskich, zawiadamiającą, że w myśl wojskowej umowy francusko-polskiej, podpisanej w końcu maja w Paryżu, wojska francuskie — wspierane przez lotnictwo i marynarkę angielską — rozpoczną dnia 17 września dużą ofensywę wzdłuż całego frontu francusko-niemieckiego. Umowa francusko-polska głosiła bowiem, że wojska francuskie będą gotowe do ofensywy wszystkimi swoimi siłami 15 dni po mobilizacji. Mobilizacja we Francji miała miejsce 2 września, a wypowiedzenie wojny Niemcom 3 września, a zatem najwcześniejszą datą ofensywy był właśnie 17 września. Meldunek generała Faury był pierwszą pozytywną wiadomością ze strony naszych sprzymierzeńców; kilka godzin później przyszła wiadomość od generała Burchardt-Bukackiego, szefa polskiej misji wojskowej w Paryżu, treści następującej: „Otrzymałem treść depeszy generała Gamelin do pana Marszałka. Proszę nie wierzyć ani jednemu słowu tej depeszy, gdyż nie widzę żadnych przygotowań do zapowiedzianej wielkiej ofensywy francusko-angielskiej”. Generał Faury, któremu przekazano meldunek generała Burchardta, odpowiedział, że niestety nie ma już żadnej łączności ani telefonicznej, ani radiowej ze sztabem generalnym w Paryżu.

Jak już wyżej wspomniałem, obydwie rozmowy w Brześciu nad Bugiem zostały mi opowiedziane przez ministra Becka, świadka tych rozmów.

Muszę tu zaznaczyć, że między Polską a Rumunią był zawarty traktat zaczepno-odporny, w którym było wyraźnie powiedziane, że w razie ataku wojsk sowieckich na Polskę Rumunia automatycznie wchodzi w stan wojenny z Sowietami i że dowództwo naczelne nad wojskami polsko-rumuńskimi obejmie marszałek Śmigły-Rydz.

16 grudnia, już na terenie Kut, minister Beck wezwał z Bukaresztu ambasadora RP, Rogera Raczyńskiego, każąc mu natychmiast przybyć do Kut. W Kutach ambasador rumuński Grigorcea przekazał wiadomości od króla i premiera rządu rumuńskiego Kalinescu, że w obecnej sytuacji nie są w stanie wystąpić przeciwko wojskom sowieckim, które już były częściowo na granicy polsko-rumuńskiej (Śniatyn). Rząd RP, rozumiejąc stanowisko rumuńskie, stwierdził, że mimo zaistnienia *casus foederis* jest gotów zwolnić rząd rumuński z tej umowy, ale za to prosi o jak najszybsze pozwolenie na przejazd prezydenta RP i rządu RP wraz ze złotem przez Rumunię do Francji w celu zastosowania *cas belge* i umożliwienia przez to dalszej walki naszych władz z Niemcami. Umowa ta została podpisana na terenie Polski, podkreślam na terenie Polski w Kutach, 17 września w godzinach popołudniowych. Na podstawie tej właśnie umowy prezydent RP i rząd przekroczyli granicę polsko-rumuńską 17 września o godzinie 23.15. Niestety wobec nacisków władz hitlerowskich i śmierci premiera rządu rumuńskiego Kalinescu, zabitego przez „żelazną gwardię”, władze rumuńskie złamały umowę polsko-rumuńską, podpisaną w Kutach i internowały prezydenta RP, marszałka Śmigłego-Rydza i rząd RP w Rumunii.

Ludwik ŁUBIŃSKI

Marian PIŁKA

PUBLICYSTYKA KONWENTU ORGANIZACJI NIEPODLEGŁOŚCIOWYCH

Podstawowy problem polityczny okresu drugiej wojny światowej — odzyskanie i utrwalenie niepodległości — był wiodącym wątkiem publicystycznej aktywności Konwentu Organizacji. Ugrupowanie to, uznające się za „zjednoczenie najstarszych i najważniejszych organizacji niepodległościowych (...) dla których duch i myśl Józefa Piłsudskiego reprezentują wiecznotrwałe wartości geniuszu narodowego”¹, ukonstytuowało się 15 października 1942 roku. Już wcześniej, bo od września 1941 roku, ukazywała się *Myśl Państwowa* — pismo wokół którego ukonstytuowało się środowisko KON-u. Konwent był jedną z trzech — obok Obozu Polski Walczącej i Polski Walczącej — formacji piłsudczykowskich działających na terenie okupowanego kraju. W odróżnieniu od OPW, kontynuującego tradycje OZN, oraz lewicującej Polski Walczącej, KON reprezentował stanowisko bardziej centrystyczne, nawiązujące do tradycji BBWR². Brak materiałów archiwalnych nie pozwala na odtworzenie historii tego ugrupowania. Wiadomo, że w skład jego władz wchodził Mikołaj Dolanowski, Zygmunt Hempel jako prezes zarządu, generał Kazimierz Sawicki, Bolesław Pawłowicz oraz adwokat Fichna³. Nie jesteśmy w stanie zrekonstruować pozostałej struktury organizacyjnej ani też określić wpływów tej organizacji. Wiadomo

1. *Deklaracja Konwentu Organizacji Niepodległościowych.*

2. Korboński Stefan, *Polskie Państwo Podziemne*, Paryż 1976.

3. Pisemne oświadczenie złożone przez J. M. Dolanowskiego w Londynie dnia 24 maja 1970. Fotokopia w zbiorach Władysława Bartoszewskiego.

tylko, że poza Warszawą Konwent działał także we Lwowie, gdzie wydawał kilka pism. Na podstawie zachowanych i dostępnych źródeł możemy stwierdzić, iż Konwent rozwijał szeroką działalność wydawniczą. C. Orlikowska podaje, iż w czasie swego istnienia Konwent dysponował pięcioma drukarniami⁴. Głównego organu Konwentu, *Myśli Państwowej*, ukazało się 62 numery, pisma informacyjnego *Tydzień* — 69 numerów, *Drogi* — pisma ideowo-politycznego — 6 numerów. Ponadto ukazywały się następujące czasopisma: *ADZ*, *IPP (Informacja polityczno-prasowa)*, *Komunikat*, *Obrona Państwa i Narodu*, *Przegląd prasy polskiej*, *SUP (Sprawy ukraińsko-polskie)*, *Skerzydła*, *Służba Państwu*, *Wschodni Biuletyn Informacyjny* i *WIP* oraz 8 tytułów wydawnictw nieperiodycznych. Główny publicysta tego ugrupowania, płk Wacław Lipiński, był autorem m.in. broszur: „Wojna polsko-niemiecka. Kampania wrześniowa w Polsce w roku 1939”, „Bilans czterolecia 1939-1943”, „Polityka zagraniczna Piłsudskiego i Becka. Próba syntezy”, „Pakt polsko-rosyjski”. Należy stwierdzić, iż Konwent w porównaniu z innymi ugrupowaniami politycznymi wykazał dużą aktywność w oddziaływaniu na opinię publiczną. Ostatnie ślady działalności tego środowiska pochodzą z okresu powstania warszawskiego. Wówczas ukazały się dwa ostatnie numery pisma *Tydzień* oraz kilka ulotek wzywających mieszkańców Warszawy do udziału w walce. W czasie walk powstańczych zginęli Zygmunt Hempel i Bolesław Pawłowicz⁵. Powstanie warszawskie położyło prawdopodobnie kres działalności Konwentu. Za swego rodzaju kontynuację tej organizacji w okresie powojennym można uznać kierowane przez płk. Wacława Lipińskiego konspiracyjne Stronnictwo Niezawisłości Narodowej⁶.

Koncepcje Konwentu wychodziły z założenia, „iż Polska dzisiejsza posiada dwóch historycznie nieodmiennych wrogów: Niemców i Rosję. Świadomość tego stanu musi przeniknąć całe społeczeństwo, które należy przygotować do ostatecznej walki o *Niepodległość i całość Państwa z każdym z nich*, z chwilą, kiedy stanie na drodze do tego prowadzącej. Każde działanie polityczne sprzeczne z tym podstawowym stanem historyczno-politycznym

4. Orlikowska Celestyna, „Podziemna drukarnia przy ulicy Ogrodowej 62 i jej ludzie” w: *Rocznik Warszawski*, R. XIII, str. 306.

5. Wiadomość o śmierci Z. Hempla podaje *Tydzień* z 28 sierpnia 1944, zaś o śmierci B. Pawłowicza Władysław Bartoszewski w *PSB*, tom XXV.

6. To stwierdzenie wynika z zeznań złożonych przez W. Lipińskiego na rozprawie sądowej. *W służbie obcego wywiadu. Stenogram rozprawy sądowej przeciwko działaczom siatki szpiegowskiej KPOPP i „Stoczni”* w opracowaniu R. Jurysia.

musimy uznać jako najbardziej błędne i szkodliwe, usypiające czujność i instynkt Narodu oraz osłabiające jego siły”⁷.

W tak zarysowanych celach szczególna rola przypadać miała polityce zagranicznej. Pod pojęciem tym rozumiemy zespół działań dyplomatycznych, propagandowych, militarnych i innych, które podejmowane mają być w relacjach Polski z innymi narodami i państwami, a celem ich ma być odzyskanie pełni suwerenności na całości przedwojennego terytorium państwowego oraz stworzenie takiego ładu międzynarodowego, który zapewni naszemu krajowi trwałą pokój i bezpieczeństwo.

W publicystyce Konwentu własne koncepcje są wyłożone na marginesie krytyki postępowania i polityki rządu emigracyjnego w Londynie. Polityka porozumienia polsko-rosyjskiego generała Sikorskiego uważana jest za sprzeniewierzenie się podstawowym zasadom polskiej polityki zagranicznej i w swej istocie za antynarodową⁸. Także polityka rządu Mikołajczyka współdziałania militarnego Armii Krajowej z armią rosyjską wkraczającą na ziemie polskie spotkała się z taką oceną⁹. Koncepcje wypracowywane w tym środowisku piłsudczykowskim były adresowane głównie do ówczesnych czynników rządowych odpowiedzialnych za kierunki polskiej aktywności politycznej.

1. POLITYKA POLSKI WOBEC NIEMIEC I ROSJI

Według publicystów piłsudczykowskich polityka zagraniczna każdego państwa wpływać ma z jego położenia geopolitycznego. Położenie to określać ma w sposób precyzyjny niezmiennie prawa i zasady polityki każdego państwa. W Polsce położenie pomiędzy Niemcami i Rosją warunkować ma automatycznie stosunek do obu tych wielkich państw i narodów. Zasady geopolityczne wykluczać mają wszelkie bliższe współdziałanie polityczne z tymi państwami, albowiem prowadzić ono może tylko do utraty samodzielności, a w konsekwencji także do upadku państwa. Zasady te także nakazywać mają szukanie sprzymierzeńców tam, gdzie również istnieje zagrożenie niemieckie lub rosyjskie. Dlatego za stałą cechą polskiej polityki uznawano dążenie do sojuszu z Fran-

7. Deklaracja... *op. cit.*

8. [Lipiński W.] *Pakt polsko-rosyjski*. Warszawa 1942, str. 24: „rezultatem [paktu Sikorski - Majska — MP] może być utrata niepodległości Polski, w wypadku zaś pomyślnego dla nas układu zdarzeń wojenno-politycznych, utrata znacznych obszarów na Wschodzie”.

9. CA KC PZPR, zespół „Konwent Organizacji Niepodległościowych”, sygn. 377, odpis listu W. Lipińskiego do prezydenta Raczkiewicza, karta 77.

cją i do stworzenia w Europie środkowo-wschodniej antyrosyjskiego bloku militarno-politycznego, złożonego możliwie ze wszystkich państw zagrożonych przez rosyjski imperializm¹⁰. W stosunkach z obu wielkimi sąsiadami doświadczenie historyczne ma być podstawą do analizy dążeń i charakteru tych narodów i w konsekwencji do określenia charakteru polskiej polityki wobec nich. „Tylko umysłowi rozumującemu zupełnie prymitywnie — pisze publicysta Konwentu — może się zdawać, iż w życiu dwu narodów, których stosunki wzajemne kształtowały się w ciągu szeregu wieków pod wpływem niezmiennych praw geopolitycznego położenia w ich tendencji rozwojowej nastąpi nagle 'dziejowy przełom', rozpocznie się nowa era”¹¹. Odrzucenie doświadczenia historycznego prowadzić ma do niewłaściwej oceny zjawisk i tendencji politycznych na arenie międzynarodowej i w rezultacie działalność polityczna odrzucająca to doświadczenie prowadzić ma tylko do aktów godzących w żywotne interesy państwa. Przykładem takiego postępowania ma być pakt rosyjsko-polski z lipca 1941 roku, zawarty przez generała Sikorskiego¹². W publicystyce piłsudczykowskiej doświadczenie historyczne prowadzi do cywilizacyjnego spojrzenia na rzeczywistość kulturowo-polityczną. Ten sposób widzenia rzeczywistości politycznej był charakterystyczny dla znacznej części nurtu niepodległościowego i dla wielu polskich myślicieli, przykładem poglądy Mochnackiego, Kucharzewskiego, Konecznego, a także Piłsudskiego. Ten „cywilizacyjny” sposób myślenia nakładał się w publikacjach Konwentu na poglądy geopolityczne, tworząc cywilizacyjno-geopolityczną podstawę dla własnych koncepcji.

Przekonanie, iż Polska leży pomiędzy Niemcami i Rosją — dwiema zaborczymi potęgami — jest przesłanką do sformułowania celu: mocarstwowości Polski. Pod pojęciem tym rozumie się nie tylko potencjał militarny czy demograficzny, ale także zdolność do ekspansji kulturowej i ekonomicznej oraz wpływ na stosunki międzynarodowe, tak aby „Polska, promieniując swą rządnością i kulturą, była ośrodkiem skupiającym wolne narody, pod hasłem odwiecznym Wolni z Wolnymi, Równi z Równymi”¹³. Mocarstwowość Polski ma paraliżować zaborcze dążenia Niemiec i Rosji, albowiem „nikt w Europie nie chce wojny rozpętać i wojny nie rozpęta — prócz jednego z tych dwóch narodów, jeśli nie

10. Gwido [Lipiński W.] *Polityka zagraniczna Piłsudskiego i Becka*. Warszawa 1942, str. 5-7.

11. Gwido. *Pakt... op. cit.*, str. 10.

12. *Tamże*, str. 10-12.

13. *Droga (1943)* nr 1 „Od redakcji”, str. 1.

obu razem”, a problem wojny i pokoju ma być problemem Polski silnej lub Polski słabej¹⁴. Opanowanie Polski ma być zarówno dla Niemiec jak i dla Rosji zdobyciem pierwszego okopu w walce o panowanie nad światem. Ignacy Matuszewski pisze, iż tak jak w 1920 roku „przez Wilno, Grodno, Warszawę wiodła droga do panowania namiestników moskiewskich w Berlinie, Paryżu, Madrycie, może w Londynie i Waszyngtonie — jak panowała już Moskwa nad Budapesztem, Lipskiem i Monachium, tak dziś przez Chojnice, Wejherowo, Kartuzy (...) wiedzie niemiecki szlak do władania nad światem”¹⁵. Polska jako najdalej na północny wschód wysunięty bastion kultury łacińskiej jest tej kultury przednią strażą. Wojna z Polską ma być wojną o zdobycie pozycji wypadowych w przyszłej wojnie o panowanie nad światem. Dlatego Polska słaba, to w przekonaniu piłsudczykowskiego publicysty ogromne wzmocnienie szans wojny światowej. „I gdyby Polska wojnę o swoje istnienie przegrała — wówczas do waszych domostw [państw Europy zachodniej i Ameryki — M.P.] tak odległych i tak dziś spokojnych, do waszych drzwi, tak na pozór bezpiecznych — śmierć ręką kościaną zapuka”¹⁶. Natomiast silna Polska ma być gwarantem pokoju w Europie, paralizując samym swym istnieniem imperializm rosyjski i niemiecki. A w oparciu o silną Polskę inne małe narody leżące na północnym wybrzeżu bałtycko-adriatycko-czarnomorskim mają być zdolne do istnienia i obrony własnej suwerenności. Rozważania na temat roli Polski w tej części Europy J. Matuszewski — którego broszurę „Wola Polski” Konwent przedrukował — rekapitułuje następująco: „Jest [ona — M.P.] dziś — zrzędzeniem losu — przednią strażą, pierwszym okopem wszystkich ludów, co nie chcą żyć w niewoli”¹⁷. Polskie dążenie do mocarstwowej pozycji w tej części kontynentu oraz dominujące znaczenie dla polskiego „być albo nie być” położenia geopolitycznego pomiędzy Niemcami i Rosją wyznacza właściwie całą piłsudczykowską koncepcję polskiej polityki zagranicznej.

A. *Polityka wobec Niemiec*

Stosunek ruchu piłsudczykowskiego do Niemiec wynika głównie z dążenia do trwałej likwidacji zagrożenia niemieckiego oraz

14. Matuszewski Ignacy. *Wola Polski*. Warszawa 1942, str. 7.

15. *Tamże*, str. 7.

16. *Tamże*, str. 7.

17. *Tamże*, str. 8.

z rozwoju sytuacji militarnej na frontach drugiej wojny światowej.

Punktem wyjścia w rozważaniach nad polityką wobec zachodniego sąsiada jest analiza cywilizacyjna problemu niemieckiego. Płk Matuszewski uważa, iż Niemcy należały do łacińskiego kręgu kulturowego. Każdy z wielkich prądów kulturowych występujących w tym kręgu ma mieć swój odpowiednik na terenie Niemiec. Jednak naród ten nie chce — twierdzi piłsudczykowski publicysta — należeć do wspólnoty Zachodu, pragnie on wyzwolić się z zasad i wartości, które tworzą tę kulturę. Niemcy mają dążyć do zniszczenia wszelkich śladów tej cywilizacji „od tablic Mojżesza, kodeksu Justyniana, poprzez wszystkie lata wspólnych dziejów, prac, aż do zniszczenia materialnych śladów tego na ziemi — to jest warunek prawdziwego zwycięstwa Niemiec”¹⁸.

Polska, od tysiąca lat walcząca z narodem niemieckim w obronie własnych granic, obserwowała — pisze publicysta — jak rodził się i potworniał niemiecki imperializm, uosobiony w hasło *Drang nach Osten*. Przez tysiąc lat duch zaborczości coraz bardziej miał nasycać wszystko co niemieckie, aż cały naród został dotknięty zaburzeniami psychicznymi, bowiem tylko naród chory — pisze Lipiński, powołując się na wnioski Vansitarta — może wydać filozofię Fichtego, historiozofię *Deutscher Machtstaatsgedanke* Treitschkego czy traktat o wojnie Ludendorffa, w którym napisał „wszelka czynność ludzka i społeczna ma wtedy tylko swoje uzasadnienie, gdy przygotowuje wojnę”¹⁹. Zaś w *Myśli Państwowej* znajdujemy stwierdzenie, iż logiczną konsekwencją ducha pruskiego uosobionego w takich postaciach jak kanclerz Bismarck czy filozof Fichte mogą być tylko postaci typu Hitlera, Goebbelsa i Himmlera²⁰.

Płk Matuszewski uważa, iż państwa zachodnie walczące z Niemcami popełniają błąd, twierdząc, iż walczą tylko z National Sozialistische Deutsche Arbeiter Partei, bo według tego publicysty to nie grupa junkrów czy narodowych socjalistów, ale cały naród niemiecki jest odpowiedzialny za postępowanie swego państwa. Te metody, hasła i zasady, które w obecnej wojnie tak przerażać mają państwa zachodnie, były — twierdzi Matuszewski — od wieków stosowane wobec wschodnich sąsiadów²¹. Rozwijający się w tym narodzie duch zaborczości doprowadzić miał do swois-

18. *Tamże*, str. 18.

19. Gwido [Lipiński W.]. *Bilans czterolecia 1939-1943. Próba syntezy*. Warszawa 1943, str. 2.

20. *Myśl Państwowa* (1942) nr 32, „Między Niemcami a Rosją”, str. 4.

21. Matuszewski... *Wola... op. cit.*, str. 17/18.

tego uniwersalizmu, tj. do ukształtowania na modłę niemiecką całego świata. I to właśnie ma być źródłem nieszczęść, których doznają narody Europy od niemieckiego najeźdźcy²². Ta cywilizacyjna ocena nie przeszkadza jednak piłsudczykom w ocenie realistycznej możliwości zagrożenia pokoju przez powojenne Niemcy. Głównym czynnikiem ograniczającym rolę Niemiec w powojennej Europie ma być wyczerpanie demograficzne. Spadek rozrodczości, pogłębiony wykrwawieniem się w czasie wojny, ma w przyszłości ograniczyć bądź całkowicie wyeliminować zagrożenie niemieckie. Obok tego procesu publicyści piłsudczykowski przewidują upadek gospodarczy tego państwa na skutek ogromnych zniszczeń wojennych. Powszechna nienawiść do tego narodu zapobiegnać ma odbudowie jego potencjału ekonomicznego, tak że Niemcy przestaną pełnić rolę czynnika równowagi²³.

Wybuch wojny niemiecko-sowieckiej stworzyć miał nową jakość polityczną. Klęska Niemiec — zdaniem płk. Lipińskiego — była nieunikniona. Rozgromienie ich miało być tylko kwestią czasu. Natomiast głównym zagrożeniem polskiej niepodległości i integralności terytorialnej miało odtąd być zagrożenie sowieckie. Teza ta, postawiona już w pierwszym numerze *Myśli Państwowej*²⁴, stała się czynnikiem determinującym stosunek Konwentu do Rzeszy niemieckiej w czasie wojny. W pracy „Bilans czterolecia 1939-1943” możliwość wybuchu powstania antyniemieckiego autor przewiduje jedynie wówczas, gdyby armie państw zachodnich wkroczyły na ziemie polskie przed armią sowiecką. W przypadku odmiennego rozwoju sytuacji antyniemieckie powstanie byłoby — zdaniem autora — działaniem samobójczym i antynarodowym. Wówczas należy — poprzez zaniechanie wszelkich działań skierowanych wobec przegrywającego wroga — doprowadzić do dłuższego wykrwawiania się obu wrogów²⁵.

Fundamentem polskiej polityki wobec Niemiec miał być asekuracyjny sojusz z Francją. Sojusz ten miał mieć mocne podstawy, ponieważ leżeć miał w interesie obu państw. Oprócz sojuszu polsko-francuskiego piłsudczycy proponują utrzymanie zawartego w sierpniu 1939 roku sojuszu polsko-angielskiego. Zdaniem publicystów Konwentu alians z Wielką Brytanią ma być dla Polski cenniejszy jako skierowany nie tylko przeciw Niemcom, ale

22. *Tamże*, str. 7: „Widzieliśmy z bliska w ciągu stuleci, jak rodziły się, rosły, potworniały te dwa policyjne uniwersalizmy. Bo są to dziś uniwersalizmy — tzn. są to: potęgi dążące do ukształtowania na swą modłę całego świata”.

23. *Myśl Państwowa* nr 32 „Między Niemcami...”, *op. cit.*, str. 2/3.

24. *Myśl Państwowa* nr 1, „Postawa społeczeństwa”, str. 5.

25. *Gwido. Bilans...*, *op. cit.*, str. 60-63.

także przeciw Rosji. Dla Wielkiej Brytanii Polska miała stać się po wojnie czynnikiem osłabiającym nacisk rosyjski na europejską strefę zainteresowań tego mocarstwa²⁶.

Klęskę Niemiec Polska winna maksymalnie wykorzystać, zwłaszcza doprowadzić do poważnego osłabienia potencjału gospodarczego i terytorialnego, tak aby nigdy już nie powstało na zachodniej granicy zagrożenie naszego kraju. Podstawą powojennych stosunków polsko-niemieckich ma być nowa granica pomiędzy tymi państwami. Nowa granica ma wyrównać wielowiekowe porachunki polsko-niemieckie. Płk Waław Lipiński w pracy „Bilans czterolecia 1939-1943” wysuwa propozycję, aby wszystkie ziemie, które zostały Polsce zagrabione w ramach odwiecznego parcia niemczyzny na wschód, zostały zwrócone. Powojenna granica ma być tak wyznaczona, aby miała sens pod względem politycznym, historycznym, gospodarczym, wojskowym oraz demograficznym. Północna granica w całej rozciągłości ma się opierać o Bałtyk, tak by kraj nasz mógł stać się państwem lądowo-morskim. Rozwiązanie takie nie powinno — zdaniem Lipińskiego — spotkać się z przeciwdziałaniem państw zachodnich ponieważ Wielkiej Brytanii potrzebne ma być silne państwo polskie jako czynnik równowagi w tej części kontynentu. Ziemie leżące na zachód od przedwojennej granicy Rzeczypospolitej są — zdaniem autora propozycji — zamieszkałe przez mniejszość polską i dlatego włączenie ich do Polski ma uzasadnienie etnograficzne. Teren Dolnego Śląska jako klin wbijający się pomiędzy Polskę i Czechosłowację ma być zlikwidowany, a granica polsko-czeska bieć wzdłuż linii Sudetów²⁷.

Środowisko Konwentu odmawia ludności niemieckiej zamieszkującej te terytoria oraz ziemie w granicach przedwojennej Polski praw mniejszości narodowej. W przeciwieństwie do ludności ukraińskiej, białoruskiej i litewskiej, która ma pełne prawo żyć w granicach Rzeczypospolitej, ludność niemiecka jako napływowa ma być przesiedlona, tak jak przesiedlona została w 1940 roku z Estonii, Łotwy, Besarabii do macierzystych Niemiec²⁸.

Prasa Konwentu wysunęła projekt, aby Niemcy jako państwo, które rozpętało wojnę światową płaciły Polsce odszkodowania. Także poszczególni obywatele niemieccy mieli zwrócić to, co zagrabili, a robotnicy niemieccy w celach wychowawczych pracować przy odbudowie zniszczonych miast polskich²⁹.

26. *Tamże*, str. 52.

27. *Tamże*, str. 53.

28. *Tamże*, str. 53.

29. *Droga* (1944) nr 6, „Porachunki dziejowe”, str. 10-11.

W koncepcjach Konwentu polityce wobec Niemiec powinno przyświecać dążenie do całkowitej likwidacji zagrożenia niemieckiego i przekonanie, iż klęska w wojnie spowoduje głęboki ekonomiczny, demograficzny i polityczny upadek tego narodu, tak że groźba zagrożenia niemieckiego przestanie być realna. To przekonanie leży u podstaw propozycji zaniechania w czasie wojny wszelkich aktów antyniemieckich, aby nie osłabiać tego wroga, który i tak jest już skazany na klęskę. Stosunek do Niemiec wyznaczony jest w znacznej mierze także polityką wobec Związku Sowieckiego — w przekonaniu piłsudczyków — głównego wroga Polski w tej wojnie.

B. Koncepcja polityki wobec Związku Sowieckiego

Podobnie jak polityka w stosunku do Niemiec, także polityka wobec Związku Sowieckiego wynikała z cywilizacyjnego sposobu widzenia rzeczywistości. Ten punkt widzenia, przyjęty przez Piłsudskiego, niepodzielnie panował w poglądach piłsudczyków. Jego słowa „Rosja jest zaciekle imperialistyczna. Jest to nawet zasadniczy rys jej charakteru. Mieliśmy imperializm carski, widzimy dzisiaj imperializm czerwono-sowiecki”³⁰, zacytowane jako motto jednego z artykułów o Rosji, są myślą przewodnią wszystkich rozważań piłsudczyków na temat polityki wschodniego sąsiada.

Według *Drogi* wschodnia granica Rzeczypospolitej jest granicą dzielącą nie tylko dwa państwa, ale przede wszystkim dwie odmienne światopoglądem, tradycją i obyczajem, obce sobie cywilizacje. Płk Matuszewski twierdzi, iż narody żyjące na ziemiach byłej Rzeczypospolitej dzieli „głęboka i nieprzewycięzona obcość duchowa” od „bizantyjsko-mongolskiej kultury i psychiki rosyjskiej”³¹. Ten sam autor uważa, iż „współżycie Polski i Rosji jest możliwe tylko przez separację. Tylko, kiedy jeden kraj od drugiego, jeden naród od drugiego oddziela wyraźna nieprzekraczalna linia, kiedy życie nie przenika się nawzajem, (...) tylko, gdy oba państwa rozgrodzi wyraźna granica dzieląca od zarania historycznego nie tylko te dwa narody, ale te dwa światy — tylko wtedy możliwe jest dobre sąsiedztwo. Wszelkie zatarcie, wszelkie zakwestionowanie tej linii — oznacza walkę. A więc oznacza wojnę. Tyle wieków historii tego właśnie uczy”³².

Po wschodniej stronie tej granicy charakter narodu kształto-

30. *Droga* (1943) nr 3 „Wielka Rosja”, str. 2.

31. Matuszewski... *Wola...*, op. cit., str. 13.

32. *Tamże*, str. 16.

wać się miał pod przemożnym wpływem przeszło dwuwiekowej niewoli tatarskiej. Nastąpić wówczas miało przestawienie słowiańskiego sposobu myślenia „na tory działania, rządzenia i myślenia kategoriami cywilizacji turańskiej. Kościół skostniały w swych formach już od swego bizantyjskiego źródła podporządkowany władzy wielkich książąt, a później carów — w małym stopniu mógł oddziaływać na barbarzyński naród”. Trwałym spadkiem po panowaniu tatarskim mają być dążenia zaborcze oraz przyzwyczajenie do wyzysku podbitych narodów i brak zdolności gospodarczych³³.

Właśnie imperializm cechować ma ten naród w ciągu całej jego historii. Już od połowy XV wieku miał podbijać sąsiednie narody i państwa, topiąc we krwi ich swobody obywatelskie, obyczaje, religie oraz niszcząc ich instytucje polityczne i społeczne. Droga niesłychanych okrucieństw zlikwidowane miały być republiki jak Psków czy Nowogród, przesiedlone bądź wymordowane całe narody — wprowadzając na coraz to nowych terenach „sławetne *objedinenije* — niwelując wszystko do swego barbarzyńskiego poziomu”³⁴. Ten niezmienny imperializm opiera się na coraz to nowych ideologiach. W czasach Wielkiego Księstwa Moskiewskiego pozorem podbojów miało być „zbieranie ziem ruskich”, w XVIII wieku — obrona prawosławia w Polsce, wiek XIX przynieść miał panslawizm, a wiek XX komunizm. Zawsze jednak rzeczywistym celem Rosji ma być podbój całego świata³⁵.

Naród rosyjski wytworzyć miał także niespotykany w kręgu kultury łacińskiej system samowładztwa. Kosztem tysięcy istnień ludzkich i całkowitego zniesienia jakichkolwiek wolności obywatelskich stworzony został system nieomal teokratyczny, w którym naród „i to co boskie oddał Cezarowi”³⁶. Naród rosyjski — pisze *Droga* — nie jest w stanie stworzyć systemu demokratycznego, nie jest bowiem w stanie zrezygnować z więzienia w swych granicach innych narodów, nawet „szczyty Rosji Rewolucyjnej, Rosji dekabrystów, Bakuninów, Herzenów nie inaczej wyobrażały sobie własną wolność, jak przez zmianę knuta carskiego na knut czerwony”. Publicysta *Drogi* uważa, iż pod maską każdego rosyjskiego liberała, rewolucjonisty, uczonego i duchownego kryje się „oblicze moskiewskiego satrapy lub siepacza typu opricznika Iwana IV, agenta ochrony, GPU, NKWD”³⁷.

33. *Droga* (1943) nr 4, „Wielka...”, *op. cit.*, str. 2/3.

34. *Tamże*, str. 5.

35. *Tamże*, str. 3.

36. Matuszewski... *Wola...*, *op. cit.*, str. 15

37. *Droga* nr 4, „Wielka...”, *op. cit.*, str. 3.

Rewolucja bolszewicka i wprowadzenie komunizmu w przekonaniu piśsudczykowskich publicystów niczego nie zmieniło. Komunizm stworzyć miał państwo-automat, w którym człowiek zdegradowany został do rangi małego trybiku. Zanegowane zostały jakiegokolwiek wartości niematerialistyczne, wszystko to, co stanowi kulturowy dorobek ludzkości³⁸. Rzeczywistość rosyjska to rzeczywistość *Biesów* Dostojewskiego — pisze Matuszewski i dodaje — „być może, że jest to prawda piękna, wspaniała, tragiczna, ale człowiek wspólnoty zachodnioeuropejskiej nie może w niej żyć”³⁹.

Podobnie jak w polityce wewnętrznej, tak w polityce zewnętrznej komunizm miał spotęgować wszystkie negatywne cechy narodu rosyjskiego. Udoskonalic miał zwłaszcza formy walki ze wspólnotą łańską, której ten naród miał nigdy nie rozumieć, a zawsze pogardzać i nienawidzić. Walka z kulturą łańską ma być prowadzona pod hasłem zburzenia „zgniętego Zachodu”⁴⁰. W odróżnieniu od niemieckiej metody niszczenia demokracji od zewnątrz, Rosja bolszewicka ma dążyć do paraliżu demokracji od wewnątrz⁴¹. W tym celu powołany miał być Komintern — organizacja rządząca się na prawach zakonu, o bardzo surowych, rygorystycznych i nietolerancyjnych klauzulach. Agendami tej organizacji są partie komunistyczne werbujące swych członków spośród ludzi o wybujałych ambicjach o zabarwieniu anarchistycznym, żądnych przygód i chęci stworzenia sobie lepszej przyszłości. Dodatkowym czynnikiem popularności idei komunistycznych ma być ich pseudorewolucyjna maska, a także ciężka sytuacja ekonomiczna części społeczeństwa. Partie te działają — zdaniem *Myśli Państwowej* — na zasadach piątej kolumny i zagrażają niepodległości krajów, w których działają⁴². Komunizm rosyjski ma być tylko nowym wcieleniem moskiewskiego ducha „zaboru, niewolnictwa i zniszczenia”⁴³. W 1920 roku bolszewicka Rosja starym szlakiem — przez Polskę — uderzyła na Europę, aby pod hasłami komunistycznymi opanować świat. Na podbój Europy Związek Sowiecki wspólnie z drugim totalnym państwem wyruszyć miał we wrześniu 1939 roku. Tak jak dawniej najazd rosyjski znaczony jest — stwierdza publicysta — grobami tysięcy pomordowanych i deportacją przeszło dwóch milionów obywateli pol-

38. *Tamże*, str. 4.

39. Matuszewski... *Wola...*, *op. cit.*, str. 16.

40. *Myśl Państwowa* (1944) nr 54, „W obronie PPR”, str. 10.

41. *Myśl Państwowa* nr 32, „Między...”, *op. cit.*, str. 4.

42. *Myśl Państwowa* nr 54, „W obronie PPR”, str. 11.

43. *Myśl Państwowa* nr 32, „Między...”, *op. cit.*, str. 6.

skich⁴⁴. W tym podboju Związek Sowiecki zmieniać będzie partnerów i zarówno Niemcom jak i państwom zachodnim zgotuje konsekwentną zagładę⁴⁵.

Przez wieki Polska stanowić miała zaporę dla rosyjskiego imperializmu. „Polska Jagiellonów, Batorego i Piłsudskiego” walczyć miała nie tylko o istnienie i wolność państwa polskiego, ale także o prawo do swobodnego rozwoju kultury łacińskiej. By podbić Europę, Związek Sowiecki musi wcześniej zawładnąć Polską⁴⁶. Zwłaszcza w obliczu potężniejącego z każdym pokoleniem potencjału rosyjskiego groźba agresji ze wschodu — w przekonaniu piłsudczyków — nabiera coraz bardziej złowieszczości i groźnego dla państw łacińskiego kręgu kulturowego charakteru⁴⁷. Zagrożone mają być w pierwszym rzędzie wschodnie województwa Rzeczypospolitej, które w rezultacie agresji w 1939 roku zostały włączone do Związku Sowieckiego. Ziemi te w przekonaniu publicysty Konwentu są polskie i nikt nie ma prawa kwestionować ich przynależności państwowej. „Polski jest Lwów — pisze Matuszewski — za który od straż tatarskich, od szabel tureckich, od kul austriackich, od bagnatów rosyjskich — oddało życie więcej Polaków, niż dziś to miasto liczy mieszkańców. Polskie jest Wilno z Matką Bożą w Ostrej Bramie, z sercem Piłsudskiego śpiącym na Rossie. Nasze są poleskie równiny i mokradła, skąd Traugutt wyruszył do walki skończonej na wysokości warszawskiej szubienicy. Polski jest Krzemieniec schylony razem ze Słowackim nad Ikwą, polski Nowogródek między dwoma księżycami, polskie są cmentarze i lasy i każdy oddech tej ziemi tak samo tutaj, jak w Poznaniu, jak w kopernikowskim Toruniu”⁴⁸. Polska według tego piłsudczyka nie tylko nie ustąpi z kawałka własnego terytorium, ale także nie pozwoli, aby ktokolwiek dyskutował taką możliwość inaczej, niż ogniem karabinów maszynowych. Każdy kto naruszy integralność polskiego terytorium ma się spotkać ze zdecydowanym oporem, który zakończyć się ma albo zwycięstwem, albo zagładą całego narodu. „Innego sposobu nie ma — pisze płk Matuszewski — by zmusić naród polski do zrzeczenia się swoich praw”⁴⁹. Osłabienie Polski przez zabór części jej terytorium to jednocześnie osłabienie jej oporu wobec rosyjskiej dominacji.

W czasie tej wojny Rosjanie przygotowywać się mają do

44. *Tamże*, str. 5.

45. *Myśl Państwowa* nr 1, „Postawa...”, *op. cit.*, str. 5.

46. *Myśl Państwowa* nr 32, „Między...”, *op. cit.*, str. 3.

47. *Droga* nr 4, „Od redakcji”, str. 1.

48. Matuszewski... *Wola...*, *op. cit.*, str. 21.

49. *Tamże*, str. 22.

aneksji części bądź całego terytorium Polski. W tym celu wysyłały oddziały partyzanckie, których akcje dywersyjne skierowane są nie przeciwko Niemcom, ale przeciwko ludności polskiej. Działalność tych oddziałów partyzanckich ma przyzwyczajać polskie społeczeństwo do przyszłej władzy sowieckiej⁵⁰.

Także Polska Partia Robotnicza ma być wiernym i posłusznym wykonawcą poleceń Moskwy. Współdziałać ma ona z sowieckimi oddziałami partyzanckimi, szerząc hasła irredenty nacjonalistycznej i prawosławnej oraz skupiając ludność pod hasłami pozornie narodowymi i niezależnymi. Celem tych akcji ma być nie tylko aneksja kilku wschodnich województw, ale także opanowanie całości państwa polskiego i rusyfikacja narodu⁵¹.

Także akcja wojenna Związku Sowieckiego jest ukierunkowana na podbój całej Europy. Stalin za cenę całkowitej pauperyzacji narodu, ogołacając — na rzecz frontu — państwo z ludzi, żywności i sprzętu, pragnie zająć Niemcy przed państwami zachodnimi, zaś po załamaniu i zanarchizowaniu Niemiec „nic (...) nie powstrzyma dywizji rosyjskich, przed którymi dobrowolnie otworzą się bramy wszystkich miast europejskich: Warszawy i Bukaresztu, Berlina i Paryża, Wiednia i Brukseli”⁵². Wówczas Związek Sowiecki stać by się miał głównym i rozstrzygającym czynnikiem w organizacji powojennej Europy⁵³.

Wybuch wojny rosyjsko-niemieckiej przesądzić miał o klęsce Niemiec i na plan pierwszy wysunęło się — zdaniem piłsudczyków — niebezpieczeństwo sowieckie. Teza ta, postawiona już we wrześniu 1941 roku, była przez cały okres wojny w publicystyce Konwentu ponawiana i precyzowana. W opracowaniach „Pakt polsko-rosyjski” z roku 1942 i „Bilans czterolecia 1939-1943” z roku 1943 publicyści piłsudczykowski przedstawili trzy możliwe warianty rozwoju sytuacji wojennej na ziemiach polskich: 1. Niemcy pod naporem Armii Czerwonej cofają się przez polskie terytorium; 2. Niemcy opuszczają Polskę dobrowolnie wskutek porozumienia ze Związkiem Sowieckim; 3. Niemcy opuszczają Polskę wskutek ataku państw zachodnich i błyskawicznego opanowania Europy zachodniej i środkowej. Pierwsze rozwiązanie — według autora — jest najprawdopodobniejsze. Niemcy będą się cofać w zaciętej walce. Wskutek zmniejszającej się linii frontu i nasycenia terytorium polskiego wrogimi sobie wojskami nastąpić ma zniszczenie ziem polskich. Okupant niemiecki w oba-

50. *Myśl Państwowa* (1942) nr 20, „Wątpliwy sojusznik”, str. 1/2.

51. *Myśl Państwowa* (1944) nr 59, „W obronie PPR”, str. 9/11.

52. Gwido. *Bilans...*, op. cit., str. 50/51

53. *Tamże*, str. 51.

wie przed wybuchem antyniemieckiego powstania rozwinąć ma terror do niespotykanych rozmiarów. Pomimo zwiększenia liczby dywizji do ok. 220, Niemcy nie mają być zdolni do prowadzenia wielkich operacji i ograniczyć się mają tylko do defensywy. Po zastosowaniu klasycznej formy obrony stałej, Wehrmacht zmuszony ma zostać do przejścia na obronę ruchomą z kombinowaną obroną stałą, wskutek czego kolejnymi jej etapami mają być linie rzeczne. Autor wylicza na podstawie dotychczasowych postępów Armii Czerwonej, że w pełni lata 1944 roku wojska sowieckie winny dotrzeć do linii Wisły⁵⁴.

Wariant drugi nastąpić może wówczas, gdy w Niemczech dojdzie do przewrotu i obalenia Hitlera oraz natychmiastowego porozumienia ze Związkiem Sowieckim. W ramach tego wariantu Niemcy dobrowolnie ewakuowałyby się z terenów okupowanych i państw sprzymierzonych na wschód i południowy wschód od Niemiec i te terytoria przekazane zostałyby Rosjanom. Takie rozwiązanie pozwolić miałyby Niemcom na zebranie sił na Zachodzie i wytargowanie znośnego pokoju z państwami anglosaskimi. Ponieważ także dla Rosjan rozwiązanie to byłoby korzystne, dając im duże zdobycze stosunkowo małym nakładem środków i czasu, rozwiązanie takie jest — zdaniem Lipińskiego — realne. Wówczas na ziemi polskie wkroczyłyby wojska rosyjskie⁵⁵.

Wariant trzeci jest przez samego autora określane jako „pobożne życzenia”, choć nie pozbawione cech prawdopodobieństwa. Jego realizacja nastąpić może tylko wówczas, gdy pod uderzeniem armii anglosaskich nastąpi załamanie Niemiec i wojska państw zachodnich pierwsze zajmą terytoria okupowane przez Rzeszę. Zdaniem Lipińskiego uderzenie brytyjskie nastąpi dopiero, gdy Churchill będzie przekonany o znacznej przewadze własnych sił, których użycie powinno przynieść rozstrzygnięcie wojny. Uderzenie anglosaskie nastąpić może z trzech głównych baz: z Wielkiej Brytanii, Afryki Północnej oraz z Bliskiego Wschodu. Wojska brytyjskie mają dokonać ataku w strefie Kanału, tak aby szybko przetransportować wojska na teren Francji pod ochroną brytyjskiego lotnictwa. Wprowadzenie do akcji militarnych we Włoszech sił skupionych w Afryce powinno — zdaniem autora — dać „szybkie i stanowcze rezultaty”. Trzecią bazą ma być Bliski Wschód, gdzie znajdować się mają 9-ta i 10-ta armia oraz inne jednostki państw sprzymierzonych, wśród nich także dywizje polskie. Wprowadzenie ich do działań wojennych zależeć ma od udostępnienia przez Turcję aliantom baz morskich. Bez tych

54. *Tamże*, str. 57.

55. *Tamże*, str. 58.

baz armie bliskowschodnie nie mogłyby rozpocząć działań militarnych w rejonie Bałkanów⁵⁶.

Uderzenie brytyjskie — zdaniem Lipińskiego — powinno być bitwą ostatnią i rozstrzygającą. Nastąpić wówczas ma katastrofa Niemiec na zachodzie, południu i południowym wschodzie. Zanim do Polski wkroczyliby Rosjanie, dywizje amerykańskie, brytyjskie i polskie dowodzone przez polskiego Wodza Naczelnego oswołodziłyby terytorium polskie i „po latach niemieckiej okupacji należeć się będzie Polsce odmiana losu, uśmiech Boga dla Polaków”⁵⁷.

W wypadku trzeciego wariantu Lipiński przewiduje wybuch antyniemieckiego powstania w Polsce i tym samym przyspieszenie wyzwolenia naszego kraju spod okupacji niemieckiej⁵⁸.

Natomiast rozwój sytuacji przewidzianych w dwu pierwszych wariantach wykluczać ma nie tylko wywołanie powstania antyniemieckiego, ale także jakichkolwiek innych gestów dyktowanych odruchami odwetu. Powstanie w warunkach cofania się Niemców byłoby — zdaniem piśsudczykowskiego publicysty — „szaleństwem politycznym, samobójstwem wojskowym”, albowiem osłabiałoby tylko tego wroga, który jest już skazany na klęskę, a tym samym przyspieszałoby wkroczenie w końcowym momencie wojny wojsk głównego wroga Polski — Związku Sowieckiego. Powstanie antyniemieckie w tym momencie może być tylko dziełem „nieodpowiedzialnych głupców albo rosyjskich agentów”⁵⁹. Gdy wybuchło powstanie, Konwent zmuszony sytuacją wezwał jednak ulotkami mieszkańców Warszawy do walki w jego szeregach⁶⁰. W ulotkach tych, podobnie jak w ostatnich numerach pisma informacyjnego *Tydzień*, przestrzegał nadal przed zagrożeniem rosyjskim. W artykule zatytułowanym „Droga do wolności”, zamieszczonym w ostatnim numerze *Tygodnia*, publicysta pisze: „Przewidując wkroczenie Rosji do stolicy Polski, musimy przewidywać jej agresywne, imperialne, a obce naszemu Państwu stanowisko. Musimy być przygotowani na drugi, oby najkrótszy okres presji rosyjskiej chcącej podporządkować sobie 'priwisłańskij kraj' i włączyć nas w sferę wielkorusyjskich interesów. Tylko od naszej postawy, od naszej woli oporu będzie zależał nasz los. Stoimy w przededniu drugiego okresu walki o Ojczyznę, po którym już

56. *Tamże*, str. 58/60.

57. *Tamże*, str. 60.

58. *Tamże*, str. 63.

59. *Tamże*, str. 62.

60. CA KC PZPR, zespół „Konwent Organizacji Niepodległościowych”, karty 1-5.

przyjdzie okres ostatni, okres konstruktywnego budowania niepodległego i demokratycznego lepszego życia Polaków⁶¹. Jeszcze zanim groziło, że Rosjanie wkroczą do stolicy Polski, publicyści Konwentu postulowali, aby w już w momencie przekroczenia granicy polskiej przez wojska sowieckie rząd polski uroczystie promulgował swe suwerenne uprawnienia do całości terytorium państwowego Polski oraz ogłosił, że zasada *restitute in integrum* jest nienaruszalną zasadą polskiej polityki. Gdyby jednak doszło do rosyjskiej okupacji, pierwszym zadaniem miało być zlikwidowanie rosyjskiej ekspozytury wewnątrz polskiego społeczeństwa, aby uniemożliwić jej odegranie roli, wyznaczonej przez sowieckiego mocodawcę. Powstanie antyrosyjskie miało być kwestią drugiego rzutu. Walka z Armią Czerwoną, której wkroczenie do Polski ma być sprzeczne z 4-tym punktem Konferencji Moskiewskiej, ma doprowadzić do konfliktu sowiecko-anglosaskiego i w konsekwencji do korzystnych dla Polski rozwiązań⁶².

Z przyczyn cywilizacyjnych — w przekonaniu sędziów — niemożliwe miało być stworzenie po wojnie zgodnego współżycia politycznego narodów polskiego i rosyjskiego w ramach jakiegoś jednego tworu politycznego, bo „jakiż może być współżycie polityczne — pyta autor „Woli Polski” — obu ludów, które znały nadmiar swobód i zbytek wolności z krajem, gdzie od zarania dziejów, bez przerwy, bez zmian aż po dziś dzień trwa ustrój nieoświeconego absolutyzmu”⁶³. Ta cywilizacyjna obcość wykluczać ma wszelkie prorosyjskie rozwiązania sprawy polskiej.

2. MIEJSCE POLSKI W EUROPIE ŚRODKOWO-WSCHODNIEJ

Koncepcje zaprowadzenia w Europie środkowo-wschodniej nowego ładu politycznego, którego główną osią miała być Polska, wypływają z geopolitycznej analizy sytuacji narodów tej części kontynentu. Publicysta *Drogi* pisze: „Wydaje się, że dwa tu tylko istnieją rozwiązania dla nas i dla innych słabszych sąsiednich narodów, które jednak własnym wolnym chcą żyć trybem, albo rozbić Rosji na części składowe, albo stworzenie tak silnego związku zagrożonych w swej wolności i istnieniu narodów, który zdolny byłby oprzeć się potwornemu kolosowi”⁶⁴. Narastające

61. *Tydzień* (1944) nr 47, 9 sierpnia 1944.

62. Gwido, *Bilans...*, *op. cit.*, str. 61.

63. Matuszewski... *Wola...*, *op. cit.*, str. 15

64. *Droga* nr 4, „Od redakcji”, str. 1.

bezpośrednie zagrożenie sowieckie musiało spowodować ograniczenie rozważań na temat powojennego kształtu Europy w publicystyce Konwentu, dlatego też wzmianki na temat ewentualnej federacji, bądź sojuszu polityczno-wojskowego narodów tej części kontynentu są na ogół ogólnikowe i nie precyzują kształtu tego bloku. Właściwie wymienia się dwa warianty. Pierwszy obejmowałyby kraje leżące na międzymorzu bałtycko-czarnomorskim. Kraje te ma łączyć wspólna kultura i tradycja życia politycznego w granicach Rzeczypospolitej przedrozbiorowej⁶⁵. Drugi wariant przewiduje federację bądź konfederację Polski, Czech, Słowacji, Litwy, Łotwy, Estonii, Białorusi, Ukrainy naddnieprzańskiej, Rumunii, Węgier, Jugosławii, Bułgarii oraz Serbo-Łużyczan. Blok ten — w przyszłości ewentualnie powiększony o państwa skandynawskie, Turcję i narody kaukaskie — winien stać się Stanami Zjednoczonymi Europy środkowo-wschodniej i północnej. Rozważania nad kształtem powojennej Europy publicysta zamyka pytaniem: „Cóż wtedy znaczyć będzie potęga Niemiec czy Rosji?”⁶⁶.

W tym bloku szczególnie miejsce przypaść ma Polsce. Posiada ona najstarszą państwowość i jest najsilniejszym organizmem państwowym, dlatego też na nią spaść ma obowiązek zapewnienia pozostałym narodom wolności i swobodnego rozwoju⁶⁷. Publicysta zdaje sobie jednak sprawę, iż proces tworzenia takiego bloku, choć leżeć ma w interesie wszystkich narodów tej części kontynentu, będzie długi i skomplikowany, albowiem pozostałe narody są nieufnie nastawione do Polski, w której granicach przez długi czas żyły⁶⁸.

Publicystyka Konwentu śladem Piłsudskiego podjęła myśl stworzenia w tej części Europy bloku państw, zdolnego do zagwarantowania każdemu z nich pokoju i bezpieczeństwa. Jednak narastające zagrożenie sowieckie spowodowało, iż wizja zjednoczonej Europy środkowo-wschodniej stała się odległą perspektywą, przesłoniętą w piłsudczykowskiej publicystyce zagadnieniami wojenno-okupacyjnymi i groźbą utraty na długi okres niepodległości. Koncepcje zjednoczenia tej części kontynentu uznać jednak należy za jedną z podstawowych i trwałych cech piłsudczykowskiej myśli politycznej.



Koncepcje Konwentu odzyskania i utrwalenia niepodległości

65. Matuszewski... *Wola...*, op. cit., str. 13.

66. *Służba Państwu* (1942) nr 5, str. 3.

67. Gwido. *Bilans...*, op. cit., str. 52/53.

68. *Tamże*, str. 53.

charakteryzuje typowy dla piłsudczyków państwocentryzm. W deklaracji założycielskiej walka o niepodległość i całość państwa jest celem głównym, podstawowym i najważniejszym. Temu celowi podporządkowane jest konsekwentne antyrosyjskie stanowisko, wynikające z wnikliwej oceny dążeń Związku Sowieckiego. Ocena ta leży u podstaw propozycji zaniechania działań antyniemieckich, przyspieszających tylko okupację rosyjską. Zachowanie przez konspiracyjne siły zbrojne neutralności w walkach sowiecko-niemieckich miało przyczynić się do przedłużenia tych walk, a tym samym do dalszego wykrwawienia Armii Czerwonej oraz zachowania zdolności bojowej do walki ze zwycięskim okupantem — Związkiem Sowieckim. To konsekwentnie niepodległościowo-państwowe stanowisko nie znalazło uznania ówczesnych politycznych i wojskowych władz polskich, czego wyrazem była akcja „Burza” i powstanie warszawskie. Trudno w pełni ocenić szanse tej koncepcji, ale wydaje się, iż pomimo wewnętrznej spójności i konsekwencji nie brała ona pod uwagę, iż Stany Zjednoczone i Wielka Brytania mogą oddać tę część Europy Związkowi Sowieckiemu. Podkreślić jednak należy, iż po wkroczeniu Armii Czerwonej do Polski pozostali w kraju piłsudczycy zorganizowani w Stronnictwo Niezawisłości Narodowej realizowali czynnie postulat walki z wszelkimi agendami stworzonymi przez władze komunistyczne.

Marian PIŁKA

BENESZ A POLSKA*

PRZEGLĄD POLSKI: — *Istnieje grupa polskich politologów, która utrzymuje, że współpraca polsko-czechosłowacka przed drugą wojną światową mogła spowodować albo zmianę polityki hitlerowskiej w stosunku do Europy wschodniej, albo nawet powstrzymać Hitlera przed wojną. Czy taka opinia jest słuszna?*

KAZIMIERZ WIERZBIAŃSKI: — Nie wiem, czy ta opinia jest słuszna, bo nie wiem, czy na Hitlera mogłoby cokolwiek wpłynąć. Natomiast jedno jest pewne — do współpracy trzeba dwóch stron, jedna nie wystarcza. Ze stosunków polsko-czeskich dam jeden przykład. Był to rok 1933, kiedy rozważano sprawę „Paktu Czterech”. W kwietniu 1933 roku minister Beck miał przyjechać do Pragi z konkretną propozycją przeciwko „Paktowi Czterech”, który uważaliśmy za absolutne uzależnienie Polski od Niemiec. Do wizyty tej jednak nie doszło, bo na dwa dni przed nią Benesz zaakceptował „Pakt Czterech”, układ między Włochami, Anglią, Francją i Niemcami. Te cztery państwa miały decydować o rozwiązywaniu wszystkich spraw w Europie. Pakt ten nigdy nie wszedł w życie. To była propozycja opracowana przez Mussoliniego z brytyjskim ministrem Spraw Zagranicznych lordem Simmem. W 1938 roku, jeszcze przed rozbiorem Czechosłowacji, proponowaliśmy Beneszowi rozmowy. Nieoficjalnie złożyliśmy propozycje premierowi i ministrowi Spraw Zagranicznych sugerując, że jeżeli Czechosłowacja wystąpi z propozycją rozmów nie na temat „wiecznej przyjaźni” czy współpracy kulturalnej, ale kon-

* Zamieszczamy wywiad z Kazimierzem Wierzbiańskim, b. *attaché* prasowym poselstwa polskiego w Pradze, który ukazał się w nowojorskim *Przeglądzie Polskim* (tygodniowy dodatek do *Nowego Dziennika*) 14 listopada 1985.

kretnie rozmów wojskowych i politycznych — Polska podjęcia takich rozmów nie odmówi.

P.P.: — *Czy nie było już za późno?*

K.W.: — Dla Czechosłowacji był to już ostatni moment. Po dziesięciu dniach od złożenia tej propozycji, którą z polecenia polskich władz przekazywałem nieoficjalnie, przyszła odpowiedź odmowna. Przypominam, był to rok 1938. Jednego z moich pośredników w kontaktach z rządem Benesa spotkałem potem na uchodźstwie w Jerozolimie, potwierdził, że całkiem po prostu nie zgodziła się Moskwa.

P.P.: — *Czy stosunek Czechosłowacji, a w szczególności Benesa, do Polski nie wynikał z tego, że nie wierzył on w przetrwanie Polski?*

K.W.: — W pewnym sensie tak. W każdym razie w roku 1931 czy 1932 Benesz powiedział na konferencji prasowej z dziennikarzami dyplomatycznymi, że z Polską Czechosłowacja nie może się wiązać, bo Polska to Bałkany Europy środkowej. Będzie miała nieporozumienia z Niemcami i z Rosją. Jakikolwiek związan się z Polską byłoby wciąganiem Czechosłowacji w sprawy, które jej nie obchodzą. Polska — jego zdaniem — była państwem sezonowym, *Saisonstaat*.

P.P.: — *Jaki był stosunek Czechosłowacji do tzw. Małej Ententy?*

K.W.: — Tu sięgamy jeszcze do roku 1923, kiedy minister Spraw Zagranicznych Polski, Sejda, złożył projekt przystąpienia Polski do Małej Ententy i przetworzenia jej w czwórsojusz Polski, Czechosłowacji, Rumunii i Jugosławii. Zostało to z miejsca przez Czechosłowację odrzucone. Pozostałe trzy państwa to znaczy Polska, Jugosławia, Rumunia, były gotowe zawrzeć takie porozumienie.

P.P.: — *Ważny był stosunek Rosji sowieckiej do tej propozycji.*

K.W.: — Tak, ale wtedy, w 1923 roku, ZSSR nie grał jeszcze wielkiej międzynarodowej roli. Grała ją Czechosłowacja. Pamiętajmy, że po pierwszej wojnie światowej Europa była centrum życia międzynarodowego. Czechosłowacja, która powstała w wyniku układów Czechów ze Słowakami w Pittsburgu, zarazem jako wynik antyaustriackiej polityki Francji, była ważnym elementem

w tym życiu. Rząd czechosłowacki od początku swego istnienia kokietował Sowiety. Ciekawa była w tym rola Rusi Przykarpackiej. Po drugiej wojnie światowej odebrano ją Węgrom. Czesi traktowali ją jednak jako depozyt. W Pradze słyszeliśmy o tym stale. Wschodnią granicę Polski na Zbruczu Praga traktowała jako przejściową. Małopolska wschodnia, czyli wschodnia część austriackiej Galicji, miała, tak uważał Benesz, przypaść Sowietom. Wtedy Czechosłowacja otrzymałaby wspólną z nimi granicę w Karpatach wschodnich. Kalkulacje Benesza spełniły się, ale przyniosły Czechosłowacji i całej Europie środkowo-wschodniej utratę niepodległości na rzecz imperium sowieckiego.

P.P.: — *Skąd rodziły się w polityce czechosłowackiej nadzieje, że może opierać się na Rosji?*

K.W.: — Wynikały one z panslawistycznych tradycji z jednej, i kalkulacji politycznych z drugiej strony. W połowie ubiegłego stulecia Rosja zaczęła propagować panslawizm, widziany oczywiście pod swymi opiekuńczymi skrzydłami. W Pradze odbył się pierwszy zjazd panslawistyczny w roku 1848. Czesi, jak i Bułgarzy, postawili na wielką, słowiańską Rosję. Czechosłowacja odziedziczyła te sympatie i kalkulacje.

P.P.: — *Ale ostatecznie niepodległość Czechosłowacja otrzymała od Zachodu.*

K.W.: — Czesi równocześnie łudzili się hasłami o słowiańszczyźnie...

P.P.: — *Czy w praktyce polityka Czechosłowacji w stosunku do Polski była polityką oglądania się na Rosję?*

K.W.: — We wczesnych latach trzydziestych była to polityka opierająca się przede wszystkim na związkach z Francją. Polska, zgodnie z polityką beneszowską, uważana była za państwo sezonowe. Czechosłowacja nie chciała wiązać się militarnie i politycznie z Polską. Nie zapominajmy o 1920 roku, a więc o wojnie polsko-sowieckiej. W swych pamiętnikach lord d'Abernon notuje, że stanowisko Czechosłowacji w stosunku do Polski było w tym momencie jeśli nie wrogie, to co najmniej nieprzyjazne. Zresztą sięgając do historii, to nieporozumienia polsko-czeskie i czesko-polskie są wiekowe. Jedynie król Jerzy z Podiebradu chciał porozumienia z Polską, ale to było w XV wieku.

P.P.: — *Równocześnie Czechosłowacja prowadziła politykę włas-*

nych zbrojeń. Jako bogaty i względnie uprzemysłowiony kraj mogła sobie pozwolić na unowocześnienie swojej armii i dysponowała bodaj trzema dywizjami pancernymi, co było niezmiernie ważnym elementem w ówczesnej wojskowej sytuacji Europy. Dlaczego nie dochodziło nawet do porozumienia tego typu, że na wypadek wojny te siły będą użyte dla wspólnej obrony?

K.W.: — Przed rokiem 1937 prezydent Benesz proponował posłowi niemieckiemu w Pradze ni mniej ni więcej tylko powtórzenie historii; Czechy mogłyby ponownie stać się częścią Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego. Sugerował oddanie się pod protektorat Niemcom. Jest to zawarte w ostatnio opublikowanych dokumentach angielskich, *Documents of German Foreign Policy*.

P.P.: — *Czy w żadnym momencie 20-lecia niepodległości obu krajów nie było możliwości zawarcia porozumienia?*

K.W.: — Ze strony Polski były pięciokrotne próby porozumienia się z Czechami. Ale Czesi składali nam stale propozycje zawarcia układu o współpracy kulturalnej, „paktu wieczystej przyjaźni”, czyli porozumień bez praktycznego znaczenia.

P.P.: — *Czy Francja nie nalegała na porozumienie polsko-czeskie?*

K.W.: — Prawdopodobnie tak, z tym że Benesz zawsze widział Czechosłowację przede wszystkim jako przyjaciela Rosji sowieckiej. Benesz politycznie był we Francji bardzo silny. Nie jestem skłonny widzieć masona za każdym krzakiem, ale jego związki z Wielkim Wschodem były bliskie. M.in. tymi drogami mógł oddziaływać na politykę wschodnią Francji. Jeśli chodzi o Polskę, to dwukrotnie składaliśmy Francji ofertę współdziałania, które objęłoby także Czechosłowację. Pierwszy raz było to przed zajęciem Ruhry przez Hitlera, w roku 1933. Francja nie zareagowała. Druga propozycja wyszła z Polski przed Monachium. Rząd francuski został wtedy poinformowany, że jeśli Czechosłowacja będzie stawiać wobec Hitlera opór zbrojny, wtedy Polska dopomoże Czechosłowacji. Czyli Polska dawała wyraz gotowości wykonania sojuszu z Francją. Gdyby rząd czeski, w wyniku konfliktu z Niemcami musiał opuścić Pragę, poseł Polski miał mu towarzyszyć. Była to ważna deklaracja solidarności i gotowości opierania się Hitlerowi. Niestety Benesz, mimo że miał dobrze wyposażoną armię, zdecydował, że podda się bez walki.

P.P.: — *A wkroczenie Polski do Zaolzia? Był to krok ostro krytykowany na Zachodzie.*

K.W.: — No tak, nie krytykowano zdrady wobec Czechosłowacji w Monachium, natomiast krytykowano Polskę, że starała się bronić ludność Zaolzia. Polacy stanowili tam większość. Czy mieliśmy więc zostawić ludność polską na łasce Hitlera? Poza tym nie wolno zapomnieć, że jedynym starciem zbrojnym, do jakiego doszło w czasie wkroczenia wojsk niemieckich do Pragi, było właśnie starcie między wojskami polskimi i niemieckimi na Zaolziu. Nie było starć wojsk czeskich z niemieckimi.

P.P.: — *Ale czy się to politycznie opłaciło?*

K.W.: — W roku 1918 złożyliśmy ludności Śląska cieszyńskiego uroczyste zobowiązanie, że będzie należeć do Polski. Było to już po zajęciu Zaolzia przez Czechów, w czasie kiedy w latach 1918-1920 Polska walczyła z Sowietami o swój byt. Rząd polski zobowiązanie to chciał wykonać, kiedy waliła się Czechosłowacja. Do dzisiejszego dnia jestem przekonany o słuszności tego stanowiska i uważam, że nawet komunistyczny rząd, jaki powstał z Komitetu Lubelskiego, powinien był bronić Zaolzia i domagać się, aby zostało przy Polsce.

W późniejszych latach trzydziestych mieliśmy w naszym poselstwie w Pradze wiele dowodów dyplomatycznej akcji sowieckiej, skierowanej przeciwko porozumieniu Polski i Czechosłowacji. Moskwa obawiała się powstania porozumienia, które mogłoby być zalążkiem zjednoczonej Europy środkowo-wschodniej. Miała chętnego słuchacza w osobie Benesa. Jednak wielu Czechów i niemal wszyscy Słowacy nie godzili się z jego polityką. Dostrzegali oni bezsprzeczny fakt, że jeśli Polska i Czechosłowacja zawarły porozumienie wojskowe, Francja odnosiłaby się z większym entuzjazmem do dozbrojenia obu krajów, co odstraszałoby Hitlera i Stalina.

P.P.: — *Nastroje antyniemieckie były silne wśród Czechów.*

K.W.: — Zapewne były, ale moim zdaniem — powierzchowne. Czesi przez stulecia żyli w kręgu kultury niemieckiej. Pamiętać trzeba, że Praga za Jana Luksemburskiego była stolicą Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego. Od początków XVI wieku Czechy i Morawy były pod rządami Habsburgów. Mniejszość niemiecka w Sudetach była potężna i wpływowa. Nie można zapominać, że organ prasowy Benesa *Prager Presse* ukazywał się w języku niemieckim. Jak wspominałem, istnieją dowody, że Benes sugerował Hitlerowi, iż Czechosłowacja może przyjąć coś w rodzaju niemieckiego protektoratu. Pragnę przytoczyć interesujący

przykład proniemieckiego nastawienia czeskiej „góry”. Kiedy 15 marca 1939 stało się oczywiste, że Niemcy zajmą Czechosłowację, wielu czeskich lotników chciało uchodzić do Polski. Dowódca naczelny czechosłowackich sił zbrojnych generał Sirovy nakazał wtedy spuścić benzynę ze wszystkich samolotów, aby nie mogli wykonać planu ucieczki. Taki rozkaz mówił bardzo wiele na temat nastawień wobec Polski.

P.P.: — *Przypomnijmy, co w Monachium w 1938 roku postanowiły trzy ówczesne wielkie mocarstwa. Był to ze strony Zachodu haniebny układ.*

K.W.: — W Monachium przede wszystkim postanowiono, że Czechosłowacja odda Niemcom Sudety. Okrojony w ten sposób kraj miał pozostać samodzielny. Wkroczenie armii Hitlera do Czechosłowacji w marcu 1939, to inna sprawa, następny etap katastrofy wywołanej polityką Benesza.

P.P.: — *A jaki był stosunek społeczeństwa czeskiego do Polski, myślę o ludziach ulicy, inteligencji, związkach zawodowych?*

K.W.: — Było wiele obojętności i uprzedzeń. Wierzono w politykę Masaryka i Benesza. Czesi wyobrażali sobie, że Polska jest nadal szlachecka, jak dwa wieki temu. Powiedzenie „polscy panowie” dotyczyło wszystkich Polaków. Czesi stracili swoją szlachtę w roku 1620 w bitwie pod Białą Górą, więc na Polskę patrzyli z pozycji klasy chłopskiej i mieszczańskiej. Mieli przestarzałe pojęcie o Polsce.

P.P.: — *Czy nie było to dziedzictwo z okresu austriackiego, kiedy postawie czescy i polscy niezbyt dobrze współżyli w wiedeńskim parlamencie? Czesi, podobnie jak i Węgrzy, byli przeciwni szerszej autonomii dla ówczesnej Galicji.*

K.W.: — I tak, i nie, bo w Pradze istnieje, mam nadzieję nadal, ulica hrabiego Badeniego, który jako premier austro-węgierski przeprowadził ustawę o wprowadzeniu w Czechach i na Morawach języka czeskiego jako narodowego. Za moich czasów działały koła przyjaźni polsko-czeskiej, kluby młodzieży akademickiej, na Uniwersytecie Karola istniała katedra słowiańska, prowadzona przez prof. Mariana Szykowskiego.

P.P.: — *A Słowacy?*

K.W.: — Słowacy to zupełnie inna sprawa. Nie zapomnijmy,

że powiedzenie „Polak, Węgier dwa bratanki” dotyczyło Polaków i Słowaków, a nie Madziarów. Religia też grała rolę. W Czechach od góry do dołu rządzą masoni. Bez poparcia masonerii nie można było nawet dostać posady państwowej. A trudno powiedzieć, żeby Wielki Wschód lubił katolicką Polskę.

P.P.: — *Słowacja miała mieć autonomię.*

K.W.: — Prezydent Tomasz Masaryk, kiedy Słowacy przyszli domagać się autonomii, powiedział: „Umowa w Pittsburgu podpisana była w dzień świąteczny, a dokumenty tam podpisane w święta nie obowiązują”. Może to anegdota, ale dziennikarze słowaccy w Pradze utrzymywali, że to prawda. Większą samodzielność mieli Niemcy sudeccy. W Sudetach szkoła czeska nazywała się „mniejszościową”, a niemiecka „państwową”. Przywódca Słowaków, ks. Hlinka, był oczywiście rzecznikiem autonomii, obiecanej w umowie z Pittsburga. Nie zdobył jej jednak do końca życia.

P.P.: — *Ale dokument ten był uznany w Wersalu jako wyraz woli obu narodów.*

K.W.: — Miał być uznany, ale delegacja czeska odrzuciła go. Delegacja słowacka, która jechała do Wersalu przez Polskę, zmuszona była nawet prosić Polaków o pożyczkę finansową na podróż i akcję polityczną. Pożyczkę otrzymali. Nikt jej nie zwrócił.

P.P.: — *Dlaczego Czechosłowacja tak silnie popierała nacjonalistyczny ruch ukraiński?*

K.W.: — Tu w grę wchodziła właśnie wschodnia Małopolska, która graniczyła z Rusią podkarpacką, jako „zastawem” do wspólnej granicy z Rosją.

P.P.: — *Prasa w Czechosłowacji była, jak w większości krajów Europy środkowo-wschodniej, związana z partiami politycznymi. Czy może pan naświetlić jej kierunki?*

K.W.: — Była całkowicie partyjna. A więc Partia Narodowo-Socjalistyczna Edwarda Benesza wydawała dziennik *Ceskie Slovo*. Była to trzecia co do liczebności partia polityczna. Dysponowała ona również dziennikiem wieczornym *Vecerni Ceskie Slovo*. No i wychodziła urzędówka Benesza, wydawana przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych w języku niemieckim *Prager Presse*. Formalnym wydawcą był czeski „Orbis”, który administrował wy-

dawnictwami rządowymi. Największą partią polityczną była Agrarni Strana, czyli Partia Agrariuszy. Jej organem był dziennik *Venkov*. Drugą co do wielkości była Partia Socjal-Demokratyczna, wydawała ona dziennik *Pravo Lidu*. Była też partia katolicka, wydająca *Lidove Listy*. Wychodziła też prasa niezależna, jak *Lidove Noviny*, *Narodni Politika* i *Prager Tageblatt*. Partia Niemców sudeckich wydawała *Deutsche Presse*.

P.P.: — *Czy organy prasowe poszczególnych partii miały zróżnicowany stosunek do Polski?*

K.W.: — Agrariusze, choć nie domagali się sojuszu polsko-czeskiego w swym piśmie *Venkov* byli najbardziej otwarci. Redaktorem naczelnym był mój przyjaciel Ferdynand Kahanek. Po zajęciu Czechosłowacji przez Hitlera uszedł do Polski, ewakuował się następnie na Bliski Wschód i zmarł w Jerozolimie. Miał bardzo trzeźwy stosunek do błędnej polityki Benesza. Do pewnego czasu w *Lidovych Novinach* można było znaleźć rozsądne głosy za współpracą z Polską. Ale w roku 1935 przeszły one całkowicie na pozycje beneszowskie. Katolickie *Lidove Listy* bywały życzliwe wobec Polski.

P.P.: — *Jak się zachowywał w stosunku do Polski oficjalny wydział prasy Ministerstwa Spraw Zagranicznych? Kto był szefem?*

K.W.: — Szefem był, jak ja dziennikarz-dyplomata, nazwiskiem Hajek. Był zdecydowanie antypolski i usiłował mnie tępić, jako przedstawiciela interesów polskich.

P.P.: — *Jak licznie była reprezentowana prasa międzynarodowa?*

K.W.: — Było sporo korespondentów niemieckich. Był korespondent *L'Osservatore Romano* — też Niemiec, padre Mitnacht, benedyktyn. Ponieważ Niemcy mieli większość wśród dziennikarzy zagranicznych, to Klub Prasy Zagranicznej wybierał z zasady jako przewodniczącego Niemca. Padre Mitnacht był właśnie przewodniczącym. Reprezentował katolickie pismo, więc teoretycznie powinien być obiektywny. Miały swoich korespondentów francuskie pisma, jak *Le Temps*, *Le Figaro* i agencja Havasa. *Times* londyński nie miał stałego korespondenta. Kiedy po śmierci Masaryka funkcję prezydenta obejmował Benesz, przyjechał korespondent *Manchester Guardian* z Warszawy. Było paru korespondentów włoskich. Był też korespondent prasy holenderskiej, nazwiska jednak nie pamiętam. No i międzynarodowe agencje prasowe miały swoich przedstawicieli. W związku z zajęciem Su-

detów przez Niemców, przyjechało wielu dziennikarzy, m.in. z Polski — Feldhuzen, Popławski, Bau, Kazimierski, Męcińska. Mieli kwatery w moim biurze w Poselstwie.

P.P.: — *Oficjalną agencją prasową w Pradze była „Cetka”. Miała pewien międzynarodowy zasięg. Jak działała?*

K.W.: — Tak jak polski PAT, tylko była technicznie za PAT-em. „Cetka” nie miała aparatów Hela do przekazu radiowego, a PAT je miał. Korespondentów zagranicznych miała niewielu.

P.P.: — *Proszę opowiedzieć, jak odbyła się likwidacja poselstwa.*

K.W.: — Całkiem normalnie. Przestało istnieć państwo, musiało więc przestać istnieć poselstwo, ściśle w kwietniu 1939 roku. Spakowaliśmy archiwa, które odeszły do Warszawy. Od 16 marca byliśmy już w trakcie likwidacji, został tylko generalny konsul, który utrzymał się do samej wojny.

P.P.: — *Benesz opuścił Czechosłowację?*

K.W.: — Tak, po Monachium, po całkowitej katastrofie jego polityki wiązania się z Francją i Rosją, Benesz wyjechał na Zachód. Jego miejsca zajął Hacha, sędzia Sądu Najwyższego. Powstał Protektorat czeski, w którym były odruchy antyniemieckie bardzo ostre, ale brutalnie likwidowane.

P.P.: — *Jaka jest historia generała Lwa Prchali i Legionu Czeskiego w Polsce?*

K.W.: — Po sierpniu zostałem wysłany do Pragi dla nawiązania kontaktów z podziemiem. Chodziło o to, aby podziemie wyraziło zgodę na mianowanie Prchali dowódcą tworzącej się już wówczas w Polsce czeskiej jednostki wojskowej, Legionu Czeskiego. Sprawa była trudna do przeprowadzenia, bo to podziemie nie było propchalowskie. Ostatecznie zgodę uzyskaliśmy. Kilkutysięczny Legion Czeski powstał w Polsce. Po 17 września większość legionistów wpadła w ręce sowieckie.

Wróciłem do Polski na kilka dni przed wybuchem wojny.

W czasie pobytu w Pradze spotkałem przypadkowo na ulicy byłego szefa Biura Prasowego Hajka, który toczył ze mną boje przez przeszło 10 lat. Rzucił mi się na szyję, rozplakał się, usprawiedliwiał się za politykę Benesza, mówiąc, że: „Polacy mieli rację. Dawno powinien być pan otrzymać wysoki order Czecho-słowacji, czemu zawsze sprzeciwiałem się. Niech pan teraz przy-

mie moje oświadczenie, zamiast tego orderu". Zginął później z rąk hitlerowskich. Przypuszczam, że wielu Czechów podobnie myślało po katastrofie Monachium i wkroczeniu hitlerowców.

Do Warszawy wróciłem pod koniec czerwca i zostałem przydzielony do Wydziału Prasowego, którego kierownikiem był Wiktor Skiwski. W sierpniu — jak wspomniałem — wyjechałem ponownie do Pragi, aby nawiązać kontakt z podziemiem czeskim. W Warszawie opiekowałem się też dziennikarzami czesкими, którzy uchodzili do Polski. Po wkroczeniu Sowietów przekroczyłem granicę rumuńską wraz z ministerstwem. Ze Skiwskim i kilkoma kolegami udałem się z ministrem Józefem Beckiem do miejscowości Slanik. Po kilku tygodniach otrzymałem polecenie wyjazdu do Bukaresztu, gdzie stanąłem na czele polskiego Biura Informacyjnego przy Poselstwie. Po wkroczeniu Niemców do Rumunii znalazłem się w Stambule, gdzie pracowałem w polskiej informacji wojennej, a następnie w Jerozolimie. Tam redagowałem polski dziennik. Po pewnym czasie zostałem skierowany do poselstwa polskiego w Kairze, w którym jako radca prowadziłem polskie Biuro Prasowe. Pod koniec wojny ściągnięto mnie do Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Londynie. Ministrem był Adam Tarnowski. Przez całą wojnę moja znajomość spraw Czechosłowacji i stosunków polsko-czeskich przydawała się polskim władzom z siedzibą w Londynie. Ale to już osobny temat.

P.P.: — *Dziękujemy za rozmowę.*

Jerzy Olgierd IŁŁAKOWICZ

O NARODOWYCH SIŁACH ZBROJNYCH

W czasie zbierania materiałów do pracy o wojennych dziejach Grupy Szańca i NSZ¹ usiłowałem skontaktować się z jednym z czołowych działaczy tego środowiska, Zawiszą-Iłłakowiczem. Jednak ludzie, z którymi byłem wówczas w kontakcie nie mogli mi podać jego adresu: zdołałem jedynie ustalić, iż po wojnie zamieszkał w Stanach Zjednoczonych². Toteż byłem zaskoczony, kiedy parę miesięcy po ukazaniu się mojej książki o NSZ-cie nadszedł obszerny list Iłłakowicza, który tu przytaczam, powstrzymując się od odpowiedzi na niego.

Z. S. SIEMASZKO

30 kwietnia 1982.

Wielce Szanowny Panie.

Przed chwilą skończyłem czytać po raz drugi Pańską książkę pt. „Narodowe Siły Zbrojne”. W pierwszym rzędzie pragnę

1. Zbigniew S. Siemaszko, *Narodowe Siły Zbrojne*, Odnowa, Londyn 1982.

2. Innym „świadcem historii”, którego nie zdołałem odnaleźć, był Tadeusz Salski. Dopiero w 1983 roku skontaktowałem się listownie z jego żoną Jadwigą (z domu Massalską), zamieszkałą w Brazylii, która była przejazdem w Londynie. Z jej listu wynikało, że Salski przed wyjazdem na stałe z Brazylii do PRL w 1977 roku przekazał materiały dotyczące NSZ Władysławowi Marcinkowskiemu, zamieszkałemu w Kanadzie. W październiku 1981 Salski zmarł w kraju, pozostawiając na Zachodzie żonę, córkę i syna (z drugiego małżeństwa). Pierwsza żona Salskiego, Wanda, została w kraju, była sądzona i skazana po wojnie.

Panu pogratulować jej napisania — to musiała być syzyfowa praca, szczególnie, że nie był Pan w kraju podczas okupacji. Również ujęcie całego szeregu trudnych i drażliwych punktów dowodzi dużej wnikliwości w istniejącą sytuację i obiektywności autora-historyka. Szczególnie dwa punkty są pierwszoplanowe: podkreślenie ogromnego dorobku NSZ we wszystkich dziedzinach (może najmniej w czysto wojskowej, ponieważ ogromna większość zawodowych wojskowych była w AK) oraz słuszności linii politycznej (Rosja) i wizjonerskiego tak wczesnego spojrzenia na przyszłe zachodnie granice Polski (Odra i Nysa Łużycka). W historii nie ma żadnej działalności ludzkiej bez błędów i my mamy na tym polu swój dorobek. Ale jedną rzecz muszę stwierdzić kategorycznie (co szereg kolegów moich przede mną już uczyniło), że w całej naszej działalności od początku do końca ochrona biologiczna narodu polskiego stała zawsze na pierwszym miejscu. Raczej rezygnowaliśmy z pewnych posunięć, jeśli dla naszych ludzi lub ludności polskiej mogły być za kosztowne. Chcieliśmy, aby naród polski przetrwał tę wojnę — zdawaliśmy sobie sprawę, że poza nowym cudem, jak to miało miejsce po pierwszej wojnie światowej, Polska tej wojny nie wygra. Wszystkie nasze posunięcia były z tym związane i gdybyśmy mieli poparcie i pomoc ze strony Rządu polskiego w Londynie, osiągnęlibyśmy z korzyścią dla sprawy polskiej daleko więcej.

Pomimo daleko idących prac badawczych, których Pan dokonał, i szeregu korekt ludzi związanych z kierownictwem NSZ, w różnych jego etapach nie jest się w stanie uniknąć pewnej ilości błędów merytorycznych, zmian nazwisk, przestawień dat, opuszczeń całych zagadnień itp. niedokładności. Dla dokładności historycznej poniżej przytaczam te poprawki, które zauważyłem, podając w każdym wypadku numer strony Pańskiej książki. Omawiam tylko to, w czym sam osobiście brałem udział lub te informacje, które miałem z pierwszej ręki i co do których autentyczności nie mam wątpliwości.

1. Str. 30. W relacji omawiającej układ władz Zakonu po wrześniu 1939 jest zasadnicza luka. Pierwszym przewodniczącym Komitetu Wykonawczego od października 1939 był Othmar Wawrzkowicz. W skład Komitetu wchodził członek przedwojennego KW Wiktora Martiniego, którzy byli w Warszawie: Marcinkowski, Salski, Iłakowicz, Sądek, kto więcej, nie pamiętam. Dopiero w 1942 nastąpiła zmiana i Salski objął przewodnictwo KW. Marcinkowski, Wawrzkowicz i Iłakowicz również wchodził do tego Komitetu Wykonawczego. Po wyjeździe w połowie października 1943 Salskiego do Londynu, nowym prze-

wodniczącym KW został Stefan Nowicki. Skład był mniej więcej następujący: Marcinkowski, Wawrzkowicz, Kazimierz Gluziński, Antoni Symonowicz, Iłakowicz (dane potwierdzone z przesłuchania policji w miesięczniku *Mówią Wieki* nr 6, 1965).

2. Str. 32-33. W rozmowach w październiku 1939 przy tworzeniu organizacji podziemnej brał udział również Iłakowicz, który otrzymał funkcję zorganizowania Komisariatu Cywilnego. W pierwszym okresie (dwa miesiące) kierownikiem Wydziału Gospodarczego był Gluziński, który następnie został przewodniczącym całości. Iłakowicz został jego zastępcą i kierownikiem Wydziału Organizacyjnego. W rok później dokooptował on na swego zastępcę Stanisława Froelicha ze Stronnictwa Narodowego. Iłakowicz był również Szefem Finansowym ZJ, a od połowy 1942 objął tę funkcję w NSZ. W tym okresie wszyscy staraliśmy się zdobywać środki finansowe na naszą pracę, a Iłakowicz pracując na odpowiedzialnym stanowisku kierownika sprzedaży cukru w Banku Cukrownictwa w Warszawie miał duże możliwości organizowania handlu nielegalnego tym towarem, poza tym koordynował zbiórkę funduszy z całego szeregu innych źródeł.

3. Str. 39. Tworzenie Komisariatu Cywilnego omówione w punkcie 2.

4. W rozdziale II, Z.J. brak wzmianki na temat współpracy ze Stanisławem Kauzikiem (b. dyr. gabinetu premiera Władysława Grabskiego). Przez dłuższy czas w 1939 i 1940 Kauzik był w stałym kontakcie z Iłakowiczem i m.in. dostarczał codziennych komunikatów radia BBC, które uzupełniały nasze odbiory. Miałem z nim bardzo dobre stosunki.

5. W rozdziale II istnieje poważna luka dotycząca istnienia w Komisariacie Cywilnym tzw. Komitetu Ekonomicznego. Został on zorganizowany w początkach 1940 przez Iłakowicza i składał się z następujących członków: prezes Janusz Regulski, Władysław Demby, prezes Banku Cukrownictwa, Radosław Fangor, przemysłowiec-metalurgik, prof. Zbigniew Makarczyk, profesor Szkoły Nauk Politycznych, Andrzej Marchwiński, naczelny dyrektor Izby Przemysłowo-Handlowej (aż do swej śmierci), Zygmunt Rusinek, dyrektor Związku Kółek Rolniczych (aż do wyjazdu na Węgry), organizator Kazimierz Gluziński oraz Iłakowicz, który pełnił funkcję Sekretarza Generalnego. Komitetowi przewodniczyli kolejno wymienieni wyżej członkowie. Komitet zbierał się regularnie co miesiąc w mieszkaniach poszczególnych członków. Funkcjonował on aż do powstania warszawskiego.

Opracował cały szereg prac gospodarczych i społecznych. Jedną z najistotniejszych była praca Fangora pt. „Przyszłe związki zawodowe w Polsce”. Wiele z myśli są dziś inkorporowane w prawa pracy Niemiec Zachodnich i Francji, a również stanowią podstawę żądań Solidarności. Komitet również opiniował pracę poszczególnych wydziałów gospodarczych Komisarjatu Cywilnego. Jedną z najciekawszych była praca na temat elektryfikacji Polski oraz praca dr. Brodowskiego na temat organizacji Służby Zdrowia. Uwaga na marginesie. W pierwszym okresie tzw. Rządu Lubelskiego dr Brodowski (Brochowski) był doradcą ministra Zdrowia, a szwagier (brat żony) Iłakowicza dr Jerzy Morzycki wiceministrem Zdrowia (był on członkiem grupy lekarskiej Komisarjatu Cywilnego, a później SCN, ale mało brakowało, żeby nie został przez NSZ zastrzelony za tajną współpracę z komunistami. Jak nam wiadomo, naszych kolegów nie zdradził).

6. Str. 53. Końcowy ustęp listu Boguszewskiego jest zupełnie niezrozumiały. O jakim Kom. Wyk., którego rzekomo miał być członkiem, mówi on? W żadnym KW Zakonu — Wawrzkowicz, Salski, Nowicki — nie był (nie było w nich nigdy zawodowych wojskowych), jedynym przedstawicielem pionu wojskowego był zawsze Wł. Marcinkowski. Niech to wyjaśni Marcinkowski, a może Todtleben. A może to było C (poziom Stefan Czarniecki) wojskowe, którego Komisarzem był prawdopodobnie Marcinkowski (a może Kozłowski — Alexander)?

7. Str. 55. TNRP kierowała nie trzema wydziałami, a czterema. Czwartym był Wydział Finansowy. Twierdzenie Żochowskiego, że Wydział Finansowy podlegał Kom. Gł. NSZ jest co najmniej nielogiczne. Z zebranych (zdobytch) pieniędzy były pokrywane wydatki nie tylko pionu wojskowego, ale również politycznego, propagandy oraz SCN. Już TNRP miało dosyć trudności z rozdziałem zawsze niedostatecznych funduszy, a cóż dopiero byłoby, gdyby to było zadaniem Kom. Gł. NSZ? Na prawie każdym zebraniu TNRP Iłakowicz składał sprawozdania ze stanu funduszy i ustalano hierarchię i zakres wydatków. Grupa Szańca miała znacznie większe możliwości finansowe od NOW (cukier, banki, kasy kolejowe, składnice różnych towarów niemieckich, transporty niemieckie papierosów, zapalek, wódek itp.), toteż bardzo często Kasa Centralna (szwagier Kazimierza Gluzińskiego — bez nóg) przekazywała znaczne sumy na ręce Michałowskiego i Pacholczyka. Raz tylko jeden Kasa Centralna otrzymała od Pacholczyka większą sumę, zdaje się około pół miliona zł. (Iłakowicz otrzymał ją w kancelarii mec. Jana Malewicza w lecie

1943 roku). Ale na odcinku finansów względnie do końca panowała pewna współpraca i spokój.

8. Str. 60. Bardzo udany wyjazd Salskiego i Żochowskiego do Londynu był wyjątkowym wyczynem NSZ. W wypadku Salskiego był przygotowany i wykonany w kompletnej tajemnicy i wymaga pewnego komentarza. Kiedy Kom. Polityczny (poziom A) zdecydował się na wysłanie emisariusza politycznego do Londynu, kandydatem był Iłakowicz. Uzasadnieniem była znajomość osobista Sikorskiego, Sosnkowskiego, Andersa (Club 11 listopada), gen. Regulskiego (rodzinne powiązania), dobra znajomość angielskiego, francuskiego i niezła niemieckiego, znajomość ambasadora amerykańskiego Biddle'a (połował u rodziców Iłakowicza) oraz naturalna znajomość sytuacji politycznej w kraju i w NSZ. Na zrobioną propozycję Iłakowicz wyraził zgodę, ale w tym czasie została zwolniona z Majdanka (przez Oddział II NSZ) Renata Iłakowicz (żona), która pracowała cały czas w wywiadzie ZJ i NSZ. Po dłuższych naradach uznano, że się szczególnie nadaje do wysłania do Londynu (znajomość ludzi i języków) i uznano, że będzie bardziej wskazane, jeżeli pojedzie z Salskim, a nie z mężem. Wszystko było całkowicie przygotowane, wraz z olbrzymią ilością mikrofilmów zapakowanych w szczotkę do butów. Na 9 dni przed datą wyjazdu Renata Iłakowicz została zastrzelona przez kombinację komunistyczno-gestapowską (podobną, która zabiła w Krakowie Gostomskiego). Salki dojechał szczęśliwie przez Niemcy, Francję, Hiszpanię, Portugalię, Gibraltar i misję swoją wypełnił wspaniale. Ale nikt już z nas nie mógł przeciwstawić się tej zbrodni, jaką było powstanie warszawskie lub konspiracji sanacyjnej w AK.

9. Str. 64. Salski reprezentował i TNRP i NSZ przez swego dowódcę Kurcjusza. Jeżeli jego wyjazd był utrzymany w całkowitej tajemnicy (poza członkami Komitetu Politycznego jedynie Radziszewski i Kurcjusz byli wtajemniczeni), to dla bezpieczeństwa. Pewne czynniki AK na pewno poinformowałyby Niemców, a niektórych naszych kolegów z TNRP (np. Stypułkowski, Pacholczuk) też nie byliśmy stuprocentowo pewni. Lepiej było nie ryzykować. Tak wiadomości się wzajemnie przenikały niech służy za przykład, że w tym samym czasie AK wysłała Jana Nowaka (Kurier z Warszawy) przez Szwecję do Londynu, a myśmy o tym wiedzieli. Nie jest wykluczone, że to wpłynęło na wybranie dla Salskiego drogi przez Hiszpanię.

10. Str. 69. W spisie wydawnictw biblioteki Szańca brak jest jednej pozycji, bodaj naszego pierwszego wydawnictwa w końcu

1939 lub samego początku 1940, małej broszurki pt. „Pokój z Rosją — wojna z Kominternem”. Była to praca zbiorowa, ale jak zwykle jedna osoba jest odpowiedzialna za ostateczną redakcję — nie pamiętam kto — może inż. Minich, teść Harusewicz? Brałem żywy udział w dyskusjach. Teza broszurki niewątpliwie oparta na Dmowskim. Wywołała sporo zainteresowania i wiele głosów sprzeciwu. Jest na pewno bardzo aktualna w dzisiejszej rzeczywistości.

11. Str. 70. Kolejność i skład Kom. Wykonawczych Zakonu wyjaśniłem w punktach 1 oraz 6. Bolesław Sobociński oraz Boguszewski wydaje mi się do KW Nowickiego nie wchodzili, ale może się mył. Najlepiej chyba mógłby to wyjaśnić sam Nowicki.

12. Str. 70. Dyrektoriat nie był poziomem organizacji, a jedynie czymś w rodzaju egzekutywy (rządu). Wypadki następowały tak szybko, że nie było czasu na zbieranie się choćby raz na tydzień, a nawet co parę dni. Zwoływanie zebrań przez łączniczki (telefony były coraz niebezpieczniejsze) zabierało za dużo czasu. Dyrektoriat stanowili Stefan Nowicki, Kazimierz Gluziński, Jerzy Iłakowicz, Władysław Marcinkowski, Othmar Wawrzkowicz, Wiktor Radziszewski (nie pamiętam, aby Ostromęcki brał udział); wszyscy poza Radziszewskim byli członkami Komitetu Politycznego. Decyzje zapadały większością głosów i obowiązywały wszystkie nasze pionys. Zebrania odbywały się codziennie około 10-tej godziny rano — za każdym razem w innym lokalu. Mieliśmy zawsze jedną-dwie łączniczki do dyspozycji.

13. Str. 70. Grupy zakonne były zaprojektowane przez Nowickiego. Każdy z członków KW dobierał sobie kilku członków Zakonu, z którymi opracowywał powierzony sobie zakres pracy. Niektóre grupy pracowały systematycznie i intensywnie, inne w ogóle nie istniały. Nie pamiętam, kim byli koledzy w pierwszej fazie mojej Grupy zakonnej (A Politycznej) ale na wiosnę 1944 najbliższym współpracowałem z J. Regulskim i Stanisławem Mikłaszewskim oraz Zbigniewem Makarczykiem. Głównym naszym działaniem było przeciwdziałanie powstaniu warszawskiemu.

14. Str. 72. W momencie powstania NSZ w połowie 1942, Komisariat Cywilny ZJ przekształcił się w daleko szerszej pomyślaną Służbę Cywilną Narodu (SCN). Przewodniczącym został Kazimierz Gluziński, a dotychczasowy kierownik Wydz. Organizacyjnego i zastępca przewodniczącego, Iłakowicz, opuścił to stanowisko, a jego dotychczasowy zastępca Stanisław Froelich objął je. Iłakowicz pozostał jedynie w Komitecie Ekonomicznym SCN.

Jednocześnie objął funkcję Szefa Finansowego TNRP — *vide* punkt 7.

15. Str. 73. Dyrektorem Dpt. Spr. Wewn. w Delegaturze był Korboński. Mieszkał on przez jakiś czas u pp. J. Regulskich w Leśnej Podkowie. Tam Iłakowicz go poznał, ale nie miał żadnych politycznych z nim rozmów. Zarówno Kasznica jak Iłakowicz mieli o Korbońskim bardzo złą opinię.

16. Str. 81. W sprawie naszych opracowań na tematy rolnicze nasuwają się następujące uwagi. Jeszcze przed wojną zacząłem pisać książkę na temat przyszłego ustroju rolnego w Polsce. Poza tym przy zachęcie Zygmunta Rusinka opublikowałem szereg artykułów w miesięczniku Zw. Kółek i Organizacji Roln. (skończyłem wydział rolny na Uniwersytecie w Louvain w Belgii, wydział ekonomiczny na Uniwersytecie w Lozannie w Szwajcarii oraz studio wałem dwa lata na London School of Economics). Rolnictwo w szerszym zakresie było moim zainteresowaniem. Książkę (dosyć kiepską) skończyłem w 1942 roku. Manuskrypt oddałem Stefanowi Nowickiemu, który zamiast go poprawić, napisał własną książkę (z wyjątkiem rozdziałów o przemyśle rolnym, które inkorporował z mojej pracy). W miarę jak pisałem w 1943 i 1944 roku spotykaliśmy się często i dyskutowaliśmy rozdział po rozdziale. Byłem pod dużym wrażeniem wiedzy Nowickiego, oryginalności ujęcia wizji rolnictwa w przyszłej Polsce oraz powiązania tej dziedziny nie tylko ze strukturą gospodarczą, ale z podstawami życia narodu. Te godziny spędzone z Nowickim są dla mnie najprzyjemniejszymi wspomnieniami życia pod okupacją. Mam wrażenie, że szereg swoich podstawowych tez referowałem na Komitecie Ekonomicznym, ale może się w tym myłę. Manuskrypt Nowickiego (może jego kopia) zostały na mojej melinie i wyjeżdżając oddałem go pod opiekę właściciela mieszkania — o dalszych losach nie wiem.

17. Str. 112. Wiadomość o przybyciu Salskiego do Londynu, którą Stypułkowski otrzymał w czasie przyjęcia sylwestrowego 1943/1944 od Muzyczki, uderzyła go jak piorunem. Wiele razy od października 1943 zapytywał nas (Marcinkowskiego, Wawrzukowicza, Iłakowicza), gdzie jest Salski i otrzymywał wymijające odpowiedzi — jedna była, że Salski niemal został złapany przez Gestapo, rozpoznany i musi się ukrywać na wsi. Stypułkowski nam o rozmowie z Muzyczką nic nie powiedział i dopiero w miesiąc lub później dowiedziliśmy się od AK o szczęśliwym przybyciu Salskiego i Zochowskiego do Londynu. Ale w międzyczasie na zebraniach TNRP nastąpiły naciski Stypułkowskiego i towarzy-

szy natychmiastowego podporządkowania się NSZ D-twu AK. Również wystąpiła wtedy sprawa płk. Kurcjusza jako osoby nie do przyjęcia przez AK, jako D-cy NSZ.

18. Str. 121. Istniała bardzo silna presja dołów NSZ w kierunku scalenia z AK i mimo naszych wysiłków musieliśmy się zgodzić na niekorzystne warunki scaleniowe oraz na upokarzającą nieobecność D-cy NSZ przy akcie podpisania scalenia. Wy mogliśmy jednak, że Kurcjuż zostanie przez Bora zaprzysiężony jako D-ca NSZ. To — zgodnie z relacją Marcinkowskiego — było bardzo trudne do przeprowadzenia i na to Bór po paru godzinach dyskusji wreszcie zgodził się. Iłakowicz z Kurcjużem czekali na sygnał Marcinkowskiego (w jednym z naszych lokali) i po telefonie Iłakowicz, który znał adres, przeprowadził Kurcjuż na miejsce zebrania (Wierzbno?) na akt przysięgi. Parę dni przed tym Iłakowicz miał długą rozmowę z Michałowskim, który żądał ustąpienia Kurcjuż zaraz po zaprzysiężeniu. Odpowiedź Iłakowicza była, że to zależy od samego Kurcjuż i że my nie przyłożymy ręki do brudnej rozgrywki z zasłużonym oficerem „łobuzów” legionowych, którzy wykorzystują tę okazję do porachunków z czasów pierwszej wojny światowej i 1926 roku. Wkrótce śmierć Kurcjuż na atak sercowy ten rozdział „patriotycznej” działalności AK i jej pomocników ze Stypułkowskim na czele zakończyła.

19. Str. 125. Spotkanie Stypułkowskiego z Borem na wsi mogło mieć miejsce w majątku Tadeusza Daszewskiego (Nowa Wieś), pierwszego męża gen. Regulskiej, a teścia brata Iłakowicza Adama, a nie Jana, który żadnego majątku nie miał. Tadeusz Daszewski był znanym hippikiem polskim i na pewno doskonale znał Bora.

20. Str. 128. Następstwo po śmierci Kurcjuż było dosyć zawikłane. Na zebraniu Rady Politycznej NSZ z obecnością Kurcjuż, staraliśmy się nakłonić go do pozostania D-cą NSZ (było to ważne ze względu na reakcje dołów wprowadzanych w błąd przez AK, Tuwara i naszych dawnych partnerów), ale Kurcjuż pod żadnym warunkiem nie chciał się zgodzić. Zaczęliśmy z nim dyskutować ewentualnego następcę. Były dwie kandydatury, ppłk. Nakoniecznikoff-Klukowskiego i ppłk. Zygmunta Broniewskiego (o kandydaturze Boguszewskiego w ogóle nie było mowy). Zdecydowano się po dłuższej dyskusji na Klukowskiego i Kurcjuż napisał krótki rozkaz, pozostawiając go w rękach Wawrzkowicza. Nie chcieliśmy go ogłaszać, bo ciągle mieliśmy nadzieję, że Kurcjuż zmieni zdanie. Na zebraniu tym byli obecni Marcinkowski, Gluźński, Wawrzkowicz, Kasznica i Iłakowicz.

21. Str. 136. Od kwietnia 1944, tj. od objęcia p.o. D-twa NSZ przez Klukowskiego, do połowy lipca 1944, tj. do jego wyjazdu w Kieleckie, Iłakowicz był przydzielony do jego osoby w charakterze doradcy politycznego (a faktycznie nadzorcy). Spędzałem z nim 2-5 godzin dziennie, przy czym zwykle był pod gazem, a czasem zupełnie pijany. Była to dla mnie bardzo nieprzyjemna funkcja. Czas schodził na niekończących się monologach ze wspomnień z przeszłości lub planów (zwykle nierealnych) na przyszłość. Jak był trzeźwy, był wcale sympatyczny i mnie lubił, AK nienawidził jak zarazy. Był inteligentny, interesował się wieloma sprawami, z języków obcych znał jedynie rosyjski. Raz pod wieczór przyszedł mocno podпиты i bardzo podniecony. Dzień spędził w towarzystwie kolegów z wojska, obecnie generałów Armii Ludowej. Wymieniał nazwiska, niektóre znane w podziemiu, np. gen. Skokowski. (Do tej kategorii mógł się zaliczać chyba jedynie Rola-Żymierski, a Skokowski był jeszcze wówczas pułkownikiem — Z.S.S.). Namawiali go, żeby do nich przeszedł, radził się, co ma robić. Złożyłem dokładne sprawozdanie kolegom, byliśmy tym bardzo zaniepokojeni. W parę dni potem wyjechał na inspekcję w Kieleckie. Widziałem go po powrocie 25 lipca rano, później mieliśmy zebranie Komitetu Politycznego NSZ, na którym składał sprawozdanie z sytuacji naszych oddziałów w Kieleckim. Jeszcze tego samego wieczoru odjechaliśmy pociągiem nocnym do Częstochowy — Gluziński, Marcinkowski, Wawrzkowicz, Neyman, Todtleben, Iłakowicz, Halina Reszke z kilkoma łączniczkami i paru jeszcze, których nazwisk nie pamiętam. Klukowski miał wyjechać w 1-2 dni po nas. Zadaniem naszym było niedopuszczenie do rozlecenia się NSZ w czasie powstania warszawskiego (co do którego byliśmy najzupełniej pewni) i przygotowanie przerzutów na Zachód. Na marginesie mojej znajomości Klukowskiego mogę dodać, że na sześć miesięcy (z końcem 1943) przed objęciem D-twa NSZ wyjeżdżając na inspekcję okręgów Białostockiego, Ciechanowskiego, Mazowieckiego, pożyczył ode mnie mego sekretarza Adama (nazwiska nie pamiętam). Po powrocie Adam relacjonował mi swoje bardzo barwne przeżycia. O Klukowskim mówił z największym uznaniem — żołnierze i młodszy oficerowie szli za nim w ogień bez wahania, o żołnierza dbał, krwią nie szafował, w trudnych sytuacjach był zawsze pierwszy. Adam opowiedział mi takie zdarzenie — nasi ludzie złapali agentów komunistycznych, Klukowski uwięził ich w piwnicy i osobiście rwał im zęby obcęgami. Adam zemdłał, ale agenci powiedzieli wszystko i powiat, a może i okręg zostały uratowane. Adam zakończył swą opowieść, że dla naszych żołnierzy tego rodzaju postępowanie miało większe znaczenie niż wszystkie de-

klamacje humanitarne. Ale na pewno Klukowski nie powinien być D-cą NSZ.

22. Str. 137. Czy zwalczanie oddziałów AL było w interesie polskim? Według nas tak, z tym jednak, aby oszczędzać Polaków, a likwidować Rosjan, Niemców, komunistów itp. AS (oddział Akcji Specjalnej — Z.S.S.) w Częstochowie i Kielcach specjalizowały się w likwidacji polskich komunistów, specjalnie uciążliwych dla ludności polskiej. Oddaliśmy tym dużą przysługę sprawie polskiej.

23. Str. 143. Również, tak jak Klukowskiego, powstanie warszawskie zaskoczyło w Warszawie ppłk. Z. Broniewskiego, D-cę Okręgu Lublin. Wyszedł z ludnością i po pewnym czasie dołączył do kierownictwa NSZ w Krakowie.

24. Str. 149. Klukowski (Kmicic) nawiązał kontakty z komunistami jeszcze przed powstaniem warszawskim, a nie jedynie na skutek rozgoryczenia z powodu sposobu, jakim został potraktowany przez swych podkomendnych w czasie powstania. *Vide* punkt 21.

25. Str. 151. Zabicia Pacholczyka dokonał „Tom” na własną rękę, jako samoobronę. Pacholczyk organizował szereg zamachów na „Toma”, z których ten wyszedł cały często tylko „cudem”. „Tom” miał tego dosyć i przy pierwszej okazji zastrzelił Pacholczyka. Wydział II NSZ po zbadaniu sprawy uniewinnił „Toma”. Iłakowicz jako delegat polityczny Rady Politycznej NSZ-Zachód na Częstochowę, po rozmowach z „Tomem” i Wawrzkowiczem (szefem Oddziału II NSZ) decyzję zatwierdził.

26. Str. 151. W inspekcjonowaniu Brygady przez D-cę NSZ Broniewskiego towarzyszył mu kpt. Iłakowicz, wtedy szef Oddziału VI Polityczno-Oświatowego. Był w tym czasie przeniesiony do Krakowa. Niezależnie od funkcji w sztabie NSZ Iłakowicz był kierownikiem propagandy Grupy Szańca — najbliżsi współpracownicy Antoni Goerne i Zbigniew Makarczyk. Wszyscy trzej mieszkali w jednym mieszkaniu, co ułatwiało pracę. W czasie odwiedzin Brygady Iłakowicz miał referaty dla oficerów i podchorążych z zakresu sytuacji międzynarodowej. Specjalnie podkreślał rolę Ameryki i nadzieję na jej pomoc i współpracę. Trudno było błędnie ocenić sytuację! (Jałta, a później polityka odprężenia. Nawet teraz, pomimo całej sympatii społeczeństwa amerykańskiego, zagadnienie polskie jest na dalekim marginesie w polityce amerykańskiej).

27. Str. 156-157. Nie jest zgodne z prawdą, że nie było żadnych kontaktów pomiędzy wysłannikami politycznymi na Zachód (Todtleben, Iłakowicz, Wawrzkowicz) a Brygadą jeszcze przed zakończeniem wojny. Były one jednostronne, ale okazały się niesłychanie ważne dla dalszego przebiegu wypadków. Wysłannicy polityczni po przymusowym przetrzymaniu w Wiedniu (miasto zamknięte) przedostali się do Monachium, a następnie do Memingen w zachodnio-południowej Bawarii. Tam w połowie kwietnia 1945 na stacji kolejowej spotkali dwóch wysłanników z Brygady do 2-go Korpusu przez Szwajcarię. Jeden z nich był dobrze znany Wawrzkowiczowi. Radość ogromna i parogodzinne sprawozdanie z epopei i sytuacji Brygady. To nie byli Szaława i Harry (Anglik), Brygada musiała wysłać dwie ekipy. W parę dni potem spotkaliśmy młodego człowieka, prawdopodobnie agenta Gestapo uciekającego na Zachód, który spędził parę dni w Brygadzie w Rostani i ze wszystkimi szczegółami powtórzył nam informacje wysłanników Brygady. Cały przebieg wypadków od wyjścia z Krakowa do przybycia do Brygady opisałem szczegółowo. Jest to w posiadaniu Wł. Marcinkowskiego. Wiadomości otrzymane w Memingen przysłużyły mi się niesłychanie w moich rozmowach w Polskiej Sekcji Łącznikowej we Frankfurcie.

28. Str. 163. Na drugi dzień po spotkaniu Amerykanów zameldowałem się w Memingen w CIC (Counter Intelligence Corps) z prośbą o wystawienie mi zaświadczenia, które ułatwiłoby mi dostanie się do Frankfurtu n/M. Oficer najpierw odmówił, ale wreszcie napisał parę słów na świstku papieru. Zaraz wybrałem się w drogę na piechotę. Po paru kilometrach udało mi się namówić Murzyna, aby mnie podwiózł ze 100 km ciężarówką. Tak zmieniając ciężarówkę, spędziwszy jeden dzień w więzieniu, a później będąc honorowym gościem dowódcy amerykańskiego w Ulmie, dobrnąłem do Frankfurtu. Przyjęcie przez oficerów polskich olbrzymiej Sekcji Polskiej (setki oficerów) było wrogiem i poniżające. Uratowało mnie wejście na salę płk. Biddle'a (były ambasador w Warszawie), który był szefem wszystkich sekcji łącznikowych przy Eisenhowerze (*vide* punkt 8). On mnie poznał i po złożeniu mu meldunku o Brygadzie (to było tuż po wyjeździe płk. Szymańskiego do Brygady na rekonesans) zostałem niezłe urządzony, z tym, że następnym transportem miałem jechać do Brygady. Jednak na drugi dzień była okazja jazdy do Murnau, z której skorzystałem, chcąc zobaczyć kolegów warszawskich: Mikołaja, Tymowskiego, Mazura i wielu innych. Znów radość ogromna. Dwa dni potem przyjechał z Brygady trzema samochodami Zub-Zdanowicz po naszych oficerów. Zabrałem się z nimi i już

na drugi dzień objąłem stanowisko oficera łącznikowego pomiędzy Brygadą i V Korpusem Amerykańskim w Pilźnie. Byłem obecny podczas wizyty Litauera w Brygadzie — zachował się jak zwykły komunistyczny szpieg i mógł nam zrobić niepowetowaną szkodę. Na szczęście mieliśmy poparcie gen. Pattona, gen. Andersa, płk. Biddle'a i Eisenhower sprzeciwił się wydaniu nas Sowiетom. Nie mógł jednak przeszkodzić rozbrojeniu nas (było to trochę fikcją) i przeniesieniu do Bawarii do Cobourga, a potem do Dachau (nie do obozu koncentracyjnego).

29. Str. 164. Stosunki w Dachau zaczęły się psuć, byliśmy na bardzo kiepskim wyżywieniu niemieckim i lada moment mogliśmy być przeniesieni do obozów cywilnych i rozproszeni. I tak ludzie ubywali codziennie, uciekając do Korpusu Andersa. W tej sytuacji płk Dąbrowski zdecydował zameldować się u gen. Pattona i prosić o pomoc. Trzy osoby wyjechały do Bad-Toltzu, Kwatery Głównej 3-ej Armii: płk Dąbrowski, ppłk Zub-Zdanowicz i kpt. Iłakowicz. Z pewnymi trudnościami do przewyciężenia zameldowaliśmy się u adiutanta Generała. Wy tłumaczyliśmy naszą sytuację i otrzymaliśmy obietnicę pomocy w załatwieniu naszych spraw. W tym miejscu chcę podkreślić, że zupełnie nie rozumiem, dlaczego w miejsce Zdanowicza w naszej grupie jest wymieniony mjr Żochowski, którego z nami nie było. Również jest niezrozumiałe wymienienie Żochowskiego w meldunku płk. Dąbrowskiego do gen. Andersa z dnia 28 września 1945. Kto to kogo wprowadzał w błąd? Jeśli Kozłowski w swoim liście do autora książki o NSZ z dnia 30 lipca 1971, to mogła to być zrozumiała utrata pamięci po tylu latach. Poza tym ani płk Dąbrowski, ani nikt z jego otoczenia z Pattonem nie rozmawiał, a wszystko było załatwiane z rozkazu Pattona przez jego szefa sztabu gen. Gay. Wszystkie inne szczegóły meldunku są zgodne z prawdą. Wszystkie rozmowy (po angielsku) z adiutantem Pattona, gen. Gay, oraz innymi wyższymi oficerami dowództwa 3-ej Armii były prowadzone (przy pewnym współudziale Zdanowicza) przez kpt. Iłakowicza. Również napisał on *aide-mémoire*, który był wręczony gen. Gay. Stwierdzam, że pamiętam każdy szczegół tego ważnego spotkania. Zaraz po powrocie do Dachau przesiadłem się do swego samochodu i pojechałem do Monachium zameldować się do amerykańskiego płk. (nazwiska nie pamiętam), do którego od tej chwili byłem przydzielony jako oficer łącznikowy. Niemal natychmiast otrzymałem dokumenty na zorganizowanie przez Brygadę sześciu kompanii oraz zapotrzebowania na pobranie odpowiedniego ekwipunku, umundurowań, broni, benzyny itd. W tym dniu Brygada nie liczyła więcej niż 300-400 ludzi. Jeszcze tego

samego wieczora rozjechały się nasze zespoły werbunkowe do obozów jenieckich i cywilnych i do wieczora następnego dnia stan liczebny Brygady przekraczał 1.500 ludzi potrzebnych do sformowania pierwszych sześciu kompanii. Nowy duch wstąpił w Brygadę, choć to był początek wielu trudności, które trzeba było rozwiązywać z Amerykanami.

30. Uwaga na marginesie. Na 3-4 dni przed opuszczeniem Krakowa (około 15 stycznia 1945) odbyło się ostatnie zebranie Rady Politycznej NSZ-Zachód pod przewodnictwem Kazimierza Gluźnińskiego. Obecni: Todtleben, Wawrzkowicz, Kasznica, Neyman, Iłakowicz oraz gen. Broniewski. Na zebraniu tym zostało uchwalone awansowanie ppłk. Dąbrowskiego do stopnia płk. a majorów Marcinkowskiego i Zub-Zdanowicza do stopni podpułkowników. Kto pierwszy z nas, tj. Todtleben, Wawrzkowicz lub Iłakowicz, miał dotrzeć do Brygady, miał tę uchwałę zakomunikować płk. Dąbrowskiemu. Mnie przypadła ta miła misja.

31. Str. 169. Po zorganizowaniu pierwszych sześciu Kompanii Wartowniczych, otrzymałem od mego płk. amerykańskiego rozkazy na dalsze sześć, ale jednocześnie Brygada została przeniesiona późną jesienią z Dachau pod Norymbergę i zakwaterowana na pustym polu w tzw. zimowych namiotach (podłogi oraz piec na węgiel). Obóz został urządzony bardzo sprawnie i ładnie udekorowany, ale zima była ostra i żołnierze cierpieli. Oficerowie nie byli ulokowani lepiej, w małych jednopokojowych budynkach. Na mojej kwaterze co rano musiałem rozbijać lód w miednicy. Mój szofer Franek zapalał piec i po 15-20 minutach było tak gorąco, że nie można było wytrzymać. Na początku wiosny, po zorganizowaniu około 40 kompanii, dowództwo Brygady zostało przeniesione do Fürstenfeldbruck, do bardzo wygodnych pomieszczeń lotnictwa niemieckiego. Trwało to do 17 czerwca 1946, kiedy wszystko zostało zlikwidowane. Płk Dąbrowski przeniósł się do Monachium, utrzymując stały kontakt z kompaniami brygadowymi, gen. Broniewski wyjechał do Francji.

W tym czasie nastąpiła całkowita reorganizacja Armii Amerykańskiej w Niemczech, 7 Armia została zlikwidowana, a pozostała jedynie 3 Armia (dawna gen. Pattona) oraz CBS (Continental Base Section) — Centrala kwatermistrzowska amerykańska na całą Europę z Kwaterą Główną w Bad Nauheim (na północ od Frankfurtu). Kwatera Główna 3-ej Armii była w Heidelbergu. Kompanie Wartownicze zostały rozdzielone, mniej więcej połowa przy CBS, a połowa przy 3-ej Armii (około 30.000 ludzi przy każdej z tych komend). Płk Sobolta został głównym oficerem łącznikowym przy 3-ej Armii, a co do obsady tego stano-

wiska przy CBS oficerowie Polskiej Sekcji Łącznikowej szukali swego człowieka, najchętniej legionisty, nie mogli jednak znaleźć. Amerykanie się denerwowali, żeby jak najprędzej obsada była zrobiona i płk Iliński (dawny adiutant gen. Sikorskiego), szef Sekcji Łącznikowej, zaproponował mnie. Szybko się zgodziłem i zaraz wyjechałem do Bad Nauheim. Pierwszy miesiąc był okropny — otrzymałem rozkaz zinspekcjonowania 120 kompanii rozrzuconych w całej amerykańskiej strefie okupacyjnej. Poza szoferem i moim samochodem nie miałem niczego, ani jednego współpracownika, ani biura, maszynistki, a musiałem z każdej inspekcji pisać szczegółowe raporty. Jeździłem nocami, a raporty pisały mi Niemki zatrudnione w Komendzie Głównej CBS. Po miesiącu pracę skończyłem. Mój bezpośredni zwierzchnik, płk Batchelor (Texas) pogratulował mi, powiedział, że zdałem egzamin (straciłem 10 kg) i że teraz mogę zorganizować Sekcję Łącznikową jak chcę. W ciągu miesiąca miałem 10 oficerów i co najmniej 10 podoficerów, dużą willę na mieszkania oficerskie oraz dużą część całego piętra w sporym hotelu na biura. To była metoda amerykańska, tak trudna do zrozumienia dla Europejczyka i dlatego tylu Polaków miało złe stosunki z Amerykanami.

32. Str. 169. Jednym z pierwszych oficerów, których ściągnąłem do Sekcji Łącznikowej był ppłk Boguszewski. Przyjemny w pracy, zawsze lojalny, sympatyczny w codziennym obęjściu. Pracowaliśmy razem przeszło rok, poznał specyficzne warunki pracy i życia Kompanii Wartowniczych, tak na pewno różne od normalnego wojska, toteż nie rozumiem jego złośliwych wypowiedzi w *Zeszytach NSZ* na mój temat. Może podleganie nie wojskowemu i to w niższym stopniu majora było więcej, niż mógł znieść. A szkoda, bo będę zawsze go uważał za kolegę, z którym przeżyliśmy wiele trudnych chwil pod okupacją, człowieka wartościowego i sympatycznego.

33. Str. 169. „Tak więc 17 czerwca 1946 jest końcową datą istnienia zorganizowanych oddziałów brygadowych”. Tak autor określił zlikwidowanie ośrodka szkoleniowego w Fürstenfeldbrucku — nic nie może być bardziej błędne. Może tak powinno się stać, ale się nie stało. Powstanie bardzo silnej Sekcji Łącznikowej w Bad Nauheim, przyłączenie wielu niebrygadowych Kompanii Wartowniczych, które z czasem otrzymały d-ców brygadowych, oraz wielu młodszych oficerów i podoficerów z Brygady, zmieniły ich ideologiczny charakter. Ciągła pomoc moralna i wpływ polityczny płk. Dąbrowskiego miały ogromne znaczenie. Inspekcjonując poszczególne kompanie widziałem żołnierzy z jaszczurkami (ZJ) na rękawach. Pytałem, gdzie dołączyli do

Brygady. Odpowiedź: — „Naprawdę nigdy, a właściwie 2-3 miesiące temu”. Brygada Świętokrzyska to był raczej symbol niż organizacja, a ten symbol przetrwał.

34. Str. 169. Po zlikwidowaniu naszych Ośrodków Szkoleniowych w Dachau, pod Norymbergą i w Fürstenfeldbruck jedynym takim ośrodkiem pozostał ośrodek w Kaefertal pod Nauheim pod komendą płk. Sobolty. Większość kompanii potrzebujących uzupełnień lub doszkolenia przechodziła przez Kaefertal. Zasadniczo nie mieliśmy zbyt dużo kłopotów z zespołem kierowniczym w Kaefertal, pomimo że pułkownik (później generał z nominacji londyńskiej) był oficerem do specjalnych zleceń Marszałka Piłsudskiego i nie był naszym politycznym przyjacielem³. Ale ja miałem z nim więcej niż dobre stosunki od początku do końca. Kiedy CBS zostało zlikwidowane wraz z moją Sekcją Łącznikową, płk Sobolta zaproponował mi objęcie stanowiska swego zastępcy. Uprzejmie odmówiłem, ponieważ miałem inne plany i poprosiłem go o wyznaczenie mnie głównym oficerem łącznikowym ośrodka Kompanii Wartowniczych w Monachium. Bardzo uprzejmie zażyczył mi powodzenia.

Na marginesie moich stosunków z płk. Soboltą muszę dodać istotny przyczynek historyczny. Otóż w Warszawie mówiono, że płk Sobolta był mordercą gen. Zagórskiego w 1926 roku. Czy to była prawda, czy bajka, nie wiem, ale krążyła uporczywie. Gen. Zagórski w 1920 roku był szefem sztabu Armii Hallera, a mój ojciec, prezes Demby i inż. Skoczynski, bliscy i nierozdzielni przyjaciele, byli w wysokich rangach kaprali przydzieleni do sztabu Zagórskiego. Zaprzyjaźnili się. Kiedy gen. Zagórski jako szef Lotnictwa Polskiego w 1925 roku wizytował często szkołę lotniczą w Dęblinie, za każdym razem przylatywał do Łazisk, majątku moich rodziców. Poznałem go bardzo dobrze, polubiłem i jako uczeń często odwiedzałem w Warszawie. Nigdy z Soboltą ani jedno słowo na ten temat nie zostało między nami zamienione. Rozumiałem, że miałem dwa wyjścia, albo zaproponować zlikwidowanie go (a mieliśmy naszą AS — Akcję Specjalną), albo opuścić Kompanie Wartownicze — ani jednego, ani drugiego nie chciałem zrobić. Płk Sobolta nie żyje, niech mu ziemia będzie lekka. Nasze paroletnie stosunki wspominam z przyjemnością.

35. Str. 173. Wejście do Polski Rosjan nas nie zaskoczyło. Już od jesieni (jeżeli nie wcześniej) prowadziliśmy akcję, wydając naszym ludziom fałszywe dowody osobiste, metryki urodzenia i

3. Sobolta nie został mianowany generałem ani przez Andersa, ani też przez Zaleskiego — Z.S.S.

zaświadczenia pracy. Nasze instrukcje wyraźnie mówiły, aby zmieniać miejsce zamieszkania. Na pewno wielu ludzi to zignorowało, ale wiele tysięcy się uratowało i rozpoczęło nowe życie lub nową działalność przeciw komunistom.

36. Str. 181. Do procesu Kasznicy, Neymana, Paszkiewicza itp. 11 lutego 1948 zostali włączeni zaocznie Todtleben, Iłakowicz i Wawrzkowicz. Wszyscy z wyjątkiem Paszkiewicza zostali skazani na śmierć (mam wycinki sprawozdań prasowych z tego okresu), naturalnie ostatni trzech zaocznie. O ile mi wiadomo, byliśmy wyłączeni ze wszystkich dotychczasowych amnestii.

37. Str. 185. Ani Wawrzkowicz ani Sobociński nigdy nie byli usunięci z Grupy Szańca. Boguszewski nie wie, o czym mówi. Również zmiana kierownictwa w Grupie Szańca z Bluzińskiego na Rudawskiego była zwykłą zmianą, która w organizacji następowała regularnie co pewien okres.

38. Str. 185. *Zeszyty do Historii NSZ* były bardzo nierówne. Artykuły i wspomnienia Gluzińskiego, Marcinkowskiego, Mazura i Todtlebena były bardzo dobre, inne różne, a Boguszewskiego pełne rozgrywek personalnych i podsłuchanych plotek. Na przykład twierdzenie, że z powodu intryg prowadzonych przypuszczalnie przez Sobotę musiałem opuścić Kompanie Wartownicze jest zupełnym nonsensem (wyjaśniłem to w punkcie 34). Całkowicie się w tym czasie skoncentrowałem na przesiedleniu brygadowców do Francji, wyjeżdżałem szereg razy do Paryża (przy pomocy płk. Biddle'a) i załatwiałem wszystkie sprawy techniczne z p. Passe'm, przedstawicielem przemysłu stalowego francuskiego. Współpracowałem z Dowborem, Rudowskim i naszym kolegą Janem Łączyńskim, który był moim zastępcą na terenie Francji, a potem objął po mnie moją funkcję.

39. Str. 193. Twierdzenie autora, że nic nie pozostanie z działalności ONR jest jego osobistym poglądem. Często jednak w historii tego rodzaju twierdzenia zawodzą. Nasze środowisko nie wycofało się, a pozostawiło nowym pokoleniom w kraju ustalanie linii politycznej i metod działania. Może przyjdzie chwila, że będziemy mogli pomóc (ilu nas wtedy zostanie na tym świecie?), ale przykład naszej postawy i zasad na pewno pozostanie. Tak zwana czynna działalność polityczna na emigracji graniczyła dla mnie zawsze z „przelewaniem z pustego w próżne”.

40. Str. 199. Zgodnie z twierdzeniem Adama Iłakowicza (który jest młodszym bratem Jerzego Iłakowicza) Aleksander

Heinrich umarł w 1941 w Oświęcimiu. Adam, który sam był więźniem, często go widywał.

41. Str. 199. W notatce biograficznej Jerzego Olgerda Iłakowicza jest szereg zupełnie błędnych faktów:

1. Kazimiera Iłakowiczówna jest według mnie urodzona między 1882 a 1885 r. W 1913 po raz pierwszy jako studentka Uniwersytetu Jagiellońskiego przyjechała na wakacje do Łazisk, majątku moich rodziców, musiała mieć wtedy 18-21 lat. Przedtem nikogo z mojej rodziny nie знаła, również jej matka nie znała moich rodziców. Zeby być córką mego ojca — mój ojciec musiał mieć w tym czasie 12-14 lat. Zupełny nonsens.

2. J.O.I. nigdy nie był ranny w głowę na żadnym polowaniu.

3. J.O.I. nigdy nie mieszkał u pp. Regulskich w Leśnej Podkowie. Bywał rzadko na *week-end*'ach, a dosyć często po parę godzin w niedziele.

4. Pierwsza żona J.O.I., która zginęła 4 października 1943 (*vide* punkt 8), jako młoda studentka w Grenoble wyszła za mąż za studenta Persa ze starej książęcej rodziny Zanghenh. Po trzech latach się rozwiedli (Persja nawet na tym poziomie towarzyskim nie była krajem dla kobiety europejskiej). W 1934 wyszła za mąż za J.O.I. — ich córka Ligia żyje w Warszawie. Renata Iłakowiczowa była warszawianką, a raczej poznanianką. Jej wuj arcybiskup Zakrzewski umarł parę lat temu.

5. Wszystkie nieścisłości dotyczące rzekomego zatargu z płk. Sobolą zostały wyjaśnione w punkcie 34.

6. Moja druga żona pochodziła z Lexington, Kentucky, była urzędniczką Departamentu Stanu, przydzieloną na pięć lat do Planu Marshalla w Paryżu. Tam się pobraliśmy (w prastarym kościele polskim). Nie była właścicielką hotelu (a szkoda).

7. Kontaktów z ONR i NSZ nie zerwałem, natomiast z różnych przyczyn przez wiele lat byłem politycznie nieczynnym.

Brednie podane autorowi przez Stypułkowskiego (17 stycznia 1971) są dla mnie zagadką, ponieważ znaleźliśmy się dobrze i wiele punktów mógł sprawdzić, jeżeli nie bezpośrednio ode mnie, to od moich przyjaciół. Ponieważ nie żyje, wszelkie na ten temat rozważania są bezpodstawne.

42. Str. 204. Wszelkie wzmianki nt. tzw. Dyrektoriatu starałem się wyjaśnić w punkcie 12.

43. Str. 205. Śmierć Pacholczyka została omówiona w punkcie 25.

44. Str. 209. Dr Włodzimierz Sylwestrowicz, lekarz i radny

miejski Warszawy, aresztowany w 1940, zginął nie w Oświęcimiu, ale w Mauthausen.

45. Str. 209. Wyjście z Krakowa na zachód Todtlebena, Wawrzkowicza i Iłakowicza zostało opisane w punkcie 27.

46. Str. 209. Ani Wawrzkowicz, ani Sobociński nie byli usunięci z organizacji (*vide* punkt 37). Ppłk Kamiński był członkiem Zakonu i bardzo blisko współpracował z Wawrzkowiczem w Niemczech i Belgii. Jeszcze w Warszawie utrzymywał stały kontakt z Iłakowiczem (główny temat: niedopuszczenie do powstania warszawskiego).

47. Str. 213. Ostatnim szefem Oddziału VI sztabu NSZ od przyjazdu do Krakowa w październiku 1944 do wyjścia z Krakowa 19 stycznia 1945 był kpt. Iłakowicz.

48. Str. 214. Ostatnim komendantem Okręgu IV Częstochowa był mjr Kasznica od końca sierpnia 1944 do wkroczenia Rosjan.

Dwie istotne sprawy wymagają choć krótkiego omówienia oraz mego komentarza. Zostawiłem je specjalnie na zakończenie:

a) Rzekoma propozycja zrobiona Zb. Stypułkowskiemu przez Marcinkowskiego, Wawrzkowicza i Iłakowicza opanowania ruchu oporu w Polsce, tak politycznie jak i wojskowo.

b) Rola Stypułkowskiego w czasie pobytu w Moskwie w 1945 roku.

Oto moje na te tematy uwagi:

1. Z czterech wymienionych w tym punkcie osób dwie nie żyją (Stypułkowski i Wawrzkowicz), a dwie są jeszcze na tym świecie (Marcinkowski i Iłakowicz). Stwierdzam kategorycznie, że ani takiej rozmowy, ani propozycji nigdy nie było. Nie mam wątpliwości, że Marcinkowski twierdzenie moje potwierdzi. Ze strony Stypułkowskiego jest to zwykły szkalujący wymysł. Trzy główne argumenty nasuwają mi się przeciw możliwości tego rodzaju rozmowy:

a) W kwietniu 1944, którą to datę podaje Stypułkowski tej rozmowy, dwa zadania dominowały nasze zainteresowania — przeciwstawienie się powstaniu warszawskiemu oraz przesunięcie na zachód naszych oddziałów. Spodziewane zajęcie Polski przez Rosję robiło zagadnienie przywództwa ruchu podziemnego sprawą drugorzędną. Istotne było utrzymanie NSZ i ochrona naszych ludzi przed zemstą komunistów.

b) Stypułkowski byłby ostatnią osobą, z którą na tego rodzaju

konspirację poszlibyśmy. Może moglibyśmy rozmawiać z Michałowskim, Jaxą-Bykowskim, może Matłachowskim, ale nigdy ze Stypułkowskim. Przecie nawet o wyjeździe Salskiego do Londynu nie powiedzieliśmy mu!

c) Tego rodzaju rozmowy i propozycji nie mogliśmy zrobić bez oficjalnego upoważnienia Komitetu Politycznego (A), a sprawa ta nie była nawet na Komitecie poruszana. Cała ta sprawa jest zwykłym wymysłem Stypułkowskiego. Cel jest jasny. Jeszcze bardziej nam utrudnić utrzymanie NSZ i podcięcie nas w opinii publicznej, w której znajdowaliśmy stałe oparcie.

2. Porównanie dwóch osób nasuwa się w tym punkcie, Piasecki — Stypułkowski. Jak Piasecki wywinął się ze szponów sowieckich, wszyscy wiemy: po prostu obiecał Rosjanom pomoc przy zwalczaniu i rozbijaniu Kościoła katolickiego w Polsce. Aż do swej śmierci wiernie swe zadanie spełniał.

O roli Stypułkowskiego nie wiemy naprawdę nic. Kiedy delegacja 15 osób podziemia polskiego zdecydowała się ujawnić i wyjechać do Moskwy, Stypułkowski na 16-go, mówiąc po warszawsku, wtrzyknął się do tego zespołu. On, według własnych słów przewodniczący TNRP-NSZ, człowiek najbardziej oficjalnie odpowiedzialny za egzekucje setek komunistów, rozbicie wielu band rosyjskich, likwidowanie stacji radiowych sowieckich etc., etc., on jeden wyszedł cało. Wszyscy inni zginęli albo spędzili długie lata w więzieniach. On jeden po paru miesiącach został zwolniony, wrócił do Polski i względnie łatwo wyjechał za granicę. Widziałem go w Norymberdze, oczom wierzyć nie chciałem.

W swej książce „Invitation to Moscow” (przez kogo?) opisuje przebieg badań i swoje rozmowy z władzami śledczymi (zawsze bardzo wysokimi). Albo Rosjanie są tak głupi, jak ich przedstawia, albo w całym opowiadaniu nie ma ani łuta prawdy. Na logikę wydawałoby się, że nie tylko nie powinni byli go zwolnić, ale jeszcze obedrzeć ze skóry.

Czym Stypułkowski zapłacił za swoje zwolnienie? Nawet trudno się domyślać. Wydaje się, że tak sprawa Piaseckiego, jak Stypułkowskiego wymaga solidnych badań i historycznych studiów. Może nam kiedyś Rosjanie w tym pomogą.

Na tym kończę mój tak długi list. Napisałbym wcześniej, gdyby się Pan ze mną skontaktował. Moi przyjaciele mój adres znali. A może nie! Trzeba było sierpnia 1980 i Gdańska, aby we mnie z powrotem wróciła energia. Czytając Pańską książkę z rozczuleniem myślałem o tych wszvstkich kolegach — żyjących i tych co zginęli. Lepszego zespołu nie mógłbym sobie wyobrazić.

Mimo wszystkich błędów i niedociągnięć, to byli ludzie warci tego słowa.

Moje oficjalne nazwisko, które mam na dowodzie obywatelstwa, amerykańskim paszporcie i wszystkich urzędowych dokumentach jest Jerzy Zawisza-Iłakowicz. Natomiast na co dzień używane nazwisko — Jerzy Zawisza, 101 Perkins Ave., Wilmington, Del. 19809, USA.

Łączę wyrazy wdzięczności i szacunku

Jerzy Olgierd IŁŁAKOWICZ



Na list ten odpisałem 9 lipca 1982, zadając szereg dalszych pytań. Ale zanim dostałem odpowiedź, Iłakowicz przyjechał niespodziewanie do Londynu, gdzie spotkaliśmy się dwukrotnie 12 i 18 września 1982. Na podstawie tego co mi opowiadano, a szczególnie co opowiadał Stypułkowski, wyobrażałem sobie Iłakowicza jako bez mała bandytę. Przy spotkaniu okazało się jednak, że był kulturalnym człowiekiem o nieskazitelnym manierach, odznaczającym się nieprzeciętnym wzrostem. Jednak po dwóch dłuższych rozmowach zdałem sobie sprawę z tego, że nie miałby on zbyt wielu skrępułów w wydawaniu wyroków śmierci, gdyby był przekonany, że leżało to w interesie „środowiska, które reprezentował”.

Starłem się od niego dowiedzieć, kto kierował Grupą Szańca w czasie wojny, ale bez skutku. Zastaniał się złożoną przysięgą dochowania tajemnicy. Jednak kiedy zjedliśmy dobrą kolację z winem w greckiej restauracji na Hampstead (Iłakowicz znał się na sprawach kulinarnych, bo przez wiele lat był administratorem klubu w Stanach Zjednoczonych) zasugerowałem, iż zagramy w grę — ja będę wymieniał nazwiska, a on będzie mówił, czy należy je wpisywać na listę 10 czołowych przywódców Grupy Szańca, czy też nie? Zgodził się. Ustalona lista (w porządku alfabetycznym) wyglądała następująco:

Kazimierz Gluźniński, Antoni Goerne, Jerzy Olgierd Iłakowicz, Lech Neyman, Stefan Nowicki, Władysław Marcinkowski, Tadeusz Salski, Bolesław Sobociński, Tadeusz Todleben i Othmar Wawrzekowicz.

Poza tym Iłakowicz dodał, że po opanowaniu kraju przez Sowiety na początku 1945 czołową rolę odgrywali Kasznica i Neyman. Udało się też ustalić, że trzech naczelników przywódców obierano na okres roczny.

Na mój list z 9 lipca 1982 odpowiedział Iłłakowicz po powrocie do Stanów Zjednoczonych. Przytaczam z niego ważniejsze urywki.

Z. S. S.

5 października 1982.

Kochany Panie Zbigniewie.

... Wszyscy członkowie organizacji składali przysięgę dotyczącą tajemnicy organizacyjnej, która obowiązuje ich do końca życia. Samo istnienie Organizacji (tzn. Organizacji Polskiej — Z.S.S.), własna przynależność oraz przynależność innych kolegów znanych im, ta przysięga obejmowała.

Gestapo, o ile mnie wiadomo, organizacji tajnej nie rozszyfrowało, natomiast rosyjskie metody UB, głównie tortury, istnienie organizacji ujawniły (zapewne z udziałem grupy Piaseckiego) i sporą ilość członków zdekonspirowały. To naturalnie zmienia obraz rzeczy, wiele nazwisk zostało ujawnionych w przewodach sądowych oraz artykułach prasowych i opracowaniach historycznych. Dlatego w liście moim do Pana mogłem wymienić cały szereg nazwisk i zajmowanych stanowisk. Ułatwia to uniknięcie na przyszłość nieporozumień i historycznych przeinaczeń, niemniej przysięga obowiązywała i bardzo wielu naszych kolegów (może nawet duża większość) nigdy nie została zdekonspirowana.

Naturalnie NSZ i SCN były ze swojej struktury i zasad organizacjami jawnymi. Tylko warunki policyjne pod okupacją niemiecką, a później w naszych planach pod okupacją sowiecką, byłyby również do maksimum zakonspirowane. [?] Gdyby Polska była wolna, byłyby całkowicie jawne, tak jak było ONR, dopóki sanacja nie zastosowała swoich metod totalitarnych, Berez itp. Wspominam o tym, ponieważ mogłem podać np. skład Komitetu Ekonomicznego SCN, komórki pracy w swojej zasadzie zupełnie „jawnej”.

A teraz do sprawy zasadniczej — składu Komitetu Politycznego pod żadnym warunkiem ujawnić *nie mogę*. Jak również dotyczy to kierownictwa, sposobu jego wyboru i zakresu kompetencji.

Odnosnie Władka Marcinkowskiego i sprawy Lesińskiego, to trzeba było być w kraju, aby zrozumieć istotę sytuacji. Ja byłem obecny w czasie tych całonocnych rozmów. Był też Kmicic — zachowywał się bardzo poprawnie i zyczliwie. Nie było ani gróźb, ani ostrych słów. Rozmowy były spokojne i cywilizowane. Naszym zadaniem było przekonanie Lesińskiego, że na jego nomina-

cję przez Bora na komendanta NSZ nie możemy się zgodzić. To według podpisanej umowy nie należało do Bora, a do TNRP (które w swej pierwotnej formie zaczęło się rozlatywać). Jedynym może słabym naszym punktem był sposób sprowadzenia Lesińskiego na rozmowę, ale w tym nie mieliśmy wyboru. Lesiński mógł być przestraszony, choć zachowanie naszych chłopców było spokojne i poprawne. Zaraz na początku go całkowicie uspokoiliśmy⁴.

Nasz punkt polityczny, co do którego staraliśmy się przekonać Lesińskiego, był, że front sowiecki jest bardzo bliski i że najważniejsze sprawy stojące przed nami to:

1. niedopuszczenie do powstania w Warszawie,
2. utrzymanie w całości NSZ i jego Komendy,
3. przesunięcie się jak najbardziej na zachód,
4. możliwie najlepsze zakonspirowanie naszych ludzi — nowe fałszywe dokumenty, zmiana miejsca pobytu, pracy.

Jeżeli w istniejącej sytuacji byłaby możliwość scalenia z AK, to się na to całkowicie zgodzimy, to był zawsze nasz cel, pod warunkiem posiadania pewnych wpływów w Komendzie Głównej na politykę AK. W terenie z czasem dalibyśmy sobie radę.

Zdawało się, że Lesińskiego całkowicie przekonaliśmy. Podpisał chętnie i dobrowolnie list do Bora i inne załączniki. Daleszego jego postępowania ja osobiście nie mogłem zrozumieć, ale od tej chwili byliśmy całkowicie zaabsorbowani wymienionymi wyżej czterema punktami.

Sprawę Kmicica też trzeba zrozumieć w kontekście sytuacji w kraju, a szczególnie NSZ. Kiedy Kurcusz wybrał go swoim następcą, to postawiliśmy warunek, że będzie pełniącym obowiązki. Za mało żeśmy go znali, choć w terenie miał rezultaty doskonałe. Te rezultaty przeważały. W niedługim czasie zaczęliśmy sobie zdawać sprawę, że popełniliśmy zasadniczy błąd. Co dalej, to Pan już wie. W moim pierwszym liście dałem wydaje mi się dobrą jego charakterystykę, ale o zębach (wyrwanie jeńcom — Z.S.S.) dowiedzieliśmy się dużo później⁵.

Stypułkowski nie był podły, był zarozumiały, niesłuchanie ambitny w tym niezupełnie dodatnim znaczeniu, niewątpliwie odważny, tam gdzie to mogło mu pomóc w karierze. Nie był typem, do którego się ma pełne, stuprocentowe zaufanie. Inteligentny i gładki w obyciu. Ja z nim czułem się bardzo dobrze, czy to prowadząc długie rozmowy (gdzie niewątpliwie miał przewagę),

4. Lesiński został porwany przez żołnierzy NSZ.

5. Kmicie został rozstrzelany z wyroku Grupy Szańca. *Vide* komentarz 21 w pierwszym liście Hlakowicza z 30 kwietnia 1982.

czy też grając w bridge'a. Mieliliśmy ogromną ilość wspólnych znajomych. Do organizacji bym go nie zaproponował. Ale stworzyć razem NSZ — dlaczego nie?

Do momentu Moskwy uważałem go za dobrego Polaka. Wyjazd tam nasunął mi wiele wątpliwości, ale może to uprzedzenie z mojej strony. Nigdy nie mogłem zrozumieć, że nie zajął w Londynie prawdziwie czołowego stanowiska. To było dla niego idealne środowisko — tu trochę nablagować, tu lekko oszukać, a ciągle piąć się po drabinie.

Jeżeli chodzi o wyjazd mojej pierwszej żony do Londynu, to nie było takie głupie. Ryzyko było, ale na to mieliśmy naszą organizację we Francji i myślę, że wszystko mogło pójść dobrze. Kobiety umieją się tak ucharakteryzować, że własna matka nie pozna. Tymczasem na miejscu była niespokojnym duchem, który musiał ciągle coś robić. Na dwa dni przed śmiercią rozmawiałem przez telefon — znalazła pod Otwockiem radiostację sowiecką, mieliśmy ją zlikwidować. Przekonywałem, że Londyn ważniejszy, ale nie pomogło.

Wyjście żony z Majdanka to nasza własna operacja na podrobione rozkazy przewozu na nowe badania. Mieliliśmy świetnych Pomorzaków do takiej roboty.

Pseudonim Ter Oganian nieznan, nigdy przez żonę nie używany. Jej nazwisko panięskie Morzycka, siostra doktora Jerzego. Był on w partii komunistycznej razem ze swym przyjacielem Witoldem Trąpczyńskim, synem sławnego ojca, pierwszego marszałka Sejmu polskiego! Potem był dyrektorem Banku Polskiego pod Niemcami, następnie ministrem Handlu Zagranicznego, a wreszcie siedem lat ambasadorem polskim w Waszyngtonie. Mam ciekawe historie z jego życia. Już nie żyje.

Fangor był przyjacielem rodziny mojej pierwszej żony. Moja córka Ligia jest wielką przyjaciółką jego córek i wnuczek. Nie miał nastawienia politycznego. Sam z niczego dorobił się dużej fortuny. Był wykształcony, czytany, bardzo inteligentny i poświęcił szereg lat studiom nad związkami zawodowymi.

Przedwojenne funkcje Kazimierza Gluzińskiego nie są mi znane, wiem że był doktorem ekonomii i wyższym urzędnikiem w węglu w Katowicach.

Zygmunt Rusinek, były poseł na Sejm i jeden z kierowników Centrali Organizacji Kółek Rolniczych w Warszawie. Był członkiem Komitetu Ekonomicznego do momentu wyjazdu na Węgry. Mam wrażenie, że był bliski gen. Sikorskiego.

Wracając jeszcze do Stypułkowskiego, to całe zerwanie stosunków politycznych było wynikiem udanego wyjazdu Salskiego do Londynu. On by dał pół życia, żeby tam się znaleźć. Jemu

się wydawało, że to ja zaaranżowałem i trzymałem przed nim w tajemnicy. A to było zwykłe, proste zagadnienie bezpieczeństwa Salskiego. Nawet wielu szczegółów większość członków Komitetu Politycznego nie znała, bo nie potrzebowała, włączając w to i mnie.

Przeczytałem kopię mego pierwszego listu i nie widzę niczego, co by nie mogło być ujawnione. Również i ten list nie zawiera niczego, z czego Pan nie mógłby skorzystać.

Jest jeszcze jeden drobny punkt w moim pierwszym liście. Pisałem, że w Kom. Wykonawczym St. Nowickiego istniały grupy zakonne, z których polityczną ja kierowałem. Niedopuszczenie do powstania warszawskiego było moim zadaniem. Wiele osób tak kolegów organizacyjnych jak i tylko przyjaciół mi w tym pomagało. Najważniejsi byli właśnie osobiści przyjaciele. Wymieniłem Miklaszewskiego, Sikorszczyka i dwie osoby nie polityczne, a wpływowe — Regulskiego i Makarczyka. Byłoby błędem łączenie ich z grupą zakonną.

Łączę wyrazy serdecznych pozdrowień i jeszcze raz pragnę podkreślić przyjemność poznania Pana i naszych obszernych rozmów.

Jerzy Olgiard IŁŁAKOWICZ

Stefan BOROWICZ

KLUBY INTELIGENCJI KATOLICKIEJ PO SIERPNIU 1980 ROKU

W wyniku wydarzeń sierpniowych ruch „Znak” rozrósł się tak pod względem ilościowym, jak i jakościowym. W ciągu kilku zaledwie miesięcy powstało na terenie całego kraju kilkadziesiąt nowych Klubów Inteligencji Katolickiej, regionalnych stowarzyszeń laikatu, działających na własną odpowiedzialność, lecz w łączności z hierarchią kościelną, a stawiających sobie za główny cel pracę kształceniową, samokształceniową i wychowawczą. Dzięki istniejącej sytuacji politycznej w Polsce grupy inteligencji katolickiej z Gdańska, Szczecina, Katowic i wielu innych miast mogły „ujawnić się” i powołać do życia własne kluby. Niektóre środowiska czekały ćwierć wieku na ten moment. Jacek Woźniakowski w artykule „Kluby i polityka” (*Tygodnik Powszechny* nr 13 z 1957 roku) wymieniał wiosną 1957 roku 26 istniejących klubów. Jednak wówczas, na fali zmian październikowych, władze zgodziły się na rejestrację tylko pięciu stowarzyszeń — w Warszawie, Krakowie, Wrocławiu, Toruniu i Poznaniu.

W latach 1956-1980 Kluby Inteligencji Katolickiej stanowiły oazę suwerennej i niezależnej od marksistowskiej propagandy myśli, dla wielu ludzi młodych były jedyną w swoim rodzaju szkołą demokracji, szkołą autentycznej działalności społecznej i przygotowaniem do obywatelskiego uczestnictwa w życiu publicznym kraju. Nic więc dziwnego, że w 1980 roku kluby służyły pomocą i radą nowopowstającemu związkowi zawodowemu *Solidarność*.

Kalendarium przedstawia proces powstawania i rozwoju Klu-

bów Inteligencji Katolickiej w okresie od 1 września 1980 roku do 13 grudnia 1981 roku. Dzięki zestawieniu wszystkich dostępnych autorowi faktów można prześledzić dynamikę wydarzeń:

jesień 1980 roku — pierwsze zebrania założycielskie członków klubów oraz kierowanie wniosków do władz administracyjnych o legalizację stowarzyszeń;

początek 1981 roku — utworzenie w porozumieniu z partią Polskiego Związku Katolicko-Społecznego przez Janusza Zabłockiego oraz kryzys w rejestracji nowych klubów (władze zachęcają założycieli klubów do wstąpienia do organizacji Zabłockiego);

wiosna 1981 roku — na skutek interwencji biskupów u władz państwowych przewyciężono impas w uzyskiwaniu osobowości prawnej przez kluby, odbyła się inauguracja działalności wielu klubów;

lato-jesień 1981 roku — okrzepnięcie organizacyjne ruchu klubowego, liczne spotkania międzyklubowe w poszczególnych dzielnicach kraju oraz ogólnopolskie zebrania branżowe (na przykład nauczycieli).

Na uwagę zasługuje bardzo życzliwy stosunek i zainteresowanie Episkopatu Polski nowopowstającymi klubami. W dużej mierze dzięki poparciu Kościoła Kluby Inteligencji Katolickiej mogły wznowić działalność po przerwie, spowodowanej stanem wojennym. Obecnie istnieje blisko 50 KIK-ów w całej Polsce, przy czym niektóre posiadają filie w mniejszych miastach. W kilku ośrodkach władze zlikwidowały KIK (np. Częstochowa, Rzeszów, Gdańsk, Olsztyn), na ich miejsce powołano przykościelne duszpasterstwa inteligencji.

Kalendarium opracowano na podstawie dostępnych dokumentów oraz wykorzystano informacje publikowane na łamach prasy.

1980

4 września — w lokalu warszawskiego KIK-u odbyło się spotkanie, na którym przedstawiono wyniki rokowań gdańskiego Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego z władzami państwowymi. W zebraniu wzięli udział m.in. Andrzej Święcicki i Andrzej Wielowieyski — członkowie grupy mediacyjnej, powołanej 29 sierpnia przez Prymasa Polski ks. kard. Stefana Wyszyńskiego oraz eksperci MKS — Bronisław Geremek, Bohdan Cywiński, Adam Kersten, Waldemar Kuczyński, Jadwiga Staniszkis, Andrzej Stel-

machowski, Jerzy Stembrowicz, Jan Strzelecki. Andrzej Wielowiejski przedstawił kalendarium strajku i atmosferę panującą w stoczni. W związku z silnym zaangażowaniem się w wydarzenia sierpniowe członków KIK-u, prezes klubu — Andrzej Świącicki — przedstawił stanowisko zarządu wobec kryzysu. Powiedział m.in., że środowiska inteligencji katolickiej nie chcą wyznaniowych związków zawodowych czy tworzenia chrześcijańskich partii politycznych. Klub nie będzie partią polityczną, nie chce narzucać programu wychowawczego czy duszpasterskiego. KIK ma pomagać każdemu w znalezieniu i realizacji własnego powołania w którejkolwiek ze wspomnianych dziedzin, a wykraczającego poza pracę służącą zaspokajaniu prywatnych potrzeb. Bronisław Geremek mówił o wielkiej dojrzałości ruchu strajkowego i jego kierownictwa, a Bohdan Cywiński zwrócił uwagę na pogłębioną religijność stoczniowców, nad której kształtem czuwa ks. Henryk Jankowski, duszpasterz robotników. W drugiej części spotkania odbyła się dyskusja.

5-7 września — na Jasnej Górze odbyły się Dni Modlitw Inteligencji Katolickiej. Temat: „Chrystus w dziejach człowieka i narodu”. Pierwszą część spotkania stanowiły rekolekcje prowadzone przez ks. Tadeusza Fedorowicza z Lasek i O. Leona Knabita OSB. W drugiej części zebrani wysłuchali referatów ks. bpa Stefana Bareły, ks. bpa Ignacego Tokarczuka i prof. Jerzego Kłoczowskiego. Poza tym uczestnicy Dni brali udział w dyskusjach i konwersatoriach. Prymas Polski ks. kard. Stefan Wyszyński, który nie mógł przybyć na Dni Modlitw, skierował do uczestników list. Czytamy w nim m.in.: „Dziś, po latach bolesnych doświadczeń, przekonanie o niezbędności katolickiej nauki społecznej dla budowania w naszej Ojczyźnie ładu i spokoju społecznego jest niezbędne. Dla nas powstaje wzmocniony obowiązek oceny całokształtu myśli dziejów i zasad, tak systematycznie kształtujących się w nauce Kościoła współczesnego. Może wypadnie nam wrócić, w szeregu następnych Dni Modlitw lub też w pracy całorocznej ośrodków Odrodzeniowych, do systematycznego studium katolickiej filozofii i etyki społecznej. Warto uwrażliwić się na źródła tej nauki, poczynając od ksiąg Nowego Testamentu, poprzez już liczne dzisiaj dokumenty Stolicy Świętej, aż do tych wypowiedzi, które wychodzą z ust Ojca Świętego Jana Pawła II”.

7 września — w *Tygodniku Powszechnym* (nr 36) w artykule od redakcji czytamy: „Rozwaga, stanowczość, godność strajkujących robotników zaimponowały wszystkim, spowodowały masowe akcje solidarnościowe. (...) Byłoby bardzo źle, gdyby porozumienia niosły ze sobą poczucie przegranej, gdyby którakolwiek

ze stron poczuła się oszukana. (...) Nie o doraźne przecież, a tym bardziej wymuszone ustępstwa chodzi, lecz o zmianę nastawień, sposobu myślenia, o odpowiedzenie sobie do końca, co jest dzisiaj konieczne i możliwe? (...) Najważniejsze bowiem, by przemiany struktur następowały zgodnie z przemianami świadomości społecznej i to szybciej, niż zdołają narosnąć ewentualne konflikty. Chcemy wierzyć, że nikt nigdy nie będzie próbował uciekać się do siły w rozstrzyganiu spraw spornych. (...) Uczestniczyliśmy w ważkiej, choć przyspieszonej lekcji demokracji i tej nauki zapomnieć nie wolno”.

9 września — w lokalu warszawskiego KIK-u zaczął działać punkt konsultacyjny Niezależnych Samorządnych Związków Zawodowych. Główną rolę doradców (prawnych, ekonomicznych, organizacyjnych) odgrywali w nim członkowie klubu, udzielający od wczesnego rana do wieczora informacji i porad. Przez KIK przevinęło się ponad 600 delegacji z różnych zakładów pracy. Byli tu tak warszawiacy jak i goście z całej Polski, od Białegostoku do Lublina, od Szczecina po Nowy Targ. Punkt przestał działać dopiero w chwili, gdy Region Mazowsze uzyskał swój lokal przy ul. Szpitalnej nr 5, a więc w pierwszych dniach października. Warszawski KIK używał lokalu na zebrania zakładowe, tu odbyło się m.in. zebranie założycielskie NSZZ-FSO oraz NSZZ Warszawskiego Węzła Kolejowego PKP, tu została powołana Komisja Koordynacyjna Sekcji Branżowej Pracowników Służby Zdrowia, tu odbyło się szereg posiedzeń Prezydium Regionu Mazowsze. Również w lokalu Klubu powołany został Komitet Założycielski NSZZ Rolników ze Zdzisławem Ostatkiem na czele.

20 września — w lokalu warszawskiego KIK-u odbyło się zebranie Komitetu Założycielskiego NSZZ Mazowsze, na którym omówiono statut oraz upoważniono prezydium do udziału w Komisji Porozumiewawczej MKZ z całej Polski w Gdańsku i do powołania ogólnopolskiego NSZZ.

24 września — w lokalu warszawskiego KIK-u odbyło się spotkanie przedstawicieli MKZ z całej Polski, z Lechem Wałęsą na czele. Złożyli oni podpisy pod wnioskiem o rejestrację NSZZ Solidarność.

2 października — w Gdańsku odbyło się zebranie przedstawicieli inteligencji katolickiej, na którym powzięto uchwałę o utworzeniu Klubu Inteligencji Katolickiej. W zebraniu brało udział 46 osób, wybrano pięcioosobowy zarząd.

3 października — ordynariusz gdański, ks. bp Lech Kaczmarek

przyjął delegację formującego się KIK-u, wyrażając akceptację i życzliwość dla samego faktu powstania Klubu oraz udzielił członkom założycielom swego pasterskiego błogosławieństwa.

7-9 października — w lokalu warszawskiego KIK-u odbyła się sesja nt. „Zadania ruchu związkowego”. Wygłoszono następujące referaty: prof. Andrzej Stelmachowski — „Sytuacja prawna ruchu związkowego”, dr Ludwik Florek — „Związki zawodowe a prawo pracy”, dr Waldemar Kuczyński — „Zadania niezależnych i samorządnych związków w obecnej sytuacji gospodarczej kraju”, prof. Andrzej Tymowski — „Hierarchia zadań polityki socjalnej a ruch związkowy”, red. Tadeusz Mazowiecki — „Zadania ruchu związkowego”.

9 października — odbyło się zebranie członków założycieli Szczecińskiego Klubu Katolików. Przyjęto statut stowarzyszenia, wybrano tymczasowy zarząd, określono cele i zadania klubu. Zobowiązano zarząd do podjęcia starań o rejestrację klubu.

12 października — na łamach *Tygodnika Powszechnego* ukazała się rozmowa z Tadeuszem Mazowieckim, redaktorem naczelnym *Więzi*, wiceprezesem warszawskiego KIK-u, przewodniczącym Komisji Ekspertów MKS w Gdańsku. Mazowiecki ocenił wydarzenia na Wybrzeżu następująco: „Stała się rzecz wielka, a teraz chodzi o to, aby się ona ugruntowała, była, trwała i wywierała wpływ na życie kraju. Po prostu społeczeństwo, robotnicy, wszyscy pracujący odzyskali pole społecznego działania. Odzyskali możliwość kontroli społecznej, wyrażania opinii w imieniu społeczeństwa, wyrażania swych dążeń i interesów. To są sprawy o ogromnym znaczeniu. Myślę tu oczywiście o powstaniu niezależnych, samorządnych związków zawodowych. To jest sprawa zasadnicza. Druga sprawa — zostały sformułowane istotne zobowiązania dotyczące spraw życia publicznego w Polsce. Sprawa cenzury, środków masowego przekazu, aby były pod kontrolą społeczną, mszy św. w radiu, sprawa więźniów politycznych, prawa do strajków, wpływu nowych związków na życie gospodarcze, na podział dochodu narodowego. Istotne jest, aby nikt nie traktował tego jako chwilowego ustępstwa, aby zrozumiano, że jest to wielka szansa stworzenia sytuacji, w której ludzie poczują się współodpowiedzialni, nie w słowach, nie w sloganach, ale poprzez możliwość rzeczywistego działania”.

18 października — w lokalu warszawskiego KIK-u odbyło się zebranie przedstawicieli nauki, kultury i sztuki. Inicjatywa odbycia tej dyskusji wypłynęła od grona sygnatariuszy „Apelu 64”

z dni sierpniowych. Dyskusję zagajali prof. Aleksander Gieysztor, prof. Jacek Woźniakowski, dyrektor Społecznego Instytutu Wydawniczego ZNAK, oraz Andrzej Kijowski. „Sam zasadniczy temat spotkania — notował Jacek Wejroch — wyłaniał się z tych najróżnorodniejszych wypowiedzi niejako w podtekście jako oczywistość. Pojawiał się w formie rewindykowania prawa narodu do wszelkich wytworzonych przezeń w historii wartości kulturowych i wołania o prawo dostępu do wszelkich wartości tworzonej współcześnie w tym najszerzej pojętym kręgu, jaki wyznacza związek z polską tradycją kulturalną. Była więc mowa przede wszystkim o przywróceniu współczesnym Polakom prawa do pełnej historii własnego narodu widzianej w różnych, historycznie uzasadnionych perspektywach, ściśle związanych z cechami naszej narodowej historii i kultury”.

19-26 *października* — odbył się we Wrocławiu III Tydzień Kultury Chrześcijańskiej. Protektorat nad Tygodniem objął metropolita wrocławski abp Henryk Gulbinowicz. Organizatorami imprezy byli: Centralny Ośrodek Duszpasterstwa Akademickiego oraz wrocławski KIK. W ciągu 8 dni w 15 kościołach parafialnych oraz z lokalu KIK-u wygłoszono ponad 70 referatów. Wystąpiło 30 prelegentów, m.in. Władysław Bartoszewski, Józefa Hannelowa, Stefan Kisielewski, Jacek Woźniakowski, Tadeusz Żychiewicz z redakcji *Tygodnika Powszechnego*, Władysław Czapliński, Adolf Juzwenko. Jacek Łukasiewicz, Józef Puciłowski z wrocławskiego KIK-u, Stanisława Grabska, Krzysztof Sliwiński, Jan Turnau, Andrzej Wielowieyski z KIK-u w Warszawie. Z wykładów i innych imprez Tygodnia (koncerty, spektakle teatralne, projekcje filmów, wystawy plastyczne) skorzystało ok. 100 tysięcy osób.

23 *października* — odbyło się w Katowicach zebranie 70 założycieli Klubu Inteligencji Katolickiej. Wybrano tymczasowy zarząd i złożono podanie do władz administracyjnych o rejestrację stowarzyszenia. Przyjęto statut klubu, który działa na terenie całego województwa katowickiego, zahaczając o trzy diecezje: katowicką, opolską, częstochowską.

24 *października* — w lokalu warszawskiego KIK-u odbyło się posiedzenie KKP NSZZ Solidarność przed udaniem się na historyczne posiedzenie do Sądu Wojewódzkiego w Warszawie.

31 *października/1 listopada* — w nocy, w lokalu warszawskiego KIK-u, odbyła się konferencja prasowa Lecha Wałęsy po rozmowach z premierem Józefem Pińkowskim.

8 listopada — w Elblągu odbyło się zebranie założycielskie Klubu Inteligencji Katolickiej. W spotkaniu brał udział prof. Andrzej Świącicki — prezes KIK-u w Warszawie — który przedstawił założenia ideowe oraz zarys historii ruchu „Znak”. W trakcie zebrania wyłoniono tymczasowy zarząd klubu oraz postanowiono złożyć wniosek o rejestrację stowarzyszenia w Urzędzie Wojewódzkim w Elblągu.

10 listopada — jury nagrody literackiej im. Andrzeja Struga, ufundowanej przez żonę pisarza p. Nelly Strugową, w składzie: Władysław Bartoszewski, Marian Brandys, Bohdan Cywiński, Andrzej Kijowski, Jan Józef Lipski, Jan Józef Szczepański i Juliusz Żuławski, postanowiło jednomyślnie przyznać tegoroczną nagrodę Tadeuszowi Mazowieckiemu — redaktorowi naczelnemu miesięcznika *Więź* i wiceprezesowi warszawskiego KIK-u. W uzasadnieniu swej decyzji jurorzy pisali: „Tadeusz Mazowiecki głosi zasady współżycia społecznego oparte na poszanowaniu godności i wolności człowieka, na tolerancji i wzajemnym zrozumieniu, na sprawiedliwości i prawie, na uznaniu pracy ludzkiej za wartość moralną”.

10 listopada — z lokalu warszawskiego KIK-u wyruszyli związkowcy Solidarności z Lechem Wałęsą na czele na historyczne posiedzenie Sądu Najwyższego.

11 listopada — odbyło się zebranie 43 członków założycieli Klubu Inteligencji Katolickiej w Nowym Sączu. W spotkaniu uczestniczył ks. bp Władysław Bobowski, sufragan tarnowski oraz prezes KIK-u w Krakowie Andrzej Potocki.

12 listopada — w Urzędzie Wojewódzkim w Gdańsku zarejestrowano KIK.

13 listopada — w Gorzowie Wielkopolskim odbyło się zebranie członków założycieli Klubu Inteligencji Katolickiej. W trakcie spotkania wybrano tymczasowy zarząd oraz przyjęto statut klubu.

17 listopada — w Częstochowie odbyło się zebranie 20 członków założycieli Klubu Inteligencji Katolickiej. Podczas spotkania przyjęto statut (terenem działania stowarzyszenia jest całe województwo częstochowskie) oraz postanowiono podjąć starania o rejestrację klubu.

24 listopada — w lokalu warszawskiego KIK-u odbył się wieczór poezji laureata Literackiej Nagrody Nobla za rok 1980 — Czesława Miłosza. O twórczości pisarza mówił Wojciech Karpiń-

ski, a utwory recytowali: Halina Mikołajska, Halina Winiarska-Kiszkis, Jerzy Kiszkis i Maciej Rayzacher.

30 listopada — w Wałbrzychu odbyło się zebranie członków założycieli Klubu Inteligencji Katolickiej. Przyjęto statut, skierowano pismo do wojewody w sprawie rejestracji stowarzyszenia oraz wybrano tymczasowy zarząd klubu.

grudzień 1980 — Szczeciński Klub Katolików zorganizował rekolekcje, które głosił O. Władysław Łyko. Rekolekcje zakończono wspólnym opłatkami i błogosławieństwem ks. bpa Kazimierza Majdańskiego, ordynariusza szczecińskiego.

grudzień 1980 — w Białymstoku powstał komitet założycielski Klubu Inteligencji Katolickiej. *23 grudnia* komitet przesłał do Urzędu Wojewódzkiego wnioski o rejestrację klubu.

grudzień 1980 — powstał komitet założycielski Klubu Inteligencji Katolickiej w Koszalinie, liczący 22 osoby.

1 grudnia — w KIK-u gdańskim ks. prof. Józef Tischner wygłosił wykład pt. „Przestrzeń wolności”.

2 grudnia — odbyło się zebranie 34 członków założycieli Klubu Inteligencji Katolickiej w Tarnowie. W spotkaniu wziął udział ks. bp Władysław Bobowski. Przyjęto statut stowarzyszenia (terenem działania klubu jest całe województwo tarnowskie), wybrano tymczasowy zarząd KIK-u.

5 grudnia — zarejestrowano Klub Inteligencji Katolickiej w Olsztynie.

6-7 grudnia — w Warszawie odbyło się zebranie przedstawicieli KIK-u z Warszawy, Krakowa, Wrocławia, Torunia, Poznania, Gdańska, Szczecina, Katowic, Olsztyna, Elbląga, Tarnowa, Częstochowy i Nowego Sącza oraz redakcji *Tygodnika Powszechnego*, *Więzi*, *Znaku* i Instytutu Wydawniczego ZNAK. Dyskutowano o następujących kwestiach: ogólna sytuacja w kraju — niebezpieczeństwa i zagrożenia, stan społeczno-moralny społeczeństwa, zadania laikatu katolickiego, stan organizacji powstałych w ostatnim okresie klubów. Zebrani przedyskutowali i przyjęli tekst, w którym czytamy m.in.: „Narodową sprawę i wynikające z niej ogromne zadania chcemy podjąć w poczuciu pełnej zbiorowej odpowiedzialności — i to właśnie znaczy dla nas postulat demokracji. (...) Chcemy żyć i pracować samorządnie, praworządnie i w sprawiedliwości. W tym widzimy jedyną szansę dalszego dziejowego rozwoju Polski, szansę umocnienia pokoju i odprężę-

nia w świecie. (...) Ostateczną rękojmią prawdziwości odnowy jest rosnąca siła moralna zespolonego w nadziei społeczeństwa. Dotychczasowe nasze osiągnięcia są jej widocznym owocem. Najniebezpieczniejszym naszym przeciwnikiem — i rzeczywistą 'ciemną siłą' jest słabość, zniechęcenie, niewiara, egoizm i zakłamanie w każdym w nas”.

15 grudnia — w Gdańsku odbyła się uroczysta inauguracja działalności tamtejszego KIK-u. Mszę św. w intencji klubu odprawił oraz homilię wygłosił ks. bp Lech Kaczmarek. „Wystąpienie ordynariusza gdańskiego — notował Jacek Susuł — rozwijające odczytane w czasie liturgii słowa psalmu 'Naucz mnie chodzić własnymi ścieżkami' — postawiło przed społecznością klubową w sposób jednoznaczny i bardzo jasny problem wzrastania w cnoce męstwa, rozumianej niekoniecznie jako *virtus militaris*, lecz głównie jako *virtus vitae*, jako męstwo życia, służące stałej walce o zdobywanie i pomnażanie wartości, które sprawiają, że człowiek przerasta i wyzwala się z tych sposobów swego ziemskiego bytowania, jakie odpowiadają zakresom pojęć *homo animalis* i *homo sapiens*, stając się *homo Dei*. Po mszy św. prof. Stanisław Stomma wygłosił odczyt pt. 'Trudności katolicyzmu społecznego'”.

18 grudnia — w Krośnie odbyło się zebranie założycielskie Klubu Inteligencji Katolickiej.

19 grudnia — w Częstochowie odbyła się inauguracja działalności KIK-u.

1981

styczeń — ukazał się pierwszy numer *Biuletynu Informacyjnego*, wydawanego przez KIK w Częstochowie. Biuletyn jest miesięcznikiem i zawiera oprócz programu spotkań informacje z życia wspólnoty klubowej.

3 stycznia — odbyło się zebranie członków założycieli Klubu Inteligencji Katolickiej w Kielcach.

4 stycznia — odbyła się uroczysta inauguracja pracy KIK-u w Tarnowie z udziałem ordynariusza tarnowskiego ks. bpa Jerzego Ablewicza.

10 stycznia — w Jeleniej Górze odbyło się zebranie założycielskie Klubu Inteligencji Katolickiej. W spotkaniu brał udział wiceprezes wrocławskiego KIK-u dr Józef Puciłowski.

10 stycznia — w Rzeszowie odbyło się zebranie członków założycieli Klubu Inteligencji Katolickiej. W spotkaniu brał udział prezes krakowskiego KIK-u Andrzej Potocki.

12 stycznia — w Opolu odbyło się zebranie członków założycieli Klubu Inteligencji Katolickiej. Postanowiono wystąpić z wnioskiem do wojewody opolskiego o zarejestrowanie KIK-u.

14 stycznia — w Radomiu odbyło się zebranie założycielskie Klubu Inteligencji Katolickiej. Przyjęto statut stowarzyszenia oraz skierowano pismo do wojewody radomskiego w sprawie rejestracji klubu.

15 stycznia — odbyła się uroczysta inauguracja działalności Szczecińskiego Klubu Katolików. Po mszy św. wykład wygłosił O. Marek Pieńkowski na temat „Wiara i mentalność techniczna”. W deklaracji ideowej Szczecińskiego Klubu Katolików czytamy m.in.: „Klub nasz pragnie realizować w obecnych warunkach te cele, które stawiały przed sobą Kluby Inteligencji Katolickiej — jednocześnie nie chce nazwą ograniczać możliwości udziału w działalności klubu tych wszystkich, którzy przyjmując założenia ideowe i program działania, nie posiadają wyższego wykształcenia. (...) SKK chce być otwarty dla każdego katolika, który chce pogłębiać swą religijność, swoją wiedzę, kulturę, który chce znaleźć miejsce dla swobodnej, wolnej dyskusji i twórczości, który chce rozwijać swą odpowiedzialność za społeczeństwo. Jako wspólnota ludzi wolnych i samodzielnych klub pragnie ożywiać wszelkie indywidualne i społeczne dobre poczynania, pragnie szukać dobra i swoimi odkryciami dzielić się z siostrami i braćmi”.

15 stycznia — odbyło się pierwsze posiedzenie komitetu założycielskiego Klubu Inteligencji Katolickiej w Bielsku-Białej, na którym wybrano komisję statutową. W zebraniu uczestniczył redaktor Marek Skwarnicki (*Tygodnik Powszechny*).

15 stycznia — odbyła się uroczysta inauguracja działalności Klubu Inteligencji Katolickiej w Olsztynie. Mszę św. celebrował i homilię wygłosił ordynariusz diecezji warmińskiej ks. bp Józef Glemp. Po mszy św. odbyły się wybory do zarządu i komisji rewizyjnej. Z wypowiedzi ks. bp Glempa dla *Tygodnika Powszechnego* (nr 25): „W Olsztynie od września 1980 roku bardzo dynamicznie działa Klub Inteligencji Katolickiej z inż. Bolesławem Bońkowskim jako prezesem i inż. Kazimierzem Borzymem jako wiceprezesem na czele. Klub ten skupia dziś około 400 osób, reprezentujących różne zawody: techników, prawników,

lekarzy, aktorów, muzyków, pracowników naukowo-dydaktycznych olsztyńskiej Akademii Rolniczo-Technicznej, nauczycieli”.

19 *stycznia* — w Wałbrzychu zarejestrowano Klub Inteligencji Katolickiej. Tego samego dnia decyzję o rejestracji cofnięto. Ponownie to motywowano koniecznością wysłania całej dokumentacji do departamentu właściwego dla stowarzyszeń w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych w Warszawie.

22 *stycznia* — wojewoda katowicki stwierdził „brak uzasadnionej potrzeby społecznej dla powstania nowej organizacji, a założyciele KIK-u w Katowicach mogą swoje planowane cele realizować w ramach ogólnokrajowego stowarzyszenia, jakim jest Polski Związek Katolicko-Społeczny”.

22 *stycznia* — wojewoda krośnieński odmówił rejestracji KIK-u w Krośnie. Swoją decyzję motywował tym, że w Warszawie zarejestrowano PZKS z prawem tworzenia oddziałów wojewódzkich. Proponuje członkom założycielom KIK-u wstąpienie do PZKS.

23 *stycznia* — wojewoda białostocki odmówił rejestracji KIK-u w Białymstoku. Komitet założycielski KIK-u postanowił złożyć odwołanie do Ministra Spraw Wewnętrznych.

25 *stycznia* — na łamach *Tygodnika Powszechnego* (nr 4) ukazał się wywiad z bp. Ignacym Tokarczukiem, ordynariuszem przemyskim, który przeprowadził redaktor Jacek Susuł. Czytamy w nim, m.in.: „Możliwości pracy i rolę inteligencji w diecezji stawiam bardzo wysoko i ze względu na potrzeby tej diecezji, i ze względu na szanse, jakie daje inteligencja przez swe przygotowanie intelektualne i wyrobienie duchowe. Do niedawna możliwości działania dla inteligencji katolickiej były utrudnione przez cały klimat nacisków ideologicznych, nacisków ekonomicznych itp. — co często uniemożliwiała ludziom z tego kręgu społecznego zaangażowanie się we współpracę z szeroko pojętym Kościołem. Obecnie wydaje się, że ogólny klimat się zmienia i że powstaną lepsze szanse dla tego rodzaju inicjatyw”.

27 *stycznia* — zarejestrowano KIK w Nowym Sączu.

28 *stycznia* — wojewoda tarnowski odmówił rejestracji KIK-u w Tarnowie. W uzasadnieniu decyzji powołał się na istnienie PZKS.

31 *stycznia* — Urząd Wojewódzki w Gorzowie Wielkopolskim odmówił nadania osobowości prawnej KIK-owi. W uzasadnieniu

decyzji czytamy m.in.: „Cele zawarte w projekcie statutu KIK-u są identyczne z celami i środkami PZKS. Założyciele klubu mogą realizować planowane cele w ramach ogólnokrajowego stowarzyszenia, jakim jest PZKS”.

styczeń-luty — w wydawanym (co dwa miesiące) przez poznański KIK biuletynie *Informacje Klubowe* dr Andrzej Siemianowski tak sprecyzował zadania i możliwości świeckich stowarzyszeń katolickich: „Sądzę, że zadaniem podstawowym jest świadome tworzenie kultury chrześcijańskiej, na którą składają się m.in. kultura moralna i obyczajowa, kultura intelektualna — roztrotny krytycyzm, umiejętność samodzielnego myślenia i umiejętność racjonalnego a zarazem etycznego podejmowania różnych decyzji, kultura polityczna (której nie należy mylić z bezpośrednią działalnością polityczną) i umiejętność wartościowania i selekcjonowania tradycji (wiąże się to ze zdobywaniem solidnej, w miarę możliwości obiektywnej wiedzy historycznej). Kluby Inteligencji Katolickiej powinny służyć efektywną pomocą z jednej strony parafiom, a z drugiej Solidarności”.

1 lutego — *Tygodnik Powszechny* (nr 5) opublikował artykuł Andrzeja Micewskiego zatytułowany „Kilka słów o równouprawieniu”, który stanowił polemikę z tekstem Andrzeja Werblana „Dawne kryzysy i dzisiejsze problemy”, wydrukowanym w *Życiu Warszawy* z dnia 13 stycznia 1981 roku. Micewski pisał m.in.: „Chodzi o to, żeby praktykujący katolik mógł być nauczycielem, a także dyrektorem szkoły, jeśli jest dobrym pedagogiem. Chodzi o to, by tam, gdzie brak jest pielęgniarek, funkcje ich mogły spełniać także siostry zakonne. Chodzi o to, by Kościół miał prawo działalności charytatywnej, której obowiązek płynie z istoty jego posłannictwa, a w naszych warunkach społecznych jest ona niezwykle ważna i potrzebna krajowi. Chodzi o zapewnienie równego awansu we wszystkich zawodach ludziom wierzącym, jeśli wykazują oni odpowiednie kwalifikacje rzeczowe. Chodzi o to, aby nikomu nie robiono trudności, np. na koloniach letnich, z powodu wypełniania praktyk religijnych. Nie chodzi natomiast o to, aby tworzyć nowych dygnitarzy, głośno reklamujących swój katolicyzm, a mniej znanych ze swych rzeczowych kompetencji”.

3 lutego — KIK w Katowicach złożył odwołanie do ministra Spraw Wewnętrznych z wnioskiem o uchylenie odmownej decyzji w sprawie zarejestrowania klubu, wydanej przez wojewodę katowickiego. W uzasadnieniu odwołania czytamy: „Zgodnie z par. 5 statutu klub pragnie być stowarzyszeniem regionalnym, samodzielnym i niezależnym od innych stowarzyszeń i związków.

Członkowie założyciele nie widzą żadnych możliwości realizowania swoich planowanych w statucie celów w PZKS”.

3 lutego — tymczasowy Zarząd KIK-u w Bielsku-Białej złożył w Urzędzie Wojewódzkim wniosek o zarejestrowanie stowarzyszenia.

4 lutego — w Tarnowie zarejestrowano Klub Inteligencji Katolickiej. Klub objął swoim działaniem teren całego województwa. W uroczystej inauguracji działalności KIK-u wziął udział ordynariusz tarnowski bp Jerzy Ablewicz, który odprawił mszę św. i wygłosił homilię.

5 lutego — tymczasowy zarząd KIK-u w Krośnie złożył odwołanie do ministra Spraw Wewnętrznych od decyzji wojewody krośnieńskiego w sprawie rejestracji klubu. W bardzo obszernym uzasadnieniu tego odwołania czytamy m.in.: „PZKS nie ma na naszym terenie żadnej jednostki organizacyjnej, ani nawet załączka takiej organizacji. Tym samym propozycja Urzędu Wojewódzkiego w Krośnie uderza w próżnię, bazuje na jakichś mrzonkach i pozbawiona jest nawet pozorów realizmu, albowiem zachęca nas do pracy w organizacji, której nie ma! (...) Nie życzymy sobie absolutnie, by ktoś nami sterował, gdyż równałoby się to naruszaniu i obrażeniu zwykłej ludzkiej godności, którą jako katolicy cenimy sobie ponad wszystko”.

10 lutego — wojewoda częstochowski odmówił rejestracji KIK-u. Decyzja uzasadniona jest tym, że w Częstochowie zarejestrowano stowarzyszenie Polski Związek Katolicko-Społeczny, które posiada te same cele i środki realizacji co KIK. W związku z tym wojewoda nie widzi potrzeby rejestracji KIK-u w Częstochowie.

10 lutego — KIK w Gorzowie Wielkopolskim złożył odwołanie do ministra Spraw Wewnętrznych od decyzji wojewody z dnia 30 stycznia, odmawiającej rejestracji. W odwołaniu czytamy: „Chcemy być jednostką autonomiczną, działającą w duchu starych KIK-ów, a do nowopowstałego PZKS nie mamy zaufania. (...) Użyte w odmowie sformułowanie, że stowarzyszenie to 'nie odpowiada względem pożytku społecznego' jest równoznaczne z określeniem 'odpowiada względem przynoszenia szkody społecznej', co jest obrażające dla większej części społeczeństwa o światopoglądzie deistycznym, a w szczególności dla członków KIK-u w całej Polsce”.

12 lutego — we Włocławku KIK uzyskał osobowość prawną.

14 lutego — w lokalu krakowskiego KIK-u odbyło się pierwsze

międzyśrodkowe spotkanie przedstawicieli KIK-u z całej Polski południowej. Przybyli reprezentanci klubów z Bielska-Białej, Częstochowy, Katowic, Kielc, Krosna, Mielca, Nowego Sącza, Nowego Targu, Olkusza, Rzeszowa, Sosnowca i Tarnowa. Celem spotkania było wzajemne poznanie się osób oraz rozeznanie się w sytuacji organizacyjnej klubów, a także refleksja nad kierunkiem działania i metodami koordynacji pracy. Zebrani wysłuchali dwóch referatów: red. Haliny Bortnowskiej — „Metody pracy zespołowej” oraz red. Stefana Wilkanowicza — „Samokształcenie prelegentów”. W dyskusji po referatach rozważano możliwość stworzenia wzorcowego seminarium prelegentów przy krakowskim klubie.

16 lutego — w Kielcach uzyskał osobowość prawną Klub Inteligencji Katolickiej.

17 lutego — KIK w Częstochowie złożył odwołanie od decyzji wojewody z dnia 10 lutego, dotyczącej odmowy rejestracji KIK-u. W odwołaniu czytamy m.in.: „PZKS jest stowarzyszeniem centralnym, a więc jego statut w tym względzie różni się zasadniczo od naszego statutu. KIK jest stowarzyszeniem regionalnym, które nie ma charakteru politycznego i jest niezależne od decyzji centralnych”.

17 lutego — decyzją wojewody krośnieńskiego KIK-u w Krośnie uzyskał osobowość prawną. Z listu ordynariusza przemyskiego ks. bpa Ignacego Tokarczuka do klubu: „Przed klubem stoją ważne zadania formowania duchowego i intelektualnego członków oraz upowszechnianie kultury narodowej i chrześcijańskiej. Na realizację tych zadań i wierną służbę Bogu i Ojczyźnie z serca błogosławie zarządowi i wszystkim członkom klubu”.

19 lutego — KIK w Jeleniej Górze uzyskał osobowość prawną.

21 lutego — odbyła się uroczysta inauguracja działalności KIK-u w Elblągu. Mszę św. celebrował i homilię wygłosił ordynariusz warmiński ks. bp Józef Glemp. Po mszy św. referat pt. „Poglądy religijne i moralne ludzi wchodzących w samodzielne życie w wieku 25-30 lat” wygłosił ks. dr Mieczysław Józefczyk, dziekan elbląski.

22 lutego — odbyła się inauguracja KIK-u w Rzeszowie. Mszę św. w intencji klubu odprawił ordynariusz przemyski ks. bp Ignacy Tokarczuk. W homilii powiedział m.in.: „Myślenie wyzwolone z pęt zakłamania, wyzwolone z ucisku, szantażu, z głupiej propagandy, myślenie takie ma kolosalną przyszłość na wszystkich

odcinkach naszego życia. (...) Tyle dziedzin życia ludzkiego, naszego w Polsce, czeka na czyn, na przemianę, na dźwignięcie. I kiedy patrzyło się nieraz na te dziedziny tak zdeptane, ponizone, tak bezsensownie prowadzone jak choćby gospodarka nasza, to widziało się, że jeśli myśl została zdeptana, to musiał być też niegodny i fałszywy czyn". Po mszy św. red. Stefan Wilkanowicz wygłosił odczyt na temat „Katolicy świeccy w Kościele w Polsce współczesnej”.

22 lutego - 1 marca — w Częstochowie odbył się I Tydzień Kultury Chrześcijańskiej. Protektorem był ordynariusz częstochowski ks. bp Stefan Bareła, a organizatorami Duszpasterstwo Akademickie i zarząd KIK-u. Program Tygodnia był bardzo bogaty: odbyło się 8 imprez artystycznych, 29 odczytów wygłoszonych przez 20 prelegentów w 6 kościołach parafialnych. Tematy i wątki prelekcji były zróżnicowane i zaczerpnięte z różnych dziedzin: filozofii, teologii, socjologii, historii, literatury.

23 lutego — zarejestrowano KIK w Radomiu.

25 lutego — KIK w Bielsku-Białej uzyskał osobowość prawną. Terenem działania klubu jest całe województwo bielskie. Stowarzyszenie posiada prawo tworzenia oddziałów klubu w innych miastach województwa.

26 lutego — KIK w Katowicach został zarejestrowany w Urzędzie Wojewódzkim.

26 lutego — w Mielcu odbyło się zebranie 62 członków założycieli Klubu Inteligencji Katolickiej. Wybrano władze klubu i postanowiono złożyć wniosek w Urzędzie Wojewódzkim o legalizację stowarzyszenia.

28 lutego — KIK w Gorzowie Wielkopolskim uzyskał osobowość prawną. Zgodnie ze statutem klub może działać na terenie całego województwa.

28 lutego - 1 marca — w Poznaniu odbyło się robocze spotkanie przedstawicieli 27 klubów. Zorganizował je klub poznański wspólnie z klubem warszawskim. Obrady odbywały się w gościnnym klasztorze OO Dominikanów. Reprezentowane były kluby z Białegostoku, Bielska-Białej, Bydgoszczy, Częstochowy, Elbląga, Gdańska, Gorzowa Wielkopolskiego, Kalisza, Katowic, Kielc, Koszalin, Krosna, Krakowa, Nowego Sącza, Nowego Targu, Olsztyna, Puław, Poznania, Radomia, Rzeszowa, Sosnowca, Torunia, Wałbrzycha, Warszawy, Wrocławia oraz redakcje *Tygodnika Powszechnego*, *Więzi*, *Znaku* i *W drodze*. Wymieniono informacje

o stanie organizacyjnym klubów, Maciejowi Ziębie (KIK wrocławski) powierzono organizację wymiany informacji pomiędzy klubami, a także koordynację wspólnych przedsięwzięć. Redaktor Jerzy Turowicz zarysował koncepcje pracy klubów, które stawiają sobie za cel pogłębianie wiedzy religijnej swych członków oraz rozwijanie aktywności w sferze społeczno-wychowawczej i kulturalnej. W trakcie obrad przewodniczący MKZ NSZZ Solidarność Regionu Wielkopolska, Zdzisław Rozwałak, podziękował klubom za ich wielką pomoc przy tworzeniu Solidarności. Podkreślił także konieczność współpracy inteligencji i robotników.

2 marca — zarejestrowano KIK w Koszalinie. Klub objął swoją działalnością teren całego województwa.

3 marca — odbyło się pierwsze zebranie KIK-u w Koszalinie, na którym przyjęto opracowany przez artystę plastyka Marię Monikę Tabisz graficzny znak koszalińskiego KIK-u — prosty krzyż koloru granatowego w środku liter stanowiących skrót nazwy klubu, umieszczony na zielonym tle.

4 marca — zarejestrowano KIK w Opolu.

10 marca — Prymas Polski ks. kard. Stefan Wyszyński przesłał na ręce prezesa KIK-u w Warszawie, prof. Andrzeja Święcickiego, list następującej treści: „Drogi Panie Profesorze, wraz z Nim raduję się szybkim rozwojem Klubów Inteligencji Katolickiej. Wspieram Pana modlitwą i błogosławię poczynaniom klubów, w nadziei, że pogłębione życie duchowe, religijne i kulturalne inteligencji tworzyć będzie zwartą linię obrony katolickiej i narodowej kultury rodzimej”.

23 marca — w Urzędzie Wojewódzkim w Lublinie zarejestrowano KIK w Puławach. W deklaracji ideowej klubu czytamy m.in.: „Klub nie będzie dążył do żadnego reprezentowania ogółu polskich katolików, ani katolicyzmu przed organami państwowymi, w Sejmie PRL itp. Wyjaśniamy z naciskiem, że określeniem 'inteligencja' obejmujemy świadomie wszystkich ludzi poszukujących prawdy, niezależnie od poziomu wykształcenia. Uznajemy potrzebę wyeliminowania mylącego dzisiaj określenia inteligencja z nazwy klubu, ale nie wcześniej nim to uczynią pozostałe kluby 'KIK', gdyż zależy nam na podkreśleniu naszej ideowej więzi z nimi”.

26 marca — w Jeleniej Górze odbyła się uroczysta inauguracja działalności KIK-u. Mszę św. koncelebrował i homilię wygłosił ks. bp Adam Dyczkowski, sufragan wrocławski.

27 marca — odbyło się walne zebranie Klubu Katolickiego w Lublinie, na którym wybrano zarząd.

28 marca — Urząd Wojewódzki w Olsztynie zarejestrował KIK.

29 marca — odbyła się uroczysta inauguracja działalności KIK-u w Gorzowie Wielkopolskim. Mszę św. w katedrze gorzowskiej odprawił ordynariusz ks. bp Wilhelm Pluta. Po mszy św. prelekcję na temat „Zaangażowanie katolików świeckich w życiu społecznym” wygłosił ks. bp Paweł Socha.

29 marca — członkowie KIK-u w Koszalinie wystosowali list otwarty do wszystkich środowisk, którego myślą przewodnią jest stwierdzenie, że „sama sprawiedliwość nie wystarcza”. W liście tym czytamy m.in.: „Stoimy bowiem przed szansą, aby nie niszczyć niczego co dobre, zbudować taką strukturę społeczną, w której realizować się będą moralne zasady współżycia społeczeństwa z władzą i ludźmi między sobą”.

4 kwietnia — w Zakopanem odbyło się zebranie członków założycieli Tatrzańskiego Klubu Katolików. Zgłoszono wniosek o rejestrację stowarzyszenia.

4 kwietnia — odbyła się uroczysta inauguracja KIK-u w Opolu. Mszę św. w katedrze pw. Podwyższenia Krzyża św. odprawił i homilię wygłosił ordynariusz opolski ks. bp Alfons Nossol. Po mszy św. zebrani wysłuchali prelekcji wiceprezesa katowickiego KIK-u prof. Janusza Dietricha pt. „Nasze powinności”.

4-5 kwietnia — z inicjatywy sekcji rodzin warszawskiego KIK-u odbyło się ogólnopolskie spotkanie klubowe przedstawicieli Sekcji Rodzin. Wysłuchano kilku prelekcji, m.in. Izabelli Dzeduszyckiej — „Cele i podstawowe kierunki działania sekcji rodzin”, Teresy Janoty — „Przygotowanie animatorów i wychowawców”, Doroty Mycielskiej — „Rola rodziców w pracach sekcji rodzin”, Ludwika Kastory — „Organizacja obozów”, a o metodach prowadzenia grup dziecięcych i młodzieżowych mówili Marian Jaroszewski, Zofia Wielowieyska, Barbara Ginterowa, Stanisław Puzyna. Na zakończenie spotkania powołany został sekretariat, mający koordynować i organizować pracę sekcji rodzin wszystkich klubów. Wśród pracowników sekretariatu (który ma siedzibę w Warszawie) znaleźli się przedstawiciele KIK-ów z Gdańska, Kielc, Krakowa, Poznania i Warszawy.

5 kwietnia — odbyła się inauguracja działalności KIK we Włocławku. W bydgoskim *Ilustrowanym Kurierze Polskim* (z 11 marca 1981 roku) czytamy: „Ostatnie wydarzenia w Polsce były

wynikiem nie tylko kryzysu gospodarczego i politycznego, ale i głębokiego kryzysu moralnego. Ład społeczno-ekonomiczny zależy w zasadniczym stopniu od poziomu i porządku moralnego w naszym życiu zbiorowym i indywidualnym. W tym celu niezbędne jest zespolenie wszystkich wysiłków i inicjatyw dla pogłębienia i utrwalenia zasad moralnych, umacniania rodziny polskiej, usuwania źródeł zła i deprawacji. Na tym polu wiele zdziałać może inteligencja katolicka, której liczne środowiska dotąd pozbawione były możliwości aktywnego i organizacyjnego działania. Nowo powstałe w wielu miastach kluby inteligencji katolickiej czynią zadość potrzebom, jakie nakłada obecnie krew odnowy i usuwania deformacji w życiu społecznym”.

5 kwietnia — powstał komitet założycielski Konińskiego Klubu Katolików. Podczas pierwszego zebrania przyjęto statut klubu oraz postanowiono wystąpić do Urzędu Wojewódzkiego z wnioskiem o rejestrację stowarzyszenia.

6 kwietnia — w Zielonej Górze odbyło się zebranie 28 członków założycieli Klubu Inteligencji Katolickiej. Przyjęto statut, wybrano tymczasowy zarząd oraz rozpoczęto starania o rejestrację klubu.

6 kwietnia — odbyła się uroczysta inauguracja działalności KIK-u w Białymstoku. Mszę św. odprawił i homilię wygłosił administrator apostolski ks. bp Edward Kisiel. Po mszy św. odczyt na temat historii ruchu „Znak” wygłosił red. Tadeusz Konopka (*Tygodnik Powszechny*).

9 kwietnia — zarejestrowano KIK w Nowej Soli.

10 kwietnia — w lokalu warszawskiego KIK-u Stanisław Stomma i Tadeusz Mazowiecki wygłosili prelekcje na temat „Koło poselskie 'Znak' wobec wydarzeń marcowych 1968 roku”. W trakcie spotkania odczytano słynną interpelację posłów „Znaku”, a także fragmenty wystąpień sejmowych, w których w niewybredny sposób atakowano pięciu posłów, którzy odważyli się zaprotestować przeciw brutalnemu potraktowaniu młodzieży studenckiej i apelowali o polityczne rozwiązywanie nabrzmiałych problemów społecznych. Byli posłowie „Znaku” podkreślili, że interpelacja Koła „Znak” była dla całego środowiska faktem bardzo ważnym. Bez wyrażenia — jednoznacznie i spontanicznie — swej postawy wobec wydarzeń marcowych środowisko „Znaku” nie byłoby sobą, nie zachowałoby swojej tożsamości.

14 kwietnia — w Urzędzie Wojewódzkim w Bydgoszczy zare-

jestrowano KIK. Zgodnie ze statutem objął on swym działaniem całe województwo bydgoskie.

23 kwietnia — odbyła się uroczysta inauguracja działalności KIK-u w Koszalinie. Podczas mszy św. homilię wygłosił ordynariusz koszalińsko-kołobrzegi ks. bp Ignacy Jeż. „Jeżeli można dzisiaj powiedzieć — mówił ksiądz biskup — że Kościołowi został wierny polski robotnik i polski chłop, czego dowodem mogą być okoliczności towarzyszące wydarzeniom polskiego Sierpnia 1980 roku, to polska inteligencja szczególnie w niektórych regionach kraju, w znakomitej większości poszła inną drogą. Dlatego cieszymy się, słysząc w Koszalinie słowa : Klub Inteligencji Katolickiej”. Po mszy św. w refektarzu Ojców Franciszkanów odbyło się spotkanie członków klubu z księdzem biskupem.

23 kwietnia — KIK w Kaliszu uzyskał osobowość prawną.

26 kwietnia — odbyła się uroczysta inauguracja działalności KIK-u w Radomiu. W uroczystości wziął udział prezes warszawskiego KIK-u prof. Andrzej Świącicki.

27 kwietnia — KIK w Szczecinku uzyskał osobowość prawną.

28 kwietnia — zarejestrowano KIK w Zielonej Górze.

29 kwietnia — w kościele pw. Opatrzności Bożej w Bielsku-Białej odbyła się uroczysta inauguracja działalności KIK-u. Po mszy św., którą odprawili ks. dr Józef Sanok i ks. dr Józef Kozyra prezes krakowskiego KIK-u, Andrzej Potocki, poinformował zebranych o pracach klubu krakowskiego, a o działalności katolików świeckich w Polsce powojennej mówił red. Tadeusz Szyma (*Tygodnik Powszechny*).

29 kwietnia — odbyło się Walne Zgromadzenie członków zwyczajnych warszawskiego KIK-u. Wybrano nowe władze klubu. Podjęto dwie uchwały: pierwsza — „W krytycznym momencie naszej historii, gdy kraj stanął wobec zagrożenia wielkim konfliktem społecznym, który grozi najpoważniejszymi konsekwencjami, Walne Zebranie KIK-u apeluje: do władz państwowych przede wszystkim o podjęcie postulatów społecznych wyrażanych przez NSZZ Solidarność dotyczących praworządności w Polsce. Do NSZZ Solidarność i innych organizacji społecznych o wytrwałość i poczucie odpowiedzialności. Do wszystkich Polaków o obronę wszystkich społecznych porozumień, które są wynikiem „odnowy”. Druga — „Proces odnowy, z którym ogół społeczeństwa wiąże wielkie nadzieje, nie może zatrzymać się przed granicami wsi. Należy przezwyciężyć wszelkie pozostałości traktowania

chłopów jako obywateli i ludzi pracy gorszej kategorii, czego przykładem jest niestety dotychczasowe stanowisko władz w kwestii prawa rolników do zrzeszania się zawodowego. Społeczeństwo wiąże duże nadzieje z powstaniem NSZZ RI. Ten autentyczny chłopski ruch, wyrastający z uprawnionych aspiracji społeczno-zawodowych, przyczyni się do odbudowania zaufania między władzą a rolnikami oraz podniesienia wydajności rolnej. Warunkiem wykorzystania tej szansy jest szybkie uregulowanie statusu prawnego NSZZ RI i podjęcia z nimi stałego dialogu”.

maj-czerwiec — toruński KIK zorganizował kurs dla działaczy NSZZ Solidarność. Celem kursu było doskonalenie umiejętności rozwiązywania złożonych problemów, z którymi działacze związkowi spotykają się w swoich zakładach pracy oraz przygotowanie do praktycznego działania z załogą w społeczności zakładowej i wobec kierownictwa zakładu pracy.

maj 1981 — odbyła się uroczysta inauguracja działalności KIK-u w Zielonej Górze. Podczas mszy św. homilię wygłosił ks. bp Paweł Socha, sufragan gorzowski. Prelekcję na temat „Historia ruchu 'Znak'” wygłosił dr Józef Puciłowski, wiceprezes wrocławskiego KIK-u.

14 maja — Zarząd warszawskiego KIK-u wysłał depezę do Ojca Świętego, w której w imieniu członków klubu zapewnia, że „w tych ciężkich dniach jesteśmy złączeni z Ojcem Świętym serdeczną troską, modlitwą, nadzieją”.

14 maja — zawiązał się komitet założycielski Klubu Inteligencji Katolickiej w Siedlcach. W zebraniu uczestniczył sekretarz zarządu KIK-u w Warszawie, Stanisław Latek, który wygłosił referat na temat „Historia ruchów społeczno-katolickich w PRL”. Uchwalono statut, który przewiduje, że klub obejmie swoim działaniem teren całego województwa.

23-24 maja — odbyło się w Gdańsku ogólnopolskie spotkanie przedstawicieli KIK-ów oraz redakcji i wydawnictw katolickich. W spotkaniu brali udział reprezentanci KIK-u z Białegostoku, Bielska-Białej, Bydgoszczy, Częstochowy, Elbląga, Gdańska, Gorzowa Wielkopolskiego, Jeleniej Góry, Katowic, Kielc, Konina, Koszalina, Krakowa, Mielca, Nowego Sącza, Nowej Soli, Olsztyna, Poznania, Puław, Radomia, Rzeszowa, Siedlec, Słupska, Sosnowca, Szczecina, Szczecinka, Świdnicy, Torunia, Wałbrzycha, Warszawy, Włocławka, Wrocławia i Zielonej Góry, a także redakcji *Tygodnika Powszechnego*, *Więzi*, *Znaku* i *W drodze*. Ze-

brani wysłuchali prelekcji red. Jerzego Turowicza, który nakreślił obraz sytuacji politycznej w kraju oraz referatu Piotra Nowiny-Konopki (KIK w Gdańsku) na temat „Zadania laikatu w Kościele”. W dyskusji zwracano uwagę na to, że kluby stanowią część Kościoła i pragną ściśle współpracować z Episkopatem Polski. Za podstawową sprawę uznano: 1) Troskę o kształt kultury polskiej we wszystkich jej przejawach. Kluby winny być mecenasem i odbiorcą kultury, powinny posiadać środki wydawnicze, biblioteki, mecenat nad szkołami etc. 2) Starania o rozwój kultury życia społecznego i etyki pracy w oparciu o społeczną naukę Kościoła. 3) Troskę o praktyczne działanie na rzecz ochrony rodziny i prawa do życia oraz o właściwy poziom i ukierunkowanie szkolnictwa i wychowanie dzieci i młodzieży w duchu tradycji chrześcijańskich. 4) Przeciwdziałanie ateizacji i walkę z najgroźniejszymi plagami społecznymi. W drugim dniu obrad ordynariusz gdański ks. bp Lech Kaczmarek odprawił mszę św. i wygłosił homilię. Przedstawiciele klubów i redakcji złożyli wieniec pod pomnikiem Pamięci Ofiar Grudnia w Gdańsku i odmówili krótką wspólną modlitwę za dusze poległych.

31 maja — w Warszawie na placu Zwycięstwa odbyło się uroczyste nabożeństwo żałobne w intencji zmarłego Prymasa Stefana Wyszyńskiego. W kondukcje pogrzebowym wieniec niosły delegacje klubów z całej Polski.

2 czerwca — odbyła się uroczysta inauguracja działalności KIK-u w Stalowej Woli. Mszę św. celebrował i homilię wygłosił ordynariusz przemyski ks. bp Ignacy Tokarczuk. Po mszy św. zebrani wysłuchali wykładu na temat zadań inteligencji skupionej w klubach.

14 czerwca — odbyła się pierwsza pielgrzymka klubów na Jasną Górę. Organizatorem pielgrzymki był KIK w Częstochowie. Zebrani w auli Jana Pawła II pielgrzymi uczestniczyli w mszy św. koncelebrowanej przez ordynariusza częstochowskiego ks. bpa Stefana Barełę. Po mszy św. prelekcje wygłosili: Stanisław Stomma (KIK Warszawa) — „Ruchy ideowe katolików świeckich w okresie międzywojennym”, Andrzej Siemianowski (*Więź*) — „Tradycje ruchu 'Znak' i innych organizacji katolickich w powojennej Polsce” oraz Stefan Wilkanowicz (*Znak*) — „Aktualność listu biskupa lubelskiego Stefana Wyszyńskiego 'O chrześcijańskie wyzwoleń człowieka'”. Na zakończenie spotkania zebrani wzięli udział w Drodze Krzyżowej na Wałach, prowadzonej przez członków gdańskiego KIK-u. Odbyło się również zebranie nauczycieli i osób zainteresowanych pracą wychowawczą.

15 czerwca — zarejestrowano KIK w Pasłęku. W uroczystej inauguracji wziął udział ordynariusz warmiński ks. bp Józef Glemp.

15 czerwca — zarząd KIK-u w Częstochowie wystąpił z propozycją usypania kopca ku czci ks. kard. Stefana Wyszyńskiego Prymasa Polski oraz nadania jednej z ulic Częstochowy imienia kardynała Wyszyńskiego.

21 czerwca — na łamach *Tygodnika Powszechnego* ukazało się „Oświadczenie” podpisane między innymi przez działaczy ruchu „Znak” Tadeusza Mazowieckiego, Stanisława Stomę, Andrzeja Świąckiego, Andrzeja Wielowieyskiego i Jacka Woźniakowskiego, w którym czytamy: „Jedyną drogą wyjścia z głębokiego kryzysu ekonomicznego, społecznego, politycznego i moralnego, stanowiącego fakt oczywisty, jest droga odnowy. Niezbędne dla niej jest oparcie się na prawdzie, otwarte jej wyrażanie, utrwalenie w społeczeństwie polskim poglądu, że ma ono prawo tworzenia swych dziejów i związane z tym prawem obowiązki. Sądzymy, że w ubiegłych miesiącach Polacy dali wiele dowodów roztropności i rozwagi, posądzenie ich zatem o tendencje anarchiczne jest głęboko niesłuszne. Wszystko natomiast, co umniejsza i paraliżuje dążenie naszego społeczeństwa do wzięcia na siebie odpowiedzialności za przebieg rozpoczętej odnowy, musi pogłębiać kryzys w tym miejscu Europy i prowadzić do poważnych konsekwencji międzynarodowych”.

21 czerwca — *Tygodnik Powszechny* (nr 25) zamieścił rozmowę z ordynariuszem warmińskim ks. bp. Józefem Glempe. Na pytanie „jak ks. biskup ocenia na terenie własnej diecezji ruch zmierzający do tworzenia KIK-ów?” biskup Glemp odpowiedział: „Specyficzną, pozostającą zapewne w związku z niedalekim Wybrzeżem, cechą tych klubów jest ich działanie nie tyle skoncentrowane na 'własnym gronie', lecz wychodzące na zewnątrz, a więc działalność w pełnym tego słowa znaczeniu społeczna. Z tym spontanicznym ukierunkowaniem klubów i zgodną z nim praktyką działania wiąże się przede wszystkim moja głęboka pod ich adresem wdzięczność. A oto jej powody. Działalność duszpasterska Kościoła warmińskiego w miastach i miasteczkach nie odróżnia się pod względem poziomu i osiągnięć od innych diecezji polskich. Natomiast problemem niesłuchania trudnym jest duszpasterstwo na wsi. Problem ten wygląda wręcz groźnie na terenie tak licznych w naszej diecezji Państwowych Gospodarstw Rolnych. (...) Ten właśnie 'teren' obrali sobie jako cel działania społecznego ludzie KIK-ów, a zwłaszcza klubu olsztyńskiego. Wypracowali sobie program i metody działania. I działają z prawdziwym po-

święceniem. Jestem im za to właśnie głęboko wdzięczny. Rozumiem jednak, że środowiska KIK-ów z zasady (i z nazwy 'klub') mają także inne zadania i cele: choćby pogłębianie zainteresowań intelektualnych, choćby działalność inspiratorską w zakresie kultury duchowej, choćby wypracowywanie swej autonomii i podniesienie rangi jako ośrodka liczącego się w katolickim życiu społecznym. Nie pozostaje mi nic innego jak tylko życzyć im dynamicznego rozwoju, także w tym kierunku”.

27 czerwca — odbyła się inauguracja działalności KIK-u w Kaliszu.

27 czerwca — w Toruniu odbyło się ogólnopolskie spotkanie przedstawicieli sekcji lekarskich KIK. Wzięło w nim udział 50 osób z 18 klubów: białostockiego, bydgoskiego, elbląskiego, gdańskiego, grudziądzkiego, kieleckiego, koszalińskiego, krakowskiego, olsztyńskiego, opolskiego, poznańskiego, siedleckiego, sosnowieckiego, toruńskiego, wałbrzyskiego, wrocławskiego, zielonogórskiego. Wykład inauguracyjny na temat „Sytuacja medycyny we współczesnym świecie” wygłosił prof. Bogdan Romański (KIK Bydgoszcz). Poza tym Ryszard J. Rudziński (KIK Kraków) omówił działalność krakowskiej sekcji lekarskiej, a Zdzisław Jaroszewski (KIK Warszawa) przedstawił program działania sekcji służby zdrowia w warszawskim KIK-u. W dyskusji dużo miejsca poświęcono kwestiom obrony dzieci nienarodzonych. Uznano, że każdy pracownik służby zdrowia, będący członkiem klubu, powinien umieć przeprowadzić szkolenie z zakresu regulacji poczęć i planowania rodziny. Omawiano projekt budowy hospicjum dla umierających. Poruszano szereg zagadnień z zakresu etyki lekarza i etyki pielęgniarki.

28 czerwca — grupa młodzieży (średnia wieku 16-17 lat) z poznańskiego KIK-u rozpoczęła rowerową pielgrzymkę do Rzymu.

30 czerwca — odbyła się uroczysta inauguracja pracy Konińskiego Klubu Katolików. Mszę św. odprawił i homilię wygłosił ordynariusz wrocławski ks. bp Jan Zaręba. Po mszy św. prelekcję wygłosiła wiceprezes warszawskiego KIK-u dr Stanisława Grabka. „Klub — jak głosi deklaracja — jest otwarty dla wszystkich świeckich katolików pragnących uczestniczyć w rozwijaniu niezależnej myśli społecznej i w moralnym odrodzeniu narodu”. Terenem działania klubu jest obszar województwa konińskiego.

6-9 lipca — w Jeleniej Górze odbyło się seminarium poświęcone problemom chrześcijańskiej nauki społecznej. Organizatorem spotkania był warszawski KIK.

8 lipca — w Urzędzie Wojewódzkim w Nowym Sączu zarejestrowano Tatrzański Klub Katolików. Teren działalności klubu obejmuje obszar Skalnego Podhala — a więc miasto Zakopane oraz gminy tatrzańskie Biały Dunajec, Czarny Dunajec i Bukowina Tatrzańska.

11 lipca — odbyło się spotkanie klubów regionu gdańsko-toruńskiego, zorganizowane przez KIK w Toruniu. W spotkaniu wzięli udział przedstawiciele 8 KIK-ów: z Elbląga, Gdańska, Grudziądza, Koszalina, Pasłęka, Słupska, Szczecinka, Torunia. Spotkanie miało na celu wzajemne poznanie się, wymianę doświadczeń organizacyjnych oraz ustalenie sposobu kontaktów międzyklubowych. Podczas dyskusji podkreślono, że każdy klub powinien wypracować własną specyfikę działalności, określoną potrzebami lokalnej społeczności i lokalnego Kościoła. Zwrócono uwagę, że należy zachować autonomię, mieć własny lokal i budżet. Przedstawiciele KIK-u z Pasłęka dzielili się doświadczeniami z pracy z młodzieżą zagrożoną narkomanią, a członkowie KIK-u w Słupsku wystąpili z inicjatywą budowy Domu Samotnej Matki.

21 lipca — Prymas Polski ks. abp Józef Glemp przyjął delegację warszawskiego KIK-u i redakcji miesięcznika *Więź*. Audyencja trwała ponad godzinę. Prezes klubu przedstawił zadania ruchu „Znak” oraz zadania klubów w Kościele. Zapoznano Prymasa z działalnością klubu w Warszawie (praca w sekcjach, współpraca międzyklubowa), a także z problemami bytowymi klubu (sprawa przedsiębiorstwa „Libella”). Przemawiając na zakończenie spotkania ks. Prymas powiedział, że ceni luźną strukturę organizacyjną ruchu klubów „Znak”, ale jednocześnie uznał za bardzo celowe spotkania międzyklubowe. Kościół liczy na świeckich — powiedział Prymas. Współpraca świeckich, a także współpraca inteligencji z hierarchią powinna się umacniać i rozwijać. Wszyscy powinni ratować Ojczyznę, a Kościół musi być zawsze w naszej Ojczyźnie obecny.

31 lipca — odbyło się pierwsze zebranie KIK-u w Siedlcach. Uczestniczyła w nim wiceprezes warszawskiego klubu dr Stanisława Grabska, która wygłosiła prelekcję na temat zadań ruchu „Znak”. Walne zebranie wytyczyło kierunki działalności KIK-u na najbliższy rok.

19 sierpnia — w Skierniewicach odbyło się zebranie członków założycieli Klubu Inteligencji Katolickiej. Przyjęto statut stowarzyszenia oraz skierowano pismo do Urzędu Wojewódzkiego z wnioskiem o rejestrację.

29-30 sierpnia — w krakowskim KIK-u odbyła się międzyklubowa konferencja na temat zadań i roli nauczyciela pn. „Prostujcie ścieżki Pańskie”. Zebrani wysłuchali kilku referatów: prof. Franciszek Adamski mówił o indoktrynacji i ateizacji społeczeństwa polskiego w ciągu ostatnich 36 lat, dr Władysław Cichoń zwrócił uwagę na konieczność stworzenia filozoficznych podstaw dla teorii wychowania, prof. Tadeusz Horodyski poruszył temat zakłamania szkolnych programów humanistycznych. Postanowiono zorganizować ogólnopolską sekcję nauczycielską, kontynuować spotkania tematyczne oraz powołać studium dla wychowawców dzieci sierocych.

30 sierpnia — na łamach *Tygodnika Powszechnego* ukazał się odredakcyjny artykuł „Nadzieja i niepokój”, w którym czytamy m.in.: „... bilansu minionego roku sporządzić niepodobna. Wydarzenia ostatnich tygodni pokazują, jak bardzo niepewna jest przyszłość. Nadziei towarzyszy głęboki niepokój. Źródłem tego niepokoju jest nie tylko pogłębiający się kryzys ekonomiczny, nadzwyczaj dotkliwie odczuwany przez całą ludność, i brak wyraźnych perspektyw wyjścia z tego kryzysu, ale — i to jeszcze w większej mierze — złe funkcjonowanie mechanizmów społecznych porozumienia, które by odnowie życia publicznego mogły nadać trwałe formy, gwarantujące zachowanie wszystkich posierpniowych zdobyczy. Mimo powtarzanych zapewnień, że dla linii porozumienia społecznego nie ma alternatywy, dla społeczeństwa jest rzeczą oczywistą, że po stronie władzy działają siły przeciwne odnowie i nie rozumiejące jej nieodwracalności. Po stronie społeczeństwa z kolei nie brak działań nierozważnych, kierowanych emocjami, nie liczących się z istniejącymi uwarunkowaniami, które swoim radykalizmem stwarzają groźbę utraty tego, co zostało osiągnięte.

Chcemy wierzyć, że nadzieja okaże się silniejsza od niepokoju. Że nie zostanie odrzucona postawa prawdziwego partnerstwa, postawa rozwiązywania wszystkich problemów na drodze dialogu, konsultacji i negocjacji, koncentracji na problemach najistotniejszych, podejmowania zadań mających nadrzędne znaczenie dla całego narodu i państwa — jak to formułuje ogłoszony ostatnio ważki apel Episkopatu Polski. Tylko tak zwyciężone być mogą siły konfrontacji, która musiałaby doprowadzić do przekreślenia nadziei”.

18 września — w Skierniewicach został zarejestrowany KIK.

19 września — w poznańskim KIK-u odbyło się spotkanie przedstawicieli klubów regionu północno-zachodniego, w którym wzięli

udział reprezentanci KIK-u z Bydgoszczy, Gorzowa Wielkopolskiego, Konina, Piły, Szczecinka i Zielonej Góry. Obecny był sekretarz warszawskiego KIK-u, Stanisław Latek. Spotkanie poświęcone było wypracowaniu form współpracy międzyklubowej.

20 września — w Pile odbyła się uroczysta inauguracja działalności KIK-u. Mszę św. celebrował i homilię wygłosił bp Paweł Socha, sufragan gorzowski.

30 września — w Zakopanem odbyła się uroczysta inauguracja działalności Tatrzańskiego Klubu Katolików. Mszę św. celebrował i homilię wygłosił metropolita krakowski, ks. kard. Franciszek Macharski. Po Mszy św. zebrani wysłuchali referatu Franciszka Bachledy-Księdzulewskiego pt. „Rola inteligencji w zachowaniu regionalnej religijnej kultury na Podhalu”. Przedstawiciel NSZZ Solidarność Rolników Indywidualnych Podhala, Spisza i Orawy, Jan Antoń, mówił o potrzebie odbudowy samorządu wiejskiego i apelował do inteligencji katolickiej o pomoc w pracy kształceniowej.

3 października — odbyła się uroczysta inauguracja KIK-u w Skierniewicach.

4 października — na łamach *Tygodnika Powszechnego* (nr 40) opublikowano apel 35 intelektualistów „Do społeczeństwa polskiego, do Rządu Rzeczypospolitej Ludowej, do PZPR, do NSZZ Solidarność, do wszystkich stowarzyszeń i organizacji społecznych”. Apel ten podpisali m.in. następujący działacze ruchu „Znak”: Stanisław Stomma, Andrzej Świącicki, Jerzy Turowicz, Wojciech Wieczorek, Kazimierz Wóycicki. Czytamy w nim: „Naród polski jest cierpliwy i spokojny. Ale jest także zmęczony, ponieważ jego nadzieje, związane z wielkim przełomem Sierpnia 1980 roku, dotychczas nie spełniły się. Zmęczenie to jest również wynikiem dramatycznej sytuacji gospodarczej, zawinionej przez wiele lat złych i nieudolnych rządów, nade wszystko zaś stanowi rezultat sytuacji, w której naród nie czuł się suwerennym panem swego losu i pozbawiony był wpływu na sposoby spożytkowania własnej pracy. Dlatego kryzys obecny ma charakter powszechny, a jego korzenie tkwią z strukturach życia państwowego. (...) Naród polski świadomy jest swej roli i znaczenia w świecie, w Europie, w systemie sojuszków państw socjalistycznych. Nasze zobowiązania sojusznicze wobec Związku Radzieckiego i innych państw Układu Warszawskiego oraz Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej olbrzymia większość społeczeństwa traktuje z powagą, odpowiedzialnością i konsekwencją. Polacy są świadomi, że ich miejsce jako narodu, posiadającego własne, suwerenne pań-

stwo, jest w ramach istniejących sojuszków. (...) Naród polski może i musi rozwiązać swoje wewnętrzne problemy własnym wysiłkiem. Idzie tu o wysiłek rąk i wysiłek umysłów. Wewnętrzny konflikt osłabia nas wszystkich, zagraża naszym wspólnym interesom. Domagamy się zatem natychmiastowego podjęcia negocjacji w imię pokoju społecznego, w imię Polski. Polska jest ważniejsza niż ambicje poszczególnych ludzi, ich partykularne cele, ich osobiste lub grupowe aspiracje. (...) Domagamy się woli poszukiwania tego, co wspólne, tego co nas jednoczy, tego, co nas zbliża. W atmosferze tak głębokiego kryzysu i tak poważnych zagrożeń niezbędny jest dialog w sprawach, które można rozwiązać natychmiast, w duchu pojednania i szacunku”.

5 października — powstał komitet założycielski Klubu Inteligencji Katolickiej w Łomży.

10-11 października — katowicki KIK zorganizował ogólnopolskie robocze zebranie prezesów klubów oraz redaktorów *Tygodnika Powszechnego*, *Więzi* i *Znaku*. Wzięli w nim udział reprezentanci 37 klubów: z Białegostoku, Bielska-Białej, Bydgoszczy, Elbląga, Gdańska, Gorzowa Wielkopolskiego, Jeleniej Góry, Kalisza, Katowic, Kędzierzyna, Konina, Koszalina, Krakowa, Lublina, Łodzi, Mielca, Nowego Sącza, Olsztyna, Opola, Pasłęka, Poznania, Puław, Radomia, Rzeszowa, Siedlec, Słupska, Sosnowca, Szczecinka, Świdnicy, Tarnowa, Tarnobrzegu, Torunia, Wałbrzycha, Warszawy, Włocławka, Wrocławia, Zielonej Góry. W trakcie spotkania omówiono sytuację społeczną i polityczną po zakończonym zjeździe NSZZ Solidarność. Większość mówców podkreślała brak zainteresowania swoich środowisk udziałem w życiu politycznym. Zebrani wysłuchali trzech referatów przygotowanych przez członków zarządu KIK-u w Katowicach — Janusza Dietricha, Józefa Buszmana i Jerzego Koniecznego. Kluby powinny otworzyć się na potrzeby różnych grup społeczno-zawodowych i różnych generacji oraz zająć się problemem mniejszości narodowych. Wyrażono też poparcie dla starań Kościołów mniejszościowych w Polsce o dostęp do programu radiowego.

16-22 października — w Krakowie odbył się II Tydzień Kultury Chrześcijańskiej. W ramach Tygodnia odbyły się spotkania z redaktorami *Tygodnika Powszechnego* — Marią i Jerzym Skąpskimi, Janem Józefem Szczepańskim, Jerzym Turowiczem i Tadeuszem Żychiewiczem.

18 października — odbyła się w Cieszynie inauguracja działalności KIK-u. Podczas mszy św. homilię wygłosił ks. Karol To-

mala. Po mszy św. wykład wygłosił ks. dr Bogusław Steczek SJ. W uroczystości wziął udział prezes krakowskiego KIK-u, Andrzej Potocki.

18-25 *października* — we Wrocławiu odbył się IV Tydzień Kultury Chrześcijańskiej. Organizatorami byli Centralny Ośrodek Duszpasterstwa Akademickiego i KIK. W Tygodniu udział wzięło 30 prelegentów, którzy wygłosili ponad 100 referatów, ponadto odbywały się projekcje filmowe, koncerty muzyki religijnej, spektakle teatralne i poetyckie.

29 *października* — decyzją zarządu KIK-u w Wałbrzychu utworzono filię klubu w Świdnicy.

30 *października* — w warszawskim KIK-u odbył się wieczór wspomnień poświęcony 25-leciu klubu. W dyskusji „okrągłego stołu” głos zabrali współzałożyciele klubu — Aniela Urbanowiczowa, prof. Jerzy Kłoczowski, redaktor Tadeusz Mazowiecki, redaktor Stefan Wilkanowicz. Mówili o otwartości powstałego w 1956 roku środowiska, o budowaniu solidarności społecznej, o łamaniu postaw klerykalnych wśród inteligencji. Stwierdzono, że założyciele klubu chcieli uczestniczyć w przemianach, jakie wtedy dokonywały się w Polsce. Istotna była nauka zachowania tożsamości w różnorodności życia publicznego kraju.

3-7 *listopada* — obradował w Rzymie międzynarodowy kongres naukowy pod nazwą Colloquium na temat chrześcijańskich źródeł narodów Europy. Wzięli w nim udział i wygłosili referaty m.in. członkowie KIK-u z Warszawy, Poznania, Krakowa i Wrocławia: Jerzy Kłoczowski, Janusz Ziółkowski, Jan Błóński, Stefan Świążawski, Stefan Sawicki, Jerzy Turowicz, Tadeusz Mazowiecki.

8 *listopada* — odbyła się uroczysta inauguracja działalności KIK-u w Świdnicy.

8 *listopada* — na łamach *Tygodnika Powszechnego* (nr 45) opublikowano „Oświadczenie” zarządu warszawskiego KIK-u i redakcji miesięcznika *Więź*, w którym czytamy: „... wyrażamy pełną naszą solidarność z Kościołami skupionymi w Polskiej Radzie Ekumenicznej w ich staraniach o dostęp do środków masowego przekazu. Porozumienie gdańskie nie ograniczyło bynajmniej tej sprawy do Kościoła rzymsko-katolickiego, mówiąc wyraźnie o wszystkich wyznaniach. Niemniej i tu — jak się okazuje — liczy się przede wszystkim siła: niewielkie ilościowo Kościoły mimo usilnych starań nie uzyskały dotąd tego, co jest naszym udziałem już od roku. Dzieje się tak mimo, że chrześcijanie należący do

wspólnot mniejszościowych żyją w wielkim rozproszeniu, nieraz bardzo daleko od swych świątyń, nabożeństwa radiowe są więc im bardzo potrzebne. Starania naszych braci chrześcijan popieramy w imię solidarności chrześcijańskiej i obywatelskiej”.

20-22 listopada — w Łązniewie koło Warszawy odbyło się pierwsze ogólnopolskie spotkanie młodych ruchu „Znak”. Organizatorem zjazdu była sekcja kultury warszawskiego KIK-u. W spotkaniu uczestniczyło ok. 60 osób, reprezentujących 17 ośrodków: Bytom, Gdańsk, Gdynię, Kraków, Krosno, Łódź, Olsztyn, Opole, Piłę, Płock, Puławy, Sosnowiec, Tarnobrzeg, Wałbrzych, Warszawę, Wrocław. Zebrani wysłuchali następujących referatów: ks. Michała Czajkowskiego na temat dojrzewiania wiary, Krzysztofa Wcisły „Postawy ideowe współczesnej młodzieży” oraz redaktora Wojciecha Arkuszewskiego (*Tygodnik Solidarność*) „Chrześcijaństwo w społeczeństwie czy społeczeństwo chrześcijańskie”.

21-22 listopada — odbyła się w Krakowie pierwsza część uroczystości związanych z 25-leciem ruchu „Znak”. W sesji poświęconej wypracowaniu programu działania na przyszłość wzięło udział ponad sto osób z 37 klubów z całej Polski oraz redaktorzy naczelni *Tygodnika Powszechnego*, *Tygodnika Solidarność*, *Więzi* i *Znaku*. Dyskutowano o sytuacji apostołstwa świeckich w Kościele oraz o współczesnych problemach duszpasterskich, o postawie społeczeństwa polskiego wobec przemian ostatniego roku. Zebrani przyjęli następujące oświadczenie: „Uczestnicy sesji na temat 'Nasze zadania', zorganizowanej przez KIK w Krakowie i redakcje *Tygodnika Powszechnego*, *Więzi* i *Znaku* uznają stanowisko Komisji Krajowej NSZZ *Solidarność* w sprawie porozumienia narodowego jako słuszny punkt wyjścia do realizacji procesu porozumienia”.

5 grudnia — w lokalu warszawskiego KIK-u odbyła się sesja pn. „Skąd przychodzimy i dokąd idziemy?”, zorganizowana z okazji 25-lecia Klubów Inteligencji Katolickiej. Zebrani wysłuchali następujących referatów: Adam Stanowski — „Katolicyzm w Polsce przed 1956 rokiem”, Stanisław Stomma — „Nadzieje i rozczarowania ruchu 'Znak'”, Krzysztof Śliwiński i Wojciech Wieczorek — „Formowanie się świadomości środowiska”, Irena Makowicz i Przemysław Fenrych — „Oczekiwania i zamierzenia nowego pokolenia Klubów”.

6 grudnia — w kościele OO. Dominikanów w Warszawie na Starym Mieście po koncercie pieśni religijnych w wykonaniu chó-

ru „Organum” red. Tadeusz Mazowiecki wygłosił prelekcję na temat „Zadania Klubów Inteligencji Katolickiej”. Po mszy św. referat wygłosił Prymas Polski abp Józef Glemp na temat: „Zadania inteligencji katolickiej w Kościele — jedność i wielość struktur ludu Bożego w Kościele”.

13 grudnia — na łamach *Tygodnika Powszechnego* (nr 50) opublikowano artykuł Jerzego Turowicza pt. „Porozumienie czy konfrontacja”, w którym czytamy: „... rzeczywiste porozumienie — to zmiany w strukturze władzy, uruchomienie mechanizmów społecznej kontroli nad decyzjami władzy, realne — a nie pozorne — konsultacje na temat decyzji rządu, wreszcie wiarygodność informacji i dostęp sił społecznych do środków społecznej komunikacji.

Solidarność oskarża się dzisiaj o odrzucenie idei porozumienia. Jest to w naszym przekonaniu oskarżenie niesłuszne i bezpodstawne. Solidarność domaga się rzeczywistego, autentycznego, a nie pozorowanego porozumienia między władzą a społeczeństwem, jej stanowisko jest wyrazem istniejącego kryzysu zaufania, a ponadto jest reakcją na decyzje i wydarzenia, które bynajmniej budowaniu tego porozumienia nie sprzyjają. Ale na drodze do narodowego porozumienia staje dziś nowa, groźna przeszkoda. Jest nią sformułowane w uchwale VI Plenum KC PZPR żądanie uchwalenia przez Sejm PRL ustawy 'O nadzwyczajnych środkach działania w interesie ochrony obywateli i państwa', ustawy równoznacznej z wprowadzeniem w naszym kraju czegoś w rodzaju stanu wyjątkowego. Intencja przywrócenia spokoju i porządku jest zrozumiała, tylko że środki nie prowadzą do celu. Spokój i porządek, eliminowanie konfliktów i akcji protestacyjnych jest możliwe tylko na drodze usuwania przyczyn konfliktów, a więc na drodze rzeczywistego porozumienia. Wprowadzenie stanu wyjątkowego — zamiast przywracania spokoju — stwarza bezpośrednią groźbę konfrontacji o nieobliczalnych konsekwencjach. Najnowsze oświadczenie Solidarności mówi o możliwości strajku powszechnego. Otóż czy w istniejącej sytuacji ktokolwiek mógł się spodziewać innej reakcji ze strony Solidarności? Świadczyłoby to o całkowitym braku wyobraźni politycznej, o nieumiejętności przewidywania już nie prawdopodobnych, ale wprost nieuniknionych następstw podejmowanych decyzji. W naszym przekonaniu istnieje wyraźna sprzeczność między głosem linii porozumienia jako jedynej możliwości i ogłoszeniem stanu wyjątkowego. Trzeba wybierać. Albo porozumienie, albo konfrontacja. Albo — albo. Innej drogi nie ma”.

Stefan BOROWICZ

Michał KOŁODZIEJ

WIARYGODNOŚĆ INFORMACJI PRASY PODZIEMNEJ

Będzie to przyczynek z dziedziny metodologii badań historycznych, ściślej pracy z nowym typem źródła, z którego już czerpią, a zapewne w niedalekiej przyszłości czerpać będą bardzo obficie historycy najnowszych dziejów Polski. Źródłem tym jest prasa podziemna. Zjawisko prasy podziemnej zwanej też konspiracyjną nie jest nowe. Pojawiała się ona w Polsce w warunkach szczególnego zniewolenia narodu, gdy swobodna wymiana myśli i ich publicznego wyrażania okazywała się niemożliwa, a więc w czasie zaborów, w okresie okupacji hitlerowskiej i sowieckiej i wreszcie po roku 1945, gdy narzucony został Polsce system komunistyczny. Po początkowo dość ożywionej niezależnej działalności wydawniczej, która trwała mniej więcej do 1949 roku, nastąpił jej regres i niemal całkowity upadek, spowodowany terrorem stalinowskim. Do odrodzenia podziemnego ruchu wydawniczego przyczynił się, powstały na fali społecznego sprzeciwu wobec krwawo tłumionych wystąpień robotniczych w Radomiu i Ursusie, Komitet Obrony Robotników (KOR). Jego inicjatywa wydawania własnego, pozacenzuralnego pisma, a później książek, znalazła błyskawicznie naśladowców. Po powstaniu „Solidarności” prasa niezależna nabrała charakteru masowego, utrzymując go także po wprowadzeniu stanu wojennego 13 grudnia 1981 roku. Od tego momentu do chwili obecnej ukazało się w kraju ponad 1.000 tytułów, wydawanych we wszystkich regionach Polski. Ogromna różnorodność, ilość tytułów i nakłady tej prasy nie mają swojego odpowiednika w innych krajach rządzonych przez komunistów.

Prasa podziemna rejestruje na swoich łamach tysiące informacji, które w przeciwnym wypadku nigdy nie miałyby szans ujrzania światła dziennego, stając się tym samym jednym z najważniejszych źródeł wiedzy o życiu dzisiejszej Polski. Obecnie szesroko korzystają z tego źródła korespondenci zachodnich gazet akredytowani w Warszawie, jak również różnego rodzaju instytucje w Zachodniej Europie i w Stanach Zjednoczonych, zajmujące się rozpowszechnianiem informacji. Prasa ta bowiem, rozmaitymi kanałami, dociera w wielkich ilościach na Zachód.

Jednak szczególnie charakter ukazującej się obecnie w Polsce prasy podziemnej, warunki w jakich pracują publikujący na jej łamach autorzy, sytuacja prawna tej prasy a także skomplikowane relacje między redakcją a czytelnikami wymagają wypracowania specjalnych metod krytyki wiarygodności publikowanych przez prasę podziemną informacji.

Zanim przejdziemy do ich omówienia, warto zastanowić się nad wzajemnym stosunkiem między tego rodzaju prasą a opinią publiczną.

W każdym społeczeństwie prasa spełnia dwojakie funkcje — kształtuje opinię publiczną i jednocześnie ją reprezentuje. W państwach rządzonych totalitarnie ta ostatnia funkcja zostaje zmniejszona do minimum. Ukazująca się oficjalnie prasa poddana jest wnikliwej kontroli państwowej cenzury, która dba wyłącznie o interes rządzącej partii. W przypadku Polski głód niezakłamannej informacji prasowej a jednocześnie pragnienie posiadania własnej prasy, reprezentującej poglądy i przekonania społeczeństwa były od roku 1976 po dzień dzisiejszy główną przyczyną eksplozji prasy niezależnej od państwa i państwowej cenzury. Czy więc w obecnej chwili prasa podziemna reprezentuje opinię jej czytelników? Niewątpliwie stara się to robić — i robi w miarę swoich możliwości. Niestety te możliwości nie są zbyt wielkie. Konieczność konspiracji osób tworzących i współtworzących jakieś podziemne pismo szalenie utrudnia kontakty z opinią publiczną. Wykluczone są — w skali masowej — listy czy telefony czytelników do redakcji lub do autorów podziemnej prasy. Relacja czytelnik - redakcja podziemnej gazety musi więc być zastąpiona inną formą niż listy czy telefony. Niektóre pisma próbują znaleźć taką formę w postaci ankiet kolportowanych wśród swoich czytelników. Ostatnio na przykład ankietę taką wydrukował *Tygodnik Mazowsze*. Oto niektóre pytania tej ankiety:

— czy *Tygodnik Mazowsze* trafnie opisuje rzeczywistość? a) zdecydowanie tak, b) raczej tak, c) raczej nie, d) zdecydowanie nie.

- jaka jest Twoim zdaniem wiarygodność informacji? Wpisz w rubryce „B” odpowiednią cyfrę: 1 = pełna; 2 = duża; 3 = średnia; 4 = mała; 5 = żadna.
- czy Twoim zdaniem *Tygodnik Mazowsze* jest:
 - A. a) urozmaicony? b) monotony?
 - B. a) zbyt trudny? b) w sam raz? c) zbyt łatwy?
 - C. a) zbyt radykalny? b) w sam raz? zbyt umiarkowany?¹

Wiadomo jednak, że liczba osób ankietowanych nie będzie reprezentatywna dla wszystkich czytelników, a uzyskane w ten sposób dane raczej połowiczne. Redakcje pism podziemnych muszą więc liczyć na własną intuicję i ogólną orientację w nastrojach społecznych. Oczywiście wiele spośród współtworzących niezależne pismo osób żyje na co dzień zupełnie normalnym życiem obywatela PRL. Nie dekonspirując swojej podziemnej działalności słuchają rozmów i opinii środowiska, w którym się obracają. Swoje obserwacje wykorzystują potem w pracy dziennikarskiej. Także kolporterzy mogą zapewne przekazać redakcjom sporo uwag czytelników na temat pisma i jego poziomu. Dystrybucja pism, zwłaszcza odpłatnych, odbywa się systemem „z ręki do ręki”. Przy tej okazji kolporterzy mają okazję usłyszeć bezpośrednio reakcję czytelników.

Wracając do metod badań wiarygodności obecnej polskiej prasy podziemnej najlepsze wyniki da zastosowanie sposobów tradycyjnie wykorzystywanych przez historyków dla krytyki źródeł drukowanych, czyli tzw. krytyki zewnętrznej i krytyki wewnętrznej. Krytyka zewnętrzna będzie w tym wypadku polegała na badaniu, czy konkretny egzemplarz podziemnego pisma, z którego chcemy czerpać informacje jest autentyczny. Mówiąc inaczej — czy egzemplarz taki został rzeczywiście wydany przez wyszczególnioną na winiecie grupę lub organizację, której pismo jest organem. Krytyka wewnętrzna zaś polegać będzie na zbadaniu wiarygodności treści przekazywanych przez podziemne pismo informacji.

Krytyka zewnętrzna

Biorąc do ręki podziemne pismo należy pamiętać, że reprezentuje ono grupę działającą w świetle prawodawstwa PRL nielegalnie, a więc, że Służba Bezpieczeństwa stara się ją unicestwić, a doraźnie podejmować może działania zmierzające do dyskontowania wpływów tej grupy w społeczeństwie. Stosowaną niekiedy metodą jest produkowanie i puszczanie w publiczny obieg falsyfi-

1. *Tygodnik Mazowsze* nr 150/151 z 12 grudnia 1985.

katu podziemnego pisma. Egzemplarze takie na ogół nie różnią się od innych — autentycznych — numerów pisma, w związku z czym wykrycie fałszerstwa jest na pierwszy rzut oka prawie niemożliwe. Oczywiście bardzo dużo zależy od staranności wykonania falsyfikatu.

Na podstawie wykrytych do tej pory „fałszywek” wyróżnić można następujące metody dokonywania takich fałszerstw przez SB:

1. SB przygotowuje jeden, dwa konkretne teksty, które zamierza puścić w obieg pod szyldem upatrzonogo pisma podziemnego. Natychmiast po ukazaniu się autentycznego numeru jeden z jego egzemplarzy poddawany jest technicznej obróbce, polegającej na wmontowaniu przygotowanego tekstu w miejsce innego — oryginalnego. Powstałe w ten sposób egzemplarze wyglądają jak oryginalne. Wyselekcjonowanie przez czytelnika akurat tekstów mających charakter prowokacyjny jest w tych warunkach szczególnie trudne. Zdarza się, że SB nie chce lub nie może czekać na ukazanie się najświeższego numeru pisma, które chce poddać fałszerstwu i używa do tego celu jakiegoś starszego numeru, znajdującego się akurat w jej posiadaniu.

2. SB przygotowuje w swoich pracowniach cały numer. Zwykle tylko jeden lub dwa teksty mają charakter prowokacyjny, pozostała część takiego falsyfikatu zawiera informacje prawdziwe, czerpane zazwyczaj z innych pism podziemnych, niekiedy nawet godzące w władzę.

3. SB przez swoich konfidentów dostarcza do podziemnej drukarni tekst przez siebie spreparowany. O ile materiał taki zostanie wydrukowany, o fałszerstwie można dowiedzieć się tylko z ewentualnego sprostowania w następnych numerach pisma.

Wykrycie fałszerstwa w każdym z omówionych przypadków jest bardzo trudne. Zawodzi narzucająca się logicznie metoda szczegółowego porównania badanego egzemplarza pod kątem identyczności rodzaju druku i kształtu czcionki z innymi numerami tego samego pisma, których autentyczność nie budzi wątpliwości. Warunki konspiracyjne wymagają bowiem częstej zmiany sprzętu drukarskiego, niekiedy nawet w trakcie druku jednego numeru. Także papier, na którym drukuje się poszczególne numery pisma podziemnego pochodzi zwykle z różnych źródeł, jest różnego gatunku, koloru itp. Badanie więc czcionki czy gatunku papieru nie może w tych warunkach prowadzić do żadnych wniosków.

Jedynym sposobem ustrzeżenia się przed traktowaniem falsyfikatu jako egzemplarza autentycznego jest założenie w *każdym* przypadku, że trzymamy w ręku egzemplarz sfalszowany, a następnie bardzo uważna lektura tekstów przy dobrej znajomości

specyfiki podziemia, ogólnego kierunku politycznego reprezentowanego przez grupę wydającą pismo oraz aktualnej tendencji w traktowaniu przez podziemie różnych spraw politycznych, gospodarczych, kulturalnych czy socjalnych. Gdy jakaś informacja budzi wątpliwość, nie powinno się jej wykorzystywać do momentu potwierdzenia w innych pismach.

Pierwszym poważnym ostrzeżeniem, że wpadliśmy na ślad fałszyfikatu jest pojawienie się równocześnie lub prawie równocześnie tego samego numeru pisma różniącego się całkowicie lub częściowo w treści. Porównanie takich różnych egzemplarzy pozwoli wyselekcjonować teksty niejednakowe, a następnie taką ich analizę, która pozwoli zidentyfikować fałszyfikat.

Wykrycie fałszerstwa będzie łatwiejsze, gdy mamy do czynienia z „fałszywką” wyprodukowaną metodą nr 1, trudniejsze przy metodzie nr 2. Posłużmy się przykładami.

W końcu 1985 roku pojawił się w podziemnym obiegu 53-ci numer pisma członków i sympatyków „Solidarności” w Gdańsku pod tytułem *Nasz Czas*, zawierający między innymi dwa teksty z widniejącym pod nimi nazwiskiem Lecha Wałęsy. Oba teksty dotyczyły frekwencji w czasie wyborów do sejmu PRL w dniu 13 października 1985 roku. Przytoczone tam dane procentowe frekwencji w poszczególnych miastach, różniące się od cyfr przekazanych przez Wałęsę zachodnim dziennikarzom, musiały nasuwać pierwsze podejrzenie, zwłaszcza w kontekście wysuwanych przeciwko Wałęsie przez władze PRL oskarżeń o rozpowszechnianie fałszywych wiadomości na temat bojkotu wyborów do sejmu.

I rzeczywiście. Już pobieżna nawet lektura pozostałych tekstów tego numeru, rażąco nieaktualnych w stosunku do wspomnianych dwóch dokumentów wystawionych rzekomo przez Wałęsę 14 i 15 października 1985 roku przekonuje, że mamy do czynienia z fałszyfikatem. Operacji fałszerstwa dokonano w oparciu o czerwcowy, 43-ci numer *Naszego Czasu*. Porównanie go z „podejrzany” egzemplarzem opatrzonym numerem 53 rozwiewa ostatnie wątpliwości; fałszyfikat został sfabrykowany opisaną wyżej metodą nr 1.

Metodą nr 2 dokonano natomiast fałszerstwa *Tygodnika Mazowsze* latem 1982 roku. Pojawiły się wówczas w podziemnym obiegu jednocześnie dwa różniące się od siebie nakłady tego pisma, opatrzone tym samym 22-gim numerem i datą 28 lipca 1982 roku. Jedna z wersji rozpoczynała się apelem Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej NSZZ „Solidarność” z widniejącymi pod nim nazwiskami aktualnych członków tej struktury: Zbigniewa Bujaka, Władysława Frasyniuka, Władysława Hardka i Bogdana Lisa. Dobrze zorientowanego czytelnika powinien zastanowić sam brak

nazwiska Eugeniusza Szumiejki, który wprawdzie dopiero w połowie lipca wszedł w skład TKK, tym niemniej pod dokumentem z datą 28 lipca jego podpis musiałby figurować. Wnikliwa lektura wspomnianego apelu przejrzyście odsłania cel, przyswiecejący autorom falsyfikatu. Jego treść miała zniechęcić społeczeństwo do udziału w demonstracjach z okazji 2-giej rocznicy zwycięstwa strajków sierpniowych 1980 roku. Sygnałem, że rzekomi sygnatariusze apelu nie mogli być jego autorami są takie między innymi fragmenty:

„Dla dobra polskiego ruchu związkowego apelujemy do wszystkich członków 'Solidarności' o zawieszenie jakichkolwiek działań protestacyjnych na terenie całego kraju oraz poza jego granicami na okres 3 miesięcy (...).”

Lub w innym miejscu:

„Apelujemy do central związkowych na całym świecie o zaprzestanie jakiegokolwiek działalności, mogącej doprowadzić do zaoognienia sytuacji społeczno-politycznej w Polsce (...).”

Znając publikowane w podziemnej prasie wypowiedzi członków TKK i nurtujące ich wątpliwości, można przyjąć za ewentualnie możliwy apel, wstrzymujący udział członków „Solidarności” w niezależnych manifestacjach na terenie kraju (obiękcje budziła zasadność narażania ludzi na brutalne kontrakcje ZOMO i milicji). Zupełnie natomiast nieprawdopodobne było rozszerzenie apelu do central związkowych na całym świecie o zaprzestanie akcji protestacyjnych. Dla uważnego czytelnika odnośny fragment apelu musiał brzmieć podejrzenie.

Apel powyższy, dla jego uwiarygodnienia, autorzy falsyfikatu poparli również sfałszowanym wywiadem ze Zbigniewem Bujakiem. I znów takie jego rzekome słowa jak: „musimy także wziąć pod uwagę opinię zagraniczną. Oni nie są zainteresowani głęboką destabilizacją sytuacji w Polsce. Amerykanie trochę się zagalopowali i nie bardzo wiedzą, jak się z tego wycofać (...)”, „Dajemy WRON-ie 3 miesiące, aby zrealizowała to, co od dawna zapowiada (...)”, „za granicą znalazło się wielu nieodpowiedzialnych ludzi, którzy niejednokrotnie nie mieli nic wspólnego z naszym związkiem. Podszycali się pod nasz znak, traktując to jako okazję do zbijania majątku (...)” — dowodzą niezbicie, że wywiad jest sfabrykowany, i to dość prymitywnie, przez specjalistów z SB.

O fałszywce wyprodukowanej podobną metodą wspomina też Władysław Frasyniuk:

„Do wypróbowanych metod ubeków należą prowokacje. We Wrocławiu

zorganizowali nawet zakonspirowaną drukarnię, w której tłukli autentyczne *Z dnia na dzień*, chcąc w ten sposób złapać namiar na podziemie. Mówię 'autentyczne', bo zdarzały się również fałszywki. Jedną z ciekawszych był doskonale podrobiony numer *Z dnia na dzień*, zawierający większość prawdziwych informacji, tylko fałszywy wywiad ze mną. Atakowałem w nim personalnie osoby współpracujące z RKS-em, demaskując przy okazji nazwiska (...)"².

Wykrycie fałszyfikatu ułatwi świadomość celów, którymi kieruje się Służba Bezpieczeństwa przy fabrykowaniu i puszczaniu w obieg rzekomej podziemnej gazetki. Do najważniejszych należą:

- chęć wpłynięcia na postawę społeczeństwa;
- skompromitowanie szczególnie znieawidzonego działacza niezależnych związków lub struktury wydającej podziemne pismo;
- wzbudzenie nieufności między członkami podziemnej struktury a także między poszczególnymi strukturami podziemia;
- prowokacja.

Krytyka wewnętrzna

Krytyka wewnętrzna przekazu prasowego polegać będzie na takiej analizie treści tego przekazu, która pozwoli na przekonanie się, że zawarte tam informacje są prawdziwe.

Podstawową trudnością tej metody analizy prasy podziemnej jest anonimowość jej autorów. Tylko nieliczni, przeważnie spośród ukrywających się, piszą pod swoim prawdziwym nazwiskiem. Pozostali używają pseudonimów, niekiedy nawet kilku. Problem polega na tym, że autorzy, którzy dali się poznać jako rzetelni i dokładni w przekazywanych przez siebie informacjach, po zmianie pseudonimu muszą jakby od początku przejść test dziennikarskiej uczciwości. Nigdy bowiem nie wiadomo, czy nowy podpis oznacza nowego autora, który rozpoczął dopiero współpracę z podziemnym pismem, czy też dotychczasowego, który jedynie zmienił pseudonim. W każdym przypadku bardzo pożyteczne jest sporządzenie, na własny użytek, indeksu nazwisk lub pseudonimów autorów występujących w podziemnej prasie. Indeks taki powinien być na bieżąco uzupełniany uwagami na temat rzetelności przekazywanych przez poszczególnych autorów informacji, ich sympatii politycznych, stosunku do różnych zjawisk życia politycznego i społecznego.

2. M. Łopiński, M. Moskit, M. Wilk, *Konspira. Rzecz o podziemnej „Solidarności”*, Wyd. Libertas, Kraków 1985, część 1, str. 89.

Przystępując do krytyki wewnętrznej jakiegoś tekstu należy po kolei przeanalizować możliwe odpowiedzi na następujące pytania:

1. czy autor *mógł* mówić prawdę?
2. czy autor *potrafił* mówić prawdę?
3. czy autor *chciał* mówić prawdę?

Ad 1. Zasadniczą, najczęściej spotykaną przeszkodą, uniemożliwiającą autorowi publiczne przedstawienie (w tym wypadku za pomocą druku) jakiejś prawdy — zakładając, że potrafi i chce ją powiedzieć — jest cenzura. Działa ona w stosunku do wszystkich autorów publikujących w oficjalnych środkach masowego przekazu. W PRL każdy druk przeznaczony do publicznego rozpowszechniania, nawet nekrolog czy wizytówka wymaga zatwierdzenia przez cenzurę. Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk w Warszawie, pełniący funkcje cenzorskie, dba by do publicznej wiadomości nie dostała się żadna informacja, potencjalnie niewygodna dla władz.

To ograniczenie nie dotyczy prasy podziemnej, która z natury rzeczy jest niezależna od państwa i jego instytucji. Z tego zresztą powodu jest ona traktowana jako nielegalna i zwalczana różnymi środkami. Tak więc fakt, że prasa, będąca przedmiotem naszej krytyki, nie podlega cenzurze sprawia, że jej wiarygodność jest znacznie większa niż prasy oficjalnej.

Zgodnie z funkcjonującą wśród niezależnego społeczeństwa polskiego zasadą, że każdy obywatel ma prawo swobodnego wyrażania swoich myśli, nie stworzono w podziemiu żadnej instytucji kontrolującej autorów. Różnorodność kierunków politycznych reprezentowanych przez podziemie sprawia, że praktycznie każdy może znaleźć dla siebie niezależne pismo odpowiadające jego przekonaniom i tam prezentować swoje teksty.

Możemy więc założyć, że o ile jakaś informacja zaczerpnięta z prasy podziemnej budzi nasze wątpliwości, to nie będą one wynikać z faktu, że autor nie mógł napisać prawdy, że ktoś mu na to nie pozwolił.

Ad 2. W przypadku polskiej prasy podziemnej wiarygodność tekstu zależeć będzie w głównej mierze od tego, czy autor *potrafił* przekazać prawdę. Potrafi zaś przekazać prawdę tylko ten, który ją sam zna. Poznanie prawdy wymaga bądź bezpośredniego z nią kontaktu, bądź zaczerpnięcia wiadomości od osób trzecich, których wiarygodność nie budzi wątpliwości.

Autor pracujący w warunkach konspiracyjnych pozbawiony jest najczęściej technicznych możliwości szybkiego docierania do

właściwych źródeł informacji. Korzystanie z telefonów jest utrudnione, korzystanie z innych środków łączności, jak dalekopisy czy telegrafy, praktycznie niemożliwe, grożące dekonspiracją. Redakcje pism podziemnych nie dysponują, lub dysponują ograniczoną (z wyjątkiem kilku tytułów) siecią własnych korespondentów krajowych. „Podziemne agencje prasowe” w wielkim stopniu poprawiają istniejącą sytuację.

Wszystko to sprawia, że wiadomości z prasy podziemnej nie zawsze są właściwie sprawdzone. Stosunkowo często zdarzają się pomyłki lub niedokładności.

Badając kwestię, czy autor potrafi mówić prawdę, należy brać pod uwagę następujące czynniki:

— czy informacja dotyczy miejsca ukazywania się podziemnego pisma (o ile spotkamy informację z zakładu pracy w piśmie redagowanym przez pracowników tego zakładu, można z dużym prawdopodobieństwem założyć, że informacja jest prawdziwa — autor miał możliwość bezpośredniego kontaktu z opisywanym zdarzeniem);

— czy informacja zawarta jest w piśmie o zasięgu ogólnopolskim, dysponującym własnymi korespondentami (dotyczy: *Tygodnika Mazowsze*, *KOS-a*, pisma *Solidarność Walcząca*);

— czy informacja mogła być potwierdzona przez większą liczbę osób, bezpośrednich świadków zdarzenia (np. wiadomość o strajku w dużym zakładzie pracy, w którym uczestniczył znaczny procent załogi będzie najprawdopodobniej prawdziwa);

— czy informacja zawiera konkretne dane dotyczące liczb, dat, nazwisk uczestników zdarzenia (świadczą to będzie o bezpośrednim dostępie autora do źródeł informacji. Na przykład odosobniona wiadomość, że w Polsce znów uległa nasileniu akcja zdejmowania krzyży z pomieszczeń szkolnych będzie — jako nieprecyzyjna — mało wiarygodna. Ta sama informacja wzbogacona o konkretne przykłady znacznie zyska na wiarygodności).

Najpewniejszą metodą przekonania się, czy informacja jest prawdziwa będzie jej potwierdzenie w innych pismach podziemnych, najlepiej ukazujących się w miejscu opisywanego zdarzenia. Do informacji w prasie lokalnej, dotyczących zdarzeń z innego regionu, należy zawsze podchodzić z dużą dozą ostrożności. Wiadomości takie — jak pokazuje praktyka — są niejednokrotnie z obiektywnych przyczyn „po drodze” zniekształcane. Przykład: w numerze 12-tym z 1984 roku *Solidarności* — *Pisma Regionu Gdańskiego* ukazała się informacja, przedrukowana następnie w 99 numerze *Tygodnika Mazowsze*, o rzekomej wizycie generała Jaruzelskiego w dniu 25 czerwca 1984 roku w zakładach „Mak-

ron” w Siemianowicach (na Śląsku). Wiadomość tę, zacytowaną przez RWE, zdementował jako nieprawdziwą rzecznik prasowy rządu PRL Urban na konferencji prasowej dla dziennikarzy zagranicznych. Redakcja *Solidarności* — *Pisma Regionu Gdańskiego* wysłała więc do Siemianowic swojego wysłannika dla ponownego sprawdzenia podanej wcześniej informacji. W rezultacie w numerze 18-tym tego pisma z 15 listopada 1984 roku ukazało się obszernie wyjaśnienie, dotyczące całej sprawy. Okazało się, że rzeczywiście zapowiadana wizyta Jaruzelskiego w tym zakładzie nie doszła jednak do skutku. Zakład odwiedzili w tym dniu inni partyjni dygnitarze. Autorzy przy pisaniu swej pierwszej, jak się okazało nieprecyzyjnej notatki, nie potrafili więc, z braku możliwości, sprawdzić od razu otrzymanej z daleka, bo aż ze Śląska, informacji. Charakterystyczne jest wyjaśnienie redakcji, którego najważniejszy fragment warto przytoczyć:

„Prasa podziemna nie dysponuje nawet w ułamku procentu środkami, jakie ma propaganda reżimowa. Działa ponadto w warunkach permanentnej prowizorki, wynikającej z ciągłego zagrożenia wspaną, aresztem, więzieniem. Musimy więc polegać nie tylko na własnej zręczności i intuicji, ale również na dobrej woli naszych informatorów, na ich rzetelności, zmyśle obserwacji. Mimo to wiadomości jakie podajemy są prawdziwe, a ewentualne zniekształcenia rzadkie (...)”³.

Ad 3. Jest rzeczą oczywistą, że autorzy nie zawsze *chcą* mówić prawdę. Bywają sytuacje, kiedy prawda jest dla autora lub reprezentowanej przez niego grupy czy idei niewygodna. Obiektywnie znana autorowi prawda może zostać wówczas z premedytacją zniekształcona.

Czterdzieści lat funkcjonowania w Polsce cenzury i manipulowania informacją skompromitowało oficjalną prasę do tego stopnia, że funkcjonuje ona w polskim społeczeństwie jako synonim kłamstwa. W okresach wybuchów społecznych w roku 1956, 1968 czy 1980 na wiecach i demonstracjach głośno domagano się ukroczenia samowoli prasy w manipulowaniu świadomością społeczną. Autorzy prasy podziemnej jako członkowie niezależnego, alternatywnego społeczeństwa zdają sobie sprawę, że najważniejszym gwarantem pocztytności reprezentowanej przez nich prasy będzie jej wiarygodność. Przełamanie wrodzonej dla większości polskiego społeczeństwa nieufności do przekazu prasowego w ogóle może nastąpić w odniesieniu do prasy podziemnej tylko w przypadku bezwzględnie przestrzeganej zasady przekazywania — w miarę możliwości — wyłącznie informacji prawdziwych, bez

3. *Solidarność* — *Pismo Regionu Gdańskiego* nr 18 (120) z 15 listopada 1984.

względu na to, czy są one dla autora lub wydawców pisma wygodne, czy nie.

„Drogi czytelniku — pisze w *okoliscznościowym* artykule z okazji ukazania się setnego numeru redakcja pisma *Feniks* — życzylibyśmy sobie, aby ten jubileuszowy *Feniks*, podobnie jak poprzednie oraz następne, był przez ciebie oceniany jako łupinka niezależnej polskiej myśli i trudu podziemnych wydawców w morzu komunistycznego kłamstwa i czarnej państwowej propagandy. Chcemy, aby *Feniks* służył tobie rzetelną informacją i analizą rzeczywistości, demaskował fałsz i zło nazywał po imieniu (...)⁴.”



Powyższe uwagi skreślone na podstawie kilkuletnich doświadczeń pracy z prasą podziemną nie mogą mieć charakteru gotowej recepty na badanie wiarygodności informacji pochodzących z tej prasy. Są natomiast pierwszą próbą wyciągnięcia wniosków z zastosowania metod tradycyjnych dla krytyki wiarygodności źródeł innego rodzaju. Ponieważ dały one w wielu przypadkach wyniki pozytywne, stąd chęć podzielenia się nimi z innymi czytelnikami polskiej prasy podziemnej.

Michał KOŁODZIEJ

4. *Feniks* — *Biuletyn Informacyjny Regionalnej Komisji Wykonawczej NSZZ „Solidarność”* Regionu Gorzów Wielkopolski, nr 100 z 13 czerwca 1985.

DOKUMENTY I WSPOMNIENIA

Maciej POLESKI

STO DNI

PYTANIE: — Czytałem Twoje uwagi do poprzednio przemycanych tekstów, więc z góry zastrzegam, że niczego nie zmienię. Wiem, że cenzurowano już artykuły w Architekturze, rysunki i plakaty w Szpilkach, nie puszczono „Pamfletu na prefabrykację” w Polityce — Urban kooperował jeszcze wówczas z Fikusem — wiem, że w Tygodniku Mazowsze odrzucono anons o Barbarze Eysmont-Marcinów, która sprzedała im Ciebie SB, ale... nie każ mi tego wywiadu autoryzować!

ODPOWIEDŹ: — Zgoda. Zatem przystajesz na mój debiut w autocenzurze. W razie czego nie odpowiem ci na pytanie. W tym mam największą wprawę.

P.: — W listach kpisz ze swojej splendid isolation, czasem nawet chwalisz ją sobie. Piszesz, że nigdy nie wyptacisz się swoim prześladowcom za to, co już im zawdzięczasz.

O.: — Doskonałość tej blokady informacyjnej dla bliskich jest jednak bardzo frustrująca. Moja narzeczona i najbliższy przyjaciel, Marysia Twardowska, siedzi tylko piętro wyżej, ale z pięćdziesięciu listów jakie wysłałem dostała może 20, resztę zatrzymano do akt sprawy. Ostatni list dotarł do niej w grudniu, napisany był w sierpniu, a od Nowego Roku ukarano mnie zakazem ko-

respondencji prywatnej na 2 miesiące. Marysia dorobiła się tu paru ciężkich schorzeń m.in. owrzodzenia dwunastnicy — ma silne bóle. SB i Prokuratura w dziewiątym miesiącu śledztwa liczą już tylko, że perfidną pośrednią metodą otworzą jej usta. Kolejne złudzenie. Jednocześnie dzięki tej *splendid isolation* przeżywam fascynującą przygodę intelektualną. Czy może być dla *homo politicus* lepszy test na intuicję? I powrót do kraju młodości: jestem z pokolenia, które uczyło się polityki czytając między linijkami *Polityki* — dostają ją z dwumiesięcznym opóźnieniem.

Niech teraz major Górnicki martwi się, że dwadzieścia lat temu swoim artykułem „Amerykański Hyde Park” nie zożydził mi zachodniej demokracji. Sam mogę być spokojny, bo pisałem tylko teksty jednoznaczne.

P.: — *Nikt Ci nie uwierzy, że na podstawie dziury w Trybunie Ludu po wyciętym w areszcie fragmencie konferencji rzecznika wiesz co dzieje się w Polsce i na świecie.*

O.: — Po pierwsze: czytam dla liczb i danych statystycznych. Najmniej myślę. I tak, po jeremiadach władzy na temat braku wdrożeń w przemyśle znajduję wypowiedź Prezesa Urzędu Patentowego, który na pytanie o główne atuty wynalazczości w Polsce odpowiada: brak konkurencji; wdrożenie każdego wynalazku oznacza już postęp, gdy np. z silnikiem Wankla wiąże się sześćset wynalazków, z których tylko dwa weszły do produkcji. Prosty dowód, że taki postęp techniczny jaka konkurencja. Po drugie: kieruję się zasadą księcia Gorczakowa — nie wierzę niezdemontowanym wiadomościom. A organ nic tylko dementuje informacje prasy zachodniej i opozycyjnej. Zasada ta ma uniwersalne zastosowanie: jeśli Urban powie, że nie chce jeść bananów, to znaczy, że nadal prowadzę bezterminową głodówkę.

P.: — *A jak — zimny wychów?*

O.: — Dopiero na początku stycznia przenieśli mnie z Włodkiem Woronieckim do celi na piętrze. Na parterze było zimno i straszna wilgoć: pod łózkami rosła pleśń, potykaliśmy się na sfalowanej klepce. Włodek głoduje od 13 listopada, siedzimy razem już dwa miesiące. Każdego na początku rozmiękczano wsadzając do celi z głodującymi kryminalistami; obu nas to podniosło na duchu: stosunki były poprawne, a zobaczyliśmy, że nie umiera się z głodu tak szybko. Gdy teraz w suchej i w miarę cieplej celi lekarze wlewają nam sondą do żołądków kaszę, bywa że też ciepłą, nie wiemy już jaka Eleonora Roosevelt nas odwiedzi.

Tylko liczby mówią same za siebie: Włodek waży 50 kg przy 174 cm wzrostu, a ja 61 przy 190 i wciąż chudniemy. Do prawidłowości liczbowych dodam jeszcze, że w poprzedniej celi — nr 6 zdążyłem przeczytać „Salę nr 6” Czechowa...

P.: — ... i myślisz, że gdzie indziej publiczność i gazety dawno by już rozniosły w strzępy tę maleńką „Bastylię”?

O.: — Nie. W naszej szerokiej strefie Wietnam, Kuba czy Afganistan zawsze przewyższą mokotowskie bezprawie. I po stu dniach głodówki nie tracę poczucia względności naszej środkowoeuropejskiej bolszewii, ale jak nie siliłbym się na obiektywizm, zawdzięczamy to opozycji, nie — władzy. Jeszcze na wolności mój starszy synek opowiedział mi kawał *à propos*: „Z Paryża i z Moskwy wyjeżdżają jednocześnie dwa pociągi z turystami, którzy nigdy nie widzieli Sowietów ani Francji; zatrzymują się na Dworcu Gdańskim w Warszawie. Pasażerowie wychylają się z okien i wszyscy myślą, że są już na miejscu”. Zabawne, prokurator nie dając od momentu aresztowania widzenia moim synom myśli, że dziecko nie rozumie związków Warszawy Gdańskiej z Warszawą-Mokotowem.

P.: — *Mimo możliwości dedukcji, jakie zawdzięczasz zasadzie Górczakowa napisałeś, że ze swojego więziennego obserwatorium nie podejmujesz się oceniać stopnia determinacji i solidarności Zachodu w prowadzeniu nowej détente na twardych warunkach. A teraz — po Genewie?*

O.: — Sądzę, że po drugim akcie można być już pewniejszym trzeciego. Reagan rozgrywa, moim zdaniem, wspaniale hetmański gambit: świat — Europa. Nic dziwnego, że kieruje się chłodnym pragmatyzmem kontynuując kampanię w sprawie wolności narodów i praw człowieka. Przeciwnego ich rozumienia broni w Angoli kontyngent kubański, w Afganistanie — sowiecki, w Kampuczy — wietnamski i interwencji apelują wciąż o nieingerencję w sprawy wewnętrzne tych państw. Wietnamczycy są najbardziej oburzeni bo popsuta się maszynka do głosowania w ONZ: ponad sto państw sądzi, że nie po to wyzwolono Wietnam, żeby on dalej wyzwalał. Po prostu skandal! Nawet z mokotowskiej „maleńkiej Bastylii” widać, że Reagan nie wycofał się i nie wycofa z SDI — zapisał tylko minimalistyczny genewski kompromis w języku strawnym dla Gorbaczowa; że traktuje z rezerwą sowiecki słowotok propagandowy — wszak już Katarzyna Wielka mówiła o rozbrojeniu i pokoju w Europie; że zarzucił bezsilną

moralistykę (coż bardziej demoralizującego?) i nie paktuje z terrorystami jak Carter w Teheranie — woli działać przeciw państwowym, które podlecą zadania międzynarodowce terrorystycznej. Komunistom nie odpowiada kontrola przestrzegania praw człowieka na przykładach zwykłych obywateli? W warunkach codziennych z punktu widzenia standardów zachodniej demokracji? Szczęśliwie pojawiła się możliwość weryfikacji i tych swobód na najwyższym szczeblu, nadal w skali jednostkowej. W amerykańskiej TV odbyła się debata o polityce zagranicznej USA między trzema byłymi prezydentami: Nixonem, Fordem i Carterem a Reaganem. Zostawiając więc na boku bezprawie, przeciw któremu protestujemy naszą głódówką, pytam: czy Jaruzelski w ramach socjalistycznej odnowy i demokratyzacji dał prawo głosu swoim poprzednikom i, choćby na temat polityki gospodarczej, zorganizował publiczną dyskusję z Gomułką, Gierkiem i Kanią?

P.: — *Jesteś okrutny, takich ludzi naprawdę trzeba izolować! Całe szczęście, że nie wszyscy są tacy. Brandt wiedział lepiej z kim w Polsce rozmawiać.*

O.: — Tak, rzeczywiście zapomniał już dawno o rozmowie z Michnikiem i wołał odwiedzić eks-kandydata do Pokojowej Nagrody Nobla (to Schaff zgłosił po stanie wojennym kandydaturę Jaruzelskiego), niż naszego laureata — Wałęsę. Będę konsekwentny w moim okrucieństwie. Jak wiadomo, tym razem Brandt nie klęknął pod pomnikiem Bohaterów Getta, natomiast podziękował władzom PRL, że zajęły się grobem Ferdynanda Lassale'a, ojca niemieckiej socjaldemokracji, leżącego na wrocławskim cmentarzu żydowskim. Tymczasem bliżej, bo na warszawskim cmentarzu żydowskim na własne oczy widziałem uszkodzony przez wandalę nagrobek Feliksa Perla, współtowarzysza walki Piłsudskiego, wieloletniego redaktora PPS-owskiego *Robotnika*. Znany „List do Felka” napisany przed akcją bezdańską „Ziuk” adresował właśnie do Perla. Żegnając się z nim tłumaczył, że walczył nie tylko w imię wielkich idei socjalizmu i niepodległości; po prostu miał już dość życia w wychodku. Otóż właśnie: o duchu współpracy nie należy rozmawiać w wychodku.

P.: — *KTT naruszył ostatnio marcowe tabu i napisał, że za bastem „Moški do Dajana” stał tylko margines polskiego społeczeństwa — co o tym myślisz?*

O.: — Nie zgadzam się z Tobą. Toeplitz wpisał się tylko w kolejny tabu. Marginesem społecznym była i jest władza organizująca

cyrki objazdowe — tak naród nazywał przed i po Marcu ruchome dekoracje ustawiane przy spędzanych na masówce. „Ekstremą” były już przecież tysiące AK-owców — „zapłutych karłów reakcji”, tysiące wzorowych, gospodarnych chłopów — „kułaków”, w '68 była to wyselekcjonowana garstka Polako-Żydów — „syjonistów” i Polaków — „rewizjonistów”, dziś słyszymy o „marginesie byłej 'Solidarności'” albo tzw. podziemnej „Solidarności”. Jest małym, ale oczywiście także dramatem naszego społeczeństwa, że od 1944 roku margines faktycznych ekstremistów, jakimi są komuniści, manipuluje antysemityzmem lub filosemityzmem zamiast zostawić nas w spokoju: kwestia żydowska, o której rozmawiają w prasie sami swoi jest przecież tylko szczególnym przypadkiem kwestii poszanowania praw człowieka w mniej lub bardziej ludzkich czasach. *Leben und leben lassen* — żyć i pozwolić innym żyć — tego czerwoni nie potrafią a Brandt o tym zapomniał. Myślę, że jakiś antyfaszysta niemiecki w pełni zobaczyłby kim są ober-cenzorzy, z którymi wdał się w odprężeniową pogawędkę, gdyby...

P.: — ... zajął do Twoich listów włączonych do akt sprawy?

O.: — Tych pisanych jeszcze na wolności do przyjaciół-Niemców, w których tłumaczyłem Zasadę Drabiny: *Kommunistische Wirtschaft* jest zawsze nieszczęściem, a różnice stopnia biorą się stąd, że narody z różnych szczebli spadają w real-soc. I gdyby zajął do prywatnych listów z aresztu, zatrzymywanych przez ludzi w polskich mundurach, gdy zawierają cytaty z Tomasza Manna, wygnanego przez Hitlera, z Franza Kafki uznanego za degenerata także przez Stalina albo z Leonarda Sciaseli — „z powodu pochwały faszyzmu włoskiego” jak brzmi diagnoza tutejszych literaturoznawców.

P.: — Skoro już przy nich jesteśmy, komentarz PAP-a po wypowiedzi Günтера Grassa na Międzynarodowym Kongresie PEN w Nowym Jorku: „autor znanej u nas powieści 'Blaszany Bębenek' mógł wyprowadzić z równowagi każdego kto zna losy pierwszego wydania...”.

O.: — ... i wydawcy! Grass interweniował u Gierka w obronie swojego jedyne polskiego edytora gdy szef NOW-ej został aresztowany pod zarzutem kradzieży państwowego powielacza i Chojecki został zwolniony po trzech tygodniach głodówki. Mój współtowarzysz, Woroniecki, głoduje trzeci miesiąc i przedłużono mu już areszt do pół roku. *Signum temporis* to postęp techniczny, a nie postęp w przestrzeganiu praw człowieka: Włodkowi zarzu-

cają kradzież z włamaniem państwowego offsetu. Cóż, szkoda że nie wszystkim naszym przyjaciółom w świecie możemy powiedzieć słowami Apokalipsy: „otworzyłem przed tobą drzwi, których nikt nie zamknie, bo choć niewielką masz siłę, nie zaparłeś się”. Ale i my jako społeczeństwo mamy po ostatnich wyborach nie lada belkę w oku.

P.: — *Czyżbyś, pozbawiony bibuły i naczytawszy się o europeizacji wyborów do sejmu zamierzał obrazić się na społeczeństwo, skoro tylko jedna trzecia wybrała program milczenia?*

O.: — *Obrać się? Nic z tych rzeczy. Socjologia i psychologia wyborów sowieckich jest znana od dawna. Przecież po 17 września 1939 roku polskie społeczeństwo na kresach też głosowało gremialnie za przyłączeniem do Raju. Europeizacja? 50 najważniejszych aparatczyków kandydowało bez Number 2, a pozostali Number 1 okazali się w 100 procentach lepsi od swoich dublerów! Rozpoczynając protest głodowy 13 października napisałem jasno: w tym dniu małe bezprawie o sygnaturze akt VPn. śl. 17/85 łączy się dla mnie z wielkim bezprawiem wobec nas wszystkich — wyborami które pozwalają tylko na bojkot lub uczestnictwo w farsie. Pozostaje jednak pewne „ale”. Znany jest terror pierwszego wyzwolenia. Terror, który przez przymus radości — pokazał to Józef Mackiewicz — był bardziej niehumanitarny i niezrozumiały od nazistowskiego, zadowalającego się okrucieństwem bez żądania od ofiar entuzjazmu. O terrorze wyborów jaruzelskich można mówić tylko metaforycznie. Fakt, że Grass zapędził się za daleko w Nowym Jorku nie znaczy, że mamy tak samo przesadzać w Warszawie. Wiosną zanim znalazłem się na stacji Mokotów, jechałem w przedziale kolejowym z pasażerem, czytającym z zachwytem rozmowy Frossarda z Janem Pawłem II, zatytułowane „nie lękajcie się”. Nawiązaliśmy rozmowę, którą skierowałem na minione wybory. Zapytałem się docenta (bo okazał się docentem), i to groźniejszym niż w „kinie moralnego niepokoju”, czy głosował. „Nie głosowałem — odparł z uśmiechem. — Ja tylko brałem udział w wyborach”. „Wrzucił Pan kartkę do urny?” „Wrzuciłem”. „No to na całym świecie tak wygląda głosowanie” — powiedziałem, wskazując na sprzeczność między pokrętną werbalizacją jego postawy a jasnością słów, które z zachwytem czyta. Docent twierdził uparcie, że upraszczam problem i że życie jest bardziej skomplikowane. Nie tak bardzo jednak, skoro gdy tylko wyszedł na korytarz jego żona uściśliła mi rękę, mówiąc: „Wreszcie ktoś obcy mu powiedział; my z córką nie poszłyśmy, a on nie chciał uwierzyć, że nie ma się czego bać”.*

P.: — *Uważasz, że powodował nim strach?*

O.: — Oczywiście. Wynikły z utożsamiania z terrorem atmosfery psychicznego nacisku propagandy, która niegdyś była nadbudową rzeczywistego terroru. Powstał układ sado-masochistyczny, w którym nie ma kata, ale jest ofiara: godność narodu. W cywilizacji, z jaką się identyfikujemy jest ona sumą godności jednostek. Dopóki Mokotów to nie Łubianka, a polska ulica nie jest ulicą Ugandy, biała większość musi raz na parę lat zdobyć się na to minimum — wyborczą odwagę. Nikt za nas tego nie zrobi. Można być milczącą większością, ale większość, która publicznie godzi się mówić głosem mniejszości i ją legalizuje — siebie samą ubezwłasnowolnia. Jeśli mówimy o obronie osoby ludzkiej i kultury chrześcijańskiej, to jak polscy księża — nie lękajmy się. A jeśli się lękamy to powiedzmy, że jesteśmy samotnym i bezradnym tłumem, który dowartościowuje się łatwym triumfalizmem. Polak jest Papieżem i to jakim! Albo — albo. Szlachectwo zobowiązuje. Inaczej do „kompleksu stołu”, który Konrad Bieliński wykrył u naszych „jawniaków”, całemu już społeczeństwu przybędzie „kompleks urny”.

P.: — *Mówisz o złudzeniach liberum mediatio, ale sam podejmiesz jednak dialog...*

O.: — ????

P.: — *A czym był Twój list do generała Jaruzelskiego w sprawie konsultacji wystąpienia w ONZ?*

O.: — Dziennikarska prowokacja, myślałem, że to sobie darujesz! Odpowiadam: mój list wyjaśniał, dlaczego generał nie może na mnie liczyć konsultując 37 milionów. Właśnie kończę list otwarty do Ministra Sprawiedliwości Lecha Domerackiego. Występuję nadal w roli medium, nie mediatora. Medium, które przekazuje to co wie z naocznych obserwacji tym, którzy udają, że nie wiedzą. A że jestem na tyle dobrze ułożony, żeby podziękować ministrowi i jego poprzednikom za umożliwienie mi zdobycia tej wiedzy to już sprawa kultury epistolarnej. Ale pozostaję — powtarzam — chłodnym medium a nie mediatorem. Miarą chłodu jest to, co napisałem gen. Jaruzelskiemu: każdy wie tyle, ile wiedzieć chce. Dialog, który toczy się siłą rzeczy, mocą faktów podawanych mass-medium nie jest obciążony „kompleksem stołu”. Może natomiast zmienić i często zmienia układ polityczny bez ustępstw wynikłych z przyjęcia *liberum mediatio*.

P.: — Czy skazany na lekturę Trybuny Ludu zauważasz jakieś skutki 4-letniego już dialogu — pod stołem, nad stołem, byle nie przy stole?

O.: — Oczywiście. Ostatnie uchwały PRON-u to nic innego jak przyznanie się do fiaska i próba imitowania rozwiązań stosowanych przez autentyczne ruchy społeczne. Stąd otwartość posunięta tak daleko, że nie żąda się formalnego członkostwa dla zalegalizowania inicjatywy, PRON akcentuje, że jest ruchem dążącym do pobudzenia samoorganizacji obywateli, nie zaś organizacją *sensu stricto*. Bardzo chciałby być KSS „KOR” lat 80-tych, tym czasem pozostaje karykaturą Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem z lat 30-tych. Karykaturą, bo i sanacja po 13 grudnia jest karykaturą zamachu majowego; to my od Sierpnia mamy prawo powtarzać słowa Marszałka: „Za dużo nieprawości”. Nie bawię się w łatwą ironię, jestem świadom, że wynik bojkotu wyborów jest kolejnym trudnym remisem. Oni mają za sobą większość obojętnych, co dało wynik 2 : 1 na naszą niekorzyść. My mamy za sobą większość ludzi aktywnych politycznie i elitę intelektualną kraju. Stosunek liczebny zwolenników „Solidarności” do zwolenników PRON-u szacuję także na 2 : 1. Po tym wyborczym remisie przeciwieństw powinniśmy unikać uproszczenia: społeczeństwo to my, będąc nadal ostrożnymi optymistami. „Solidarność” pozostała bowiem tym czym była — bezpartyjnym blokiem współpracy społeczeństwa; pracujemy w nim i z nim, gdy celem PRON-u jest praca i opieka nad społeczeństwem, które musi on dopiero „narodowo odrodzić”.

P.: — Czy sądzisz, że zabiegi semantyczne dokonywane na nowomowie zapowiadają bardziej realistyczne myślenie władzy o władzy?

O.: — Tego nie wiemy i wiedzieć prędko nie będziemy, cóż dopiero ja. Ale język, którego używa władza umożliwia już racjonalne myślenie: bank, kredyt, inflacja, dewaluacja, minimum socjalne, fundacja, monopol — to słowa pozwalające czytać rzeczywistość bez diamentu. Choć nie sądzę, żeby bez wymienialnego złotego dało się w tym języku zapisać inną rzeczywistość gospodarczą. Na razie w samej elicie władzy trwa ostra walka. Czasem musimy się w nią włączać: choćby w ruchu samorządowym. Podążanie po 13-tym grudnia wciąż krok za społeczeństwem było główną słabością naszego ruchu. Szansą „Solidarności” jest porzucenie operacji na symbolach i przejście do formułowania aideologicznych programów-minimum.

P.: — *Jesteś pewien tej konstrukcji intelektualnej, gdy kierowniczka rola partii wciąż pozostaje kwintesencją leninizmu?*

O.: — Pewien jestem tylko tego, że siedzę i będę nadal kontynuował głodówkę. Reszta to spekulacje areштanta, sam musisz ocenić na ile bliskie rzeczywistości, której musimy sprostać. Aparat partyjny jest oczywiście więźniem własnego rozumienia władzy; prymatu polityki nad ekonomią i rządzenia metodą szturchania innych. Ale ponieważ „innym jest także partyjny minister, który służyć musi nieraz poleceń szeregowego instruktora KC, bo on jest przy „kierownicy”, więc i tu następują zmiany. W oficjalnej prasie coraz częściej czytamy o niebezpieczeństwie „ręcznego sterowania” gospodarką, o tym że zamienia ono tylko system nakazowo-rozdzielczy na przetargowo-uznaniowy itd. Trudno, aby komuniści przyznali, że leczą ciężką rosyjską szkarlatynę lekką polską odra! Z satysfakcją jednak obserwuję, że dyskusja na temat monopolizacji gospodarki przebiega bez ideologicznego etykietowania; polemicy operują konkretnymi jeśli oczywiście, jak obrońcy reformy mają je w ręku. Zgodzisz się chyba ze mną, że całe społeczeństwo koniec końców decyduje na ile dwójmyślenie przekształca się w dwójdziałanie, na ile drugi obieg wspiera pierwszy, gdyż do pomysłów politycznych nie stosuje się zasada: pieniądz gorszy usuwa z rynku lepszy. Dobre miniprogramy ekonomiczno-społeczne, za którymi optuje większość, prędzej czy później przebijają się, choćby na początku tylko mała grupa była ich zaplecem organizacyjnym. Nie inaczej przecież zwyciężyła chłopska „rewolucja antykołchozowa”, „rewolucja badylarska” czy wreszcie ta ostatnia „papierowa rewolucja naszych powielaczo-godzin”, jak określił ją Jan Kelus. Zwrot ku reprivatyzacji obejmuje tysiące ludzi z wyższym wykształceniem. Zaczęła się już kolejna mała rewolucja: budowlano-mieszkaniowa. To nie projektomania a samo życie. Społeczeństwo nie zapewni natomiast masowego poparcia żadnym zamysłom ani domysłom politycznym teauryzowanym przez kręgi ludzi niezdolnych do działania, szukających rąk, które sprawdzą za nich robocze hipotezy.

P.: — *Pamiętam, podkreślałeś w swoim więziennym opus magnum, że najłatwiej jest być jak robić Hochpolitik. No, ale ty jesteś maniakiem przedsiębiorczości.*

O.: — Dziękuję ci bardzo — przynajmniej w perspektywie najbliższego półwieku nie oznacza to przeciętności. Jesteśmy już opóźnieni nie o fazę, lecz o dwie. Gdy kłócimy się z komuną o autentyczne 3 S, świat, ten świat, którego częścią czujemy się w warstwie symboliczno-kulturowej, mówi od paru lat o 7 S.

O przedsiębiorczości decydują: strategia (*strategy*), struktura (*structure*), sformalizowane systemy i procedury działania (*systems*), załoga (*staff*), styl działania, zwłaszcza wyższej kadry kierowniczej (*style*), szczególne umiejętności i talenty głównych menadżerów (*skills*) i ogólne cele będące skwantyfikowaną kulturą członków organizacji (*superordinate goals*). Polski artykuł na ten temat zatytułowany „Szczypta szaleństwa” dotarł do mnie z dwumiesięcznym opóźnieniem; chciałbym, żeby z nie większym dotarł do ludzi wolnych. W areszcie na spokojnie konstatuję, że na wolności w zawodzie i polityce tylko w 10 % przeszkadzała mi w pracy partia i policja; w 90 % — bolszewia we mnie i w ludziach. W totalitaryzmie pierwotną przedsiębiorczość wyniszcza aparat systemu, w post-totalitaryzmie — głównie ludzie systemu, bezsiła bezsilnych, trawestując Havela. Muszę ci powiedzieć, że fakt, iż działając w podziemiu założyłem jednocześnie na powierzchni wraz z trzema współnikami-architektami spółkę projektową z ograniczoną odpowiedzialnością, uważam za równy powód do satysfakcji co parę zarzutów Naczelnej Prokuratury Wojskowej wynikłych z opacznej interpretacji prawa. Głodując na Mokotowie pozostaję wiceprezesem legalnie zarejestrowanej w sądzie spółki, czy to nie budujące?

P.: — *Może jeszcze powiesz, że projektujesz teraz dla nich?*

O.: — Zauważyłeś chyba, że nie zawsze przyznaję się do tego, co zrobiłem, a co dopiero gdy coś robię lub zamierzam. Na marginesie: nie czuję się zawodowym rewolucjonistą i jestem z tego odłamu radykałów, którzy wierzą tylko w rewolucje dokonujące się w ludziach. A wracając do pytania — trzy lata temu siedząc na Mokotowie faktycznie narysowałem projekt, przemyciłem na wolność, mój partner go wykreślił i gdy wyszedłem po niewiele ponad 2-ch miesiącach, zainkasowaliśmy 100 tysięcy. To była moja prywatna wygrana w wojnie z generałami. Teraz zabierają mi wszystko spod ręki — sam widzisz jak robimy ten wywiad. Swoją drogą ciekawe, czy fiskus po deklaracji o projekcie z '83 roku da mi domiar. Po stu dniach głódówki umarłbym ze śmiechu.

P.: — *Sądząc z naszej rozmowy musisz pisać bardzo się pilnować, żeby nie zgubić się w anegdotach i dygresjach. Choć bez zamiłowania do detalu nie przemyciłbyś pewnie odpowiednika tych kilkudziesięciu stron maszynopisu. Benedyktyńska robota.*

O.: — A warunki gorsze niż klasztorne, SB etapami konfiskuje mi nawet nieistotne dla śledztwa codzienne zapiski — *operationes*

spiritualis — ćwiczenia duchowe, w nadziei, że zostawiłem jakiś ślad prowadzący do ciebie. Tymczasem — to mogę zdradzić — wszystko zawdzięczam Robertowi Bressonowi. Na jego dwóch filmach: „Kieszonkowiec” i „Ucieczka skazańca” nauczyłem się jak moje myśli skazane już przed procesem mogą uciec na wolność. Skoro rozgrzeszyłeś mnie ze słabości do anegdot, opowiem ci kolejną. Ostatnio płk Szczęsny z Prokuratury kusi mnie pierwszym widzeniem z synami sugerując, że organy zgodzą się natychmiast, gdy uzupełnię część z tych straconych 28 kg — „żeby nie robić demonstracji wobec dzieci”. „Jako intelektualista — mówi pułkownik — wie pan z filmów i książek, że głodówką nikt jeszcze niczego nie wywalczył”. Uśmiechnąłem się w duchu na wspomnienie filmu „Gandhi”, a po powrocie do celi podzieliłem się wrażeniami z Włodkiem, który też jest kinomanem. „To było zagranie z kawału o nowych metodach psychiatrycznych — odparł. — Lekarz stuka pacjenta siedzącego z wędką przy wannie: „Jak biorą?”. „Co pan, wariat? Ryby w wannie?”. Byłbyś wariatem, gdybyś wspomniał mu o Gandhim, chodziło tylko o to, żebyś zaczął rozmawiać.

P.: — *Woroniecki jest pierwszym politycznym, z którym cię posadzono. Dla skompletowania duetu głodujących?*

O.: — Tak. Spędziliśmy razem okres przedświąteczny i razem wyprawiliśmy Święta. Po podzieleniu się opłatkiem, który dostałem w liście — istny cud! — Na parę godzin przed zapaleniem się w szybie wigilijnego reflektora — Włodek podał wymagowaną tradycyjną wieczerzę z dwunastu postnych dań.

P.: — *A choinka?*

O.: — Zrobiłem ją z zielonych kopert, które sprzedają na „wypiskę”. Pod nią czekały na nas prezenty. Dostałem miniaturową maskę swojej twarzy z *papiermaché* łączonego pastą do zębów i kremem, a Włodek papierowy sześcian zamykany klamerką „Solidarność” — oczywiście z chorągiewką — z wklejonym w środku gazetowym nagłówkiem „Rząd nie będzie miał łatwego życia”. Włodekowi prezent już skonfiskowano, ja maskę jeszcze mam, została tylko zgnieciona w poszukiwaniu grypsów o głodówce. Podobieństwo rysów zachowało się, ale jest to teraz Poleski par Woroniecki *à la* Giacometti. Do kolejnego kipsisu.

P.: — *Pytanie arcycenzuralne: o czym rozmawiacie pod mikrofonem?*

O.: — O tym, o czym można we trójkę. Na ogół jednak milczymy i czytamy leżąc — nie mamy tak wiele sił. Włodek jest budystą, więc nauczył mnie siedzenia w półlotosie — tak się mniej marznie, a marzniemy, bo spada nam ciśnienie. Po pierwszym miesiącu, gdy już nagadaliśmy się, ustaliliśmy rygorystyczną strefę ciszy od porannej kawy do „obiadu” czyli przymusowego wlewania w nas raz dziennie karmy. Natomiast wieczorem leżąc w ciemnościach pławimy się w rozkoszach kulinarnych, gdyż Włodek przepada za gotowaniem, a ja bardzo lubię jeść.

P.: — *To nie obsesyjne?*

O.: — Skądże. Bawimy się tym doskonale. Tracąc dystans, tonie się tu w mannowskiej „zupie wieczności”, a tak — rozumie się lepiej swoją historię i to kim w niej można być. Włodek ma owrządzenie żołądka, ja bóle serca, zdarza się, że któryś z nas mdleje. Trzeba trochę gry wyobraźni, aby ten dołek stał się czarodziejski i choć chwilami zamieniał się w czarodziejską górę.

P.: — *Żyjecie literaturą?*

O.: — To wspaniała emigracja wewnętrzna, zależna tylko od nas. Gdy Włodek zaczął trzeci a ja czwarty miesiąc głodówki, powiedział: „Przekraczamy taką smugę cienia, że na wolności wszystko będzie już dla nas łatwe. Opanować jakieś pragnienie, wytrzymać stress, wytrwać w decyzji — żaden problem”. Na moje wątpliwości, że na wolności nie sposób przekazać innym naszych doświadczeń, żyjemy przecież wśród ludzi, odparł: „dlaczego tak często po przekroczeniu smugi cienia nie wkładasz jednak białego munduru kapitana, nie odrzucasz dawnych wahań? Ludzie widzą, że jesteś już kimś innym, a ty sam zrywasz szlify! I ja nieraz robię podobnie. To tylko stary błąd czy... siła? — zawahał się. Może w tym tkwi nasza siła, że chcemy przekraczać coraz szerszą smugę?”.

P.: — *Przekraczanie „smugi cienia” to dla mnie zrozumienie rzemiosła życia, z niego płynie pewność własnego „ja”.*

O.: — Zdawałoby się, że są tylko trzy kręgi: człowiek, dzieło — obojętnie jak małe, ale skończone i być człowiekiem swojego dzieła. Ale często po przekroczeniu „smugi cienia” otwiera się czwarty krąg. Widzisz, że jesteś kimś w swojej historii, ale ani ty, ani ona nie należycie już tylko do siebie. Dlatego zgodziliśmy się wówczas, że warsztat życia który poznajemy głodując, to jak być w środku i na zewnątrz przeżywanej sytuacji. Jeśli pewność siebie jaką tu uzyskujemy, zachowamy razem z pamięcią wahań, które jej towarzyszą i poczuciem względności tego co ma

za sobą, dopiero wtedy spokojnie przekroczymy wszystkie przesze, szersze smugi. „No, jeśli z tego wyjdziemy cało — dodał Włodek. Ale w każdym razie będzie to wyzwolenie”. Na tę formułę przystać mógł nawet taki agnastyk jak ja.

P.: — *Zastanawiasz się nad Waterloo?*

O.: — Na Waterloo już za późno. Sto dni dawno minęło i czas płynie coraz szybciej.

P.: — *Czy myślisz, że jesteś człowiekiem swoich tekstów?*

O.: — I tak, i nie. Czuję się głównie dłużnikiem; Vercorsa, który w czasach rządów Vichy napisał „Milczenie morza”, Wielkiego Anonima, któremu hołd składa Herling-Grudziński i Sołżenicyn, dłużnikiem znanych mi i nieznanym ludzi, którzy pamiętają o mnie. Jednocześnie z zakazem korespondencji dostałem 30 listów z Polski i ze świata z życzeniami, pozdrowieniami, zapewnieniami, że nie jestem sam. Najbardziej wzruszyły mnie te, których nie rozszyfrowałem — głosy bliźnich serc. Dla nich świat, Europę i Polskę o jakich mówimy łączy z Mokotowem to samo, co Ciebie i mnie.

P.: — *Zdecydowałeś się dać wywiad po nadejściu listów, na które nie możesz teraz odpowiedzieć?*

O.: — Tak. Dzięki nim — anonimowym solidarnym — a pozostałem im wierny, gdyż sam byłem przez lata conradowskim „ukrytym sojusznikiem” — wierzę, że dziś ty i ja nawet będąc jedną osobą odnajdziemy do nich drogę.

Maciej POLESKI

Luty 1986 r.

Henryk KADEN

WSPOMNIENIA SOLIDARNOŚCIOWE

Fragment

Kiedy w 1979 leciałem do Warszawy po paroletnim pobycie w Nowym Jorku, to co wiozłem najskrzętniej zakonspirowane, co najbardziej pragnąłem ukryć przed kontrolą na Okęciu, to były dwie małe zadrukowane karteczki, jedna z nazwiskami i adresami

członków KOR-u, druga członków ROPCiO. Prawie każde ich oświadczenie, drukowane w paryskiej *Kulturze*, zawierało na końcu listę sygnatariuszy z adresami i nawet telefonami. Wiezione listy miały mi pomóc w nawiązaniu kontaktu i może w rozpoczęciu planowanej współpracy. Te karteczki przemyciłem pomyślnie. Celnicy ich nie znaleźli. Niestety ja też nie. Za dobrze schowałem, albo zapodziały się przy rozpakowywaniu. Wciągnięty w wir coraz trudniejszej egzystencji w warszawskiej codzienności, zaprzętnięty próbami powrotu do zawodu prawniczego po czteroletniej przerwie, spowodowanej pobytem za granicą, nie zrealizowałem projektu nawiązania współpracy z KOR-em, mimo że ten zamiar był jednym z najważniejszych powodów mego powrotu do kraju.

Gdy wraz z całą Polską śledziłem rozwój wydarzeń w sierpniu 1980, sądziłem, że nie może chodzić tylko o 21 postulatów, a to, o co w rzeczy samej idzie, zasługuje nie jedynie na sympatyzowanie, ale na czynne tym razem włączenie się, bezinteresowne, najserdeczniejsze poparcie wszystkimi moimi siłami, jakkolwiek by były wątłe. Byłem wtedy radcą prawnym Zakładów Odzieżowych „Cora” w Warszawie. Nic się tam nie działo ani na nic się nie zanosilo. A mnie rozpieiała wola działania. Z radia Wolna Europa dowiedziałem się o wznowieniu działalności Klubu Inteligencji Katolickiej w Warszawie i że wspomaga organizujące się niezależne związki zawodowe. To mi nasunęło myśl nawiązania z tym klubem kontaktu. Mieścił się na pierwszym piętrze narożnej kamienicy naprzeciwko gmachu Centralnej Rady Związków Zawodowych przy ul. Kopernika. Nie było widać żadnego ruchu przy wejściach do CRZZ, trwającej w martwocie. Poszedłem do KIK-u. Nie znałem nikogo. W bardzo dużym pokoju, w którym znalazłem się tuż po wejściu, panował rozgardiasz. Przy stołach i stolikach siedzieli przeważnie młodzi ludzie, nikt nie zwracał na mnie uwagi. Dopiero po paru nieudanych próbach udało mi się dotrzeć do kogoś kompetentnego. Był nim pan Andrzej Wielowieyski. Przedstawiłem mu się i wyznałem, że sprowadza mnie chęć włączenia się do niezależnego ruchu związkowego i w tym celu pragnę nawiązać współpracę z KIK-iem. Przedstawiłem zwięzłe historię mego życia: uwięzienie, stalinowskie śledztwo, skazanie przez sąd wojskowy za rzekome szpiegostwo na wieloletnie więzienie, usunięcie z adwokatury, a następnie, nawet po reaktywowaniu mego wpisu na listę adwokacką, dalsza niemożność pracy w zespołach adwokackich. Pan Wielowieyski słuchał mnie z wyraźnym roztargnieniem, sprawiał wrażenie nieobecnego duchem. Powiedział, że nie ma nic przeciwko moim zamiarom i na tym się skończyło. Chodziłem do KIK-u

kilkanaście razy. Raz, czy nawet dwa, pan Wielowieyski poprosił mnie o pomoc przy ułożeniu tekstu kilku fragmentów projektu statutu dla Solidarności, diskutowanego wtedy w Gdańsku, dokąd pan Wielowieyski często jeździł. Ale nie mógł jakoś nigdy znaleźć wolnej chwili na omówienie ze mną tej sprawy, a ja, nie uczestnicząc przecież w gdańskich naradach, nie mogłem na ślepo niczego odpowiedniego zaprojektować. Brak jeszcze wówczas jasnej koncepcji struktury organizacyjnej niezależnego ruchu związkowego w Polsce, dopiero zaczynającego zwać się Solidarnością, spowodował na przykład, że Mazowsze opracowywało dla siebie samodzielnie odrębny statut, który tam wówczas widziałem, już jako pamiątkę po porzuconej koncepcji. To wszystko działo się na przełomie września i października, kiedy Mazowsze jeszcze nie zdobyło własnego lokalu biurowego i musiało korzystać prowizorycznie z obcych, w różnych punktach Warszawy. Także w lokalu KIK-u odbywały się zebrania członków Prezydium Zarządu Mazowsza. Ale trudno mi było samemu nawiązać z nimi bezpośredni kontakt. Głupio przecież byłoby staremu adwokatowi obkoleďować tych w znakomitej większości młodych chłopców i dla wzbudzenia zaufania opowiadać każdemu swoją historię.

Chociaż zdarzyło się, że ten i ów z działaczy KIK-u zwracał się do mnie sporadycznie o jakieś wyjaśnienie lub poradę, czy też o pomoc w zredagowaniu czegoś, to jednak podsumowując trzeba niestety przyznać zgodnie z prawdą, że w KIK-u błąkałem się „bez przydziału”, więc po prostu bezużytecznie. Przychodzisz człowiekowi z sercem na dłoni, a dłoń twa zawisa w próżni. Stawało się dla mnie coraz bardziej oczywiste, że należy postąpić zgodnie z zasadą, że niepotrzebni powinni odejść, aż pewnego, kolejnego dnia mego błąkania się, jedna ze starszych dam, z tych istniejących w każdej porządnej organizacji społecznej, bez których to pań żadna taka organizacja, zwłaszcza katolicka, obejść się nie może, zapytała mnie znienacka i bez życzliwości w głosie, co ja tu właściwie robię? No, bo rzeczywiście, co ja tam robiłem? Speszyłem się i jak zmyty poszedłem, aby więcej do KIK-u nie wracać. Nauczka, którą wyniosłem stamtąd była prosta: nic nigdzie nie wskóram, jeżeli nie zostanę wprowadzony, polecony czy zarekomendowany przez osobę w danym środowisku znaną i zaufaną. Zacząłem więc szukać rekomendacji, ale naturalnie już nie do KIK-u, ale wprost do warszawskiej Solidarności.

Wiadomo, że osobiste znajomości są w życiu najskuteczniejsze. Niestety jednak nikt spośród moich znajomych, nawet dalszych, nie należał do pionierów, organizatorów Solidarności, czy liczących się działaczy. W tym fakcie nie było zresztą nic dziwnego, bo ludzi takich było jeszcze niewiele, skoro Solidarność

dopiero się rodziła. W tej sytuacji zdecydowałem popробować szczęścia przede wszystkim w moim adwokackim środowisku. Zacząłem od adwokata, o którym sądziłem, że jest pokrewną mi duszą, Lisa-Olszewskiego. Nie zawiodłem się. Choć nie znaleźmy się uprzednio, po moim telefonie spotkał się ze mną bezwzłocznie i wysłuchał mnie bardzo życzliwie. Jego własna historia osobista niewiele odbiegała od mojej. On też przez całe swe zawodowe życie był szykanowany z powodów politycznych. Sam w Solidarności nie działał, więc mógł mnie tylko polecić znajomym działaczom. Polecił mnie małżonkom Romaszewskim. Wkrótce odwiedziłem państwa Zofię i Zbigniewa Romaszewskich w ich sympatycznym mieszkaniu, na czwartym piętrze (bez windy!) przy ulicy Kopińskiej. Tam zaproponowano mi coś, co mnie zupełnie zaskoczyło: wyjazd do Wałbrzycha dla obsługi prawnej górników w kopalni węgla. Mam zaczynać od tak całkowicie obcego mi środowiska? Tematyka doradcy prawnego związku zawodowego, takiego niezależnego i samorządnego — to już rzecz bardzo trudna, bo zupełnie nowa, a tu jeszcze specyfika górnictwa węglowego o którym nie mam pojęcia i w odległym terenie zupełnie mi obcym. Odmówiłem. Ktoś może powiedzieć, że stchórzyłem! Ale jestem przekonany, że przyjęcie owej propozycji byłoby dowodem zarozumiałstwa i lekkomyślnej niedojrzałości. Pani Zofia jednakże była innego zdania i nalegała. Bezskutecznie. Wyszedłem nie załatwiwszy niczego konkretnego. Było mi smutno, ale nie rezygnowałem.

Adwokat Jan Olszewski był trudno uchwytny, ale w końcu spotkaliśmy się w pokoju adwokackim w gmachu sądów warszawskich, przy ul. Świerczewskiego 127. Wysłuchał mojej historii ze zrozumieniem, bo on też toczył był osobiste utarczki z władzami. Oświadczył mi, że tacy jak ja są właśnie tymi, których Solidarność jak najbardziej potrzebuje i że on załatwi przyjęcie mnie do grona prawników warszawskiej Solidarności. Rozstaliśmy się jak najserdeczniej. Czekałem kilkanaście dni. Ale panowała cisza. Mój telefon milczał. Także telefonu mecenasa Olszewskiego nikt nie przyjmował. Czas płynął, a ja czułem się poza nawiasem współczesności.

Adwokata Siłę-Nowickiego odwiedziłem w jego mieszkaniu przy ulicy Widok. Był bardzo uprzejmy i zdawał się szczerze życzliwy, ale spostrzegłem zaraz, że niczego u niego nie załatwię: zainteresowany był wyłącznie i bez reszty sprawami wielkiej polityki i rzec mogę, iż widziałem, jak moją historię wpuszcza jednym, a wypuszcza drugim uchem. Ale robił to z takim wdziękiem, że wprost nie mogłem mu mieć tego za złe. Rozstaliśmy się w serdecznościach i uprzejmościach, ale jego zapewnienia że

„postara się” sprawę moją załatwić przyjąłem jako tylko jedną więcej zdawkową formułkę grzecznościową.

Adwokat Andrzej Grabiński przyjął mnie w swoim Zespole Adwokackim nr 25, przy placu Zbawiciela. Był wprawdzie dość sztywny, ale umówił się ze mną na dzień 10 listopada, godzina 16-ta w lokalu Regionu Mazowsze przy ulicy Szpitalnej nr 5. To konkretne umówienie się ze mną, na ustalony dokładnie termin i to w biurze Solidarności bardzo podniosło mnie na duchu.

Spotkaliśmy się punktualnie w zatłoczonym lokalu Mazowsza. Adwokat Grabiński oświadczył mi najzupełniej dla mnie niespodziewanie, że, jak na razie, nie zarekomenduje mnie, może kiedyś później. Stałem zaskoczony, ale pan Grabiński pożegnał się bez wyjaśnień i szybko opuścił lokal Solidarności.

Jeszcze nie zdążyłem uświadomić sobie w pełni doznanego zawodu i to od kolejnego kolegi, gdy nagle spostrzegłem docenta Wiesława Chrzanowskiego, przepychającego się wśród tłumu w kierunku sekretariatu, znajdującego się za pokojem, w którym teraz obaj byliśmy. Docenta Chrzanowskiego znałem ze słyszenia, a także z widzenia. To specjalista prawa spółdzielczego, wybitny naukowiec. Przez długie lata pracowałem jako radca prawny w spółdzielczości pracy, przede wszystkim w Centralnym Związku Spółdzielczości Pracy i w kilku związkach krajowych. Było więcej niż prawdopodobne, że docent dr Chrzanowski wiedział dużo o mnie, podobnie jak ja o nim. Ja praktyk, on teoretyk. A więc może pierwsza dla mnie szansa wykorzystania osobistej znajomości? Przeciąłem drogę docentowi, wyciągnąłem dłoń na powitanie i podałem nazwisko. Przywitał się ze słowami: „A, to pan! Dawno chciałem pana poznać!”. Nie traciłem czasu. Poprosiłem o rekomendację do Regionu Mazowsze. Wręczyłem maszynopis, poświadczony wyciąg z uchwały warszawskiej Rady Adwokackiej o ponownym wpisaniu mnie na listę adwokatów. Jest tam w uzasadnieniu zwięzła historia mojego życia. Pan Chrzanowski, stojąc w tłumie, przeczytał wszystko bardzo uważnie, po czym ponownie uściśnął mi dłoń, ujął mnie pod ramię i poprowadził do sekretariatu, gdzie przedstawił mnie panu Krzysztofowi Śliwińskiemu, ówczesnemu dyrektorowi biura Regionu Mazowsze. Docent powiedział coś w tym sensie, że ja zgłaszam gotowość poświęcenia mego czasu i sił dla dobra Solidarności, a on uważa, że Solidarność może na tym tylko zyskać, więc proponuje, aby moje zgłoszenie zaakceptować. Pan dyrektor Śliwiński natychmiast poprosił sekretarkę o wpisanie mnie na listę dyżurujących w Mazowszu adwokatów. W ten oto sposób zostałem działaczem Solidarności. Rekomendacja doc. dr. Wacława Chrzanowskiego mu-

siała mieć wagę, bo był on jednym z trzech tylko warszawskich prawników, należących do zespołu doradców-ekspertów Krajowej Komisji Porozumiewawczej w Gdańsku. Pozostali dwaj to adwokaci Siła-Nowicki i Jan Olszewski.

Co się zaś tyczy adw. Andrzeja Grabińskiego, który wstrzymał się „na razie” z udzieleniem mi rekomendacji, to był on doradcą prawnym Prezydium Zarządu Regionu Mazowsze. Fakt, że zostałem prawnikiem Mazowsza bez jego zgody, a może nawet wbrew niemu, niewątpliwie miał niekorzystny wpływ na nasze wzajemne stosunki, nad czym należy ubolewać. Wyraziło się to po prostu zgodnym ograniczeniem naszych osobistych kontaktów tylko do służbowych konieczności, z zachowaniem chłodnego dystansu w trakcie ich pełnienia. Podkreślam jednak, że ten stan w żadnej mierze nie odbił się ujemnie na wynikach naszej współpracy gdy, zresztą z rzadka, do niej dochodziło na zasadzie konieczności. Interes Solidarności na pewno nie ucierpiał.

Ale nadto wybiegam w przyszłość, a tymczasem dopiero zapada wieczór 10 listopada 1980. Przed chwilą doc. dr Chrzanowski pożegnał się, a ja jeszcze zostałem dla uzgodnienia dni i godzin moich dyżurów. I oto spotyka mnie drugie w dniu tym wyróżnienie: otrzymuję bilety wstępu do Teatru Wielkiego w Warszawie na Akademię Solidarności! Została zorganizowana przez aktorów z okazji rejestracji Związku.

Na tej wspaniałej imprezie spotkała się „cała Warszawa”, oczywiście nie prorządowo-komunistyczna. W pierwszych rzędach parteru siedziała śmietanka Solidarności, z Lechem Wałęsą na czele. Po raz pierwszy „na żywo” zobaczyłem Wałęsę na sali rozpraw w gmachu sądów warszawskich, gdy uczestniczył w posiedzeniu Sądu Wojewódzkiego w sprawie rejestracji Związku, dnia 24 października 1980. Dostałem się wtedy na salę z wielkim trudem i tylko dzięki przywilejom adwokata. Na sali panował niesłyszany ścisk i to nie jedynie wśród publiczności, ale także na ławie dla oficjalnych przedstawicieli i pełnomocników Solidarności. Obok trójcy pełnomocników, którymi byli Chrzanowski, Siła-Nowicki i Olszewski, siedzieli ściśnięci Wałęsa i Gwiazda. Podobna scena rozegrała się w Sądzie Najwyższym w dniu 10 listopada. Gdy na rozprawę, której wynik interesuje całą Polskę, mali ludzie wyznaczają małą salkę, podczas gdy obok kilkakrotnie większe stoją puste i niewykorzystane, to na takie postępowanie mam określenie: kundlizm — wypuszczono małego kundla, żeby gryzł cię po łydkach.

Zaraz po rozpoczęciu się rozprawy w Sądzie Najwyższym pełnomocnik adw. Jan Olszewski złożył znane oświadczenie o „za-

łącznikach do statutu” w przedmiocie kierowniczej roli partii. Słuchałem jego wystąpienia ze ściśniętym sercem. Oczywiście to oświadczenie było jak najbardziej demokratycznie uzgodnione w Prezydium KKP i funkcją pełnomocnika było tylko przekazanie oświadczenia. Solidarnościowi gołębie głosili potem, że to kompromis, a rejestracja Związku to w ogóle sukces. Byłem i jestem innego zdania. Żaden sukces, ale pierwszy poważny błąd i pierwsza poważna porażka.

Nie był to kompromis, ale jednostronne ustępstwo, w rzeczywistości boleśnie odczute przez ogół członków. Ustępstwo będące konsekwencją pierwszego poważnego błędu Solidarności, jaki popełniono, odwołując się do Sądu Najwyższego od decyzji Sądu Wojewódzkiego, który dokonując rejestracji jednocześnie zmienił statut według swego uznania. Zamiast tego odwołania należało ogłosić, że skoro władze partyjno-państwowe za pomocą swojego sądu zmieniają statut, co jest aktem bezprawia, Solidarność odstępuje od sądowej rejestracji Związku i będzie prowadziła swą działalność zgodnie ze swoim statutem, bez jakiegokolwiek rejestracji. Groźenie strajkiem z powodu statutu nie byłoby w takiej sytuacji w ogóle potrzebne. Dzięki takiemu obrotowi sprawy Solidarność wyszłaby automatycznie z roli petenta oczekującego na załatwienie jakichkolwiek formalności, w rzeczywistości Związkowi do niczego nie przydatnych. Bo wiadomo przecież, że tak, jak zarejestrowanie Związku nie stanowiło dla niego jakiegokolwiek zabezpieczenia, co wykazał 13 grudnia 1981 — tak samo brak rejestracji nie miałby dla Związku żadnego praktycznego znaczenia. Pewne jest zresztą, że dla ratowania twarzy władze partyjno-państwowe, teraz one, zabiegałyby o dopełnienie formalnego zarejestrowania Solidarności, za co musiałyby zapłacić przynajmniej rezygnacją z jakichkolwiek warunków dotyczących zmiany, czy uzupełnienia statutu. Działaczom Solidarności nie przyszło jednak do głowy to najprostsze wyjście. Prawdopodobnie przeważał pęd do legalizmu za wszelką cenę. Szlachetny to pęd, o ile przystosowany do miejsca i czasu. Przywiązywanie w każdej sprawie nadmiernej wagi do strony formalno-prawnej cechuje przeważnie ludzi normalnie z prawem mało na co dzień mających styczności. Szkoda jednak, że i doradcy prawni KKP nie błysnęli wyobraźnią, ale okazali się konserwatystami. Nie wierzę też, by statut mógł być powodem konfrontacji siłowej ze strony naszych władz wewnętrznych lub zewnętrznych. Jeszcze przez długi czas nie byli do tego przygotowani i dopiero przygotowywali się, oczywiście bez względu na to, czy i jaki zarejestrowano statut Solidarności.

Przebieg i zakończenie sądowej rejestracji Solidarności były

pierwszą większą próbą po Sierpniu, jakiej władze poddały hart ducha i umiejętności kierownicze przywódców Związku. Trudno niestety uznać, że nasi przywódcy zdali ten egzamin na piątkę. Władze, jak wolno mi sądzić, też to zauważyły i wyciągnęły wnioski na przyszłość.

Lecha Wałęsę w telewizji zobaczyłem po raz pierwszy podczas podpisywania Porozumienia Gdańskiego. Cała Polska oglądała tę uroczystość z zapartym tchem. Wałęsa nie zrobił na mnie korzystnego wrażenia, a to z dwóch powodów. Pierwszy nader błahy. Wałęsa posłużył się długopisem ogromnych rozmiarów. Niby drobiazg, a bardzo mnie raził. Drugi powód był nieporównywalnie poważniejszy. Wałęsa miał wyraźny problem z odczytaniem tekstu z kartki. Dukał z trudem sylabizując! Skóra mi cierpła, gdy z przerażeniem na to patrzyłem. Miało się okazać już wkrótce, że takie braki nie przeszkadzają mu zostać charyzmatycznym przywódcą, a — kto to wie? — może właśnie pomagają. Nie rozumiałem wówczas, dlaczego Lech Wałęsa nie posłużył się kimś do odczytania tej nieszczęsnej kartki. Mierzył siły według zamiarów.

Gdy podczas solidarnościowej akademii siedziałem nieopodal przewodniczącego KKP, już jako jeden z działaczy Związku, czułem się bardzo szczęśliwy. Pomyślałem, że dla tego jedyne dnia warto mi było wrócić z Nowego Jorku do Polski!

Dobrze pamiętam, że Halinie Mikołajskiej przypadł zaszczyt wyjścia na scenę pierwszej. Jej pojawienie się zostało owacyjnie przyjęte przez publiczność, która spontanicznie jednocześnie powstała z miejsc i oklaskiwała ją długo i rytmicznie. Mikołajska wzruszona chwiała się na scenie. Uśmiechnięta, szczęśliwa i... zalana łzami! A potem Fedorowicz, Olbrychski, Maja Komorowska, jeszcze wtedy mało znany Jacek Kaczmarski z gitarą i baladami oraz inni, których nie utrwaliłem sobie w pamięci. Atmosfera była wspaniała, jakkolwiek nie obyło się bez dramatycznych akcentów, gdy pod koniec akademii ogłoszono o nieprzyjaznych dla Solidarności komentarzach dziennika telewizyjnego, do czego dopiero mieliśmy się przyzwyczaić, i o wprowadzeniu stanu wyjątkowego w Częstochowie przez tamtejszego wojewodę Mirosława Wierzbickiego. Dzisiaj wiemy, że to był stan prekursorski, mała prawka przed większym popisem.

Podczas przerwy przypadek zetknął mnie z Danielem Olbrychskim, którego poznałem jako bardzo sympatycznego, a przede wszystkim błyskotliwego rozmówcę. Szybko i entuzjastycznie obaj uzgodniliśmy, że należy bezzwłocznie przerobić Solidarność ze związku zawodowego na ruch niepodległościowy! Zapamiętałem

oczy Olbrychskiego, widziane z bardzo bliska. Płoną w nich ogniki. Za nie same można go pokochać.

Akademię zakończył krótki występ Lecha Wałęsy, który ze sceny powiedział płynnie i z sensem kilka aktualnych uwag, skwitowanych burzliwą owacją. Przed rozejściem się wszyscy stojąc odśpiewali hymn narodowy.

Wracając z przyjaciółką do domu, pustymi o nocnej porze ulicami Warszawy, chciało mi się pomarzyć, że teraz coraz więcej będzie takich, jak dzisiejszy, szczęśliwych dni kończących się pogodnie, z nadzieją na lepszą przyszłość.

Gdy stawiałem pierwsze kroki działacza warszawskiej Solidarności, Mazowsze dysponowało już dwoma sąsiadującymi lokalami w starym, zaraz po drugiej świątówce odremontowanym domu, przy ulicy Szpitalnej 5. Jeden znajdował się na drugim piętrze, z klatki schodowej z podwórza na wprost bramy z ulicy. Drugi na pierwszym piętrze oficyny z lewej klatki schodowej z podwórza. Ja i inni adwokaci pełniliśmy dyżury w lokalu na drugim piętrze. Wchodziło się do tego lokalu przez mały przedpokój, skąd lewe drzwi prowadziły do małego pokoju o biurowym, zmiennym przeznaczeniu. Główne drzwi wiodły z tego przedpokojku do wielkiego pokoju, który był bez mała sercem biura Mazowsza, póki to biuro było na Szpitalnej. W głębi pokoju i po jego lewej stronie rząd zestawionych stolików i biurerek. Za tymi stolikami i biurkami gęsto usadowieni konsultanci i miejsce dla prawnika. Czasem jednocześnie funkcjonowało dwóch prawników. Natomiast środek pokoju i cała jego prawa strona to przestrzeń przeznaczona dla tłumu, tak, dla tłumu interesantów. Prawa, długa i wysoka ściana to miejsce na ogłoszenia, skrzętnie wykorzystywane co do milimetra od podłogi do samego sufitu. Za tym wielkim pokojem, po jego lewej stronie wejście do średnich rozmiarów pokoju użytkowanego jako sekretariat, a później także jako miejsce załatwiania interesantów przez prawników. Dalej wąski korytarz, a z niego wejścia do toalety i do pokoju będącego powielarnią. Na końcu korytarzyka drugie wyjście, przed wojną pewnie zwane kuchennym, prowadzące na wąską klatkę schodową, też „kuchenną”. Ta klatką przechodziło się piętro niżej do naszego drugiego lokalu. Ten lokal na pierwszym piętrze lewej oficyny mieścił salkę, pewnie przed wojną salon rodzinny. Tu odbywały się różne zebrania, głównie (ale nie tylko) Prezydium Zarządu Mazowsza. Dalej był sekretariat Prezydium Zarządu i raczej już małe pokoje biurowe, a także pomieszczenia poligrafii z fotokopiarką itp. Dość długi korytarz w tym lokalu wykorzystywano na skład papieru dla poligrafii, a ściany na wystawy fotograficzne. Na drugim jego końcu było pomieszczenie dalekopi-

sów. Na drzwiach widniały straszliwie surowe, poparte groźnymi rysunkami, zakazy wejścia do tego pokoju. Naturalnie te rygory nie były zbyt ściśle przestrzegane, bo tam mieliśmy nie wysychające źródło najświeższych wiadomości, takich gorących że jeszcze parzących, a dziewczyny obsługujące przyrządy miały też gorące, solidarnościowe serduszka.

Wspomniałem już o konsultantach. To przeważnie młodzi chłopcy i młode dziewczyny, a jeżeli niektórzy wiekiem starsi, to także młodzi duchem i przebojowością. Ich zadaniem było utrzymywanie na bieżąco łączności z zakładami pracy, ich załogami. Winni byli informować, a gdy trzeba instruować działaczy w terenie na wszystkie aktualne tematy, także tych wszystkich którzy przychodzili do biura Mazowska w Warszawie. W naszym wielkim pokoju na drugim piętrze kolejki ustawiały się do każdego konsultanta. Także do prawnika. Inne kolejki po aktualną prasę związkową (te ustawiały się prawie nieustannie), po znaczki Solidarności itp. Szum jak w ulu. Ale na ogół spokój, porządek i ogromna cierpliwość oto rzucające się w oczy cechy tej społeczności. Czasem odnosiłem wrażenie, że po wejściu do naszego lokalu niektórzy prości ludzie przybierali postawę i godny sposób bycia na wzór zachowania powszechnego w kościołach. Pojmywałem to jako odbicie ich wielkiego szacunku i miłości do Solidarności. Przychodzili do nas nie tylko działacze i członkowie Związku. Bardzo szybko rozpowszechniło się w społeczeństwie przekonanie, że Solidarność jest dobra na wszystko! Więc przychodzili wszyscy z wszystkim!

Przychodzili oczywiście również prowokatorzy, usiłujący wciągnąć związek i jego działaczy w śliskie, dwuznaczne sytuacje, zaangażować (mówiono: podpuścić...) w nie dobre sprawy. I mnie nie omijały kuszące propozycje ze strony osób, pragnących kupić sobie protekcję Solidarności. Każdy z nas, mających prawo przyjmowania i przyjmujących interesantów przychodzących do Solidarności, czuł ogromną odpowiedzialność. Wszak nie było trudno o pomyłkę co do intencji i uczciwości klienta, a asekurancka postawa mogła wyrządzić dużą szkodę naszemu związkowi.

Zasadniczo i konsultanci i adwokaci, działający przy ulicy Szpitalnej, prowadzili tylko poradnictwo. Gdy zachodziła potrzeba czynnego włączenia się Solidarności w sprawę, interwencji z jej strony, wtedy kierowaliśmy zainteresowanych do naszego Biura Interwencji, prowadzonego przez małżonków Romaszewskich, a początkowo także przez Tadeusza Kłopotowskiego. W czasie gdy siedzibą Regionu Mazowsze była jeszcze ulica Szpitalna, Biuro Interwencji mieściło się w Alejach Jerozolimskich. Trzy czy cztery niewielkie pokoje na pierwszym piętrze domu, w którym,

względnie obok którego, od ulicy było biuro Aerofłotu. W tym okresie z Biurem Interwencji jeszcze bezpośrednio nie współpracowałem, z wyjątkiem sprawy zaginięcia Krzysztofa Zagierskiego, o czym będzie mowa później.

Aby móc informować i instruować naszych działaczy związkowych w zakładach pracy oraz tych przychodzących do Biura Regionu, sami konsultanci musieli być na bieżąco informowani i szkoleni przez kierownictwo naszego Regionu. Odbywało się to na zebraniach, przeważnie dwa razy tygodniowo. Wieczorami po zamknięciu lokalu dla interesantów, więc praktycznie między godziną dziewiętnastą a dwudziestą, był początek zebrania. Kończyły się o dwudziestej trzeciej i później. Miejszem tych zebrań był na ogół ów wielki pokój ze słynną ścianą ogłoszeniową, stolikami i biurkami wiecznie w dzień obłożonymi.

Zebrania konsultantów zaczynały się z reguły od wysłuchania aktualnych informacji, pochodzących od KKP z Gdańska i naszego Prezydium Zarządu Regionu Mazowsze. Potem były pytania, dyskusja i wymiana doświadczeń. I proszę być pewnym, że to wszystko nie dla pozorów i odfajkowania, jak przywykliśmy pod wpływem „socjalizmu” w PRL. Zebrania były ciekawe, często nawet pasjonujące. I choć kierownictwo naszego Regionu nie musiało się liczyć z opinią konsultantów, to jednak delegowano niemal zawsze członków Prezydium na te zebrania, by wysłuchali głosów tych, którzy na co dzień mają bezpośredni kontakt z masami. W zebraniach z reguły uczestniczyli także prawnicy, chociaż nie wszyscy przychodzili. Ja starałem się tych zebrań nie opuszczać, gdyż uważałem za konieczne być bieżąco zaznajamiany u źródła z poczynaniami Solidarności, bo miało to bezpośrednie znaczenie praktyczne dla konsultacji, których ode mnie żądano w trakcie moich dyżurów.

Samo zaznajomienie się z tekstami powielonych komunikatów, oświadczeń, uchwał, protokołów itd., itp. wymagało sporo czasu. Przynosiłem do domu, dla przestudiowania, całe pliki, które mi wręczano w Regionie. Później rzecz usprawniono organizacyjnie. Każdy z nas miał w sekretariacie swą teczkę, względnie przegródkę w odpowiednim sprzęcie biurowym, gdzie znajdował odłożone materiały do zabrania, a czasem także imienną pocztę. Już na Mokotowskiej w ten sam sposób otrzymywałem *Tygodnik Solidarność*, począwszy od drugiego numeru. O wszystkie numery ludzie toczyli boje, nie tylko o pierwszy, który do mnie nie dotarł. Ale poczta działaczy była dość dobrze chroniona przez sekretarki: na Szpitalnej przez panią Zosię, na Mokotowskiej przez panią Marię. Przykro mi, że ich nazwisk nie podaję, ale były popularne tylko z imion, podobnie jak najpopularniejsza,

Marta, sekretarka przewodniczącego Zarządu Regionu Mazowsze Zbigniewa Bujaka. Historycy te imiona uzupełnią nazwiskami.

Pisałem, że w lokalach Solidarności na Szpitalnej przewalały się tłumy. Szczególnie na drugim piętrze. Przed wojną były w tych lokalach po prostu dwa rodzinne mieszkania. Teraz jako biura były zbyt małe, by pomieścić wszystkich naszych interesantów. I żeby tylko interesantów! Przychodzili oczywiście i gapie z ulicy i turyści, w tym wielu zagranicznych, a przede wszystkim dziennikarze i reporterzy z całego świata!

Wcale nie przesadzam. Nie było dnia, w którym nie byliśmy fotografowani, filmowani i nagrywani. Odwiedzały nas ekipy telewizyjne i filmowe chyba wszystkich wytwórni, jakie tylko istnieją na wszystkich kontynentach. Szum silniczków kamer filmowych, blask przenośnych reflektorów, błyski fleszy — to stało się normalne, tak że szybko przywykliśmy, przestaliśmy się tym przejmować, a nawet zauważać. Podobno nie zabrakło wśród różnych ekip także towarzyszy sowieckich, ale najbardziej rzucały mi się w oczy ekipy amerykańskiej firmy ABC. Nasi przywódcy Mazowska, a szczególnie Zbigniew Bujak, udzielali często wywiadów, przy których zdarzało mi się asystować. Również ja sam byłem wiele razy fotografowany i filmowany przy pracy w wielkim pokoju na drugim piętrze. Ciekawe, czy te materiały fotograficzne, filmowe i telewizyjne zostały zachowane w tekach i archiwach reporterów i wytwórni? Gdy na bieżąco te zdjęcia były wykorzystywane przez publikatory całego świata, my w Polsce nie mogliśmy naturalnie widzieć, jak jesteśmy pokazywani za granicą. Teraz te materiały, jeśli istnieją, osnuwa pajęczyna...

W naszych lokalach nikt nikogo nie legitymował ani nawet nie pytał przy wejściu, kim jest i skąd przychodzi. Nie było zresztą nikogo z działaczy specjalnie za nasze bezpieczeństwo odpowiedzialnego, a nawet tylko za jaki taki porządek w lokalach. Ja przynajmniej o nikim takim nie wiem. Wszystko zdane było raczej na żywioł, a porządek, właśnie jaki taki, utrzymywany był spontanicznie. Dopiero później na Mokotowskiej sprawy porządkowe uległy poprawie. Owszem, chłopcy zwani porządkowymi, z opaskami solidarnościowymi na rękawach, ukazywali się od początku, ale tylko w czasie uroczystości oraz pochodów i manifestacji Solidarności w miejscach publicznych, a w naszych lokalach jedynie wyjątkowo podczas strajku lub gotowości strajkowej. Gotowość strajkowa to stan, jak mi się zdaje, będący wynalazkiem Solidarności w skali światowej! Mówiąc tu o strajku mam, rzecz jasna, na myśli strajk o odpowiedniej skali i znaczeniu. Drobnny strajk lokalny nie powodował reperkusji w siedzibie Mazowska.

Jest czwartek dwudziestego listopada 1980. Od godziny 15-tej mam dyżur w wielkim pokoju na drugim piętrze. To mój dopiero chyba czwarty, najwyżej piąty dyżur, ale jestem już całkowicie zaaklimatyzowany i wciągnięty w moją robotę. Cała Solidarność to przecie Wielka Improwizacja, dlaczegożbym i ja nie miał mieć w niej swego udziału? Entuzjazmu mam z pewnością nie mniej niż inni, dużo młodszy ode mnie. Dyżur ma trwać do godziny 19-tej, więc należy trochę oszczędzać gardło, by nie ochrypnąć przed zamknięciem lokalu. A nie można mówić zbyt cicho, bo obok sąsiedzi przekrzykują się nawzajem.

Każdy z interesantów przeważnie ma inny problem. Klient, którego właśnie załatwiam, nie nawykł jeszcze do swobodnego oddechu pełną piersią. Nie on jeden zresztą. To starszy pracowany robotnik o rękach drwała.

— W naszej fabryce naczelny to straszny skurwysyn — zwierza mi się. Mówi ścisząc konspiracyjnie głos, tak że z trudem go słyszę. A opowiada mi o prześladowaniach za przynależność do Solidarności, o przenoszeniu do gorszej pracy, lub gorzej płatnej, o bezzasadnym zmniejszaniu ludziom wynagrodzenia, o wypowiedzeniach pod zmyślonymi pretekstami.

— Co robić, panie mecenasie? Niech mi pan da paragrafy na niego!

— A ilu u was należy, lub chce należeć do Solidarności? — pytam.

— Oo, prawie wszyscy — odpowiada. — Od początku załoga opowiada się za nami. Ja jestem przewodniczącym komitetu założycielskiego. Chcemy robić zebranie. Dyrektor zakazał, odgraża się ludziom, a dzisiaj dostałem wypowiedzenie pracy. Jakie paragrafy na niego?

— A taczki macie?

— Taczki? Jakie taczki? — Robotnik jeszcze nie rozumie.

— No, zwyczajne taczki. Mogą być nawet po wapnie, albo węglu! — odpowiadam z uśmiechem. Stary robociarz, przewodniczący organizującej się Solidarności w średniej wielkości warszawskiej fabryce przemysłu metalowego, unosi bardzo wysoko brwi.

— To pan chce go wywieźć? Wywieźć na taczkach za bramę? O Jezu! To można tak teraz?

— A czemu nie? — zabiera nagle głos młody człowiek w dzinsach, który dotychczas w milczeniu towarzyszył staremu robociarzowi. — Ja tak od razu chciałem, ale mnie przegadali i nas obu wysłali pytać w Regionie. Ale skoro pan tak mówi, mecenasie, to dyro już jutro wyjedzie! — zatarł ręce młody.

— No, nie tak szybko! Zbyt dosłownie bierzecie moje słowa — wyjaśniam. — Taczki to tylko symbol, bo nie trzeba rękoczy-
nów, chociaż pozbyć się dyrektora trzeba i ja wam w tym pomo-
gę. Rozumiecie? — Kiwiają głowami. Dalsza część rozmowy to
już praktyczne rady i wskazówki dotyczące realizacji usunięcia
dotychczasowego naczelnego dyrektora ze stanowiska. Piszę im
projekt pisma do niefortunnego nadgorliwca oraz do dyrekcji
Zjednoczenia, do którego fabryka należy, a także projekt uchwały
załogi, domagającej się odwołania dyrektora pod groźbą strajku
itd. Delegaci załogi umawiają się ze mną na mój dyżur za tydzień,
ściskają mi dłoń, a ich miejsce zajmuje następny klient. Za jego
plecami następnii czekają w cierpliwej kolejce. W pewnej chwili
zza pleców i to zza tych dalszych ktoś głośno mówi: — Panie
mecenasiu, milicja! — Jest godzina 17-ta, może trochę wcześniej.

Na te słowa gwar przycicha, a ja nie dowierzam: — Milicja?
Gdzie? — Na schodach, przed wejściem do nas. Widać mundury!
— odpowiada nieznajomy głos. Głowy stojących bliżej wejścia
obracają się w stronę drzwi wejściowych, otwartych jak zwykle.
W wyrazie twarzy tych ludzi dostrzegam potwierdzenie ostrze-
żenia. Patrzę i ja przez chwilę w stronę tych drzwi. Nie ukazuje
się w nich jednak żaden mundur. Otoczyli lokal, ale jeszcze nie
wchodzą — pomyślałem, a głośno poprosiłem o zachowanie spo-
koju. Cóż więcej mogłem zrobić? Zająłem się klientem, ale,
prawdę mówiąc, byłem bardziej roztargniony niż należało. Czyż-
by atak na Solidarność? Lokal szybko pustoszał. Widok milicji
na schodach ludzi wypłasza, a nikt nie wchodzi nowy. Wychodzący
nie są zatrzymywani. Ale moi klienci spokojnie i wytrwale
czekają na swoją kolejkę. Któryś z konsultantów pochyła się
do mego ucha i szeptem, że na pierwszym piętrze odbywa się re-
wizja. Ogromnie mnie korci pójść tam. Ale mam klientów. Nie
wypada mi w takiej chwili ich pozostawić chociaż na krótko.
Więc trwam na stanowisku. Wtem robi się w stronie, gdzie
jest nasz sekretariat, jakiś ruch. Od razu rozumiem, że oni
już tam są! Tuż obok. Ale wiceprokurator wojewódzki Bardo-
nowa ze swymi ludźmi do naszego wielkiego pokoju nie weszła.
Bo to ona była.

Tak oto zaczęła się tzw. sprawa Naroźniaka.

W toku rewizji znaleziono to, czego szukano: tajną instrukcję
wydaną przez prokuratora generalnego Lucjana Czubińskiego, a
zatyłowaną „Uwagi o dotychczasowych zasadach ścigania uczes-
tników nielegalnej działalności antysocjalistycznej”. Szczególnie
oburzającą treścią tej instrukcji były bezzwłocznie wyrażone, cyniczne
wskazówki, w jaki sposób podległe organy ścigania przestępstw
mogą i powinny łamać praworządność, nie wychylając się formal-

nie poza brzmienie (bo nie ducha) przepisów procedury postępowania karnego. Swe zalecenia instrukcja Czubińskiego ilustrowała konkretnymi przykładami z dotychczasowej haniebnej praktyki prokuratur, milicji i służby bezpieczeństwa, przykładami przedstawianymi jako godne naśladownictwa. Oto jeden z wielu przykładów godnych pochwały prokuratora generalnego PRL. A więc zatrzymujesz opozycjonistę politycznego (o takich jest w instrukcji wyraźnie powiedziane) na 48 godzin. Brak jednak podstaw do wydania postanowienia prokuratorskiego o tymczasowym aresztowaniu, wobec czego z upływem tych 48-miu godzin trzeba go zwolnić. No, to zwalniasz go, ale co ci stoi na przeszkodzie żeby, po jego wypuszczeniu, pójść za nim i zatrzymać go na następne 48 godzin? A może i tak dalej, aż mu się odechce opozycji? Otóż z instrukcji prokuratora generalnego Czubińskiego, mającego ustawowy obowiązek stania na straży prawa, wynikało jasno i bez ogródek — że nic na przeszkodzie nie stoi! Itd., itp.

Ujawnienie tego materiału, kompromitującego cały aparat bezpieczeństwa, było prywatną inicjatywą i zasługą pracownika powielarni Mazowsza Jana Narożniaka oraz jego kolegi Piotra Sapełły, pracownika powielarni w Prokuraturze Generalnej. Obaj zostali za to aresztowani.

Jeszcze tego 20 listopada w wieczornym dzienniku telewizyjnym zobaczyłem krótki wywiad z wiceprokurator Bardonową, która dała wyraz oburzeniu, oczywiście nie z powodu istnienia haniebnej instrukcji swego najwyższego przełożonego, ale z przyczyny jej wydostania z Generalnej Prokuratury i dostarczenia Solidarności. Wyczułem nutę tryumfu w informacji o pozytywnym wyniku rewizji w lokalu Mazowsza. Bardonowej wydawało się pewnie, że odszukanie i konfiskata odnalezionnej instrukcji zapobiegnie opublikowaniu jej treści. To, jak sądzę, było celem rewizji, dla którego zdecydowano ją przeprowadzić. Nie widać innego motywu. Ale Bardonową i jej mocodawców spotkał przykry zawód. Już następnego dnia dosłowny tekst całej instrukcji Czubińskiego został przez Mazowsze powielony, najpierw w setkach, a w następnych dniach w tysiącach egzemplarzy i szybko rozszedł się po Warszawie i całym kraju.

Te, w majestacie Urzędu Prokuratora Generalnego, kpiny z postatowych zasad wymiaru sprawiedliwości były tak jednoznaczne i ohydne w swym cynizmie, że wydawało się, iż na tej instrukcji musi się potknąć nie tylko Czubiński osobiście. Można było mieć przynajmniej nadzieję, że w wyniku tej sprawy uda się Solidarności osłabić dotychczasowy system niepraworządności, uprawiany przede wszystkim przez Ministerstwo Spraw Wew-

nętrznych i Prokuraturę Generalną, a pod jej przewodem przez prokuratury niższych szczebli i resztę aparatu ścigania.

Reakcja Regionu Mazowsze była szybka. Właśnie w tej szybkości działania upatrywałem przyczynę nie najlepszej redakcji wysuniętych postulatów. Brzmiały jak następuje. Tekst dosłowny z plakatów i ulotek.

1. — Uwolnić Jana Naroźniaka (później dopisano: i Piotra Sapellę).
2. — Ukarać osoby odpowiedzialne za tajne pismo prokuratora generalnego L. Czubińskiego.
3. — Uwolnić osoby podejrzane o tzw. działalność antysocjalistyczną.
4. — Powołać Komisję Sejmową dla zbadania praworządności Prokuratury, M.O. i S.B.
5. — Przeprowadzić śledztwo w sprawie przestępstw w Radomiu i w Warszawie w 1976 roku i na Wybrzeżu w 1970 roku.
6. — Ograniczyć budżet MSW i Prokuratury.

Jak wiemy, z powyższych postulatów tylko jeden został spełniony. Mianowicie ten pierwszy na liście, traktowany przez Solidarność emocjonalnie, najłatwiejszy dla władz do spełnienia i, w porównaniu z pozostałymi, najmniej istotny. Pomógł przy tym Stefan Bratkowski, który udzielając poręczenia za Naroźniaka i Sapellę wyświadczył przysługę mimowolnie nie Solidarności, ale Prokuraturze. Pozwolił jej zachować pozory i wyjść z zatargu z Mazowszem z jaką taką twarzą. Natomiast żadna komisja rządowa, której domagała się Solidarność dla rozpoczęcia rozmów na temat praworządności, nie przybyła ani na wezwania „Ursusa”, ani następnie Huty „Warszawa”. Mimo to 27 listopada przyjeżdża do Warszawy Lech Wałęsa, rozmawia telefonicznie z Jagielskim i zjawia się w Hucie „Warszawa”. Przez całą noc namawia do przerwania strajku Huty. O godzinie 6-tej rano strajk Huty kończy się, a Mazowsze ogłasza, że strajk w Regionie zostaje „zawieszony”, a akcja ulotkowo-plakatowa przerwana. Wszystko to za obietnicę Jagielskiego, że rozmowy na temat praworządności rozpoczną się w pierwszych dniach grudnia...

Mówiąc językiem sportowym, Solidarność „nie poszła za ciosem”, nie wykorzystwała okazji stworzonej aferą z tajną instrukcją Czubińskiego. Po prostu najpierw narobiła dużo szumu, a następnie cofnęła się. Takie sytuacje i takie postępowanie związku będą się niestety powtarzać. Sprawa Naroźniaka sugerowała każdemu, więc i władzom, że Solidarność jest ożywiona słomianym

ogniem, że wystarczy przetrzymać impet pierwszego zrywu emocji, a potem wszystko „rozchodzi się po kościach”.

Zamiast przystąpić w grudniu na serio do zapowiedzianych rozmów na temat praworządności, postarano się o skierowanie uwagi na inny temat, a mianowicie tzw. wolne soboty. Ten temat okazał się dla rządu niewyczerpaną skarbnicą możliwości zyskiwania na czasie w bezpiecznej sferze nieskończonych, przewlekłych, jałowych kontrowersji. Solidarność niestety podjęła ten temat z pasją, ale także nie nazbyt fortunnie. Solidarność połączyła haczyk z wolnymi sobotami, jak prostoduszna rybka. Władze delectowały się tym sporem i prowokowały rodzaj kolejnych plebiscytów, których pracownicy głosowali nogami, przychodząc, lub nie, do pracy w niektóre soboty, które zdaniem władz miały być robocze. Potem naturalnie ogłaszano wyniki w procentach, zależne bardziej od życzeń ogłaszającego niż od rzeczywistości. Przed każdą sporną sobotą propaganda w środkach masowego przekazu nie pozostawiała wątpliwości, co zdyscyplinowany obywatel winien zrobić w nadchodzącą sobotę i że ciężko pożałuje, jeżeli nie stawi się do pracy. A Solidarność? Solidarność zastosowała dziwną praktykę wynikającą, moim skromnym zdaniem, z opacznie rozumianych zasad demokracji. Nie, że przedyskutujemy sprawę i przegłosujemy decyzję, która po jej uchwaleniu będzie wszystkich obowiązywać. Nie, nie ma żadnego obowiązywania i związanego z tym przymusu, choćby jak najbardziej dobrowolnie przyjętego. Zupełna swoboda członków i sympatyków Solidarności. Chcesz, to do pracy przychodzisz, nie chcesz, nie przychodzisz. Ale do biura Mazowska telefonowali i przychodzili przedstawiciele załóg z pytaniami, czy iść do pracy w nadchodzącą, zdaniem rządu roboczą sobotę. Co im należało odpowiadać? Według zaleceń ponoć uzgodnionych przez KKP w Gdańsku nie należało niczego narzucać. Obowiązywać miała zasada: załogi same decydują na zasadach demokratycznych. Przyjść, czy nie przyjść do pracy w sporną sobotę, to nie był przedmiot porad prawnych. Do tego byli konsultanci. Ale gdy kolejny klient, w czasie mego dyżuru, pytał o to jednak mnie, to co miałem robić? Odmawiać odpowiedzi? Tak się złożyło, że nawinął mi się wtedy nowy dyrektor Biura Mazowska, Grudziński. Był następcą Śliwińskiego. Jego funkcją było nie tylko administrowanie. Uczestniczył w posiedzeniach Prezydium Zarządu i cieszył się jego zaufaniem. Zapytałem go krótko, dlaczego w sprawie wolnych sobót Solidarność nie powołuje się po prostu na dyscyplinę związkową? Spojrzał na mnie lekceważąco: „Z takimi poglądami powinien pan mienas działać w PZPR — nie w Solidarności! Tam pan będzie miał dyscyplinę!”. Według mnie taka postawa była absurdalna. I bardzo

szkodliwa, bardzo niebezpieczna. Wydaje mi się to zupełnie oczywiste, tak dalece oczywiste, że aż nie wymagające wyjaśnień.

Nie wymagające? Nie bądźmy za pewni, więc postąpię w myśl żartobliwego powiedzenia: Znacicie? No, to posłuchajcie! Otóż to co nazywamy ogólnie dyscypliną organizacyjną i co niektórym nie podoba się, jako rzekome zaprzeczenie prawdziwej demokracji, jest w gruncie rzeczy prostą konsekwencją założenia i prowadzenia danej organizacji. Jeśli dobrowolnie należę do określonej organizacji, to dlatego, że odpowiada mi cel, jakiemu ona służy. Sens zaś jej istnienia tkwi przede wszystkim właśnie w jednoczeniu wysiłku ludzi dążących do wspólnego celu. A celu swego organizacja nie osiągnie, jeżeli nie będzie zgodnego, harmonijnego działania wszystkich. W toku działalności organizacja podejmuje więc stosowne decyzje za pośrednictwem swych organów statutowych. Gdy odpowiedni organ prawidłowo podjął w danej sprawie decyzję, to ona obowiązuje wszystkich członków organizacji. Nie ten, kto wzywa do wykonania i kto wykonuje, ale ten, kto się wyłamuje i nie podporządkowuje decyzjom swej organizacji postępuje niedemokratycznie, nie dotrzymując swych zobowiązań przyjętych dobrowolnie wobec organizacji. Przestrzeganie obowiązku stosowania się do decyzji organizacyjnych nazywa się dyscypliną organizacyjną.

Z dyscypliną nie było w Solidarności dobrze, bo istniał pod tym względem pewien zamęt pojęciowy, rzadko uświadamiany. To nie odbiło się zbyt silnie na sprawie wolnych sobót. Chociaż bowiem nasi solidarnościowi propagandyści, w osobach konsultantów, często mówili: „My wam radzimy robić jak uważacie za stosowne”, to jednakże załogi postępowały najczęściej właśnie bardzo „stosownie”, boć przecie wiadomo było ogólnie, o co chodzi i komu. Nie wpajano jednak ludziom potrzeby posłuszeństwa i podporządkowania się podjętym decyzjom władz Solidarności. Brak nawyku posłuszeństwa organizacyjnego w związku, czyli brak dyscypliny związkowej wyrażał się w dzikich strajkach, a w końcu i odwrotnie: niezastrajkowaniem, mimo istnienia, o czym wszyscy wiedzieli, kategorycznego nakazu strajku powszechnego natychmiast po wprowadzeniu stanu wojennego. Oczywiście nie twierdzę, że niezdyscyplinowanie było jedynym powodem upadku Solidarności. Ale było jednym z ważniejszych.

Na marginesie sprawy wolnych sobót dorzucę jeszcze, że błąd tkwił od początku w złym sformułowaniu postulatu. Należało żądać nie wolnych sobót, ale wprowadzenia czterdziestogodzinnego tygodnia pracy! Wolne soboty, w rezultacie skrócenia czasu pracy, przyszłyby niejako automatycznie. W Jastrzębiu górniczy

mogli, rzecz jasna, ten postulat dopasować do specyficznych warunków panujących w górnictwie. Przyjęcie przez władze w Porozumieniach Sierpniowych postulatu czterdziestogodzinnego tygodnia pracy nie pozostawiłoby rządowi tak szerokiego pola manewru, jaki mu oferował postulat wolnych sobót.

W toku „sprawy Naroźniaka” i potem, gdy walczono o wolne soboty, wykształciły się metody postępowania, których celem było zabezpieczenie zarówno przywódców związkowych Regionu Mazowsze, jak i innych ważniejszych działaczy spośród konsultantów oraz niektórych szeregowych pracowników Biura przed doraźnymi represjami władz, prawdopodobnymi wobec aktualnej akcji strajkowej. Gdy więc dochodziło do strajku, w wielu lub choćby w jednym ale wielkim zakładzie Warszawy, albo gdy ogłaszano w Regionie stan gotowości strajkowej, wówczas osoby narażone na represje, a w każdym razie uważane za takowe, przenosiły się na teren przeważnie Zakładów „Ursus”, a czasem lub częściowo do Huty Warszawa. Oczywiście lokale biurowe Mazowsza nie przestawały być czynne, ale przy wejściu do lokalu na pierwszym piętrze lewej oficyny bywali (nie zawsze) ustawiani porządkowi, często chłopcy wypożyczeni z którejś z dużych warszawskich fabryk. Nie znali oni nikogo osobiście i prawie od wszystkich wymagali przepustek. Ciekawe, że przy wejściu do lokalu na drugim piętrze nigdy nie widziałem żadnych straży. Przepustki wydawano zarówno tym osobom, które miały przebywać w „Ursusie” lub Hucie Warszawa, jak i tym, które miały nadal pracować w lokalach Biura. Ale przy przygotowywaniu przepustek nigdy nie pamiętano o wszystkich niezbędnych, a z reguły zapomniano o prawnikach. Tak więc zdarzało się i mnie miewać trudności przy wejściu do biura na pierwszym piętrze, usuwane dopiero na interwencję mającego przepustkę, przechodzącego znajomego działacza. Na ogół, po pewnym czasie, wszyscy działacze Mazowsza mnie znali, przynajmniej z widzenia. Stałe legitymacje dla działaczy i pracowników Regionu Mazowsze zaczęto wydawać dopiero w dużo późniejszym okresie, gdy przenieśliśmy się do biurowca przy ul. Mokotowskiej. Wtedy i ja otrzymałem opatrzoną fotografią legitymację z podpisem aż Zbigniewa Bujaka. Ale przez cały okres działalności mazowieckiej Solidarności wszyscy, którzy pracowali w Biurze Regionu, nosili przypięte na ubraniu specjalne tabliczki, popularnie zwane „blachami”. Na tabliczce, pod charakterystycznym znaczkiem Solidarności, widniało imię i nazwisko oraz funkcja posiadacza i tak na przykład na mojej napisano: prawnik. Te tabliczki miały jednakże tylko znaczenie informacyjne dla publiczności i nie były respektowane jako legitymacje lub przepustki.

Na czas akcji wymagającej zabezpieczenia się przed ewentualnym nagłym atakiem władz bezpieczeństwa przede wszystkim przenosili się na teren opiekuńczego wielkiego zakładu członkowie Prezydium Zarządu Regionu. Stale używam tej statutowej nazwy, ale rzeczywiście i formalnie zaczęto jej używać dopiero po wyborach do władz Regionu Mazowsze, co nastąpiło dopiero wiosną 1981. Wcześniej kierownictwo Mazowsza używało skrótowego miana MKZ albo MKS (w czasie strajku). Pod datą 16 grudnia 1980 zanotowałem następujący skład osobowy Prezydium Mazowsza: przewodniczący Zbigniew Bujak, jego zastępca Seweryn Jaworski, członkowie: Henryk Wujec, Wiktor Kulerski, Janusz Onyszkiewicz, M. Madeyski, M. Odorowski, J. Łojak, A. Jordan, J. Knap i J. Kondrasiuk. Do tej listy należy dodać Tadeusza Kłopotowskiego, którego niebawem dokooptowano do Prezydium.

W końcu stycznia czy w początkach lutego 1981, pewnego mroźnego, wietrznego i późnego wieczoru, po zebraniu konsultantów na Szpitalnej podszedł do mnie jeden z nich, o typowym robociarskim wyglądzie, a będący zawodowym kierowcą. Zaproponował mi, jak to już był robił kilkakrotnie, podwiezienie do domu będącą w jego dyspozycji Nysą. Wiedziałem, że mieszkam po drodze jego powrotnej trasy, więc chętnie przyjąłem zaproszenie. Zazwyczaj kilkuminutową jazdę wypełniał jego ożywiony monolog, zawierający podsumowanie i dosadny komentarz do głównego tematu zebrania. Był to bowiem konsultant bardzo czynny, energiczny i bardzo wygadany, żeby nie powiedzieć pyskaty, o wrodzonej inteligencji, będący typem określanym często jako chłopski filozof. Ale tym razem ruszyliśmy w milczeniu, które się przeciągało. Wreszcie kierowca chrząknął i zapytał zniecka:

— Mecenasiu, co to za swąd koło pana?

— Co? O czym pan mówi?

— Eee, co będziemy udawać! Nie wie mecenas, że mu robią koło dupy?

— Mnie? Koło... czego?

— Mam powtórzyć? — Wzruszył ramionami i milcząc po kiwał głową z jawnym współczuciem. Nagle poczułem, że zaczynam rozumieć. Powiedziałem: — Mąż o zdradzie żony dowiaduje się przeważnie ostatni. Dziękuję. Ale niech pan powie konkretnie pan słyszał o mnie?

— Konkretnie nic. Słyszałem tylko, że krąży plotka, że pan jest agentem bezpieki. — Powiedział to spokojnie i dobitnie. Nie odpowiedziałem. Siedziałem bezmyślnie wpatrzony w błoto z osolonego śniegu.

— Ja jestem tylko prosty robociarz — powiedział kierowca,

a było to jego stałe porzekadło — ale widzi mi się, że nie masz pan się czym tak bardzo przejmować. Jesteś pan w dobrym towarzystwie.

— W dobrym towarzystwie?

— A tak, w dobrym. A nie mówią tego samego o Zbyszku Bujaku? Albo o Lechu, przecież mówią to samo! Że niby w pojedynkę się spotyka, z kim nie powinien bez świadka. A dlaczego ma być koniecznie świadek? Bo teraz mecenasie takie czasy, że nikt nikomu nie wierzy. Chodzę po zakładach, to wiem, że jest tam z tym jeszcze gorzej jak w Regionie. A to leży w interesie bezpieczeństwa, żeby nas rozłożyć od środka. Żeby nikt do nikogo nie miał zaufania. I za cara tak było i teraz to samo.

W milczeniu podaliśmy sobie dłonie, bo byliśmy już w pobliżu mojego domu. Wsiadłem. Odjechał.

Henryk KADEN

Paryż, 1985 r.

Alicja IWAŃSKA

NIEZDEMOBILIZOWANI

(Poznań - Warszawa, 1945 - 1946) *

W Continentalu

Sobota, tak, sobota przed południem i moje biurko zarzucone papierami: opowiadania z więzień, kacetów, sowieckich łagrów, znowu listy o repatriacji, o okradaniu przez wojsko sowieckie, o wysiedleniach, przesiedleniach, o wielkim tanku, który rdzewieje na rogu Zwierzynieckiej, „wcale Poznania nie zdobi i o niczym miłym nie przypomina”, list o kotach roznoszących zarazki, satyryczne wiersze i zaproszenia, coś dwanaście zaproszeń na inaugurację, odczyty, filmowe i teatralne premiery. Zawiadomienie o uroczystym pogrzebie, o defiladzie i nominacja na członka komisji teatralnej Związku Literatów, komisji, która ma ocenić po-

* Fragment powieści dokumentalnej na tle wydarzeń w Poznaniu i Warszawie w latach 1945-1946 (kontynuacja AK, powstanie WiN-u i tragiczny dalszy ciąg), która ukaże się w najbliższym czasie w niezależnym wydawnictwie „Głos” w Warszawie.

ziom przedstawię teatru wędrownego, list w bładoniebieskiej kopercie od sekretarza Rządu Łużyckiego na Uchodźstwie i list zawiadamiający o publicznej egzekucji jakiegoś SS-mana, który ma na sumieniu dziesiątki, nie, setki tysięcy... korekta mego felietonu o zawodach pływackich w nowootwartym krytym basenie i co jeszcze... ach, znowu długi anonimowy list podpisany jak zwykle pseudonimem „Święty Gniew”.

Przerzucam te papiery. Jedne drę, inne odkładam, kilka krótkich notatek do samej siebie, jeden z listów chowam do torebki, korektę felietonu oddaję sekretarce i już, już otwierają się drzwi od gabinetu Naczelnego Redaktora, a w nich Węzik w granatowym ubraniu w paski, w śnieżnobiałej koszuli i krawacie czerwonym, a za nim Józef Borak. Podchodzą do mnie i Węzik mówi:

— Samochód czeka, pan Józef, jak się okazało, zna dobrze sekretarkę Oskara Langego, piękną poetkę Ludwikę Gil, ona też podczas wojny była na Węgrzech. Jak nam miło, panie Józefie, że zdecydował się pan z nami pojechać... Tylko bardzo panią redaktor proszę, ani mru-mru w obecności profesora Langego o tym, że pan Józef jest cenzorem, ani mru-mru, niech pani pamięta!

Borak się uśmiechnął i patrząc na mnie przymilnie powiedział:

— Zresztą jak to pani sama osądziła, jestem świetnym tłumaczem z węgierskiego, moje cenzorowanie jest sprawą drugorzędną — wziął mnie pod rękę i szerokimi schodami zeszedłszy na dół. Przed domem czekał już redakcyjny samochód.

— Pani Wicku kochany — zwrócił się Węzik do szofera — niech pan będzie tak dobry i zawiezie nas szybciotko do *Continentalu*.

„Continental” to było dla mnie słowo oznaczające cały świat, był to pierwszy hotel mojego życia w pierwszym mieście, które poznałam.

Dwóch portierów w liberiach ze złoceniami, jak wówczas. Te liberie przetrwały wojnę i może ci portierzy też przetrwali. *Continental* pozostał *Continentalem*.

Na pluszowym fotelu koloru bordo na tle szaro burej kotary, za palmą wysoką siedział niewielki, blady, lekko łysiejący mężczyzna w ubraniu koloru nijakiego i intensywnie słuchał wychylającej się z drugiego fotela puszystej, brzoskwińowej brunetki. To była właśnie autorka przedwojennych *Korowodów*, Ludwika Gil, i z nią najpierw bardzo serdecznie przywitał się Józef Borak i zaraz potem już wszyscy znaleźliśmy się przez tę Ludwikę, już kelner przyniósł tacę z kawą i małymi bułeczkami, a Oskar Lange zamówił koniak.

I ta piękna poetka i Józef Borak, a przede wszystkim Węzik, wszyscy chcieli się jak najwięcej dowiedzieć od tego przybysza „ze świata”. Jak tam Polonia chicagowska reaguje na „pierwszą polską demokrację”? A jak amerykańscy intelektualiści? Czy w ONZ zdają sobie sprawę z tego, co się u nas dokonało? Czy Ameryka ma zamiar wyrzucić presję na Anglię, „w której zagnieżdżyła się prawie cała polska reakcja faszystowska”?

Oskar Lange uśmiechał się blade w odpowiedzi na te pytania i od czasu do czasu coś tam cicho odpowiadał.

— Nie wiem, proszę państwa — mówił. — To zależy kogo państwo uważają za amerykańskich intelektualistów... Nie, nie, żadnej presji Ameryka na Anglię w takich sprawach nie wywiera. Nie wiem, o jakich polskich faszystów w Anglii panu chodzi — powiedział w odpowiedzi na pytanie Boraka i Borak bardzo się zmieszał, a w oczach Węzika zauważyłam wzmożony lęk.

Dopiero przy obiedzie w restauracji *Continentalu* skończyły się te indagacje i zapanowało całkowite skoncentrowanie na jedzeniu, bardzo rzeczywiście eleganckim i smakowitym. Nawet na przyjęciach prasowych nieczęsto podawano takie smakołyki: śledzie w śmietanie, kawior, białe francuskie wino, kuropatwy i kompot morelowy. Borak i Węzik tak zaabsorbowani byli tym obiadem, że dopiero po jakimś czasie zauważyli, że przed Oskarem Lange stoi tylko jakiś talerz z kaszką i szklanka mleka.

— Panie profesorze... — zaczął Węzik, — co się stało, przecież te pyszne kuropatwy w śmietanie, przecież to wszystko na pana cześć... to wino doskonałe...

— Profesor jest na diecie — powiedziała Ludwika Gil — bierze w tej biesiadzie udział jedynie w wyobraźni.

— Moja wyobraźnia zaabsorbowana jest zupełnie czym innym — powiedział cicho Oskar Lange — ciągle widzę to miasto pod okupacją niemiecką i staram się sobie wyobrazić, jak to było wówczas...

W *Continentalu* przez jakiś czas mieściła się podobno niemiecka kwatera główna — powiedział Węzik. — Tych portierów stąd rzekomo nie ruszyli. Oni mogą wiele powiedzieć. No, a potem, już po wyzwoleniu, zatrzymał się tutaj jakiś generał sowiecki.

— Myślę o tych nieszczęsnych Polakach, którzy tu całą wojnę przeżyli — mówił cicho Oskar Lange — i o tych, którzy tu zginęli jeszcze w '39 roku no i potem, o nich myślę, o tym, jak ginęli.

— Poznań niewiele ucierpiał w porównaniu z Warszawą — wtrącił Węzik.

— Ale bardzo wiele w porównaniu z Chicago — powiedział Lange — a ja byłem wówczas w Chicago.

— Panie ambasadorze, na takie pesymistyczne refleksje nie możemy sobie obecnie pozwolić — powiedział prostując się nagle znad talerza Józef Borak. — Przed nami stoją zadania zbyt wymagające — dodał — abyśmy mogli sobie pozwolić na rozpraszanie cennej energii, na osłabianie się pesymistycznymi refleksjami.

Oskar Lange popatrzył na niego uważnie bez słowa, Węzik podrapał się w głowę i znowu zobaczyłam w jego oczach lęk.

— Profesor jest bardzo wrażliwy — powiedziała wówczas aksamitnym głosem Ludwika Gil, ujmując Oskara Lange lekko pod ramię — ale na nas już czas — dodała — jesteśmy umówieni z wojewodą i wielkim Ludwikiem Solskim na popołudniówkę w Teatrze Polskim. Auto już pewno czeka...

— Teatr Polski jest przecież kilka ulic stąd, sam widziałem dzisiaj przy objeździe Poznania — zaprotestował Oskar Lange. — Muszę przyznać, że wstyd mi trochę rozjeżdzać autem po tych ulicach, na których tak jeszcze niedawno...

— Profesorze — usłyszałam — ależ panie profesorze... panie ambasadorze, przecież to naprawdę nie wypada.

Ale nic nie pomogło. Ludwika Gil narzuciła na fioletowy kostium etolę z szarych lisów, Oskar Lange odnalazł laskę, pożegnali się z nami i już odchodzili oboje: on lekko kulejąc, ona balansując na wysokich obcasach. Idą, idą podziurawionym chodnikiem wśród gruzów w kierunku Teatru Polskiego, a ludzie zatrzymują się, przyglądają się im i szepcą, bo przecież „tacy jak oni” nigdy nie chodzą.



Pan Wicek, szofer Redakcji, był zwykle o wszystkim świetnie poinformowany, usiadłam więc obok niego, żeby się jak najlepiej wypytać. Willa, w której miał się odbyć „Bal Komórki Informacyjnej i Propagandy” była, jak się okazało, aż za Puszczycówkiem, mieliśmy więc sporo czasu i pan Wicek od razu zaczął się ze mną dzielić co ważniejszymi informacjami:

— Pan redaktor Węzik i ten jego zastępca Kreszel jechać na ten bal nie chcą, bo widzi pani redaktor, sprawa jest dość delikatna i Węzikowi byłoby niewygodnie pisać z tego balu sprawozdanie. Bo na balu ma być, proszę pani, jakiś ruski generał, patron od tej Informacji i Propagandy, czy jak się to nazywa, a jak pani sama dobrze wie, o żadnych takich patronach w tej niby polskiej prasie pisać nie wypada, a znowu nie napisać też nie można, bo co by Ruski powiedziały. Widzi więc pani sama,

dłaczego im na rękę, żeby pani redaktor tam pojechała. Jako że jest pani od literatury, nikt po niej żadnych dyplomacji spodziewać się nie będzie, bo nie miejsce w dziale literatury na opisywanie takiego balowania. Chyba, żeby pani redaktor same stroje i jadło opisała.

— Acha, tak, rozumiem — powiedziałam — ale niech mi pan Wicek wytłumaczy, dlaczego taki Kreszel na przykład artykułu o balu napisać nie może.

— Z Kreszelem to zupełnie inna historia — odpowiedział tajemniczo pan Wicek — bo proszę pani redaktor, Kreszel brał udział w odbieraniu tej willi od pana Pokrzywskiego. On z ubekami tam pojechał i z nimi razem odbierał. Bo widzi pani redaktor, pan Pokrzywski zaraz jak z tej zagranicy wrócił, do swojej willi się wprowadził, a żona z dziećmi z wysiedlenia w Ostrowi Mazowieckiej przyjechała i tam się już za jego dolary tak dobrze urządzili, że wyrzucić ich nie było łatwo, no ale w końcu jakoś ich usunęli.

— Jak usunęli, to ich tam nie ma — powiedziałam. — Nie rozumiem naprawdę, panie Wicku, dlaczego Kreszel tam pojechać nie mógł... bardzo to interesujące.

— Bo, proszę pani redaktor, ja jeszcze nie skończyłem i bez dalszego przerywania może mi się uda skończyć — powiedział pan Wicek trochę zniecierpliwiony i zaraz zaczął mnie przeproszać. — Jak tego Pokrzywskiego usunęli — mówił — zaraz mu zaofiarowali wysokie stanowisko w jakimś Jenstytucie i inną mniejszą willę niedaleko przydzielili. To było takie porozumienie, jako że te dolary miał. Z wielkim krzykiem, ale bez strzelania się to odbyło. No więc pan Pokrzywski teraz z ramienia swego Jenstytutu przed tymże ruskim generałem ma na balu Polskę demokratyczną reprezentować.

Willą była rzeczywiście bardzo ładna, biała, otoczona krytymi werandami, odrzewiona, oklombiona, wyszorowana i ubrana białą czerwonymi girlandami z cienkiej gniecionej bibuły. Przed ganikiem stały dwa duże lśniące oleandry w donicach, obok jednego z nich polska chorągiew z nowiutkim orłem bez korony przyfastrygowanym w samym środku. Obok drugiego oleandra stała trochę już sfatygowana, ale znacznie wyższa i bardzo czerwona chorągiew ze złociście wyhaftowanym sierpem i młotem, a obok leżał zwinięty w rulon czerwony dywan.

— To dywan dla ruskiego generała — mruknął złowrogo pan Wicek. — Niechże go wszyscy nasi święci wywrócą, jeśli przed nim cholerne ubeki ten dywan czerwony rozwiną! Niech

pani redaktor wszystkiemu się dobrze przypatrzy — dodał na zakończenie i pocałował mnie w rękę. — Niech się pani przypatrzy i zapamięta.



Na pierwszym piętrze willi były sypialnie, dwie łazienki i szafy, w których wieszano się palt. Na parterze duża kuchnia, kredens i kilka dużych, pustych pokoi udekorowanych biało-czerwonymi girlandami. Stały tam ławy i stoły, wśród których kręciła się bardzo zaaferowana, szepcząca między sobą służba.

Nikt mnie przy wejściu do willi nie przywitał i tylko dwóch młodych ludzi ze ścierkami przerzuconymi przez ramię pomogło mi znaleźć szafę na piętrze, w której miałam zostawić palt. W szafie palt było już tak dużo, przeważnie męskich mundurów, że ledwo się domykała. Gdzieś ci goście musieli być, ale w willi panowała dziwna cisza. Słychać było tylko szepty służby i jakieś pobrzękiwania, dochodzące zza zamkniętych drzwi kuchni. Gdy zeszłam na dół, jeden z młodych ludzi ze ścierką przerzuconą przez ramię podbiegł do mnie i pokazał wejście na werandę. — Tutaj, proszę pani redaktor — powiedział, więc przez te drzwi weszłam, a tam w półmroku ogirlandzonych na biało-czerwono lamp, na koszykowych krzesłach i fotelach siedziało kilka milczących kobiet w ciemnych spódniczkach i grubych swetrach i kilkunastu mężczyzn w polskich mundurach. Na koszykowych stolikach stały butelki wina i kieliszki, ale jakoś nikt nie pił i wydawało się, że nikt z nikim nie rozmawia, więc znieruchomiałam na chwilę, patrząc na ten dziwny żywy obraz. Na to moje znieruchomienie zareagował jeden z oficerów. Podszedł do mnie trochę zgarbiony, przedstawił się jakimś nazwiskiem, którego nie dosłyszałam, poprosił, abym usiadła na jego fotelu, podał kieliszek z winem i przedstawił mi dwóch siedzących w pobliżu młodych oficerów o bardzo zmęczonych twarzach, przyniósł sobie koszykowe krzesło i usiadł. Znowu zapanowało milczenie, a po chwili oficer pochylił się do mnie i powiedział szeptem:

— Niech się pani tej atmosferze nie dziwi, ale widzi pani, stało się coś strasznego i zupełnie nie wiemy co robić.

Z półmroku werandy spojrzały na mnie zaaferowane oczy i nagle wszyscy się rozszepotali i rozgestykulowali:

— Po przyjeździe tutaj zaczęliśmy z punktu ostro pić — powiedział oficer głośnym szeptem i obejrzał się na drzwi — nie wódę nawet, ale to podłe owocowe wino i jeden z kolegów, o, ten biedak, widzi pani — wskazał na młodego porucznika siedzącego nieruchomo w wysokim koszykowym fotelu — ten biedak pokazywał kolegom swój bardzo wyświecony rewolwer.

Bawili się tą piątką wyświeconą, aż nagle rewolwer wystrzelił i kula poszła w łydkę trochę dalej, o tam siedzącego podporucznika.

Znowu rozszeptala się weranda. „Takie to czasy” usłyszałam, „nieszczęście po nieszczęściu”... „trzecią ojczyznę mi odbierają”...

— Podporucznik już odzyskał przytomność — powiedziała jedna z kobiet.

— Co za szczęście, że był wśród nas zaufany doktor — dodała druga. — Nic mu na pewno nie będzie, ale...

— Chodzi o to, że w każdej chwili może tu przyjechać ten ruski generał i wówczas zacznie się bal — objaśnił mi siedzący obok oficer — a obecność rannego w tej sytuacji, rozumie pani, jest bardzo niebezpieczna, no więc trzeba go było ukryć. Położyliśmy go w jednej sypialni na górze no i tam biedak leży, ale czy generał rewizji przed pierwszym polonezem nie zarządzi, Bóg raczy wiedzieć.

— No a wśród służby kapusiów też pewno co niemiara — zauważyła jedna z młodych kobiet — trzeba będzie ich czymś podejrzanym tu na dole zainteresować, żeby na górę gości nie prowadzili.

— Mnie tam zaprowadzili — powiedziałam — ale niczego podejrzanego nie zauważyłam.

— No, ale kapuś ma dobre oko — usłyszałam głośny szept — i wyostrzony słuch, a my, proszę pani, tylko aspirynę tu mamy, a ranny w bólach i jeśli zacznie jęczeć...

— Oficer polski jęczeć nie będzie — odezwał się znowu głośny szept.

— Polski, czy nie polski, ale gdy go zamroczy, to jęczeć będzie — usłyszałam znowu.

— Najbardziej podejrzaną są te nasze szepty — posłyszałam już głośno — i wódki z zagrychą niech nam w końcu przyniosą!

— Wódka i przekąski — powiedziała jedna z młodych kobiet — czekają w kuchni na ruskiego generała.

Znowu zapanowała cisza i tak milczeliśmy długą chwilę, aż nagle poderwało nas głośne trąbienie i jakieś mieszane polskorosyjskie krzyki. Stłoczyliśmy się wszyscy w drzwiach do największego pokoju, a tam już kłębiło się i błyskało od dużej orkiestry i rozłożystych pepesz rosyjskich żołnierzy, ruszających się bardzo powoli na szeroko rozstawionych nogach w kręgu ciemno ubranych panów i wiotkich kolorowych kobietek na wysokich obcasach. Okazało się wkrótce, że w samym środku, przez nikogo nie zauważony, wśród kołyszących się pepesz gnieździ się ów rosyjski generał.

Po chwili dopiero jeden z ciemnych panów strząsnął wiszącą

na jego ramieniu kolorową kobietkę, zaklaskał i po tym zaklaskaniu orkiestra ustawiła się przy ścianie, otwarły się drzwi do kuchni i jeden po drugim, szybkimi skokami wbiegło z dziesięciu młodych ze ścierkami przerzuconymi przez ramię, niosąc ogromne tace przekąsek. Za nimi szli powoli inni młodzi z tacami kieliszków, z butlami, butelkami i karafkami. Zaczęli to wszystko rozstawiać na stołach i wówczas rozstąpili się żołnierze z pepeszami, ukazując nam małego grubego generała obwieszonego świecącymi orderami. Wówczas orkiestra zagrała Międzynarodówkę, wyprostowali się wszyscy, a gdy orkiestra zamilkła wysoki, ciemno ubrany pan podszedł do megafonu i wygłosił powitalną mowę po rosyjsku i znowu po rosyjsku przez inny megafon odpowiedział mały generał. Potem były polskie i rosyjskie wiwaty, do generała podszedł młody z tacą przekąsek i podał mu duży napełniony kielich. Znowu wiwaty „Hurra!”, „Niech żyją bratnie narody!” i o przyjaźni polsko-radzieckiej krótkie przemówienie przez trzeci megafon wygłosił inny, ciemniejszy, podobno z Urzędu Wojewódzkiego. Jak tylko skończył, orkiestra zagrała poloneza, a do generała podszedł pierwszy ciemny z wiszącą u ramienia kolorową kobietką i oddał ją generałowi do tańca. Polonez wówczas zmienił się w powolną polkę, za tańczącym generałem zamknął się znowu krąg opepeszonych żołnierzy i tak tańczyli przez chwilę niewidoczni w kręgu pepesz i innym, szerszym kręgu znieruchomiłych młodych z wysoko podniesionymi tacami przekąsek. Ciemni panowie z kolorowymi kobietkami jedli już i pili i dopiero, gdy muzyka zamilkła i po chwili zaczęła grać walce i fokstroty, kilku z nich poprosiło swoje kolorowe kobiety do tańca, a potem roztańczyli się inni.

Nie mam pojęcia, jak długo tak tańczyli, pamiętam tylko, że bardzo rozboleła mnie głowa, że poszłam na górę, wyciągnęłam z szafy swoje palto, weszłam do pokoju obok tej szafy, rzuciłam się na łóżko, przykryłam paltem i stamtąd właśnie głęboko śpiącą, a kto wie, może po prostu pijaną, przeniósł mnie pan Wicek podobno o pierwszej w nocy do redakcyjnego auta i nadal śpiącą odstawił do mieszkania Barbuszowej. Cały następny dzień przeleżałam półprzytomna w łóżku i dopiero pod wieczór opowiedziałam Barbuszowej i Agacie o tym przyjęciu. Myślę, że nie wykryto rannego podporucznika, bo pewno opanował się i nie jęczał, a może stracił przytomność... może polepszyło mu się i zasnął?

Alicja IWANŃSKA

OKRUCHY HISTORII

Tadeusz WYRWA

CO ANGLICY MYŚLELI O POLSCE W 1939 ROKU. OBSERWACJE AMBASADORA FRANCJI W LONDYNIE

Według ogólnie przyjętego schematu, stanowisko Anglii w stosunku do spraw polskich uległo radykalnej zmianie dopiero w czerwcu 1941 roku, po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej. Jest rzeczą wiadomą, że od tej daty układ całej polityki światowej przybrał nowy kształt. W rzeczywistości jednak, jeśli chodzi o nastawienie Wielkiej Brytanii do Polski, to zmieniła się raczej taktyka, a nie orientacja. Wynika to chociażby tylko z raportu, jaki ambasador Francji w Londynie, André Charles Corbin wystąpił 9 listopada 1939 roku do premiera E. Daladier w Paryżu. Spostrzeżenia zrobione przez Francuza w tym raporcie, gdyby były ogłoszone jesienią 1939 roku, stanowiłyby wówczas dla Polaków rewelację, gdyż w żadnych archiwach polskich nie znajdzie się chyba śladu podobnego uchwycenia rzeczywistości, co też już samo w sobie jest znamienne i nie wymaga komentarzy.



Fotokopia raportu ambasadora Corbina znajduje się w archiwum francuskiego ministerstwa Spraw Zagranicznych¹. Jest to

1. *Archives du ministère des Affaires étrangères* w Paryżu. Série: *L'Europe 1930-1940, Dossier: Pologne* nr 339.

teczka, w której zebrano kopie dokumentów, jakie zachowały się w różnych ambasadach i których oryginały zostały zniszczone w Paryżu podczas wojny. Raport Corbina nie jest podpisany i brak na nim nawet jego nazwiska, ale nie ulega wątpliwości, że autorem jest Corbin, o czym świadczą również inne jego raporty razem tam zgromadzone, oraz podobne źródło: archiwa ambasady francuskiej w Londynie.

„Opinia angielska i Polska” — tak brzmi tytuł raportu Corbina, z którego przytaczam najbardziej charakterystyczne ustępy:

„Gdy rząd angielski oświadcza, że Polska była pretekstem wywołania wojny, lecz nie była jej główną przyczyną, wyraża nie tylko prawdę historyczną, ale i punkt widzenia odpowiadający całkowicie przeświadczeniu całej ludności. Jest nawet godne uwagi, że Polska mogła służyć pretekstem do tak trudnego konfliktu, jaki istnieje między Imperium brytyjskim a Rzeszą hitlerowską.

Istotnie, nie było tutaj nigdy, w stosunku do Polski, tego uczuciowego przywiązania, jakie tradycyjnie istniało w opinii francuskiej. Angielscy mężowie stanu popierali bez wątpienia odbudowę państwa polskiego w 1918, lecz było to jedynie przez zastosowanie ogólnej zasady narodowościowej i nie mam potrzeby przypominać departamentowi (ministerstwu), że w czasie dyskusji na konferencji pokoju i późniejszych sporów, roszczenia rządu z Warszawy były przeważnie za każdym razem zwalczane przez przedstawicieli Zjednoczonego Królestwa.

Okres dwudziestu lat, w którym Polska cieszyła się niepodległym bytem, nie uczynił w żaden sposób Anglików bardziej serdecznymi dla młodej Republiki, wprost przeciwnie.

Z jednej strony, polityka polska była ustawicznie surowo sądzona. Reżym wprowadzony przez Marszałka Piłsudskiego nie miał nic, co by mogło odpowiadać angielskiemu temperamentowi, a występkę dyktatury w Warszawie były regularnie ujawniane na łamach prasy liberałów lub labourzystów, a nawet — od czasu do czasu — przez niektóre organy konserwatystów. Zacofany ustrój społeczny w Polsce był również przedmiotem częstych komentarzy w prasie angielskiej.

Z drugiej strony, z punktu widzenia polityki zagranicznej, Polska zaczęła być tutaj uważana za satelitę Francji, ściągając na siebie niełaskę, jaką otaczana była, po traktacie wersalskim, nasza własna polityka w Wielkiej Brytanii.

... Udzielenie Polsce ubiegłej wiosny gwarancji brytyjskiej nie mogło więc być uważane — co wówczas podkreśliłem — za dowód troski Wielkiej Brytanii o utrzymanie Państwa polskiego jako takiego, lecz stanowiło ostrzeżenie wobec Niemiec, że granica ekspansji Rzeszy, tolerowana przez Wielką Brytanię, została osiągnięta i że odtąd każda przyszła agresja pociągnie za sobą zbrojny konflikt między tymi dwoma krajami.

... Zaatakowanie Polski 1 września przez Niemcy wywołało jed-

nomyślny poryw oburzenia wśród publiczności brytyjskiej i wypowiadając Rzeszy wojnę, rząd londyński nie tylko wprowadził w czyn zaangażowanie, które solennie zaciągnął, ale dostosował się również do woli całego kraju, który nie tolerowałby wahania rządu w powzięciu tej decyzji. Jednakże nie wchodziły tutaj w grę ani los Polski, ani nawet troska o dotrzymanie angielskiego słowa, lecz przede wszystkim świadomość, że nadszedł moment do podniesienia broni przeciwko Rzeszy.

... Załamanie się oporu w Polsce wywołało powszechnie jak najbardziej żałosny efekt. Liczni Anglicy zastanawiali się, czy w gruncie rzeczy rząd dobrze zrobił udzielając gwarancji tak mało solidnemu państwu.

... Prawdą jest, że wówczas zaszedł fakt, który wyjaśniał do pewnego stopnia stanowisko zajęte w tej sprawie przez Anglików: interwencja ZSSR. Inwazja rosyjska na Polskę — jak już sygnalizowałem — wywołała w danej chwili gwałtowne oburzenie we wszystkich środowiskach, które jednak trwały jedynie przez krótki czas. Inwazja ta, po fakcie, wznieciła nie tylko reakcje nieprzychylnie Polsce ze strony pewnych elementów lewicowych, ale nawet u konserwatystów nie wzbudziła trwałego odruchu sympatii dla narodu polskiego. Jedni i drudzy byli zgodni w ocenie, że w sumie Rosjanie odzyskali jedynie obszary zamieszkałe głównie przez ludność nie polską, które rząd warszawski dość nieprawnie sobie przywłaszczył.

... Nawet ci Anglicy, którzy unikają wypowiedzenia się na ten temat przyznają jednak, że w żadnym wypadku nie może być mowy o prowadzeniu wojny z Rosją, ażeby ją zmusić do zwrotu prowincji, którymi zawładnęła i z którymi przyszłe państwo polskie będzie więc musiało pożegnać się.

W tej postawie jest niewątpliwie odbicie rozpowszechnionego teraz tutaj pragnienia, aby oszczędzać ZSSR i chwilowo Polska cierpi oczywiście z tego powodu. Tak więc grabież, jakiej dokonały władze rosyjskie na obszarach przez nie zajętych minimalny miała tutaj rozgłos. Ale wydaje się, że nie jest to wystarczający powód, ażeby wytłumaczyć kompletną obojętność okazywaną dla losu dawnych prowincji wschodnich Polski.

W rzeczywistości jedynie wśród katolików spotyka się sympatię otwarcie głoszą wobec nieszczęścia narodu polskiego jako takiego, to znaczy niezależnie od inicjatyw dobroczynnych, które wywołuje tutaj każde nieszczęście i które wyraziły się w danym wypadku przez otwarcie kilku subwencji przeznaczonych na pomoc dla uchodźców polskich. Można nawet zastanowić się czy fakt, że Polska jest wielkim narodem katolickim nie było dla niej szkodliwe wobec większości społeczeństwa angielskiego, którego reakcje wy wpływają zawsze, świadomie lub nie, z jego religijnego kompleksu, to znaczy protestanckiego.

Wszystko to oczywiście nie przeszkadza, żeby przywrócić

Polsce niepodległości nie figurowało na pierwszym planie celów angielskiej wojny. Deklaracje rządowe są w tym punkcie zgodne z licznymi publikacjami prasy, która usiłuje obecnie przewidzieć oblicze powojennej Europy, wysuwając najróżnorodniejsze projekty. Otóż, w żadnym z tych projektów nie ma najmniejszego zastrzeżenia odnośnie odrodzenia państwa polskiego.

Jednakże forma, w jakiej ma się odbyć to odrodzenie jest jeszcze mglista. Jasne jest, że dla większości Anglików nie może być mowy, aby wskrzesić całkowicie bez zastrzeżeń Polskę przedwojenną. Podkreślałem już wyżej dominujące uczucie, gdy chodzi o niepodobiestwo oderwania od ZSSR dawnych prowincji polskich, które ostatnio zostały włączone do Związku Sowieckiego. Jest nadto oczywiste, że Anglicy — nie będąc w wojnie z Rosjanami — nie mogliby w obecnej chwili obwieszczać swojej chęci przyłączenia do Polski danych obszarów. W wypadku, gdyby Rosja złączyła się militarnie z Niemcami, lub też, jeżeli po zwycięstwie, zwołano by ogólną konferencję, obarczoną przeorganizowaniem Europy, to być może wówczas przedstawiciele brytyjscy sprzyjaliby niektórym rektyfikacjom granicy polsko-rosyjskiej, w ten na przykład sposób, aby ta granica zbiegała się z linią Curzona. Ale w każdym razie wątpliwym jest, że będą usiłowali odzyskać dla rządu z Warszawy obszary, które Polska przywłaszczyła sobie siłą w 1920 roku i których ludność decyzji tej nigdy nie zaakceptowała. Nie jest zresztą pewne czy rząd polski nie zrobiłby lepiej, gdyby sam zrezygnował z rozciągania swojego panowania nad Białorusinami lub Ukraińcami, którzy są dla niego źródłem permanentnych trudności wewnętrznych.

... Z drugiej strony, w pewnych środowiskach myśli się o przyłączeniu Polski do katolickiej Federacji naddunajskiej, która dzięki temu stanowiłaby silne zgrupowanie zdolne do skutecznego powstrzymania przyszłych ambicji Rzeszy².

Te rozmaite idee są jedynie indywidualnymi sugestiami i ogólnie rzecz biorąc unika się wszelkiego sprecyzowania, gdy tylko mowa jest tutaj o przyszłym losie Polski. Co do rządu, to zachowuje on na ten temat taką samą rezerwę i taką samą powściągliwość, jak i w stosunku do innych wojennych celów Wielkiej Brytanii”.



Ambasadorem Polski w Londynie był od 1 listopada 1934 Edward Raczyński, który — wiele lat później, bo w 1982 roku — oświadczył: „Ale jedną prawdę naród nasz, a więc moje poko-

2. Koncepcje federacji były różne, ale chyba nikt poważnie nie myślał o tworzeniu „Katolickiej federacji naddunajskiej”, o której pisze Corbin. Polska idea federacji, lansowana przez rząd generała Sikorskiego, była źle widziana w środowisku londyńskim „Wolnej Francji” generała de Gaulle’a — *Vide: Zeszyty Historyczne* nr 56, str. 227 i następane.

lenie i późniejsze pokolenia stwierdzić mogły dowodnie na podstawie naszych przeżyć, że naród nasz nie może oczekiwać bezinteresownej i skutecznej pomocy z zewnątrz, która by zdecydowała o jego losie, że polegać musi przede wszystkim na własnych siłach, na swojej wiedzy, na swojej umiejętności, na swoim charakterze i na swoim rozumie”³.

3. *Vide: XXV Rocznik Polskiego Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie*, Rok 1981/1982, Londyn 1983, str. 16.

Tadeusz WYRWA

Czesław JEŚMAN

BRYTYJSKI EKSPERYMENT Z POLAKAMI

Winston S. Churchill był jedynym mężem stanu, który w swoich pamiętnikach* wspominał o służbie oficerów polskich w brytyjskich posiadłościach Afryki Zachodniej we wczesnym okresie drugiej wojny światowej. Źródła brytyjskie określały ją jako „polski eksperyment”. Jedyne jego opracowanie zostało opublikowane w 1965 roku przez półurzędowe wydawnictwo *The Journal of United Services Institute* w Londynie. Jako dość nieprawdopodobna ciekawostka opis „polskiego eksperymentu” po angielsku został przedrukowany w miesięczniku *Africa* (XX, 4 December 1965) w rubryce „Note e Testimonianze”. Bez komentarza, gdyż w powojennych Włoszech nie powinno się ośmieszać „współaliantów” Paktu Atlantyckiego. „Polski eksperyment” mógłby się do tego nadawać. Był to osobisty, niezbyt przemyślany pomysł brytyjskiego premiera. Gen. Sikorski całkowicie poparł egzotyczny plan. Churchill istotę „polskiego eksperymentu” określił zwięźle: „Okolo 400 oficerów polskich, tak jak było zaplanowane, zostało przydzielonych do dywizji zachodnioafrykańskich, gdzie doskonale pełnili służbę”. Ocena była powierzchowna i ogólnikowa. W rzeczywistości to nieodpowiedzialne posunięcie łątko mogło się zakończyć niepowodzeniem o rozmiarach trudnych do przewidzenia.

W najogólniejszym zarysie sprowadzało się do obsadzenia Brytyjskich Sił Zbrojnych w czterech koloniach brytyjskiej Afryki Zachodniej przez pewną ilość młodszych oficerów WP, którzy

* „The Second World War — The Grand Alliance”, Appendix III, str. 686.

po kapitulacji Francji znaleźli się w Wielkiej Brytanii, w przeważającej większości w obozach tranzytowych i punktach zbiornych w Szkocji. Nastroje były wśród nich nie najlepsze, ale utrzymało się poczucie dyscypliny.

W instrukcji do generała Ismay'a, sekretarza Komitetu Szefów Sztabów Sił Zbrojnych Wielkiej Brytanii, Churchill zawiadomił, że generał Sikorski jest skłonny do „wypożyczenia” tego — jak się wyraził — „doskonałego materiału oficerskiego”. Pomysł zbiegł się w czasie — czerwiec 1941 — z rozbudowaniem, przebrojeniem i przeszkoleniem korpusu Afrykańskich Strzelców Pogranicznych (w czasach pokojowych raczej formacji milicyjnej) w operacyjną dywizję piechoty, wyposażoną w nowoczesny sprzęt. Londyn był wówczas silnie bombardowany z powietrza, a chociaż Churchill nie okazywał strachu z tego powodu, to było dla niego jasne, że niemiecki potencjał wojenny jest bardzo silny i operacyjnie może skutecznie działać na całym świecie. Afryka była dla Niemców jednym z naczelných obiektów strategicznych, ważnym w perspektywie zdobycia przewagi nad Anglią i ostatecznego zwycięstwa III Rzeszy.

Dla sztabów i w Berlinie i w Londynie Afryka Zachodnia, mimo swego oddalenia od głównego teatru działań strategicznych, nabrała więc szczególnej wagi. Mogła łatwo stać się podstawą dla wielkiego manewru oskrzydłającego europejskie ośrodki wojenne i polityczne we wschodniej połowie kontynentu. Kapitulacja Pétaina stworzyła tu bardzo szczęśliwy układ dla państw „Osi”. Francuskie kolonie zachodnioafrykańskie były znacznie bogatsze i lepiej rozwinięte aniżeli brytyjskie. Pamiętano też, że podczas pierwszej wojny światowej Francja użyła z dużym powodzeniem żołnierzy afrykańskich, np. Strzelców Senegalskich, nawet na tzw. „nowoczesnych terenach wojennych” jak front zachodni. W połowie 1941 roku „Sprzymierzeni” — czyli w praktyce Londyn — musieli brać pod uwagę tego rodzaju obawy, tym bardziej, że generał de Gaulle jeszcze nie stał się alternatywą Francji Pétaina.

Podjęcie „polskiego eksperymentu” było spowodowane słabością sytuacji militarnej Brytyjczyków, którzy poczuli się okrażeni przez Niemców i Włochów. Oparto go jednak na błędnych przesłankach, a realizowali go niewłaściwi ludzie w niesprzyjających okolicznościach i w trudnym momencie. Fakt, że się udało rzuca korzystne światło na wszystkich uczestników.

Trzeba pamiętać, że dla żołnierzy jednostki kolonialne były azylem, szczególnie w Afryce i że trafiali tutaj wszelkiego rodzaju ekscentrycy o trudnym charakterze, niezbyt nadający się do czego innego, którymi trudno było dowodzić. Z tego powodu dobór oficerów z wojsk metropolitalnych do służby w koloniach musiał być szczególnie staranny. Dobierano ich pod kątem jednolitości towarzyskiej i narodowej. We francuskiej i hiszpańskiej Legii Cudzoziemskiej oficerowie cudzoziemcy byli wyjątkami. W brytyjskiej Armii Indii, szczególnie między 1857 rokiem

a końcem pierwszej wojny światowej, byli jeszcze rzadsi. Po 1918 roku tego wątpliwego zaszczytu dostąpiła niewielka ilość „białych” oficerów rosyjskich. Tzw. indianizacja sił zbrojnych Indii w okresie pomiędzy dwiema wojnami światowymi była przedsięwzięciem trudnym, podejmowanym na niewielką skalę. „Oficerowie wicekróla” stanowili wyjątek i przysparzali sztabom mnóstwa nieprzewidzianych kłopotów. W III Rzeszy *Ostlegionen* pełniły funkcje wojsk kolonialnych, a wszyscy dowódcy byli członkami Wehrmachtu. Można więc przyjąć jako zasadę, iż we wszystkich armiach dowódcy „tubylczych” formacji musieli należeć do „rasy panów”, a cudzoziemców uznawano za nie nadających się do dowodzenia.

W Armii Brytyjskiej stopnie oficerskie nadawano cudzoziemcom w czasie wojen wówczas, kiedy było to wskazane ze względów politycznych czy organizacyjnych. Podczas drugiej wojny światowej cudzoziemcy służyli zarówno w Gwardii, jak w Korpusie Pionierów. Każdego z nich jednak przyjmowano indywidualnie, nie jako członka zbiorowości narodowej czy państwowej. Podlegali tym samym prawom oraz korzystali z tych samych przywilejów, co ich brytyjscy koledzy. Cudzoziemscy oficerowie pozostawali w czynnej służbie przez ustalony z góry okres. Polscy oficerowie służyący w Afryce Zachodniej w ramach „polskiego eksperymentu” otrzymali zupełnie odmienny status, co wiązało się z odrębnością ich przydziału do wojsk kolonialnych na prośbę władz brytyjskich i na podstawie porozumień między państwowych.

Otóż gen. Giffard podkreślił wiosną 1941 roku, że znaczny zastrzyk białych oficerów jest koniecznością, jeżeli dowodzone przez niego wciąż dość „abstrakcyjne” dywizje mają stać się pełnowartościowymi jednostkami bojowymi. Churchill zawiadomił go, że „uda mu się przekonać” generała Sikorskiego, aby „pożyczył” 200 do 300 oficerów, rozmieszczonych wówczas w Szkocji. „Rubens” przypuszczał, że polscy oficerowie zakwaterowani na wyspie Rothsay będą szczególnie chętni do przeniesienia się za morze. Przeważali wśród nich polityczni przeciwnicy Sikorskiego — te koła polityków i wyższych wojskowych, których poglądy nie zgadzały się z „grupą Sikorskiego”. Porównywali oni obozy na Rothsay do Berezy. Mały szczegół podkreśla zasadnicze różnice istniejące między tymi instytucjami: oto bowiem dowódca polskiego zgrupowania na szkockiej wyspie zwrócił się do podległych sobie — do pewnego stopnia — oficerów polskich z „zaleceniem”, ale nie rozkazem, żeby nie kupowali na własny użytek samochodów na raty. Podobnych przypadków było więcej. Wszystkie one świadczyły, że „zesłanie” na Rothsay było bardzo łagodnym odstawieniem od polityczno-wojskowej działalności w czasie wojennym.

Jako zespół, jeszcze pod komendą polską, ochotnicy do Afryki wywodzący się z obozów szkockich nie byli zbyt zdyscyplinowaną grupą. I tak na ogólnej odprawie w hotelu Marlborough w Londynie, głównym ośrodku zbornym przed zaokrętowaniem,

doszło do gwałtownych scen. Niejaki mjr Gaładyk oświadczył, że przemawia jako „emisariusz Naczelnego Wodza” (marszałka Rydza-Smigłego) i „zakłada uroczysty protest przeciw próbom wyniszczenia potencjału oficerskiego w kolejnym San Domingo”. Wystąpienie to nie miało wielkiego praktycznego znaczenia. Mjr Gaładyk do Afryki nie pojechał.

Ostatecznie Ministerstwo Wojny zwróciło się do polskiego Ministerstwa Obrony we wrześniu 1941 roku o „wypożyczenie” 450 oficerów. Polacy zgodzili się na zwolnienie 300. W samej Szkocji w polskich obozach oficerskich do służby w Afryce zgłosiło się około 800 kandydatów. Z tych 273 zostało zakwalifikowanych przez komisję i służyło w Zachodniej Afryce w ciągu 22 miesięcy (wrzesień 1941 - lipiec 1943) w ramach „polskiego eksperymentu”. Z liczby tej 65 pozostało w Armii Brytyjskiej na własną prośbę. Służyli oni w 81 i 82 Dywizji Zachodnioafrykańskiej. Niewielka grupa została przeniesiona do innych formacji brytyjskich, a kilku z niej — dzięki znajomości języka włoskiego — służyło w administracji dawnych kolonii włoskich w Afryce Wschodniej. Najwyższe stanowisko osiągnął por. Münnich-Kowalski, który pełnił obowiązki administratora prowincji Bender-Kassim w Somalii.

Dane brytyjskie mówią, że w dniu 22 lipca 1942 w Nigerii służyło 114 oficerów, włączając w to lekarzy wojskowych; na Złotym Wybrzeżu — 56; w Sierra Leone — 62 i w Gambii — 24. Ogółem 36 lekarzy wojskowych służyło w szeregach Królewskich Zachodnioafrykańskich Strzelców Pogranicznych. Pięciu oficerów zajmowało stanowiska sztabowe, w tym adiutanta generała C. G. Woolnera, dowódcy okręgu wojennego Sierra Leone, a potem 81 Zachodnioafrykańskiej Dywizji w Birmie.

Poza tym została utworzona funkcja „polskiego oficera łącznikowego”: w każdym okręgu, gdzie znajdowało się ponad 25 oficerów polskich mianowany został jeden polski oficer łącznikowy w stopniu kapitana; o ile było powyżej 100 Polaków, oficer łącznikowy był w stopniu majora. Należy wspomnieć, że polscy lotnicy przydzieleni do służby transportowej lotnictwa Afryki nie mieli nic wspólnego z „polskim eksperymentem”. Korzystali oni jednak z usług polskich oficerów łącznikowych, obciążonych zresztą wieloma dodatkowymi zajęciami.

Jeden z nich, mjr Tałasiewicz, oficer łącznikowy w Lagos, napisał skargę, że musi zajmować się sprawami czeskich urzędników wojskowych unieruchomionych w mieście przez kilka tygodni. Przez Lagos przejeżdżał również biskup połowy WP Gawlina w towarzystwie oficera sztabowego, który zatrzymał się w stolicy Nigerii na 10 dni. Generał Anders z adiutantem — 7 dni, generał Kopański 6 dni, oficer do zleceń specjalnych — 3 dni, dwóch członków polskiego rządu na obczyźnie, Naczelną Wódz Czeskich Sił Zbrojnych na Zachodzie oraz jego dowódcę sztabu — 10 dni. Przejeżdżający byli kwaterowani w obozie tranzytowym Ikroy, jednakże polski oficer łącznikowy mieszkał w mesie oficerskiej

Magazine Point, oddalanej o 4 mile. A że mimo starań nie przydzielono mu samochodu, zmuszony był jeździć taksówką, którą opłacał z własnej kieszeni. Jego wielokrotne prośby o zwrot dodatkowych kosztów pozostały bez odpowiedzi.

Główny polski oficer łącznikowy w randze pułkownika był przydzielony do generała George G. Giffarda, dowódcy Brytyjskich Sił Zbrojnych w Afryce Zachodniej. Stanowisko to zajmował początkowo płk Aleksandrowicz — stary i schorowany człowiek, który nie znał angielskiego i nie ukrywał swojej niechęci do Anglików. Dopiero po dłuższym czasie został odwołany do Londynu, a na jego miejsce mianowano płk. Włodzimierza Ludwiga. Był on znacznie bardziej odpowiednim kandydatem jako dawny sztabowy oficer austriacki. Miał doświadczenie w obcowaniu z „różnoplemiennymi” kolegami i znał dobrze angielski. Mimo to jego życie w Afryce Zachodniej też nie było łatwe, gdyż dodatkowo musiał zajmować się korespondencją generała Zająca, który od września 1942 roku był dowódcą WP na Bliskim Wschodzie. Ten dowiedział się przypadkowo o istnieniu „polskiego eksperymentu” w Afryce Zachodniej i doszedł do wniosku, iż podlega on jego kompetencji.

Wynagrodzenie za służbę polskich oficerów w Ameryce Zachodniej było niewłaściwie określone od samego początku i mimo krytycznych wypowiedzi Churchilla nie zostało nigdy uregulowane. Już w grudniu 1941 roku główny polski oficer łącznikowy wystąpił z wnioskiem o przyznanie mu sumy £ 25 miesięcznie na pokrycie kosztów „funkcji konsularnych” dla siebie i podległych oficerów łącznikowych. Po długotrwałych przetargach przyznano sumę £ 6 miesięcznie. Jak się okazało, War Office zwróciło się w tej sprawie do polskiego Ministerstwa Obrony w hotelu „Rubens”. Odpowiedź była odmowna — polskie czynniki finansowo-wojskowe nie chciały opłacać „obcych urzędników konsularnych”.

Należy dodać, że ochotnicy polscy do służby w Afryce Zachodniej nie otrzymali z brytyjskiego Ministerstwa Wojny przysługującego im dodatku na wyposażenie tropikalne w wysokości (jednorazowo) £ 45. Przed wyjazdem z Anglii wypłacono im jedynie £ 15, a po przybyciu do Afryki otrzymali jeszcze po £ 10. 28 listopada 1941 roku premier Churchill napisał ostry list do generała Ismay'a, piętnujący kramarskie kłótnie i obcinanie funduszy. Poprosił również o nazwisko oficera odpowiedzialnego za ten skandaliczny stan rzeczy.

Mimo to finansowa sytuacja polskich oficerów w Afryce Zachodniej pozostała bez zmian, co czasami doprowadzało do poważnych zatargów z Brytyjczykami. W jednym z batalionów strzelców pogranicznych przydzieleni oficerowie polscy zjawiali się w mesie w mundurowych koszulach, ale bez przepisowych mundurów, dlatego, że nie mieli za co ich kupić.



W ostatecznym rozrachunku w końcu maja 1943 roku ilość oficerów w ramach „polskiego eksperymentu” po znacznym wykruszeniu się spadła do 224, w tym 1 pułkownik, 3 majorów, 84 kapitanów i 136 poruczników. Ubytek około 10% oficerów polskich z korpusu pogranicznego Afryki Zachodniej odpowiadał normom przyjętym w Armii Brytyjskiej dla oficerów służących w Afryce.

Raporty polskich oficerów łącznikowych, szczególnie uczulonych na honor narodowy, podkreślają to bardzo wyraźnie. Podają one, że jeden z przybyszów ze Szkocji nie nadawał się do jednostki wojskowej i był jednakowo nie lubiany przez polskich i brytyjskich kolegów. Inny był stale nieogolony i niechlujny i nie zwracał uwagi na zastrzeżenia czynione przez oficerów obu nacji.

Stosunki pomiędzy Polakami a Brytyjczykami w Afryce Zachodniej układały się różnie. Służbowe były na ogół zadowolające. Poza służbą jednak dochodziło do starć „obyczajowo-towarzyskich”. Wynikały one z całkowitej odmienności charakterów narodowych i tradycji. W pierwszym okresie „aklimatyzacji” Brytyjczyków irytowały siatki na włosy, które oficerowie polscy często nosili przy śniadaniu. Polaków natomiast drażnił stosunek Anglików do tubylców. Sami nie poczuli się do obowiązku „dźwigania prestiżu białego człowieka” w tropikach i traktowania z góry miejscowych wodzów plemiennych. To z kolei powodowało niechęć strony brytyjskiej, wyczuwanej na kordialność polskich oficerów wobec ludności miejscowej, głównie przejawiającą się w nastawieniu do spraw seksualnych i licznych związków z Murzynkami. Polacy nie mieli żadnych zahamowań w tej dziedzinie i nie zdawali sobie sprawy z nakazu brytyjskiego: „rób co chcesz, byle cię nie złapano”, co było regułą w brytyjskich instytucjach na terenie kolonii. Wręcz przeciwnie, przyznawali się całkiem otwarcie do przejściowych związków z miejscowymi dziewczynami i do „kupowanych żon” w kolejnych miejscach postoju. Zdarzyło się, że polski oficer, który zmarł w Freetown na żółtą febrę, pozostawił dziecko sponożyte z tubylką. Koledzy złożyli się na zapewnienie matce i dziecku skromnych warunków egzystencji. Spotkało się to z gwałtownym sprzeciwem ich brytyjskich kolegów i pogłębiło ogólne przekonanie, że „Polacy nie są džentelmenami”.

Oficerowie polscy dużo pili. Ale znacznie mniej od Brytyjczyków. W ciągu dwóch lat tylko jeden z nich został odesłany do Anglii jako alkoholik. W każdym razie abstynencja w tropikach była przywarą „antyspołeczną”, a czasami przeszkadzała w karierze.

W miarę upływu czasu stosunki pomiędzy Polakami i Brytyjczykami zaczęły się poprawiać. Były one doskonałe w Sierra Leone i w Gambii, chociaż gorsze na Złotym Wybrzeżu, a najgorsze w Nigerii, gdzie *harmattan*, wiatr wiejący z Sahary, bardzo niekorzystnie działał na Europejczyków.

Wiele tu zależało od osobistych cech poszczególnych oficerów. I tak polscy kawalerzyści przystosowywali się znacznie szybciej i lepiej do miejscowych warunków i nawiązywali serdeczne i bliskie stosunki z brytyjskimi oficerami przedwojennego korpusu Zachodnioafrykańskiej Służby Pogranicznej.

Polscy oficerowie łącznikowi w swoich raportach stale podkreślali doskonałe stosunki istniejące pomiędzy żołnierzami z miejscowego zaciągu a oficerami polskimi. Polacy różnili się od Brytyjczyków w tak istotnej sprawie jak inspekcja swoich oddziałów w miejscu zakwaterowania. Brytyjczycy nigdy tego nie robili.

Poważnym zagadnieniem były relacje między polskimi oficerami a brytyjskimi podoficerami. Ci ostatni uważali, że napływ Polaków do Afryki Zachodniej pozbawił ich możliwości awansu.

Mimo wszystkich trudności raz tylko doszło do gwałtownego spięcia polsko-brytyjskiego. Miało ono miejsce w 12 batalionie nigeryjskim. Generał Hawkins szybko i zdecydowanie rozszedził konflikt: brytyjski dowódca jednostki został pozbawiony swego stanowiska.

W kilku wypadkach brytyjscy starsi oficerowie nie potrafili opanować nieprzyjaznych odruchów wobec Polaków, tak znacznie odbiegających w swym zachowaniu i reakcjach od angielskiej wyobraźni. Polacy nie cenili poczucia humoru Anglików, ich zainteresowania sportem, drażnił ich brak zainteresowania brytyjskich oficerów dla innych narodowości.

„Polski eksperyment” był całkowitą nowością w systemie organizacji wojskowej. To, że zdał ostatecznie egzamin, należy przypisać w pierwszym rzędzie dowódcy gen. sir George J. Giffardowi. Istnienie „polskiego eksperymentu” pozwoliło na zatrudnienie 250 oficerów brytyjskich z Zachodniej Afryki w jednostkach walczących na europejskim i innych terenach operacyjnych, a jednocześnie wykazało, że w potrzebie polscy oficerowie zdolali wywiązać się z powodzeniem z zadań, do których nie byli uprzednio przygotowywani i to w warunkach nieznaności terenu.

Postowie

„Polski eksperyment” w brytyjskiej Afryce Zachodniej poszedł w zapomnienie. Na jego temat ukazały się po wojnie dwie książki dawnych jego uczestników: Jerzego Rostworowskiego „W słonecznym rytmie” i Lucjana M. Kneblewskiego „Nie taki Murzyn czarny”. Wspomnienia mjr. Henryka Giełdzińskiego, „starszego oficera łącznikowego”, były drukowane w Jerozolimie jeszcze przed zakończeniem wojny, ale książkowego wydania się nie doczekały. Obszerne omówienie całości zostało ogłoszone po angielsku w: *The Royal United Services Institution Journal*, vol. CX, August 1965, nr 639.

Niniejsze opracowanie opiera się na archiwach Głównego Polskiego Oficera Łącznikowego. Były one złożone w Achimota College w Ghanie, dawnej kolonii Złotego Wybrzeża. Po ogłoszeniu niepodległości 7 lutego 1957 roku Ghana stała się republiką, a od 1 lipca 1961 roku — częścią Brytyjskiej Wspólnoty Narodów. W tymże czasie połączyła się z byłymi koloniami Gwineą i Mali w jedno państwo suwerenne.

Wszelkie pozostałości po rządach kolonialnych zostały odesłane wówczas do ich krajów macierzystych. PRL wysłała do Akry, stolicy nowopowstałego państwa, Eugeniusza Kułagę, jako posta, który starał się o przejęcie dokumentów, dotyczących działalności polskich oficerów w tej części Afryki podczas wojny. Mimo, że dr Kwame Nkrumah, prezydent Ghany, zresztą członek Rady Koronnej (P.C.) monarchy Wielkiej Brytanii, był osobistością bardzo popularną w Sowietach i w krajach „obozu socjalistycznego”, prośba Warszawy została odrzucona na wniosek Kofu Baako, ówczesnego ministra Obrony Ghany.

Archiwa z Achimota College zostały przekazane rządowi polskiemu w Londynie. Na wniosek generała Mariana Kukiela, ówczesnego ministra Obrony Narodowej, dyrektora Instytutu Historycznego im. gen. Sikorskiego, archiwa z Achimota i kilku innych drobniejszych ośrodków w Ghanie przeszły pod opiekę naczelnej bibliotekarki Instytutu, dr E. Oppmanowej, która przeprowadziła ich klasyfikację i zapewniła ochronę przed zniszczeniem na skutek zasadniczej zmiany warunków klimatycznych, w jakich znalazły się dokumenty, powstałe w klimacie tropikalnym, po złożeniu ich w zimnym i wilgotnym klimacie londyńskim. Znajdują się one tam do dziś.

Czesław JESMAN

Józef GARLIŃSKI

OPERACJA „FRIENDSHIP”

W roku 1983 powstała w Stanach Zjednoczonych organizacja pod powyższą nazwą, która zastąpiła działającą dotychczas, od przeszło 25 lat, podobną organizację, „Operation Friendly Invasion”. Obydwie zostały stworzone dla podtrzymania pamięci o walkach drugiej wojny światowej, dla poszerzenia wiedzy o tym wielkim kataklizmie oraz dla stworzenia pomostu wzajemnego zrozumienia, szacunku a nawet przyjaźni pomiędzy walczącymi wówczas narodami. Od samego początku pracą kierował ppłk Hall F. Ryder, który przez wiele lat działał głównie na terenie Stanów i Kanady i dopiero w roku 1984 sięgnął do Europy. Jego

organizacja przygotowała obchody 40-tolecia inwazji północnej Francji, w dniu 6 czerwca, na odcinku wybrzeża, który wówczas nosił kryptonim „Utah”.

Ten pierwszy krok w kierunku Europy i innych terenów, na których toczyły się walki ponad 40 lat temu, doprowadził do zaplanowania pięciu historycznych sympozjów dotyczących wywiadów, specjalnych tajnych służb i ruchów oporu. Pierwsze z sympozjów, o których tutaj mowa, zaplanowano w Luksemburgu z przedstawicielami Austrii, Belgii, Danii, Francji, Holandii, Kanady, Luksemburga, Norwegii, Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Włoch. Drugie ma objąć Korsykę, Północną Afrykę, Szwajcarię i Szwecję; trzecie Japonię, Niemcy i Włochy; czwarte Rosję Sowiecką i opanowane przez nią kraje: Bułgarię, Czechosłowację, Polskę, Rumunię, Węgry i Niemcy Wschodnie, z dodatkiem Grecji i Jugosławii. Na miejsce sympozjum przewidziano Moskwę i podjęto w tej sprawie rozmowy. Wreszcie piąte, dotyczące Pacyfiku, ma objąć Australię, Chiny, Filipiny i Singapur.

Podobnych sympozjów odbywa się wiele, co roku jakiś zachodni kraj jest terenem spotkania historyków i świadków wydarzeń; nie mamy na emigracji polskiej agencji, która by śledziła te inicjatywy, i przeważnie dowiadujemy się o nich przypadkowo. Tak było i tym razem. Zamieszkały we Francji ppłk Leon Śliwiński, który w czasie wojny stał na czele sieci polskiego wywiadu (F-2), a obecnie jest w stałym kontakcie z francuskimi weteranami i historykami, dowiedział się od nich o sympozjum. Przejrzał nadesłane materiały, dostrzegł, że Polskę ma się włączyć w blok sowiecki, i podjął akcję. Dzięki przyjaźni z płk. Pierre Fourcaud, w którego rękach skoncentrowane zostały sprawy francuskiej reprezentacji w Luksemburgu, uzyskał jego obietnicę, że poprze polską sprawę u ppłk. Rydera i postara się, by w sympozjum znalazło się miejsce dla Polaków. Trudno przecieżyć pominąć kraj, który pierwszy postawił Hitlerowi opór, miał najsilniejszy w Europie ruch podziemny, siły zbrojne na Zachodzie i wywiad z wieloma osiągnięciami na rzecz zachodnich aliantów.

Próba przekonania ppłk. Rydera zakończyła się fiaskiem, bo choć zrozumiał, że głos polski, który odezwie się w Moskwie, będzie głosem sowieckich agentów, nie widział już możliwości zaproszenia osobnej polskiej reprezentacji z zachodnich krajów na kilka tygodni przed sympozjum. Z tego samego powodu odpadła możliwość pomocy ze strony delegacji brytyjskiej, pozostała jedynie Francja. Tradycja wielowiekowych więzów łączących nasze kraje okazała się silniejsza od formalnych trudności. Francuzi zgodzili się na włączenie do ich delegacji dwóch Polaków, ppłk. Śliwińskiego i mnie, jako b. oficera AK i historyka drugiej wojny światowej. Śliwiński przygotował wykład o swej siatce wywiadu we Francji, ja zdecydowałem się na niemieckie tajne

bronie, V-1 i V-2. Był to dobry temat, bo łączył Polskę z Zachodem i przedstawiał wysiłek i sukces wywiadu AK, związany z niemieckimi eksperymentami w Peenemünde i z raketami.

Symposium trwało cztery dni (20-23 marca) i zgromadziło przede wszystkim uczestników wielkiej wojny z dwunastu wyżej wymienionych krajów. Na ich czoło wysunął się Norweg, Knut Haukelid, dowódca norweskiej dywersyjnej grupy, która zniszczyła fabrykę „ciężkiej wody” i uniemożliwiła Niemcom wyprzedzenie Amerykanów w produkcji bomby atomowej. Wiele ciekawych informacji wniósł szef delegacji brytyjskiej, Sir Robin Brook, który jako przedstawiciel „Special Operations Executive” należał do ścisłego sztabu gen. Eisenhowera. Interesujące były wykłady i wspomnienia Belgów i Holendrów. Dwóch historyków, dr Hans Christian Bjerg z Danii i prof. Magnes Skodvin z Norwegii, w syntetycznych wykładach dało podsumowanie ruchów podziemnych w swoich krajach. Z wybitnych osobistości uczestniczył w symposium Amerykanin, William Colby, który w czasie wojny kierował amerykańskimi dywersyjnymi operacjami (OSS) w Norwegii, a po wojnie stał na czele CIA (Central Intelligence Agency).

Bez fałszywej skromności muszę stwierdzić, że nasz, polski występ wywołał chyba największy oddźwięk i odpowiadaliśmy na największą ilość pytań. Nie był to tylko wynik naszych wykładów, ale także obecne położenie naszego kraju i jego wojenne losy oraz fakt, że znaleźliśmy się w ramach delegacji francuskiej (ja nie mówię po francusku). W dyskusji sprawy te były szeroko poruszane i omawiane, wiele pytań dotyczyło nawet naszej dalszej przeszłości, sięgano do okresu sprzed zaborów, pytano o stosunki polsko-rosyjskie w dawnych wiekach, uczestnicy chcieli zapoznać się szerzej z losami naszego narodu i dali nam okazję do szerszych odpowiedzi.

Symposium zgromadziło około 80 osób, wśród których znalazła się grupa studentów z uniwersytetu na Florydzie. Poziom wykładów był różny, nie wszyscy uczestnicy wojennych wydarzeń potrafili mówić o tym, co było wówczas najważniejsze, jak zwykle we wspomnieniach było sporo przesady, ale ogólny bilans sympozjum uznać trzeba za bardzo dodatni. Trudno nie przypomnieć osoby organizatora, ppłk. Rydera, który częściowo sam finansuje prowadzoną przez siebie organizację. Ma ona typowo amerykański charakter: opiera się na wierze, że międzynarodowe zrozumienie i zbliżenie jest możliwe. Oczywiście można tej wierze przeciwstawić cynizm polityczny, ale nie zmienia to faktu, że organizacje takie powinny istnieć i że każdy, nawet najkrótszy krok w kierunku zbliżenia między narodami jest ważny i konieczny.

Józef GARLIŃSKI

MEMORANDUM

w sprawie rzekomej masakry jeńców niemieckich
w dniu 18 maja 1944
w ruinach klasztoru Monte Cassino

Dnia 18 marca 1983 roku nadano w programie ARD (*Arbeitsgemeinschaft der Rundfunkanstalten Deutschlands*) audycję z dziedziny historii współczesnej pod bardzo wymownym tytułem: „Zbrodnie wojenne — na podstawie akt Komisji Wehrmachtu do badań zbrodni wojennych — front zachodni: 1939-1945”.

Na łamach jednego z czasopism telewizyjno-programowych, prawdopodobnie poinformowanego przez prasowy oddział WDR (*Westdeutscher Rundfunk*), audycja ta była poprzedzona następującym komentarzem: „W czasie drugiej wojny światowej miały miejsce nie tylko zbrodnie niemieckie. Także po stronie aliantów doszło do poważnego naruszenia międzynarodowego prawa wojennego. W pierwszym odcinku dwuczęściowego filmu dokumentalnego zostaną poruszone niemieckie i alianckie zbrodnie wojenne na froncie zachodnim od 1939 do 1945 roku. Amerykański historyk Alfred de Zayas wykorzystał do swoich opracowań dokumenty Komisji do Badań Zbrodni Wojennych. Są one uzupełnione zdjęciami, tygodnikiem filmowym, opowiadaniem świadków i osób bezpośrednio dotkniętych tymi zbrodniami, ich przeżyciami i cierpieniami”.

Powołanie się na amerykańskiego historyka miało zapewne służyć przekonaniu widza o prawdziwości i obiektywizmie audycji, której — jak się okazało — de Zayas nie był wyłącznym autorem. Audycja została zrealizowana przez grupę prawicowych współpracowników firmy „Luebbe-tv” w Monachium, to jest dr. Wolfganga Venohra, dr. Michaela Vogta i właśnie dr. Alfreda Maurice de Zayasa.

Nadto przed ukazaniem się audycji na ekranie telewizyjnym, *Deutsche National- und Soldatenzeitung* (skrajnie prawicowy tygodnik) z dnia 18 marca 1983 roku poinformowała swoich czytelników o odwadze, „jaką dla WDR miało być podjęcie się obnażania niewygodnej prawdy”. W dodatku skrypt audycji rozsyłano jeszcze, na życzenie zainteresowanych, kilka miesięcy po jej nadaniu.

Nie jest możliwe dokładne podsumowanie reakcji społeczeństwa na tę audycję. W każdym razie jedna wypowiedź wywołała powszechne oburzenie i falę protestów w prasie. Chodzi o wystąpienie byłego sierżanta, przedstawionego w programie jako Manfred Franz Hoflehner, uczestnik bitwy pod Monte Cassino

i jednocześnie rzekomy świadek wydarzeń, związanych z zajmowaniem przez żołnierzy polskich ruin klasztoru w dniu 18 maja 1944 roku.

Zgodnie z treścią manuskryptu audycji, wypowiedź Hoflehnera brzmiała dosłownie: „Jak jeszcze nasi ludzie mogli zaobserwować, polski oddział wdarł się do klasztoru między Casa San Anphrio a wzgórzem 445. W klasztorze było wówczas jeszcze 16-tu ciężko rannych, wśród nich także jeden polski oficer, dwu polskich żołnierzy i jeden Hindus, pod opieką lekarza i oficera sanitarnego z naszej strony. Ci dwaj sanitariusze schowali się przed wdzierającymi się Polakami i musieli obserwować, jak ci Polacy ich własnych ludzi i naszych obstrzeliwali pistoletami maszynowymi i potem tym ludziom poprzecinali jeszcze gardła”.

Na powyższe oskarżenie najszlachetniej zareagował — w intencji i w formie — Aleksander Tiplt, historyk z Unterhaching w Niemczech. O swoim zaangażowaniu się w tę sprawę Tiplt pisze: „Późną jesienią (1983) odwiedził mnie mój dawny kolega szkolny — pan Stanisław Nowicki z Londynu. Odnaleźliśmy się po 43 latach. On w czasie wojny jako Polak był w 3-ciej dywizji Strzelców Karpackich, walczył również pod Monte Cassino, a ja jako Niemiec walczyłem na froncie wschodnim. To właśnie on opowiedział mi historię przedstawioną w WDR i muszę przyznać, że z początku nie mogłem wprost uwierzyć. Kiedy jednak zaznajomiłem się bliżej z przebiegiem całej sprawy, to zdawało mi się — niepoprawnemu optymiście, który do pewnego stopnia stał się dumny ze swojej ojczyzny, jeśli pominie się zbezczeszczenie niemieckiego imienia przez narodowy socjalizm — że kilka pisemnych wyjaśnień nakłoni WDR do oficjalnego sprostowania popełnionego błędu. Przyznanie się do błędu nie przynosi wstydu. WDR zawierzył przecież ławowiernie fałszywej informacji”.

Z tą nadzieją Tiplt rozpoczął korespondencję z WDR, dostarczając jej wyjaśnienia i dowody. Ku swojemu zdziwieniu przeczytał w odpowiedzi WDR na jego pismo z dnia 7 maja 1984, że chodzi tu przecież „... o mniej niż 60 sekund, w filmie o długości 90 minut...”. Trzy tygodnie później, w liście z 25 maja, Tiplt dał dosadną ripostę: „... nie potrzeba aż 60 sekund, by ludziom odebrać honor — 5 sekund wystarczy; nie potrzeba 3/4 strony manuskryptu — jedna linijka wystarczy!”.

Wobec stanowiska WDR Tiplt zabrał się intensywnie do żmudnego zbierania dowodów, ażeby wykazać, że zarzut stawiany Polakom jest bezpodstawny. Rezultatem jego pracy, trwającej półtora roku — przy współudziale Stanisława Nowickiego z Londynu — jest obszerne *Memorandum*, rozesłane przez Tiplta nie tylko w Niemczech, lecz i za granicę do różnych osobistości władających językiem niemieckim. *Memorandum* zostało również wydane na powielaczu w języku polskim i liczy 69 stron, a z uzupełnieniem stron 73. Niniejsze opracowanie w *Zeszytach Historycznych* jest streszczeniem — przeważnie dosłownym — tego właśnie *Memorandum*. Przygotowane z całą starannością i troską o

dotarcie do wszelkich dostępnych źródeł, *Memorandum* stanowi wzór sumienności wypływającej z intelektualnej potrzeby Autora zdemaskowania kłamstwa i wykazania prawdy.



Tiplt wykorzystał literaturę przedmiotu w językach: polskim, angielskim, niemieckim, włoskim i francuskim, nigdzie jednak — jak pisze — „nie znaleziono nawet cienia dowodu, potwierdzającego słuszność zeznań p. Hoflehnera”. Podobnie było z Międzynarodowym Czerwonym Krzyżem, do którego Tiplt się zwrócił. Autor *Memorandum* szukał dokumentacji wszędzie tam, gdzie była mowa o bitwie Monte Cassino.

Jeśli chodzi o Polaków, to zareagowały oczywiście organizacje kombatanckie w Londynie oraz rozrzuconi po świecie żołnierze. Na podstawie akt Instytutu Polskiego i Muzeum im. Gen. Sikorskiego w Londynie oraz opracowania historycznego płk. Mieczysława Młotka pt. „Trzecia Dywizja Strzelców Karpackich 1942-1947” odtworzono dokładnie przebieg wydarzeń z dnia 18 maja 1944 roku. Oparto się też oczywiście w dużym stopniu na świadectwach uczestników bitwy o Monte Cassino.

Podporucznik Kazimierz Gurbiel — mieszkający obecnie w Polsce — dowódca IV plutonu 1-go szwadronu 12 Pułku Ułanów Podolskich z 3-ciej Dywizji Strzelców Karpackich, posadzony o wydanie rozkazu, bądź o tolerowanie masakry jeńców niemieckich, oświadczył pod słowem honoru, że „po wejściu na teren klasztoru Monte Cassino nie padł ani jeden strzał od żadnej ze stron” i że żaden żołnierz „nie zrobił krzywdy żadnemu z żołnierzy 4-tej dywizji spadochronowej (niemieckiej), którzy przeszli tak morderczy ogień”.

Wachmistrz Antoni Wróblewski (obecnie w Kanadzie), zastępca ppor. Gurbiela, stwierdził że „patrol ppor. K. Gurbiela, który pierwszy wkroczył do ruin klasztoru na Monte Cassino, nie posiadał bagnetów (a więc nie mógł „poprzecinać gardeł”)... Jeńcy pod eskortą doprowadzeni zostali do dowództwa 12 Pułku Ułanów Podolskich... Żadnego polskiego oficera ani też żołnierza, tudzież Hindusa wśród niemieckich jeńców nie było...”. Podobne oświadczenie złożyli inni żołnierze polscy, którzy wkroczyli do zdobytego klasztoru Monte Cassino.

Tiplt zwrócił się jednocześnie z prośbą o informację do żołnierzy austriackich i niemieckich, którzy walczyli pod Monte Cassino. Prezes Wiedeńskiego Koła Koleżeńkiego, inż. Otto Jaus odpowiedział, że „nic na ten temat (wersji Hoflehnera) nie wie” i że koledzy również „nie mogli dać na ten temat żadnych informacji. Tym samym sprawa jest dla nas zamknięta”.

Przewodniczący Związku Niemieckich Strzelców Spadochronowych, podpułkownik Otto Rausch napisał, że „Stowarzyszenie tym problemem do tej pory się nie zajmowało, gdyż on nie

istniał". Dr Walter Beer, były lekarz 3 pułku Strzelców Spadochronowych stwierdził, że „o masakrze nic nie wie”. Hans Teske, zamieszkały w Anglii przedstawiciel Związku Niemieckich Strzelców Spadochronowych na Wielką Brytanię, pisał w liście z 27 kwietnia 1984 roku: „Nawiązałem kontakt z niemieckim spadochroniarzem mieszkającym w Wielkiej Brytanii, który rzeczywiście był jeńcem polskich żołnierzy na Monte Cassino. Był on wówczas ranny i znajdował się w punkcie sanitarnym. Nie widział żadnej rzezi, a przeciwnie, był dobrze traktowany”.

Spadochroniarz, o którym mowa wyżej, nazywa się Robert Frettloehr i dnia 13 lipca 1984 złożył pod przysięgą zeznanie, w którym oświadczył: „... Między godziną dziewiątą a dziesiątą polscy żołnierze weszli w ruiny klasztoru i zajęli punkt opatrunkowy. Ze mną było coś około piętnastu kolegów. Ja i dwaj przyjaciele, jeden z nich ciężko ranny, pozostaliśmy jeszcze jakiś czas w punkcie opatrunkowym. Inni zostali odprowadzeni pod konwojem do niewoli. Dopiero po południu, z jednym polskim żołnierzem, zesłaliśmy bardzo wolno z góry klasztornej i dalej zostaliśmy odtransportowani karetką pogotowia razem z żołnierzami angielskimi. Tego ciężko rannego zostawiliśmy w punkcie opatrunkowym; do którego szpitala polowego go odtransportowano, żałuję, ale nie wiem. Stamtąd pojechaliśmy do szpitala dla jeńców (Arversa) w pobliżu Neapolu. Polscy żołnierze traktowali nas dobrze; również zaopatrzenie było dobre; długo razem rozmawialiśmy. Ponadto stwierdzam, że ani jeden z nas nie został zastrzelony, a tym bardziej nie stracił życia przez poderżnięcie gardła”.

Po zdobyciu klasztoru Monte Cassino, około godziny 14-tej przybyło na wzgórze mniej więcej 30 korespondentów wojennych. Stanisław Nowicki z Londynu, współpracownik *Memorandum*, odszukał niektórych na terenie Wielkiej Brytanii. Oto kilka ich oświadczeń:

Mr Godfrey Talbot: „...Jako korespondent wojenny BBC towarzyszyłem czołowej jednostce pana ziomków i byłem jednym z pierwszych, którzy tego dnia wkroczyli w ruiny klasztoru. Nie byłem jednak świadkiem strzelania do kogokolwiek z karabinów maszynowych, żadnej strzelaniny w ruinach i wokół ruin tego dnia nie było, nikogo nie zabijano i nikomu nie podrzynano gardeł — krótko mówiąc — nie było żadnego gwałtu”.

Mr Erwin Tetlow: „... Nie mam najmniejszej wątpliwości, że ani w tym dniu ani potem nie znalazłem jakichkolwiek dowodów, aby potwierdzić to ohydne twierdzenie”.

Mr Leonard Marsland Gander: „... to było dla mnie niespodzianką (oświadczenie Hoflehnera). Nigdy nie słyszałem o rzekomym okrucieństwie na Monte Cassino”.

Hoflehner, składając oświadczenie przed kamerami telewizyjnymi, powoływał się na rzekome świadectwa zakonników z Monte

Cassino. W wywiadzie udzielonym u siebie w domu w Schwaz (Tyrol) dnia 19 maja 1984 roku powiedział: „...byli ponadto zakonnicy, którzy mi to potwierdzili po wojnie, a którzy dziś już, naturalnie, nie żyją”. Na uwagę p. Tiplta, że zakonnicy nie mogli przecież być naocznymi świadkami, Hoflehner odpowiedział: „Skąd oni to wiedzieli, nie wiem, ale zakonnicy z Monte Cassino opowiadali mi także, jak to Polacy niemieckim jeńcom podrzynali gardła”.

Wobec tego p. Tiplt, w swoich żmudnych dociekaniach, zwrócił się do Benedyktynów. Dr Victor Dammertz, Prymas Benedyktyńskiej Federacji w Rzymie, w liście z 11 grudnia 1984 stwierdził: „Przed dwoma tygodniami otrzymałem pańskie materiały w sprawie Monte Cassino. Sugerowane zarzuty są dla mnie zupełną nowością. Nasze archiwum było wykorzystywane przy opracowaniu książki o Monte Cassino, wydanej przez Congdon & Week, N.Y. w 1984 roku, autorstwa D. Hapgood i D. Richardson pt. 'Monte Cassino'. Czytając tę książkę odniosłem wrażenie, że jest dość obiektywnie napisana i nikogo nie krzywdzi. Wymienione przez Pana zarzuty nie są w niej ani słowem wspomniane”.

Benedyktyn z Monte Cassino, ojciec Luigi De Sario, w oświadczeniu z 21 maja 1985 roku pisał: „Byłem jednym z pierwszych mnichów, którzy 2 lipca 1944 roku powrócili do zniszczonego klasztoru i od tego czasu stamtąd nie odeszli. Nie znalazłem żadnego śladu zarzucanych okrucieństw... Do dnia 2 lipca 1944 **ŻADEN MNICH Z MONTE CASSINO** (dużych liter używa w liście jego autor) nie był ani w klasztorze ani w probostwie w rejonie Cassino. Tak więc ci mnisi, którzy świadczyli o wspomnianych okrucieństwach, nie umarli lecz *zostali zmyśleni*” (podkreślenie autora listu).



Jak słusznie pisze Tiplt w swoim *Memorandum*, „wyglądało to niemal nieprawdopodobnie, że w tak ważnej sprawie oparto się na wypowiedzi jednego żołnierza, który bezpośrednio nic nie widział i przedstawiał zdarzenia zasłyszane od osób trzecich, a ponadto uznano je za godne nadania w telewizji. O niewiarygodności takiego świadka wypowiadałem się parokrotnie w listach kierowanych do WDR”.

Do tych słów warto dodać ustęp z listu zakonnika Agostino Saccomano, który w związku z tą sprawą pisał do Tiplta: „Jest po prostu czymś nieludzkim, hańbiącym, wciąż wspominać okrucieństwa, ale jeszcze bardziej hańbiącym, gdy są one *wymyślane* (podkreślenie autora listu) i ponadto pokazywane w telewizji”.

Ze sposobu traktowania sprawy przez WDR Tiplt odniósł wrażenie, że „nie doceniają znaczenia pojęcia honoru i uważają, jakoby Polacy pod tym względem byli szczególnie i przesadnie wrażliwi”. Dlatego też Tiplt wyjaśnił im, że „żołnierze, którzy na

początku wojny zostali w swojej ojczyźnie pokonani, wyruszyli na obczyznę aby oswobodzić swoją ojczyznę, a kiedy zwyciężyli, nie mogli wrócić do ojczyzny, bo znowu była zajęta. Co im pozostało? — jedynie honor!”.

No jednej z pierwszych stron swojego *Memorandum* Tiplt zapewnia, że nie przestanie „nazywać rzeczy po imieniu, a szczególnie kłamstwa — kłamstwem”. Ze szczerym szacunkiem trzeba również przyjąć jego słowa, że „jako historyk i osoba ciężko w życiu doświadczona wiem, że czego dzisiaj się w prawdziwym świetle nie przedstawi, kłamstwa nie zdementuje i nie zdemaskuje, to już jutro może ono w ustach pozbawionych skrupułów demagogów zabrzmieć jak prawda”.



Opat benedyktyński z Maria Laach, dr Adalbert Kurzeja, w liście do Tiplta, nawiązując do zeznań Hoflehnera, pisze pod adresem Autora *Memorandum* następujące słowa, do których trudno jest już cokolwiek dodać: „... Należą się Panu podziękowania za tak wysoki, osobisty wkład w wyjaśnienie lub w zde-maskowanie fałszywego oświadczenia, które rzuca światło na wartość informacyjną i metody pracy naszych środków masowego przekazu”.

Kazimierz ZAMORSKI
(opracował)

Kazimierz ZAMORSKI (opr.)

MENACHEM

Menachem Buchweitz¹, urodzony w Krakowie w 1910 roku, doktor praw Uniwersytetu Jagiellońskiego, był jednym z redaktorów wychodzącego w Krakowie tygodnika syjonistycznego *Trybuna Narodowa*. Dość wcześnie zaangażował się politycznie w ruch syjonistyczny. Był członkiem ostatniego, przedwojennego Komitetu Centralnego Syjonistów Rewizjonistów w Małopolsce Zachodniej. W tej działalności poznał swego imiennika Menachema Begina, z którym współpracował i zaprzyjaźnił się.

Latem 1940 roku został aresztowany w Brześciu nad Bugiem za odmowę przyjęcia paszportu sowieckiego. W Związku Sowietkim — gdzie znalazł się w obozie, jak wielu jego ziomków —

1. Pierwotne nazwisko Buchweitz'a brzmiało Buchwajc. Pisownię zmienił po demobilizacji i osiedleniu się w Izraelu.

hebrajskie imię Buchweitz'a nie spodobało się jakiemuś aparatczykowi i z Menachema zrobiono Michała. Pogodzony chwilowo z losem, Michał Buchweitz zgłosił się wiosną 1942 roku w Kermine, w azjatyckiej części ZSSR, do wojska polskiego, odmówiwszy uprzednio wstąpienia do armii czerwonej. Wcielony do 22-go pułku 7-ej dywizji piechoty, ukończył podchorążówkę. Dumny ze swojego żydowskiego pochodzenia, które nie kolidowało w jego pojęciu z lojalnością w stosunku do państwa polskiego, Buchweitz zażądał zmiany imienia, co też osiągnął, stając się znowu Menachemem.

W czerwcu 1943 roku został odkomenderowany, a w styczniu 1944 definitywnie przeniesiony do Biura Dokumentów w charakterze referenta spraw żydowskich. W tym okresie przygotował pracę pt. „Położenie mniejszości żydowskiej w Rosji Sowieckiej”.

Wiosną 1943 roku, przed rozpoczęciem pracy w Biurze Dokumentów², napisał reportaż z dwutygodniowego urlopu, zatytułowany „Obserwacje i wrażenia z Palestyny”. Dzisiaj reportaż ten jest świadectwem zagadnień, jakie nurtowały wówczas ludność żydowską w Palestynie. Oto kilka wybranych problemów, jakie Buchweitz porusza w swoim reportażu:

W Hajfie rzucały się w oczy ponalepiane wszędzie propagandowe napisy i slogany partii komunistycznej w rodzaju: „Niech żyje wódz zwycięskiej armii Stalin”, „Natychmiast otworzyć drugi front” itp. I choć w rzeczywistości na terenie Palestyny partia komunistyczna liczyła tylko 1.300 członków, to jednak Komintern miał duży wpływ na opinię publiczną. Komintern potrafił umiejętnie wykorzystać działalność tzw. „Ligi V”, na czele której stali ludzie nie mający nic wspólnego z ideologią komunistyczną, co dla agentów Kominternu było tym wygodniejsze. Liga ta, mająca za zadanie niesienie pomocy armii czerwonej, urządziła szereg różnych imprez propagandowych.

Na czele wielu instytucji żydowskich w Palestynie stoją Żydzi rosyjscy. Uchodźstwo żydowskie w Rosji — pisze dalej autor reportażu — nie zna w ogóle Rosji sowieckiej, gdyż opuściło kraj przed rewolucją i jest nadal uczuciowo związane ze swą byłą ojczyzną, podobnie jak Żydzi polscy, którzy czują wielki sentyment do Polski i oddani są sprawie polskiej. Cenzura palestyńska nie dopuszcza nadto do jakichkolwiek wystąpień antysowieckich.

Buchweitz zwraca następnie uwagę na inercję i nieudolność polskiej propagandy, która przez swą bezczynność oddaje mimo woli usługi naszemu wrogowi. Społeczeństwo żydowskie przekonane jest o antysemityzmie panującym w szeregach armii polskiej i żyje nadal w rzeczywistości z lat 1937-1939, nie zdając sobie sprawy z kolosalnych zmian, jakie w międzyczasie zaszły w polskiej

2. Od jesieni 1943 roku Biuro Dokumentów znajdowało się w Jerozolimie. Paryż 1985 r.

myśli politycznej. Można by wykorzystać zwłaszcza dość liczne uchodźstwo żydowskie z Polski, które mimo wszystko jest nadal z nią związane. Nie jest również wykorzystany fakt istnienia wspólnego wroga w postaci komunizmu i nie przedstawia się zwycięstwa jego idei jako klęski, prowadzącej do zniszczenia narodu żydowskiego i dzieła odbudowy Palestyny.



Po skończeniu wojny Buchweitz stanął przed problemem, jaki nagle wyrósł przed wszystkimi Polakami, których wojna rzuciła poza granice swojego kraju: wracać czy zostać? Dla Buchweitz problem ten miał inny wydźwięk niż dla rdzennych Polaków, gdyż wiedział, że jeśli nie wróci do Polski, kraju w którym urodził się i wyrósł, zostanie w drugiej swojej ojczyźnie, niemniej mu drogiej, o której zmartwychwstanie zabiegał w swojej działalności politycznej.

Do jesieni 1947 roku Buchweitz był pracownikiem Polskiej Agencji Telegraficznej w Jerozolimie, redagując tam biuletyn w języku polskim i hebrajskim. Jak sam pisze o sobie: „W krótki czas po zwolnieniu z armii polskiej ubrałem mundur wojskowy, tym razem nasz mundur. W Jerozolimie byłem jednym z zdobywców Katamonu, stacji kolejowej i kolonii greckiej. Wyzyskałem moje zawodowe wiadomości, które nabyłem w szkole podchorążych w armii polskiej, dowodziłem jednym z dwóch moździerzy, jakie mieliśmy do dyspozycji w Jerozolimie: jeden na froncie północnym, drugi — który ja obsługiwałem — na froncie południowym”.

Ze sformułowania „... tym razem nasz mundur” można by wysnuć błędny wniosek, że polski mundur był mu obcy. W rzeczywistości jednak chodzi o zrozumiałą dumę obywatela Izraela z odzyskanej przez jego kraj niepodległości, o którą aktywnie zabiegał od młodości.

Rotmistrz Kazimierz Święcicki, szef Biura Dokumentów, w służbowej opinii o Buchweitzu napisał przecież, że „czynny syjonista, jednak bardzo lojalny wobec spraw Państwa Polskiego”. Porucznik Podoski w liście pożegnalnym do Buchweitz podkreślił: „Dał się Pan poznać jako lojalny obywatel Rzeczypospolitej Polskiej, szczerze oddany Jej sprawie”. Później oddany był sprawie Izraela, zachowując „sentymnt do tamtej Rzeczypospolitej Polskiej, której już nie ma i do tamtego Krakowa, którego też już nie ma”.

Kazimierz ZAMORSKI
(opracował)

ROZMOWA
AMERYKAŃSKIEGO CHARGÉ D'AFFAIRES
Z GENERAŁEM SIKORSKIM W PARYŻU

Pan Prezydent
Biały Dom

W.P. Podsekretarz Satnu
Waszyngton

15 kwietnia 1940.

Szanowny Panie Prezydencie!

W związku z naszą niedawną rozmową na temat wyjazdu pułkownika Becka z Rumunii, załączam dla Pańskiej informacji kopię memorandum p. Murphy'ego, *chargé d'affaires* naszej ambasady w Paryżu, datowanego 21 marca. Zawiera ono relację rozmowy p. Murphy'ego z polskim premierem, generałem Sikorskim. Zainteresują Pana informacje generała Sikorskiego na temat obecnej działalności pułkownika Becka.

Łączę wyrazy poważania

(Ambasada amerykańska w Paryżu)



Kopia

Paryż, 21 marca 1940.

MEMORANDUM

Ja dłem dziś obiad z generałem Sikorskim, polskim premierem i wodzem naczelnym wojska polskiego we Francji. Opowiedział mi trochę o swoich wysiłkach na rzecz odbudowy wojska polskiego i swoich staraniach jako premiera.

Legion Polski liczy jego zdaniem obecnie 52.000 żołnierzy; nie dalej jak wczoraj posłano 27 polskich lotników na front zachodni po intensywnym treningu we Francji.

Powiedział też, że pragnie, aby ambasador Bullitt wiedział, iż pan M. Łukasiewicz, były ambasador Polski w Paryżu, został wzięty pod opiekę. Na rozkaz Sikorskiego M. Łukasiewicz dostaje stypendium w wysokości ośmiu tysięcy franków miesięcznie; poruczone mu zebranie wyczerpującej dokumentacji wydarzeń, które doprowadziły do wojny niemiecko-polskiej.

Generał Sikorski powiedział, że on sam przyjął jedynie dziesięć tysięcy miesięcznie; różnicę między tą sumą a płacą, która mu się z tytułu należy przeznacza na polskie cele charytatywne.

Następnie generał Sikorski obszernie zrelacjonował mi występki Becka. Jego zdaniem Beck zachowuje się w Rumunii w

sposób skandaliczny, wydając wielkie sumy na rozrywki, mimo że wielu Polaków przymiera głosem. Pani Beckowa miała przy sobie w chwili przekraczania granicy rumuńskiej z 562.000 dolarów „kieszonkowego”.

Generał Sikorski powiedział również, że księżę Radziwiłł był jedenastym Polakiem, któremu Niemcy zaproponowali stanowisko generalnego gubernatora Warszawy. Radziwiłł odmówił. Zdaniem Sikorskiego żaden Polak nie może sobie pozwolić na przyjęcie tej oferty, bowiem równałoby się to nieuchronnemu wyrokowi śmierci na niego.

Generał powiedział też, że wojsko polskie cieszy się wysokim morale; nie wątpi on, że stan jego może przekroczyć 200.000 żołnierza.

Podpisane: *Robert D. MURPHY*
chargé d'affaires ad interim

RECENZJE

Władysław BARTOSZEWSKI

SAMOTNY BÓJ WARSZAWY 1944*

Bibliografia powstania warszawskiego obejmuje dziś kilka tysięcy pozycji, głównie relacji, wspomnień (w tym niektórych ważnych i cennych, min. Bora-Komorowskiego, St. Korbońskiego, Z. Zaremby, F. Majorkiewicza, J. Nowaka), w mniejszym stopniu opracowań, w najmniejszym dokumentacji. Większość książek i artykułów na ten temat ukazała się w kraju, niezbyt wiele na emigracji w języku polskim, kilka zaledwie godnych uwagi pozycji w językach obcych w Wielkiej Brytanii, Stanach Zjednoczonych, Niemczech i Francji. Trwałe znaczenie będą zapewne miały materiały ogłoszone w tomie IV dzieła „Armia Krajowa w dokumentach” (Londyn 1976), w pracy zbiorowej „Ludność cywilna w powstaniu warszawskim” (Warszawa 1974), w *Zeszytach Historycznych* (szczególnie „Dziennik działań niemieckiej 9. armii”, *Zeszyty Historyczne* nr 15), oraz niektóre dokumenty opracowane przez Stanisława Płoskiego w wydawnictwie PAN „Najnowsze dzieje Polski. Materiały i studia z okresu drugiej wojny światowej”. Jest też solidna niemiecka monografia Hansa von Kranhalsa „Der Warschauer Aufstand 1944” (Frankfurt 1964), w której przywołano po raz pierwszy pewne dokumenty strony niemieckiej. W zakresie problematyki powstania w kontekście sytuacji międzynarodowej do podstawowych dzieł należy tom VI

* Tadeusz Żenczykowski, „Samotny bój Warszawy”, Editions Spotkania, Paryż 1985, str. 196, fotografie.

(„Triumph and Tragedy”, 1954) fundamentalnej pracy Winstona Churchilla „The Second World War”, ale też „Documents on Polish-Soviet Relations 1939-1945”, Vol. II (London 1967) i — w różnych wydaniach — korespondencja Churchilla, Roosevelta i Stalina. Natomiast w długim szeregu publikacji polityczno-publicystycznych do pierwszych należały dwa konspiracyjne teksty krajowe: Zygmunta Zaremby „Powstanie warszawskie”, ogłoszone w ostatnich miesiącach 1944 roku i wznowione w 1945 roku, oraz rzecz Romana Goldmana, wydana staraniem ówczesnej Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj w Krakowie w lipcu 1945 roku, w przededniu pierwszej rocznicy powstania warszawskiego, pt. „Bój Warszawy”. W nawiązaniu do tej właśnie pozycji przyjął Tadeusz Żenczykowski dla swej nowej pracy dokumentacyjno-politycznej tytuł „Samotny bój Warszawy”, dobrze określający założenia tematyczne książki. Żenczykowski, najlepszy dziś zapewne na Zachodzie (obok Andrzeja Pomiana) znawca problematyki powstania warszawskiego i autor głośnej już w Polsce książki „Dramatyczny rok 1945” był — jak mało kto — kwalifikowany do zajęcia się zagadnieniem politycznych aspektów powstania warszawskiego. Autor założył sobie udzielenie odpowiedzi na pytania w historiografii krajowej pomijane, oświetlane w sposób kaleki lub świadomie fałszywy. Problemy zarazem pasjonujące dziś młodsze pokolenie: czy decyzja powstania była w ogóle słuszna i czy powzięta we właściwym czasie, czy armia sowiecka chciała i mogła w sierpniu 1944 zająć Warszawę, czy też nie chciała lub nie mogła, co wiedzieli o tym i myśleli alianci zachodni i w jaki sposób traktowali zobowiązania sojusznicze wobec Polski w tym krytycznym momencie jej dziejów? Pochodną tych pytań mógłby być problem, czy w 1944 roku istniała w ogóle skuteczna i pewna droga do odbudowy w pełni suwerennej i niepodległej Rzeczypospolitej Polskiej, a w przypadku jeśli taka droga nie istniała, jak należało postępować. A więc np.: czy należałołożyć ręce, pozostawić rzeczy swemu biegowi i zrezygnować z dalszej walki z okupantem niemieckim, przyjmując założenie, że będzie, jak ma być. I co by z tego wynikło?

Żenczykowski, posługując się dokumentami dostępnymi w zachodnich wydawnictwach źródłowych i wyszukanymi w archiwach polskich w Londynie oraz w aktach brytyjskiego Foreign Office, ale także odczytując umiejętnie niektóre teksty ogłoszone w ZSSR i PRL, udziela na te pytania swojej odpowiedzi.

Do ulubionych argumentów historiografii komunistycznej należy na przykład twierdzenie, że miasto Warszawa nie stanowiło w ogóle celu sowieckiej ofensywy letniej w 1944 roku. Przeczy temu mapa (wykryta i omówiona przez Andrzeja Pomiana) ogłoszona w tomie specjalnym Wielkiej Encyklopedii Sowieckiej z 1947 roku, na której zamierzone „ostrze ofensywy sowieckiej godzi właśnie w Warszawę” (A. Pomian). Żenczykowski wynalazł w nieprzeznaczonym do szerokiego kolportażu wydawnictwie Wojskowej Akademii Politycznej im. F. Dzierżyńskiego w Warsza-

wie z 1984 roku mapkę, która wyraźnie określa zamiary operacji warszawskiej 1. Frontu Białoruskiego, pokrywające się zarówno z ówczesnymi przewidywaniami sztabu AK, jak i dowództwa niemieckiego. W dzienniku 9. armii niemieckiej sformułowano pogląd, który Zenczykowski przypominał:

„Polski ruch podziemny wiedział, że pod koniec lipca nie mogło być mowy o utworzeniu frontu niemieckiego na Wiśle, że raczej masy wojsk niemieckich ciągnęły na zachód przez Warszawę, że liczne niemieckie urzędy opuściły miasto. Było więc nieprawdopodobne, by udało się Niemcom powstrzymać letnią ofensywę sowiecką przed bramami Warszawy. Z tej oceny położenia ruch oporu wynioskował, że wejście Sowieców do Warszawy jest kwestią tylko kilku dni”.

Rozprawia się też autor w sposób logiczny z obiegowym stwierdzeniem, jakoby powstanie warszawskie wymierzone było politycznie przeciwko ZSSR. Stanowisko wobec tego twierdzenia zależy oczywiście od poglądu, jakie były wtedy rzeczywiste zamiary ZSSR wobec Polski: wyzwolenie spod okupacji niemieckiej i ustanowienie dobrych stosunków sąsiedzkich, czy też bezwzględny podbój, złamanie kręgosłupa społeczeństwu i zainstalowanie w pełni dyspozycyjnej władzy nad Wisłą. Tylko w tym drugim przypadku mówić można o kolizyjnym charakterze powstania.

Znamieniem książki jest sugestywność narracji i umiejętna analiza dokumentów, w niektórych przypadkach znanych już, ale rzadko wykorzystywanych, a w innych wynalezionych w archiwach przez autora (dotyczy to np. tekstu pisma Mołotowa z 10 września 1944 roku do rządu brytyjskiego).

Zenczykowski szczegółowo przedstawia problem tzw. operacji „Frantic”, omawiając możliwości udzielenia powstaniu warszawskiemu skuteczniejszej pomocy materiałowej przez Amerykanów w ramach operacji wahadłowych: lotów z Zachodu, zrzućcia broni w Warszawie i lądowania na terenach sowieckich. Dokumentacja wielotygodniowego upartego oporu strony sowieckiej w tej sprawie należy do najbardziej przekonujących dowodów zamierzeń politycznych ówczesnego kierownictwa ZSSR.

Autor nie zamierzał ani zobrazować w swej książce przebiegu wszystkich narad sztabowych i politycznych w Warszawie, których owocem była suwerennie podjęta przez Pełnomocnika Rządu RP na Kraj i Dowódcę AK decyzja powstania, ani dać obrazu samej walki powstańczej i życia ludności walczącej Warszawy. Świadomie więc dotknął w książce zaledwie niektórych problemów (głównie w rozdziale XV — „Dni wolności”) życia społecznego, poglądów i nastrojów ludności.

Warto tu może skorzystać z okazji, aby przypomnieć, że w ciągu 63 dni powstania opinię publiczną na całym obszarze objętym krócej lub dłużej działaniami powstańczymi kształtowało ponad 130 czasopism, niektóre z nich aż do ostatniej chwili. I tak np. organ Delegatury Rządu *Rzeczpospolita Polska* ukazał się pod

red. Mariana Grzegorzcyka jeszcze 5 października 1944 roku (nr 78), a więc w chwili, gdy oddziały AK opuszczały miasto wychodząc do niewoli. 4-go października ukazały się po raz ostatni jako pisma powstańcze: organ AK *Biuletyn Informacyjny* (nr 102/310) pod redakcją Aleksandra Kamińskiego, dziennik PPS-WRN *Robotnik* (nr 71) pod redakcją Zygmunta Zaremby, *Wiadomości Powstańcze* pod redakcją Kazimierza Moczarskiego i powielany *Dziennik Radiowy* (nr 211) VI Oddziału Sztabu AK. 3-go października 1944, a więc następnego dnia po podpisaniu układu o zaprzestaniu działań wojennych w Warszawie, wydano po raz ostatni agencyjny *Komunikat Radiofoniczny* (nr 175), VI Oddziału Sztabu AK i *Biuletyn — Wiadomości z miasta i wiadomości radiowe* (nr 124), jedno z lokalnych powstańczych pism AK w Śródmieściu. Ostatnie numery pism partii i stronnictw politycznych (poza PPS) ukazały się najdalej w dniach 1 lub 2 października 1944.

Ważny problem stosunku propagandy PRL do powstania warszawskiego porusza autor (rozdział XVI — „Ataki komunistów na powstanie”) tylko w odniesieniu do okresu działania PKWN, a więc drugiej połowy 1944 roku. Sprawa ta należy do nieopracowanych do dziś problemów badawczych. Ambitnym działaniem dla historyków dziejów najnowszych byłoby prześledzenie meandrów taktyki propagandy PRL wobec powstania warszawskiego w powojennym czterdziestoparoleciu. Można by sobie wyobrazić interesującą antologię tekstów propagandowych obrazujących różne etapy, warianty i zakręty w myśleniu, a bardziej jeszcze w działaniu określonych instytucji (np. partii, stronnictw i grup politycznych, ZBoWiD-u), redakcji różnych pism, a nawet niektórych osób.

Ciekawy fenomen stanowi żywotność problematyki i tradycji powstania warszawskiego w świadomości obecnej młodszej generacji Polaków w kraju. Wynika to być może z nowego spojrzenia na historyczny dylemat „bić się czy nie bić”. Coraz więcej młodych ludzi widzi dziś to zagadnienie nie w historycznych kategoriach romantyzmu i pozytywizmu, lecz w bardziej moralnych niż politycznych kategoriach: suwerenność czy poddaństwo. Autentyczne zainteresowanie niezależnymi wypowiedziami (odczytami, dyskusjami) na temat powstania warszawskiego dostrzegalne było w kraju w drugiej połowie lat siedemdziesiątych nie tylko w Warszawie. Zainteresowanie to znalazło niebawem potwierdzenie w intensywności obchodów jedynej rocznicy powstania warszawskiego, jaka przypadła w okresie jawnego działania „Solidarności”, 1 sierpnia 1981 roku. Strona komunistyczna właściwie oceniła ten stan rzeczy i znalazła w następnym okresie celniejsze metody rozegrania sprawy powstania warszawskiego. By ograniczyć się tylko do przykładów z zakresu piśmiennictwa: w 1984 roku wydano w Warszawie w masowym nakładzie książkę londyńskiego autora Jana Ciechanowskiego o powstaniu z odpowiednią przedmową dr. Aleksandra Skarżyńskiego i zainsceni-

zowano w redakcji jednego z czołowych pism PZPR *Polityka* dyskusję (opublikowaną w nrze 30 tego pisma z 29 lipca 1984). Znamiennej jej cechą okazało się, że niektóre wypowiedzi spod znaku bezpartyjnego „realizmu” politycznego dużo ostrzej i bezwzględniej potępiały wszelkie przejawy obrony idei i sensu powstania warszawskiego, niż oceny sformułowane przez historyków powszechnie uważanych za miarodajnych przedstawicieli historiografii partyjno-marksistowskiej... Bez odpowiedzi pozostawić tu musimy pytanie, jak to ocenione zostało w odbiorze społecznym.

Wspomnienie tego rodzaju sytuacji potwierdza szczególną potrzebę i użyteczność omawianej książki Żenczykowskiego. Spełnia ona dobrze przyjęte założenia: pobudza do refleksji, do myślenia, do wyciągania wniosków, dopełnia w sposób istotny historiografię krajową.

Pochwalić też wypada wyposażenie ilustracyjne tomu przez autora i wydawcę: wśród dziesięciu fotografii znajdujemy tu kilka w kraju bardzo mało znanych lub w ogóle nieznanych. Dobrze więc, że znalazły się w książce Żenczykowskiego m.in. portrety Pełnomocnika Rządu RP na kraj Jana Stanisława Janakowskiego, przewodniczącego Rady Jedności Narodowej Kazimierza Pużaka oraz zastępcy dowódcy i szefa sztabu AK gen. Tadeusza Pełczyńskiego. Do niewątpliwych walorów książki należy też zebranie i przypomnienie dwudziestu tekstów dokumentów (uszerzegowanych w sposób niezupełnie bezdyskusyjny z podziałem na „Aneksy” i „Dokumenty”). Są to merytorycznie ważne materiały z okresu od 29 lipca do 4 października 1944 roku, ściśle korespondujące z treścią książki.

Władysław BARTOSZEWSKI

Henryk KADEN

WIĘZIENIE MOKOTOWSKIE

Paryż, w marcu 1986 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Niedawno przeczytałem broszurkę pt. „Więźniowie polityczni w Polsce 1945-1956”, której autorami są panowie Czesław Leopold i Krzysztof Lechicki. Wydawnictwo „Spotkania”.

Wobec katastrofalnego braku odpowiednich opracowań naukowych i w konsekwencji braku wiedzy źródłowej i ścisłej z zakresu współczesnej martyrologii naszego narodu — wspomniana książeczka (około 70 stron) powinna spełnić, choć w ograniczonym

stopniu, pożyteczną rolę. Wprawdzie wolałbym, żeby jej tytuł był nieco skromniejszy. Obecny zdaje mi się zbyt szeroki, bo za wiele obiecuje, gdy w rzeczy samej książeczka zawiera jedynie garść różnych wycinkowych wiadomości i jakby tylko przypadkowe, na ogół fragmentaryczne informacje. Niestety i te bardzo skromne wiadomości nie są wolne od usterek, a nawet zasadniczych błędów, podrywających zaufanie do rzetelności także pozostałych informacji.

I tak na stronie 22-giej, odnośnie więzienia mokotowskiego w Warszawie, autorzy piszą (cytuję): „Za pawilonem ogólnym, prostopadle do ul. Rakowieckiej, usytuowany był pawilon śledczy — 'dziesiątka'. Ostatnie jego piętro [trzecie — przyp. mój] stanowiły malutkie cele, stanowiące tzw. 'jedenastkę'. Na lewo od tego budynku w końcu 1949 roku uruchomiono pawilon, w którym przeprowadzano przesłuchania. Był on połączony podziemnymi przejściami z 'dziesiątką'. Po 1950 roku *pawilon śledczy przedłużono, dobudowując z tyłu tzw. 'dwunastkę'*” (podkreślenie moje).

Powyższa topografia zawiera poważny błąd, gdyż nie jest prawdą, że „dwunastka” została dobudowana z tyłu pawilonu śledczego i że stanowi jego przedłużenie. W rzeczywistości „dwunastkę” dobudowano nie do nowego, powojennego pawilonu, zwanego przez więźniów „Pałacem”, ale na styk do tyłu budynku, pamiętającego carskie czasy, w którym znajdują się „dziesiątka” i „jedenastka”. Ten więc budynek został „przedłużony”, a nie dwupiętrowy (o ile dobrze pamiętam) biurowiec śledczy. Ponieważ wszystkie wymienione budynki nadal istnieją, można się naocznie przekonać (czego zresztą, w obecnych warunkach, autorom nie życzę) że to ja mam rację. Moja znajomość tamtejszego terenu oparta jest na własnej obserwacji i na własnym doświadczeniu, ale na szczęście to doświadczenie nie obejmuje wszystkiego, co się działo w więzieniu mokotowskim.

Mam przede wszystkim na myśli sposób dokonywania egzekucji w tym więzieniu. Wiem o tym tyle, ile słyszałem w 1954 od współwięźniów, przebywających w śledztwie od kilku lat. Autorzy piszą: „Obok 'dwunastki' stał też mały pawilon, w którym wykonywano wyroki śmierci. Skazanych za przestępstwa kryminalne i za współpracę z Niemcami wieszano. Więźniów politycznych natomiast prowadzono do specjalnej celi, a na schodach z kilku stopni otrzymywali strzał w tył głowy”. To się tylko częściowo zgadza z informacjami posiadanymi przeze mnie. Nigdy od nikogo nie słyszałem o „małym pawilonie obok 'dwunastki’”, w którym wykonywano by wyroki śmierci. I gdzie właściwie miałyby on być zlokalizowany? W pobliżu dwunastki z jednej strony, a mianowicie od strony ul. Kazimierzowskiej, był budynek szpitala więziennego, a od strony przeciwnej, to jest w kierunku Alei Niepodległości, był pawilon gospodarczo-kuchenny i dalek łaźnia. Natomiast wiadomo mi z opowiadań więźniów o wykonywaniu wyroków przez powieszenie w garażach, które znajdowały

się w pobliżu więziennej drukarni, dalej niż kotłownia. Co zaś do strzelania w tył głowy, to o tym słyszałem owszem, ale nie tyle jako o sposobie wykonywania wyroków, ile jako po prostu o mordach, może i w wykonaniu wyroku, ale sądu „kiblowego”. Miało się to odbywać na tzw. „dołku”, jak nazywano podziemia ogólniaka. Strzelano tam podobno z nagana w tył głowy, w momencie przekraczania przez więźnia progu celi nr 14, tylko do tego wówczas przeznaczonej. O żadnych schodach nie słyszałem. Ten sposób zabijania w ustach moich rozmówców uchodził raczej za względnie humanitarny, właśnie z uwagi na zadawanie śmierci bez uprzedzenia. Inna sprawa, że gdy rzecz się rozpowszechniła, sam widok otwartych drzwi celi z tym numerem musiał robić na podprowadzanym więźniu wrażenie jednoznaczne. Wiem coś o tym, bo sam raz tę emocję przeżyłem, tam na „dołku”.

Jeszcze słówko o stosowaniu przez autorów terminologii: „więźniowie polityczni”. Choć wszyscy niby doskonale wiemy, a przynajmniej czujemy, kogo to określenie obejmuje, to jednak często dochodzi w tej sprawie do nieporozumień. U autorów natomiast żadne wątpliwości zdają się nie istnieć, przynajmniej jeśli chodzi o niektóre kategorie więźniów. Piszą np., że wieszano więźniów kryminalnych i za współpracę z Niemcami, przeciwstawiając ich w ten sposób więźniom politycznym, do których strzelano. Otóż nie byłbym taki pewny, że wśród skazanych za współpracę z Niemcami nie było więźniów politycznych, a także wśród kryminalistów. Jest wręcz oczywiste, że byli. Nie trzeba chyba powtarzać, iż o rzeczywistym charakterze więźnia, o tym czy jest politycznym, nie zawsze decyduje treść zarzutów, oskarżeń czy wyroku. O charakterze tym przesądzają rzeczywiste motywy — często głęboko ukryte i zamaskowane — dla których człowiek został pozbawiony wolności. Szkoda, że autorzy jakby nie zaw sze o tych banalnych prawdach pamiętali, skłaniając się do kwalifikowania więźniów według ich aktów oskarżenia, względnie ich wyroków.

Żeby uniknąć ewentualnych przypuszczeń, że z powodów osobistych bronię honoru współpracujących z Niemcami, wyjaśniam od razu, że „zwiedzałem” więzienie mokotowskie w charakterze amerykańskiego szpiega.

Mógłbym przytoczyć sporo potknięć dotyczących więzienia mokotowskiego, ale ograniczę się tylko do jeszcze jednego topograficznego i jednego z dziedziny personalnej.

Otóż spacerniaki dla więźniów „dziesiątki” i „jedenastki” znajdowały się nie pomiędzy „pałacem” i budynkiem zawierającym „dziesiątkę” i „jedenastkę”, ale zupełnie gdzie indziej, a mianowicie na krańcu terenu więziennego, wzdłuż budynków mieszkalnych przy ul. Kazimierzowskiej, które były zasiedlone wyłącznie przez zaufane rodziny, przeważnie pracowników bezpieczeństwa (str. 36).

I wreszcie: łązeczna Sabina, nazywana przez autorów „popularną Sabcią” (str. 37) była w istocie znaną ze sprośnego chamstwa sadystką, znęcającą się ze szczególnym okrucieństwem nad więźniarkami, które też przecież zaludniały „dziesiątkę” i „jedenastkę”, o czym autorzy bodaj że wcale nie wspominają. Jak bardzo gorliwie owa Sabina wypełniała swe obowiązki, świadczy także to, że nawet RWE wymieniało ją w swych audycjach w owym okresie.

Należy współczuć autorom, że ich praca, przedsięwzięta niewątpliwie w dobrej intencji, jeżeli nie poszła całkiem na marne — czego nie twierdzę — to jednak bardzo kuleje wskutek, jak chyba wolno mi sądzić, pochopnego zaufania do posiadanych źródeł informacji lub do informatorów, bez dostatecznego ich sprawdzenia. Opieram się tylko na materiale dotyczącym więzienia mokotowskiego, ale czy mogę wierzyć, że w stosunku do innych więzień omówionych przez autorów, wywiązali się oni lepiej?

Serdeczne pozdrowienia.

Z poważaniem

Henryk KADEN

LISTY DO REDAKCJI

Montreal, 8 maja 1986.

Szanowny Panie Redaktorze,

Ukazała się ostatnio w Londynie broszura pt. „Marszałek Edward Śmigły-Rydz 1886-1986” w której niezbyt szczęśliwe ujęcie roli marszałka Śmigłego w Legionach i wojnie polsko-bolszewickiej może spowodować niewłaściwe interpretacje dotyczące osoby Marszałka Piłsudskiego i Generała Sosnkowskiego. Szczególnie wśród pokolenia młodszego, mniej zorientowanego w tych wydarzeniach.

Jako uzupełnienie do tej broszury podaję wyciągi z „Pism Zbiorowych” Józefa Piłsudskiego.

O hierarchii legionowej i w Radzie Stanu tak pisze Piłsudski: „Dodam tu od razu, że silne wzburzenie i masowe szukanie wyjścia z Legionów po mojej dymisji przypisuję nie faktowi samej dymisji, lecz pobocznym krokom, które zostały uczynione w Legionach w związku z moją dymisją. Mówię tu o ostrym połamaniu wszystkich jednostek, które złączyła tradycja wspólnych bojów i trudów wojennych oraz prawie przymusowa dymisja, udzielona memu zastępcy, płk. Sosnkowskiemu”. („Pisma Zbiorowe”, Warszawa 1937, tom IV, str. 225 i 226). Polemizując z Magdeburga 22 lipca 1918 roku z oskarżeniami *Warschauer Zeitung* z 3 sierpnia 1917 roku tak wspomina o Sosnkowskim: „Następnie punkt ten oskarża mnie ni mniej, ni więcej, jak o to, że do prac swych w Radzie Stanu wzięłem jako pomocnika swego przyjaciela Sosnkowskiego...” i dalej: „Płk Sosnkowski, jako mój pomocnik i zastępca, został zatwierdzony przez Radę Stanu...” („Pisma Zbiorowe”, Warszawa 1937, tom IV, str. 245). Jak wiadomo władze niemieckie aresztowały 22 lipca 1917 roku równocześnie Piłsudskiego i Sosnkowskiego. Śmigły-Rydz wykonywał więc swoje funkcje na skutek uwięzienia obu swoich przełożonych, a nie jako zastępca Komendanta.

Swoją rolę w działaniach ofensywnych w 1919 i 1920 tak ujmuje Piłsudski: „Tak więc na początku 1919 roku jednym rzutem na Wilno przemieściłem front w dni parę o dwieście kilometrów na wschód, przewyciężając przestrzeń tak wielką małymi względnie siłami. Gdym, próbując raz jeszcze swojej metody na polach Ukrainy, prowadził wojsko do napadu, rozmyślnie stanąłem na czele jednej z armii — 3-ej — by swoimi własnymi rękami

sprawdzić myśli, nie obciążając nadmiernymi, jak mi się zdawało, wymaganiami nikogo z moich podwładnych. Dwa dni boju wystarczyło, by 12-ta sowiecka armia, która mi się przeciwstawiła, legła w bojach, pokonana rozbięciem prawie doszczętnym, rozbięciem, z którego już do końca wojny podnieść się nie mogła. (...)

Trzeci raz bezpośrednio wzięłem w swoje ręce dowodzenie w bitwie pod Warszawą. I chociaż z przykrością zawsze wspominam cały nonsens założenia bitwy, nonsens, którego przełamać nie zdołałem, to chwila tryumfu, gdy we wściekłym galopie bitewnym nieprzyjacielska armia za armią trzaskała, zmykając w popłochu, gdy tak niedawno jeszcze tryumfy swoje święcili, zostanie na zawsze zwycięstwem siły dowodzenia i pracy nad dziełem zwycięstwa.

A wreszcie nad Niemnem, szarym rycerzem, Wilii kochankiem, dowodząc bezpośrednio połową naszych wojsk, zwycięską wojnę zwycięsko zakończyłem". („Pisma Zbiorowe", Warszawa 1937, tom VII, Rok 1920, str. 164 i 165).

Brak w broszurze wyjaśnień o udziale Naczelnego Wodza w tych czterech tak ważnych działaniach ofensywnych stwarza wrażenie, że ówczesny generał Śmigły-Rydz odegrał samodzielną i decydującą rolę w tych operacjach. Szczególnie w bitwie warszawskiej w której, pod bezpośrednim dowództwem Józefa Piłsudskiego, grupa uderzeniowa wykonała zwycięską ofensywę znad Wieprza, rozstawiając imię Polski na całym świecie.

Łączę wyrazy szacunku i poważania

Stanisław BABIŃSKI



Montreal, 15 kwietnia 1986.

Szanowny Panie Redaktorze,

W *Zeszytach Historycznych* nr 75 (1986) ukazała się moja recenzja książki Tucholskiego „Cichociemni”. Zorientowałem się, że popełniłem w niej kilka błędów, które chciałbym poprawić.

Na str. 202 w przypisie 2 winno być F/O J. A. Pultona, zamiast F/O Fultona.

Na str. 203 w przypisie 5 winno być A/VM (gen. bryg.), zamiast A/C (gen. bryg.), A/VM (gen. dyw.).

Na str. 204 § 1 podałem liczbę 83 lotników. W operacjach lotniczych poległo tylko 76 polskich lotników niosąc pomoc Powstaniu Warszawskiemu. Nie powinienem był wymienić następnych 7, którzy zginęli w tym czasie w Brindisi, wracając z lotu do innego kraju, a nie do Polski.

Na str. 204 § 2 podając polskie straty operacyjne w lotach nad Polskę użyłem niepotrzebnie słowa „poległo”. Z tej podanej liczby część tylko poległa, reszta zaginęła, uratowała się lub dostała się do niewoli.

Do mojej recenzji oprócz moich błędów wkradły się również błędy drukarskie.

Na str. 205 § 2 winno być „Dnia 17/18. VIII”, a nie „Dnia 17/18. VII”. Na tej samej stronie w § 3 winno być koło Olszyn, a nie koło Olsztyn.

Na str. 205 § 5 winno być dwumotorowy Whitley, a nie dwutorowy Whitley.

Na str. 207 na dole po zdaniu: „Straty jakie ponieśli sięgały 30 %”, opuszczone zostały dwa paragrafy:

„Pierwsze plany operacyjne Komendy Głównej AK zakładały powszechne i silne wsparcie lotnicze z Zachodu. W związku z tym powstał Wydział Lotnictwa, do którego przydzielono cichociemnych lotników. W wydziale tym, łącznie z radiotelegrafistami, pracowało 22 cichociemnych.

Rozbudowywana łączność radiowa wymagała wysoko wykwalifikowanych specjalistów, których brakowało w Kraju, a których stale domagali się kolejni dowódcy Armii Krajowej. Wysłano więc 43 łącznościowców. W większości byli to młodzi żołnierze przeszkoleni w radiotelegrafii. Na 43 wysłanych było tylko 2 majorów i 2 kapitanów. Resztę stanowili podporucznicy i podoficerowie. Straty wśród żołnierzy łączności sięgały 26 %”.

Łączę wyrazy szacunku

Kajetan BIENIECKI

Drogi Panie Redaktorze,

W cennym i wyważonym artykule o filmie „Shoah” (w *Kulturze* z listopada 1985) Jan Karski wzmiankował w jednym, a ściślej mówiąc w połowie zdania, wysokość poniesionych w wyniku hitlerowskiego ludobójstwa strat ludności żydowskiej Polski. Biorąc asumpt z tej połowy zdania, Józef Garliński (w liście do *Kultury* z marca 1986) powołuje się autorytatywnie na wydaną ostatnio swoją książkę, by przeciwstawić kategorię danym Jana Karskiego inne liczby. Według niego niemiecką okupację przeżyło blisko 900.000 Żydów obywateli polskich, czyli bez mała — pomyślny! — 30 %.

Kategorię Garlińskiego zadziwia choćby dlatego, że — jak już z następnego zdania jego listu wynika — nie oparł się w tym przypadku wcale na własnych badaniach źródłowych, lecz wyłącznie i po prostu na książce Geralda Reitlingera o tzw. *Endlösung*, której nie przyszło mu nawet do głowy skonfrontować czy choćby porównać z innymi opracowaniami na ten temat.

Książka Reitlingera rzeczywiście zdobyła w swoim czasie spory rozgłos, niemniej jednak wyszła ona w 1953 roku, tzn. 33 lata temu. Wielu wybitnych badaczy i instytucji badawczych w różnych krajach pracowało jeszcze długo potem nad uściśleniem wielomilionowych liczb w tej dziedzinie. Zresztą już Reitlinger, pisząc swoją książkę, mógł dysponować m.in. ogromną masą dokumentów i zeznań objętych procesem norymberskim, dokumentami, odkrytymi zbyt późno przez alianckie organy badania zbrodni hitlerowskich, by mógł je uwzględnić Trybunał Norymberski¹, statystykami wybitnych demografów etc.

Zaraz po ukazaniu się jego książki formułowano zasadnicze zastrzeżenia do zastosowanej przezeń metody. Oto bowiem, podając w wątpliwość ustaloną w procesie norymberskim (i przez innych badaczy) ogólną liczbę 6.000.000 zamordowanych Żydów zakłada on, że wiele liczb było zawyżonych: a) przez hitlerowskich katów w wyniku fanfaronady zbrodniarzy; b) przez Żydów, wskutek pesymizmu ofiar. Reitlinger roztrząsa zatem na nowo wszystkie liczby kraj po kraju i — tytułem *hipotezy* — za każdym razem przyjmuje liczbę najniższą.

Wielu badaczy uznało, że wprowadzać tak wielkie zmiany w wyliczeniach na podstawie rozważań jedynie psychologicznych oznacza kierowanie się takimi samymi przesłankami co krytykowane. To nastawienie Reitlingera Leon Poliakov np. tłumaczył nie jakąś „stronniczością”, lecz typowo brytyjską troską o *understatement*.

Największe obniżki liczby ofiar i najbardziej zawyżone liczby uratowanych dotyczyły u Reitlingera wschodnich obszarów Polski i obszarów własnego Związku Sowieckiego. Autor motywował to dużymi tam wędrownkami ludności w czasie wojny i po wojnie oraz, jeśli chodzi o ludność żydowską, całkowitym brakiem pewnych elementów statystycznych.

Nie wdając się w liczne komplikacje tych makabrycznych, ale koniecznych obliczeń, Józef Garliński zawyża wszystkie liczby ocalałych (w Polsce, za granicą etc.). Najbardziej dziwi jednak jego zdanie, że „oblicza się” (to bezosobowe sformułowanie sugeruje na domiar niejaką powszechność takich obliczeń), „że w Rosji schroniło się 700 tysięcy, że tylko nieliczni wpadli w niemieckie ręce...”. Otóż: w azjatyckich republikach sowieckich (a nie w samej Rosji) ocalał w istocie największy procent Żydów. Zważywszy warunki ewakuacji sowieckiej, stosunkowo mało spośród tych ocalałych schroniło się tam z początkiem wojny niemiecko-sowieckiej w 1941. Bez porównania więcej, gdyż wiele dziesiątków tysięcy, „schronili” tam wcześniej sami Sowieci, *metodą masowych aresztowań i wywozek* z wschodnich obszarów Polski, okupowanych przez Armię Czerwoną w 1939 roku. Władze sowieckie nie ogłosiły naturalnie żadnych liczb, lecz obliczono je z możliwie największą w tak skomplikowanych warunkach dokładnością na podstawie wszystkich repatriacji i transmigracji łącznie na ok. 200.000. Jeśli nawet uwzględnić ogromną śmiertelność w łagrach sowieckich i na *posiolkach* (czyli dodać także tych, co — „schronieni” — nie przeżyli), jesteśmy daleko choćby od połowy rzekomych... 700.000.

Krótko mówiąc: w rezultacie licznych i wielorakich sprawdzeń potwierdzono liczby ustalone wcześniej, przed zabiegami Reitlingera o *understatement*. Jeśli chodzi o straty żydostwa polskiego, liczbą tą jest ok. 3.000.000. „Okolo”, gdyż w tak milionowych cyfrach małe niedokładności (a raczej nieokreśloności) w ułamkach są nieuniknione. Mówiąc o wielkich stratach jakiegokolwiek narodu używa się liczb okrągłych. W innym związku używa ich przecież, i jest to naturalne, także Józef Garliński. Spieranie się w podobnym kontekście o drobne ułamki jest po pierwsze wątpliwe, a po wtóre kojarzy się z reakcjami, jakie wywołała podczas procesu w Warszawie głośna poprawka komendanta obozu oświęcimskiego Rudolfa Hoessa. Ten ostatni poprosił mianowicie w pewnej chwili o głos, by oświadczyć, że w Oświęcimiu zagazowano TYLKO dwa i pół miliona.

Ze słowami poważania i serdecznym uściskiem dłoni

Michał BORWICZ

1. W tym m.in. raport o stanie *Endlösung*, przygotowany na rozkaz Himmlera i skierowany do szefa inspektoratu statystycznego III Rzeszy. Raport ten obejmuje 17 stron, a jego skrót, przeznaczony specjalnie dla Hitlera, 7 stron. ltd., itd.



W swym liście do Redakcji *Kultury* Michał Borwicz stawia mi zarzut, że zbyt autorytatywnie podaje liczbę polskich Żydów, którzy zostali wymordowani przez Niemców w Drugiej Wojnie Światowej, że ją tendencyjnie obniżam i że błąd mój wynika z faktu oparcia się wyłącznie na książce Geralda Reitlingera, *The Final Solution*. Jego zdaniem książka ta, której pierwsze wydanie ukazało się w roku 1953 jest już nieaktualna, bo ukazały

się późniejsze opracowania tego tematu. Niestety nie podaje ich tytułów, czego żałuję, bo mógłbym z nich w przyszłości korzystać.

Mimo upływu 33 lat praca Reitlingera jest nadal uważana za podstawową i nadal cytowana. Korzystał on przede wszystkim z trzech żydowskich historycznych instytucji, Wiener Library w Londynie, Centre de Documentation Juive Contemporaine w Paryżu i Rijksinstituut voor Oorlogsdocumentatie w Amsterdamie, które trudno jest posądzić o antyżydowską stronniczość. Dalej wykorzystał dokumenty trybunału w Norymberdze, udostępnione mu przez Foreign Office, oraz pomoc wielu historyków, częściowo żydowskich, z różnych krajów (Dania, Niemcy, Szwecja, Włochy i Wielka Brytania). Nowe fakty są zawsze możliwe do odkrycia i nowi historycy to robią, ale czy cyfry mogły w ciągu lat aż tak bardzo ulec zmianie?

Ton listu Michała Borwicza, którego dobrze znam i cenię, zabolął mnie. Co innego prostowanie czyjegoś błędu a co innego zarzut złośliwej tendencji. Czy oparcie się na pracy, z której wynika, że jednak więcej ludzi uratowało się ze strasznej maszyny zniszczenia, jest obrazą? Czy obniża moralną odpowiedzialność zbrodniarzy? Osobiście z największą radością zapoznają się z dokumentami i opracowaniami, z których wynika, że tu i tam ofiary były jednak mniejsze, że na przykład w Powstaniu Warszawskim zginęło mniej niż 200.000 osób, podczas gdy pierwsze cyfry, które dotarły do nas w niemieckim obozie koncentracyjnym dociągały do pół miliona.

Józef GARLIŃSKI

Londyn, 10 marca 1986.

Szanowny Panie Redaktorze!

W 75-tym numerze *Zeszytów Historycznych* w artykule pt. „Memoriał Admirała Zwierkowskiego w sprawie Gdańska — maj 1919” opuszczono część zdania w przypisie nr 8 na stronie 224, skutkiem czego przypis traci sens. Pełne zdanie powinno brzmieć:

„Już w 1920 podczas wojny polsko-sowieckiej adm. Borowski, pełnomocnik MSWojsk. w Gdańsku, chcąc uniezależnić się przynajmniej częściowo od niemieckich firm które kontrolowały wszystkie holowniki w porcie zakupił i zorganizował małą flotyllę statków pod polską kontrolą w porcie”.

Łączę wyrazy poważania

Andrzej SUCHCITZ

Londyn, 19 czerwca 1985.

Do Redakcji *Zeszytów Historycznych*.

Ustawy norymberskie, wiadomo, miały na celu ochronę rasy i były instrumentem antyżydowskiej polityki. Dopuszczały one stosowanie kryterium rasowego także w dziedzinie stosunków prawnocywilnych. Na tej zasadzie sądy niemieckie ferowały wyroki rozwiązujące małżeństwa, ingerujące w dziedzinę prawa spadkowego i familijnego majątkowego.

Rodziny żydowsko-niemieckie miały często powiązania z zagranicą. — Niemcom chodziło o to, by wyroki ich sądów były honorowane także za granicą — a więc i w Polsce.

Normalnie, na zasadzie międzynarodowej umowy polsko-niemieckiej o wzajemnej pomocy prawnej, wyroki sądów niemieckich uzyskiwały moc

prawną i mogły być egzekwowane w Polsce po uzyskaniu z Ministerstwa Sprawiedliwości klauzuli zatwierdzającej ich pełne prawne znaczenie.

Otóż polskie Ministerstwo Sprawiedliwości odmawiało udzielenia takiej klauzuli w przypadku, gdy zachodziło stosowanie ustaw norymberskich, uważanych za narzędzie czysto polityczne. Tak więc te wyroki niemieckie w Polsce nie miały mocy prawnej.

Niemcy nalegali na zmianę tego stanowiska. W tym celu przyjeżdżali ich reprezentanci. Właśnie przy tej okazji zetknąłem się z nimi jako ekspert w Departamencie Ustawodawczym od niemieckiego prawa cywilnego.

Do wojny polskie Ministerstwo Sprawiedliwości stanowiska nie zmieniło, mimo że Niemcy powoływali się na to, że inne kraje: Czechosłowacja, Węgry, Rumunia nie robiły trudności.

Jan SZUŁDRZYŃSKI

Monachium, 24 lutego 1986.

Drogi Panie Redaktorze!

Do notatki Józefa Czapskiego zatytułowanej „Dzieci” w *Zeszytach Historycznych* nr 74, str. 205/206, chciałbym dorzucić następujące.

W maju 1943 zostałem przeniesiony „z linii” do Biura Dokumentów, podówczas w Qizil Ribat (Irak), gdzie zetknąłem się z opowiadaniem o dzieci, pisanymi w Iranie, nad którymi ślęczał Adam Telmany, niepotrzebnie je po belfersku — choć belfrem nie był — adiustując. Do dziś nie mogę sobie wybaczyć, że mu wtedy tego nie wytknąłem, bo owe poprawki, obojętnie do jakiego stopnia niewinne, obniżały wartość, jakże cennych, dokumentów. Zamiarem Telmany’ego był tom wspomnień zatytułowany *Mówią dzieci*. Pracy tej nie ukończył, bo go płk Wincenty Bąkiewicz przeznaczył do innych, może ważniejszych, zadań. Referat dziecięcy przejął po nim Kazimierz Galusiński, który — jak to podkreślał — nie pisał lecz *budował* owe dzieło o dzieciach, miał je nawet gotowe, dość późno, bo pod koniec 1945 roku, pod tytułem *Widzieliśmy Rosję*. Wiele okoliczności, nie wyłączając osobistych animozji, sprawiły, że książka o przeżyciach dzieci w ZSSR nie ukazała się. Wtedy.

Dlatego podzielam zdanie p. Czapskiego, iż książka *W czterdziestym nas, matko, na Sybir zesłali...* w opracowaniu Jana Tomasza Grossa i jego żony Ireny Grudzińskiej Gross („Aneks”, Londyn 1983) jest „nie tylko ważna, ale wręcz niezastąpiona”.

Wyrazy szacunku i miłe pozdrowienia łączę

Kazimierz ZAMORSKI

Paryż, 10 maja 1986.

Drogi Panie Redaktorze,

Z markotnym uśmiechem wyczytałem w nr. 75 *Zeszytów Historycznych* zaczerpnięty z archiwum prof. Stanisława Kota jego list z końca października 1939 z Bukaresztu do generała Sikorskiego w Paryżu, m.in. przypisujący mi „przypoite przeorientowanie się” i „nieukrywanie błędów przeszłości” (str. 144). Pewnych błędów nie kwestionowałem już przed Wrześniem, natomiast o żadnym „przeorientowaniu” w oczywistym rozumieniu prof. Kota ani wtedy ani później nie mogło być mowy. Żadnych wypowiedzi tego rodzaju nigdy nie czyniłem, skąd więc ta zatruta pochwała? Jedyną hipotetyczną odpo-

wiedź znajduję w zestawieniu pewnych faktów z tego pierwszego okresu internowania w Rumunii. Warto je odsłonić jako przyczynek do historii większych zdarzeń owej, już bardzo zamierzchłej, przeszłości.

Z początkiem października 1939 zostałem zawieszony w Słanicu, gdzie — będąc do wojny wiceprokuratorem w Nadzorze prokuratorskim Ministerstwa Sprawiedliwości — przebywałem przy ministrze Grabowskim, do naszej ambasady w Bukareszcie. Tam ambasador Roger Raczyński, którego dotąd nie znałem, wyraził zamiar powierzenia mi ważnej pracy. W mojej pamięci zapisało się, że chodziło o udział w komisji sędowników dla ukrócenia nadużyć, podobno popełnionych przez pewnych uchodźców, głównie urzędników, którzy nie zdali w Ambasadzie powierzonego im w Polsce mienia państwowego, jak samochody, fundusze itd. Pan, Panie Redaktorze, inicjator tego zawieszania, omawiając ze mną obecnie owe zdarzenia utrzymuje, że chodziło o powierzenie mi „pracy na Kraj”. Skonfrontowany z tym Pańskim stanowczym twierdzeniem dopuszczam tę możliwość choć jej sobie nie przypominam. Pamiętam, że przypadkowo spotkaliśmy się w nocy, po przekroczeniu granicy, na jakimś postoju samochodów, i w dłuższej rozmowie rozważaliśmy potrzebę różnych działań, które należałoby jak najprędzej podjąć z zagranicy w stosunku do obu okupacji. Ta nasza rozmowa mogła Panu podsunąć moją kandydaturę wobec ambasadora. Tak czy tak, zakładając, że taka propozycja została mi przedstawiona, pewny jestem, że ją oddaliłem, podobnie jak odmówiłem już wcześniej, w Słanicu, uczestniczenia w inicjatywie wyrażonej mi przez b. ministra Juliusza Poniatowskiego, który organizował powrót pod okupację niemiecką paru swych współpracowników z Ministerstwa Rolnictwa (o ile pamiętam Rudnickiego i Krzyczkowskiego). Jaki był motyw tej mojej dwukrotnej odmowy?

Uważałem, że wobec nieuchronnego po klęsce odwrócenia się społeczeństwa od dotychczasowego obozu rządowego — czego pierwsze burzliwe echa zaczynały już rozchodzić się wśród uchodźców — ja jako prokurator znany z kilku głośnych i drażliwych procesów politycznych mało mam danych by móc w pracy podziemnej, w Kraju czy z zagranicy, spotkać się z przychylnym przyjęciem i co więcej pewne jest, że nieuchronnie będę przez nowe władze z tej akcji wyłączoney. Uważałem więc, że obowiązkiem moim jest zgłosić się do wojska, tworzącego się we Francji, co też natychmiast uczyniłem rejestrując się w ataszacie wojskowym ambasady u mjr. Zimnala. Prawdopodobnie ambasador Raczyński powtórzył tę moją odmowę przybyłemu niebawem na zielono, spod okupacji sowieckiej, Kotowi (którego spotkałem w ambasadzie) i ten, jak wiadomo chorobliwie wrogi jakimkolwiek uczestnictwu „sanatorów” w robocie Krajowej, którą chciał zmonopolizować dla siebie, przyjął z satysfakcją to moje dobrowolne wycofanie się. To byłoby w jego stylu...

Pamiętam, że na drugą propozycję, dotyczącą udziału w komisji sędowników, odpowiedziałem, że powinni wejść do niej prokuratorzy i sędziowie starsi ode mnie bądź niezdolni z powodu zdrowia do wojska, przy czym wskazałem w szczególności prokuratora Sądu Najwyższego Krzysztofa Bienkowskiego; to nastąpiło, Kot go w niej wymienia. Mimo to ambasador Roger Raczyński zechciał propozycję swą po kilku dniach ponowić. Zaprosił mnie na rozmowę wspólnie z przybyłym z Paryża b. wiceministrem Michałem Wierusz-Kowalskim, który opowiedział, że tworzenie się armii naszej we Francji postępuje powoli. W związku z tym ambasador przedkładał mi, że mogę wyjazd opóźnić i tymczasem zająć się pracami Komisji. I temu odmówiłem, do Francji odjechałem, 1 listopada byłem we Francji w Modanie włączony do dalszego transportu wojskowego.

Zapewne tę moją uporczywą odmowę przyjął Kot za podstawę do określe-

nia mnie jako człowieka „z charakterem”. *Timeo Danaos!* Szydło wychodzi z worka w ustępie, planującym sprowadzenie mnie z powrotem „z Legionu” dla zajęcia się oskarżeniami, przyjętymi od Szumlakowskiego, że „w kieszeni Becka utonęły waluty” i rozważającym czy w tych sprawach „Żeleński nie byłby twardszy od Bienkowskiego”. O tych lepkich insynuacjach pod adresem Becka nic w Rumunii nie wiedziałem, jakkolwiek myśl powrotu z Francji w głowie mi nie powstała, we Francji byłem niebawem potraktowany swoiście w dwukrotnym badaniu przez „Komisję badania klęski wrześniowej” (*Zeszyty Historyczne*, nr 69). Szczęśliwie nie próbowano nigdy użyć mnie do osławionych rozgrywek, które jak wiadomo wyraziły się w uniemożliwieniu Beckowi, wbrew Anglikom, ucieczki z Rumunii. Ale sam fakt połączenia mego nazwiska z tymi sprawami choćby w formie wyrażonego zamierzenia poczytuję za bardzo brzydką intrygę.

Nieuchronnie zbliża się moment kiedy spotkam prof. Kota w tamtym świecie i intrygę tę mu wypomnę. Teraz czynię to na Pańskich łamach dla wiadomości tych czytelników, których „rewelacje” te mogłyby zadziwić czy zmylić: już paru przyjaciół wyraziło mi współczucie.

Póki co łączę mocny uścisk dłoni

Władysław ŻELEŃSKI

SPIS TREŚCI

Marszałek Józef Piłsudski: <i>Strzeżcie się agentur</i>	3
Eugeniusz Kwiatkowski: <i>Józef Beck</i>	14
Doman Rogoyski: <i>Pięć inicjatyw wydobycia Józefa Becka z pułapki rumuńskiej</i>	33
Ludwik Łubieński: <i>Ewakuacja władz polskich we wrześniu 1939 roku</i>	58
Marian Piłka: <i>Publicystyka Konwentu Organizacji Niepodległościowych</i>	61
<i>Benesz a Polska</i>	79
Jerzy Olgierd Iłakowicz: <i>O Narodowych Siłach Zbrojnych</i>	89
Stefan Borowicz: <i>Kluby Inteligencji Katolickiej po sierpniu 1980 roku</i>	113
Michał Kołodziej: <i>Wiarygodność informacji prasy podziemnej</i>	143

DOKUMENTY I WSPOMNIENIA

Maciej Poleski: <i>Sto dni</i>	154
Henryk Kaden: <i>Wspomnienia solidarnościowe (fragment)</i>	166
Alicja Iwańska: <i>Niezdemobilizowani (Poznań - Warszawa 1945-1946)</i>	186

OKRUCHY HISTORII

Tadeusz Wyrwa: <i>Co Anglicy myśleli o Polsce w 1939 roku. Obserwacje ambasadora Francji w Londynie</i>	194
---	-----

Czesław Jeśman: <i>Brytyjski eksperyment z Polakami</i>	198
Józef Garliński: <i>Operacja „Friendship”</i>	205
Kazimierz Zamorski (opr.): <i>Memorandum Alexandra Tipla w sprawie rzekomej masakry jeńców niemieckich w dniu 18 maja 1944 w ruinach klasztoru Monte Cassino</i>	208
Kazimierz Zamorski (opr.): <i>Menachem</i>	213
<i>Rozmowa amerykańskiego chargé d'affaires z generałem Sikorskim w Paryżu</i>	216

RECENZJE

Władysław Bartoszewski: <i>Samotny bój Warszawy 1944</i> ..	218
Henryk Kaden: <i>Więzienie mokotowskie</i>	222

LISTY DO REDAKCJI

Stanisław Babiński: <i>Uzupełnienia do broszury „Marszałek Edward Smigły-Rydz 1886-1986” dotyczące Marszałka Piłsudskiego i generała Sosnkowskiego</i>	226
Kajetan Bieniecki: <i>Sprostowanie do recenzji z książki Tucholskiego „Cichociemni” (Zeszyty Historyczne nr 75)</i>	227
Michał Borwicz: <i>Sprostowanie danych J. Garlińskiego dotyczących liczby zamordowanych przez Hitlera Żydów polskich (patrz Kultura nr 3/462, 1986)</i>	228
J. Garliński: <i>Odpowiedź na list M. Borwicza w sprawie liczby pomordowanych Żydów polskich</i>	229
Andrzej Suchcitz: <i>Uzupełnienie przypisu nr 8 w memoriale admirała Zwierkowskiego (Zeszyty Historyczne nr 75)</i>	230
Jan Szułdryński: <i>Stosunek władz polskich do ustaw norweskich</i>	230
Kazimierz Zamorski: <i>Na marginesie notatki J. Czapskiego „Dzieci” (Zeszyty Historyczne nr 74)</i>	231
Władysław Zeleński: <i>Sprostowanie i wyjaśnienia dotyczące archiwum prof. Stanisława Kota (Zeszyty Historyczne nr 75)</i>	231

KATALOG KSIĄŻEK « BIBLIOTEKI KULTURY »

CZERWIEC 1986

	Stron	F.
Bieńkowska, D. I.: <i>Pieśń suchego języka</i> (Poezje)	64	9,00
Bobkowski, A.: <i>Coco de Oro. Szkiecy i opowiadania</i>	272	20,00
Bronski, M.: <i>Teksty i preteksty</i> (eseje literackie)	272	75,00
Bugajski, Ryszard: <i>Przestuchanie</i> (Scenariusz filmowy)	112	45,00
Busza, A.: <i>Znaki wodne</i> (Poezje)	64	7,00
Czapska, M.: <i>Czas odmieniony</i>	160	35,00
Czapski, J.: <i>Tumult i widma</i>	352	85,00
Czaykowski, B.: <i>Point-no-point</i> (Poezje)	96	10,00
Czaykowski, B. i Sulik, B.: <i>Polacy w Wielkiej Brytanii</i> ..	581	30,00
Czerniawski, A.: <i>Wiek złoty</i> (Poezje)	64	25,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Bibliografia (Kultura 1958-1973), Zeszyty Historyczne (1962-1973), Działalność wydawnicza (1959-1973)</i>	432	75,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Bibliografia. Kultura (1973-1980), Zeszyty Historyczne (1973-1980), Działalność Wydawni- cza (1973-1980)</i>	310	85,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Wspomnienia o Bibliotece Narodowej w Warszawie</i>	76	15,00
Dobek, Cz.: <i>Drugi rzut i inne opowiadania</i>	288	17,00
Giełżyński, W.: <i>Budowanie Niepodległej</i>	336	100,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. I, <i>Ferdydurke</i>	296	55,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. VI, <i>Dziennik (1953-1956)</i>	304	55,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebr.” t. VII, <i>Dziennik (1957-1961)</i>	256	50,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebr.” t. VIII, <i>Dziennik (1961-1966)</i>	224	40,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. II, <i>Trans-Atlantyk</i> ..	130	40,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. XI, <i>Wspomnienia pol- skie. — Wędrówki po Argentynie</i>	256	65,00

	Stron	F.
Głos („Dokumenty” Nr 47)	272	75,00
Grynberg, H.: <i>Zycie codzienne i artystyczne</i>	180	50,00
Guzy, P.: <i>Krótki żywot bohatera pozytywnego</i>	160	40,00
Haupt, Z.: <i>Pierścien z papieru</i>	245	13,50
Heller, M.: <i>Polska w oczach Moskwy</i>	208	75,00
Herbert, Z.: <i>Raport z oblężonego miasta (Wiersze)</i>	88	40,00
Herling-Grudziński, G.: <i>Dziennik pisany nocą (1980-1983)</i> ..	346	95,00
Herling-Grudziński, G.: <i>Inny świat</i>	256	65,00
Hertz, Al.: <i>Refleksje amerykańskie</i>	260	16,50
Iwaniuk, W.: <i>Ciemny czas (Poezje)</i>	80	8,00
Iwańska, A.: <i>Świat przetłumaczony</i>	240	15,00
<i>Jak z tego wyjść? (Seria „Dokumenty”)</i>	80	25,00
Januskiewicz, Maria: <i>Kazachstan</i>	200	55,00
Jeleński, K. A.: <i>Zbiegi okoliczności</i>	424	120,00
Kaczmaraki, J.: <i>Wiersze i piosenki</i>	140	45,00
Karpiński, W.: <i>Amerykańskie cienie</i>	192	65,00
Kisielewski, St.: <i>Podróż w czasie</i>	136	40,00
Koestler, A.: <i>Ciemność w południe</i>	208	70,00
Korybutowicz, Z.: <i>Grudzień 1970</i>	160	55,00
Kot, St.: <i>Jerzy Niemirycz, inicjator Ugody Hadziackiej</i>	80	7,00
Kowalik, J.: „Kultura” 1947-1957. Bibliografia Kultury ..	392	15,00
Kowalska, J.: <i>Pogranicze</i>	280	80,00
Kraśniewska, W.: <i>Po wyzwoleniu... (1944-1956)</i>	272	95,00
Krynicky, R.: <i>Nasze życie roślinie (Wiersze). (Seria „Bez Cenzury”)</i>	104	25,00
Kuśmierk, J.: <i>Stan Polski</i>	80	30,00
Lipski, L.: <i>Piotruś</i>	80	7,00
Łobodowski, J.: <i>Dwie książki</i>	108	45,00
Madej, B.: <i>Maść na szczyry (Seria „Bez Cenzury”)</i>	208	30,00
Madej, B.: <i>Piękne kalalie albo dojrzewanie miłości</i>	168	24,00
Mickiewicz, A.: <i>Księgi Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego</i> ..	104	25,00
Mieroszewski, J.: <i>Materiały do refleksji i zadumy</i>	256	40,00
Michnik, A.: <i>Z dziejów honoru w Polsce (wypisy więzienne)</i>	286	95,00
Miłosz, Cz.: <i>Dolina Issy („Dzieła Zbiorowe”, t. 5)</i>	196	60,00
Miłosz, Cz.: <i>Nieobjęta ziemia</i>	148	55,00
Miłosz, Cz.: <i>Ogród nauk („Dzieła Zbiorowe”, t. 10)</i>	256	65,00
Miłosz, Cz.: <i>Poezje, t. I („Dzieła Zbiorowe”, t. 1)</i>	292	75,00
Miłosz, Cz.: <i>Poezje, t. II („Dzieła Zbiorowe”, t. 2)</i>	240	70,00

	Stron	F.
Miłosz, Cz.: <i>Poezje</i> , t. III („Dzieła Zbiorowe”, t. 11) ..	112	30,00
Miłosz, Cz.: <i>Prywatne obowiązki</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 7)	256	60,00
Miłosz, Cz.: <i>Rodzinna Europa</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 6) ..	248	60,00
Miłosz, Cz.: <i>Widzenia nad zatoką San Francisco</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 9) ..	174	40,00
Miłosz, Cz.: <i>Zaczynając od moich ulic</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 12) ..	364	120,00
Miłosz, Cz.: <i>Zdobycie władzy</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 4)	160	50,00
Miłosz, Cz.: <i>Ziemia Ulro</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 8)	224	60,00
Miłosz, Cz.: <i>Zniewolony umysł</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 3) ..	240	60,00
Mostwin, D.: <i>Ja za wodą, ty za wodą...</i>	304	30,00
Mrozek, Sł.: <i>Alfa</i> (sztuka sceniczna)	84	40,00
Mur, J.: <i>Dziennik internowanego</i>	200	85,00
Nowakowski, M.: <i>Dwa dni z Aniołem</i>	154	55,00
Nowakowski, M.: <i>Notatki z codzienności</i>	160	50,00
Nowakowski, T.: <i>Happy-End</i>	208	18,50
Odojewski, Wł.: <i>Zabezpieczanie śladów</i>	128	45,00
Orłó, K.: <i>Trzecie kłamstwo</i>	240	65,00
Pankowski, M.: <i>Smągła swoboda</i>	55	5,00
Pawlikowski, M. K.: <i>Wojna i sezon</i>	308	15,00
Pietrkiewicz, J.: <i>Poematy londyńskie i wiersze przedwojenne</i>	200	13,50
Pomian, G.: <i>Polska Solidarności</i>	464	120,00
<i>Powszechna Deklaracja Praw Człowieka w językach: polskim, białoruskim, czeskim, litewskim, rosyjskim, słowackim i ukraińskim</i> (Seria „Dokumenty”)	64	10,00
<i>Prawa człowieka i obywatela w PRL (13. 12. 1981 - 31. 12. 1982). Raport Komisji Helsińskiej w Polsce na Konferencję w Madrycie</i> (Seria „Dokumenty” Nr 49)	224	75,00
<i>Protokoły izw. Komisji Grabskiego. Tajne dokumenty PZPR.</i> (Seria „Dokumenty” Nr 50)	430	180,00
<i>Przeciw niewolnictwu</i> (Seria „Dokumenty”)	64	10,00
<i>Raport o stanie narodu i PRL</i> (Seria „Dokumenty”)	224	65,00
Reale, E.: <i>Raporty. Polska 1945-1946</i> (Seria „Dokumenty”) ..	288	18,50
Rekulski, A. T.: <i>Czy drugi Katyń?</i>	46	20,00
Romanowiczowa, Z.: <i>Na Wyspie</i>	168	65,00
Romanowiczowa, Z.: <i>Skrutki</i>	200	55,00
<i>Rozmowy niekontrolowane...</i>	246	75,00
Rymkiewicz, J. M.: <i>Rozmowy polskie latem 1983</i>	160	60,00
Scherer, O.: <i>W czas morowy</i>	208	13,50
Siewierski, H.: <i>Spotkanie narodów</i>	144	55,00
Solski, W.: <i>Moje wspomnienia</i>	384	55,00

	Stron	F.
Staliński, T.: <i>Sledztwo</i>	224	25,00
Stempowski, J. (Hostowiec, P.): <i>Od Berdyczowa do Rzymu</i> ..	416	35,00
Sukiennicki, W.: <i>Legenda czy rzeczywistość</i> (Seria „Dokumenty”)	128	9,00
Sułkowski, W.: <i>Szkola zdobywców</i>	64	15,00
Swianiewicz, St.: <i>W cieniu Katynia</i>	360	65,00
Ślaska, E.: <i>Dochodzenie</i>	128	50,00
Tarniewski, M.: <i>Płonie komitet</i>	196	65,00
<i>Teksty cywilne przez Leopolię</i>	176	55,00
Wandycz P.: <i>Polska a zagranica</i>	294	100,00
Wierzyński, K.: <i>Sen mars</i> (Poezje)	128	11,00
Winczakiewicz, J.: <i>Israel w poezji polskiej</i> (Antologia)	354	25,00
Witos, W.: <i>Moje wspomnienia</i> , t. II/III	968	66,00
Włoszynowski, J.: <i>Było tak...</i>	200	45,00
Woroszylski, W.: <i>Literatura</i> (Seria „Bez Cenzury”)	180	45,00
Zagajewski, A.: <i>List — Oda do wielości</i>	96	35,00
Zaremba, P.: <i>Historia dwudziestolecia 1918-1939</i> , t. I i II, str. 238 i 342	670	170,00
Zawadzka-Wetz, A.: <i>Refleksje pewnego życia</i> (Seria „Dokumenty”)	240	16,50
<i>Znasz-li ten kraj?</i> (Seria „Dokumenty”)	348	24,00
<i>Zeszyty Historyczne</i> poświęcone najnowszej historii Polski, ukazywały się od roku 1962 do 1972 włącznie dwa razy do roku. Od 1973 ukazują się co kwartał: w lutym, maju, sierpniu i listopadzie.		
Každy Zeszyt liczy 240 (lub 256) stron. <i>Zeszyty</i> Nry 2, 3, 4, 5, 6, 7, 11, 12, 13, 15, 16, 18, 19, 20, 40, 41, 42, 46, 47, 49, 50, 51, 52, 53, 55, 56, 57, 68 są wyczerpane. (Te <i>Zeszyty Historyczne</i> mamy w wydaniu miniaturowym po F.10,00 za Zeszyt + koszty przesyłki). Ukazał się Zeszyt 76 (maj 1986). Cena pojedynczego Zeszytu		70,00

Prosimy Czyelników, by przy zamówieniach dodawali 10 % ogólnej sumy na koszty przesyłki. Koszt przesyłki we Francji minimum F.12,00.

Prenumerata *KULTURY* na rok 1986:
rocznie — F.440,00, półrocznie — F.230,00.

Dopłata za przesyłkę lotniczą rocznie:

Prenumerata *ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH* na rok 1986:
rocznie — F.280,00 (pojedynczy Zeszyt — F.70,00)
(dla prenumeratorów *KULTURY* rocznie — F.250,00).

Achévé d'imprimer le 26 mai 1986
sur les presses de l'Imprimerie Richard, 24, rue Stephenson, Paris 18^e.
Dépôt légal : 2^e trimestre 1986.
N^o d'imprimeur 7697.

